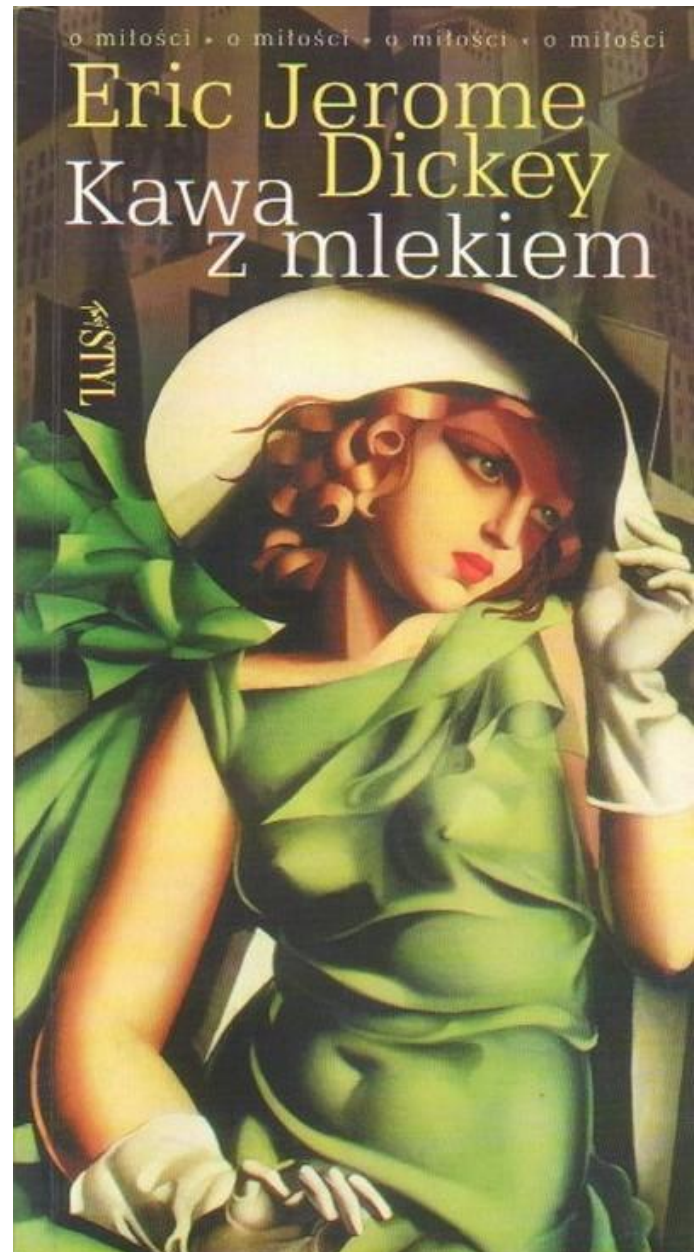




Eric Jerome Dickey

Kawa z mlekiem

Przełożyła Elżbieta Waluk



TLR

*Dla Vardamana i Lili Gause
z bezustanną tęsknotą*

TLR

Dla Adama
 tłumaczka

Część pierwsza

Uprzedzenia

TLR

1. Jordan Greene

Zanim jeszcze zdążyłem dojść do przystanku metra na 42. Ulicy na Times Square, okropnie rozboleły mnie przekłute opuszki palców. Zrobiły się bardziej purpurowe niż Barney, ten głupi dinozaur, którego wszyscy powyżej trzeciego roku życia kochają nienawidzić. Wcale nie kłamię. Mówię poważnie o zimnie i biegu na róg 44. Ulicy i Broadwayu. Wełniana podszewka płaszcza spełniała swoją rolę i ogrzewała moje 175 cm ciemnobrązowego ciała, ale niosłem kilka pakunków, rzeczy, które kupiłem w R.A.G. i Official Ali Star Cafe. Prezenty dla mojego najlepszego przyjaciela. Nie miałem rękawiczek; palce tak mi opuchły, że gotowe były popękać jak popcorn w mikrofalówce. Powinienem podejść do Fino, zaraz pomiędzy Piątą i Szóstą Aleją i kupić rękawiczki z miękkiej włoskiej skórki, ale nie znoszę kupować czegoś, co już mam, ale zostawiłem w domu. To zdumiewające, jak ból w jednej części ciała może popsuć ci nastrój. Na domiar złego, widziałem swoje brązowe włoskie buty kroczące po asfalcie, słyszałem chrzęst, kiedy się poślizgnąłem i znalazłem w resztkach brudnego, mokrego śniegu na skraju chodnika, ale nie czułem palców u nóg.

Był pierwszy piątek grudnia i przejmujące dreszczem minus cztery stopnie. Najcieplejszy dzień w tym tygodniu.

Gdybym nie był tak przemarznięty, zatrzymałbym się na chwilę, by spojrzeć na góry ogromnych billboardów profanujących niebo Manhattanu. Ludzie, kiedy po raz pierwszy przyjechałem tu z Południa, przysięgam na Boga, nigdy w życiu nie widziałem tylu billboardów. Były poustawiane jedne na drugich, wysokie na kilka pięter, wyższe niż większość budynków. Oprócz ogromnych reklam przedstawień na Broadwayu i wielkich neonowych butelek Coca— Coli, które stały naprzeciwko biało— czerwonej budki TKTS, był jeszcze ogromny ekran wideo na szczycie kolosalnej Cup O'Noodles znajdującej się na gigantycznej butelce Budweisera, stojącej na kolosalnym ekranie telewizyjnym Panasonic, który pokazywał to, co akurat szło w NBC, to było na szczycie ogromnego billboardu kinowego, a wszystko zawieszane w powietrzu nad maciupeńkim posterunkiem Nowojorskiej Policji.

Złośliwa bryza uderzyła od strony East River i zgięła w pół wszystkich na Times Square. Ludzie szli jak garbaci, przeklinali i trzęśli się, ale nikt nie zwolnił tempa. Odkąd jestem w Nowym Jorku, jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zwolnił. Nawet umarli się ruszają. I bez względu na to kiedy i gdzie, jest tak potwornie dużo ludzi.

Gdy chwyciłem torby i zacisnąłem dłoń, ból przeszył moje ramię aż do szyi. Od stóp do głów przenikał mnie dreszcz i myślałem, że zaraz dostanę cholernego zawału. Uliczny sprzedawca był strasznie natrętny, jakbym mu wisiał kupę kasy. Moje przepychanie się sztywnymi ramionami w kierunku stacji naprzeciwko sklepu Disneya nie skutkowało. Jeszcze chwila tego gówna i stanę się brązowym bałwankiem. Miałem garść żetonów do metra w kieszeni marynarki, ale nawet gdybym dotarł stąd do stacji Roosevelt Avenue na Queensie, to i tak musiałbym żonglować prezentami, wydostać się ze stęchłego tunelu na róg Roosevelt i Broadwayu, poczekać na mrozie na autobus Q33, przejechać kolejne piętnaście minut, potem znów wyjść na mróz, poślizgać się i popotykać obok sklepów na rogu i dotrzeć do mojego mieszkania na White Oaks Court. Cholera. Myślałem, że zwariuję. Taksówka stąd do domu kosztowałaby fortunę, przynajmniej trzydzieści dolców, ale miałem już dosyć. Nadszedł czas, by nadszarpnąć fundusze.

Zeskoczyłem z krawężnika, wyminąłem brata*¹ w wytartym mundurze, który próbował wcisnąć mi roleksa za 200 dolarów, zignorowałem kolejnego białego faceta z niebieskimi włosami sprzedającego złote łańcuchy, i spróbowałem przywołać taksówkę. Nie miałem czasu się targować. Jeśli nie mieli rękawic, nie byli w stanie mi pomóc. Sznur żółtych taksówek i Lincoln Town Cars — to też były taksówki — przejeżdżał obok, poruszając się jak sirocco. Na ulicach Manhattanu zawsze było więcej taksówek niż samochodów prywatnych, więc aleja wyglądała jak żółte morze. Zszedłem z krawężnika i wysunąłem się dalej na ulicę, żeby być lepiej widocznym. Taksówkarz zwolnił, nawiązał kontakt wzrokowy, lekko potrząsnął głową, przyspieszył, zatrzymał się i zabrał białego człowieka jakieś 25 metrów dalej. Drań. Podejrzliwi popaprańcy nigdy nie zatrzymują się dla czarnego mężczyzny, bo boją się, że moglibyśmy ich zmusić do zrobienia czegoś tak nierozsądnego jak wysadzenie nas w czarnej dzielnicy. To głupota. Mam 29 lat i portfel pełen uczciwej gotówki, pracuję w biurze, a mimo to nadal nie mogę złapać przekłetej taksówki.

Byłem gotów iść po trupach, byleby dostać się do domu i trochę się ogrzać. Pozwoliłem pakunkom spocząć na ramieniu i wcisnąłem prawą dłoń do kieszeni, tuż obok płyty Rachelle Ferrell, którą właśnie kupiłem w Virgin Megastore. Wymijałem ludzi i przemaszerowałem obok pieprzonych dekoracji świątecznych zwisających z witryn sklepowych, przydeptywanych przez załogę Mikołajów Armii Zbawienia.

¹* Afro- Amerykanie często zwracają się do przedstawicieli własnej grupy etnicznej „bracie”, „siostrze”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

W końcu żółta taksówka zawróciła i zatrzymała się kilka kroków ode mnie. Błyskawicznie zareagowałem. Przecisnąłem się przez tłum na chodniku i przeszedłem w odrętwiały bieg. Przysadzista siostra pochyliła się, by zapłacić taksówkarzowi i wydostała się na dwór. Wiatr zarzucił jej blond fryzurą zrobioną na Mary J. Blige, rozwiały długi do kostek wełniany płaszcz, smagnął pomarańczową sukienkę i pozwolił uchwycić widok jej ciemnych rajstop i olbrzymich ud. Próbowła poprawić ubranie, a ja usiłowałem złapać drzwi, zanim się zatrzasną. Drzwi wygięły mi palce; upuściłem pakunki i chrząknąłem, aby nie zawyć z bólu. Poczułem, jakby trzy palce popękały aż do kości. Uśmiechnąłem się do kobiety. Ona się nie uśmiechnęła. Jędza musi być z Nowego Jorku.

Zostawiła kogoś w taksówce. Białą kobietę. Westchnąłem. Cholera. Kiedy wetknąłem głowę do środka, jej nauszniki się zsunęły, krzyknęła, skuliła się i upuściła pismo. Kręcone rude włosy wysypały się, opadły na ramiona i zakryły większą część jej okrągłej twarzy. Wessała wydęte wargi i wycofała się w róg.

Zmarszczyła brwi i rzuciła:

— Jest zimno. Wsiadaj.

— Co?

— Pozbieraj swoje rzeczy z ziemi i wsiadaj. Wsiadaj albo zamknij te przeklęte drzwi.

Poprawiła zielony płaszcz i przysunęła się bliżej do drzwi po swojej stronie. Wnętrze przepęłniał zapach Passion. J'nette używała tego samego, więc znałem go bardzo dobrze. Spotykałem się z J'nette przez ostatnich kilka miesięcy, ale nasz związek nie był szczególnie udany. Cukier zmienił się w gówno. Tak czy inaczej, delikatność perfum rudej odcinała się od smrodu taksówki — odoru mokrych skarpet i starych tenisówek. Poczułem też coś jeszcze, za co mógłbym zabić. Ciepło.

— Już mam pasażerkę.

To taksówkarz. Nie wiedziałem, jakiej był narodowości, ale nazwisko w dokumencie na szybie było długie na 30 liter i przydałoby mu się kilka spółgłosek.

Pochyliła się w moją stronę i zapytała:

— Po raz ostatni, dokąd?

Kusiło mnie, by powiedzieć nazwę czarnej dzielnicy — Jamaica na Queensie albo Strivers' Row w Harlemie^{*2}, ale pogoda nie sprzyjała takim dowcipom.

— Jackson Heights. — Zęby mi zadzwoniły i aż jęknąłem, kiedy chwyciłem swoje torby. Kapało mi z nosa, ale byłem zbyt zmarznięty, by się wstydzić.

— 75.Ulica i Dwudziesta Trzecia Aleja.

— W pobliżu lotniska La Guardia — uzupełniła.

Skinąłem głową, pociągnąłem nosem i dodałem:

— W pobliżu autostrady Brooklyn- Queens.

Poruszyła się niecierpliwie, palce zadrżały jej z zimna, powiedziała, że bym się pospieszył i zamknął drzwi.

— To kilka kilometrów od miejsca, dokąd jadę. Możemy podzielić się kosztami.

Po drugiej stronie przejrzystej szyby kuloodpornej taksówkarz chwycił kierownicę i warknął. Jego poorana bliznami, brodata twarz napięła się, potrząsnął głową i zaświergotał coś w swoim języku. Usiadłem wygodnie z tyłu i rozluźniłem szalik. Torby upadły mi do stóp. Kierowca wydał z siebie kilka amerykańskich przekleństw — typowe powitanie na Wschodnim Wybrzeżu.

— Co to było? — spytała, po czym przyłożyła rękę do ucha jakby nie dosłyszac. Przestraszyłem się. Taksówkarz nie powiedział już nic więcej. Usiadła z powrotem na pękniętym siedzeniu, powtórnie otworzyła swoje piśmo i dodała ostro: — I żadnych tak zwanych skrótów. Mam cię na oku i wiem, dokąd jadę.

Taksówkarz spojrzał z wściekłością we wsteczne lusterko. Śnieg zachrząścił pod kołami, kiedy ruszył od krawężnika. Jęknąłem. Spojrzała ukosem na moje cierpienie i wróciła do tego, co czytała. To był „New Yorker”. Zatarłem rękę, ale miałem uczucie jakbym pocierał o siebie dwa kawałki lodu.

Zerknęła na mnie, westchnęła, sięgnęła do torebki, chwyciła różową chusteczkę i podała mi ją.

— Czuję, że zimno z ciebie wychodzi.

²*Dzielnica Nowego Jorku na górnym Manhattanie, tradycyjnie zamieszkała przez Afro- Amerykanów.

— Dzięki — Wytarłem nos. — Usiłowałem złapać taksówkę przez co najmniej pół godziny.

— Dlaczego?

— Dlatego. — Spojrzałem na taksówkarza. — Dlatego.

Skinęła głową.

— Jak dla niego, ja mogłabym być seryjnym mordercą.

— A jesteś?

Zrobiła pokerową minę i spytała:

— Jak sądzisz?

— Zaryzykuję. — Zgiąłem palec. — Boli.

— Gdzie masz rękawiczki?

— Zgubiłem. Potrząsnęła głową.

— Nowy Jork. Zima. Gołe palce. Niezdrowe połączenie. Mógłbyś być seryjnym mordercą.

— Jeśli nie noszę rękawiczek, znaczy, że próbuję się zabić.

Ze swymi pełnymi wargami i okrągłą twarzą przypominała mi tę aktorkę, Kim Basinger, ale głos miała radosny i dźwięczny, jak Geena Davis. Była w tęczowych rękawiczkach z jednym palcem, co pozwalało jej palcom poruszać się harmonijnie i dzielić tę samą przestrzeń. Ja byłem zwolennikiem palczastych rękawic. Oddzielna przegródka na każdy palec. Tak moja mama wychowała trójkę swych chłopców. Ubranych w czarne albo brązowe rękawice.

— Pozwól, że ci pomogę — powiedziała.

Zanim złapałem, o co jej chodzi, zdjęła rękawiczki i wzięła moją prawą dłoń. W pierwszej chwili chciałem ją wyrwać, ale jej ręce były ciepłe. Chociaż ciepłe. Spróbowałem się odprężyć. Przynajmniej na chwilę.

Odprężyłem się i pozwoliłem się ogrzać. Miała miękkie ręce. Grube palce, krótkie paznokcie, pomalowane przezroczystym lakierem. Kostki też miała grube.

Kiedy ciepło, które oddawała, osłabło, potarła swoje ręce, żeby znów były ciepłutkie. Paplała, ale pulsowanie wewnątrz ciała uczyniło mnie głuchym.

— Co? — spytałem.

— Powiedziała — uśmiechnęła się — że nazywam się Kimberly Chavers.

Spojrzałem w jej piwne oczy i powtórzyłem:

— Kim?

— Nie. — Podniosła palec, żeby mnie poprawić. — Kimberly.

Nie uśmiechnąłem się. Nadal przyglądałem się jej oczom.

Piwne. Pod pewnym kątem wyglądały srebrzyście. Pod innym, szmaragdowo.

Mrugnąłem, żeby wrócić do rzeczywistości i powiedziałem:

— Jordan Greene.

— Miło mi cię poznać, Jordan.

— Nawzajem.

Miałem wilgotne czoło. Pociłem się z powodu bólu w palcach wracających do życia. Opuszki piekły, jak gdyby były klute gorącymi igłami. Już dawno tak bardzo nie zmarzłem, od czasu kiedy pojechaliśmy z Solomonem na narty w Vale. Zapomniałem, że tajanie potęguje torturę. Będzie bardziej bolało, zanim zupełnie przestanie. Zgiąłem palce, aby poprawić krążenie krwi, wydałem kilka przypominających orgazm odgłosów. Z uśmiechem wyższości wróciła do swojego „New Yorkera” i zaczęła przerzucać strony.

Odsunąłem się od niej.

— Dzięki.

Skinęła głową i powiedziała zdecydowanie:

— Nie jesteś ze Wschodniego Wybrzeża.

— Akcent?

— Trochę. Manieryzmy. Jesteś zbyt miły dla taksówkarza.

— Byłem zmarznięty na kość.

— Nie ma znaczenia. Traktuj ich ostro albo cię rozdepczą. Skąd jesteś?

— Brownsville.

— Czy to w Teksasie?

— Małe miasteczko na przedmieściach Memphis.

— Tennessee, co? Widziałeś kiedyś Elvisa?

— Pewnie. Chcesz zobaczyć różowego cadillaca, którego mi kupił?

Zaśmialiśmy się krótko. Znów mogłem poczuć swoje palce u nóg. Kawałek po kawałku, moje ciało wracało do życia.

— Sama jesteś bardzo miła — powiedziałem. — A ty, skąd pochodzisz?

— Seattle. Oakland. San Antonio. Kilka innych miejsc.

— Wojskowy dzieciak?

— Tak jest. — Uśmiechnęła się. — Co cię przywiodło do Nowego Jorku?

— Przyjechałem siedem lat temu pracować dla CompSci Enterprises. Oprogramowanie. Mieszkam tu od tamtej pory.

— Brzmi jak bombowa praca. Sama potrzebuję komputera, żeby trochę porysować. Uczę się QuarkXpress. Myślałam o zajęciach w La Guardia Community College.

Skinąłem głową. Wtedy poczułem inny rodzaj smrodu — resztki marlboro. Nie musiałem się przysuwać i oglądać przepelnionej popielniczki taksówkarza, żeby wiedzieć, że jest nałogowym palaczem, zupełnie jak mój starszy brat Darrell. Próbowałem palić w szkole średniej, ale astma położyła kres tej głupocie. Dzięki Bogu za to. W każdym razie, zapach raka był wstrętny, ale nie na tyle silny, by przytłumić słodki aromat Kimberly.

Nadawała dalej.

— Chcę nauczyć się najnowocześniejszego oprogramowania podłączyć do Internetu, może kiedyś stworzyć własną stronę internetową i prezentować tam moje prace. — Wróciła do lektury. — Brzmi tak ekscytująco. Być w czołówce osiągnięć technologicznych.

— W czołówce osiągnięć technologicznych?

Podniosła pismo. Otwarte na całostronicowej reklamie

CompSci.

Uniosła brwi.

— Nie znasz hasła reklamowego swojej firmy?

— Cóż — powiedziałem i wzruszyłem ramionami. — Nie ja je wymyśliłem.

— Mam nadzieję, że nie. — Roześmiała się, złożyła pismo i wetknęła je do kieszeni płaszcza. — Jest tak cholernie wyświechtane.

— Czym się zajmujesz?

— Jestem malarką.

— Nie gadaj.

— To prawda.

— W jakim stylu?

— Normana Rockwella.

Ernie Barnes, Varnette Honeywood i Salvador Dali to wszystko, co wiedziałem o sztuce. Posiadałem dwie reprodukcje Barnes'a. Obydwa wisiały w jadalni. Jeden przedstawiał dziewczynki bawiące się w kółko graniaste, a drugi scenę z przyjęcia, której użyto na okładkę jednej z płyt Marvin'a Gaye'a.

Uniosła brwi.

— Słyszałeś o Normanie Rockwellu?

— Brzmi znajomo. Jest z Nowego Jorku?

— Prawdę mówiąc, to on nie żyje.

— Och, przykro mi.

— Niepotrzebnie. Tak czy inaczej, zajmuję się tym, co wy laicy nazywacie otaczającą rzeczywistością — powiedziała od niechcienia, po czym dotknęła czerwonego piega na prawym policzku. — Zależy od nastroju. Ostatnio niczego nie namalowałam. Mam blokadę. Mój umysł się zaciął i trudno mi wprowadzić się w dobry nastrój.

Chciałem rysować komiksy, kiedy byłem dzieckiem. Miałem deskę do rysowania i przybory kreślarskie obok chyba tysiąca komiksów. Nie myślałem o tym od lat. Kiedy odpływałem myślami, jej chichotanie sprowadziło mnie z powrotem.

Wygiąłem palce i spytałem:

— Co jest?

— Oczy ci zabłyśły.

przez minutę czy dwie, kiedy jechaliśmy trzypasmową koszmarnie zatłoczoną Park Avenue, a potem Wschodnią 57. Ulicą w kierunku Mostu Queensboro, paplałem. Opowiadałem jej o tym, jak chciałem rysować komiksy,

kiedy byłem dzieckiem, i o tym, że chciałem stworzyć milion czarnych superbohaterów, i pracować dla D.C. albo Marvel*³. Kiedy śmialiśmy się cichym, uprzejmym, chłodnym śmiechem, taksówkarz spojrział na nas przez wsteczne lusterko i pokręcił głową, jakbyśmy byli szaleni.

— Miło byłoby zobaczyć twoje prace — powiedziałem.

— Zaczekaj chwilę. — Sięgnęła do torebki i wyciągnęła wypchany skórzany portfel i podała mi go. — Proszę.

Kiedy wcisnęła mi portfel przed nos, myślałem, że mnie podpuszcza.

— Co to ma być?

— Trzymam tu zdjęcia moich prac.

Wyglądali jak prawdziwi ludzie. Kolory, szczegóły. Kobieta na huśtawce karmiąca dziecko. Kobieta, z walizkami w obu rękach, płacząca, bo jej kochanek odszedł. Para na wzgórzu obserwująca wschód słońca. Sylwetki kochanków pod prysznicem kochających się o świcie. Około dwudziestu trzydziestopięciomilimetrowych zdjęć. Na żadnym nie było widać rysów twarzy. Domyślałem się, że miało to ułatwić ich sprzedaż. Odcienie skóry były różne. Bez wątplenia kolejne marketingowe posunięcie.

— A niech cię, to ty je zrobiłaś?

— Typowo męska reakcja. — Uśmiechnęła się i rzuciła bardzo feministyczne: — Wyobrażacie sobie, że kobiety niewiele potrafią, co? Gdybym była, jak to się to nazywa, mężczyzną, inaczej byś...

Podniosłem rękę.

— Nie to miałem na myśli. Roześmiała się.

— Żartowałam.

— To dobrze.

— A tak — powiedziała z uśmiechem wyższości. — Sama je zrobiłam.

— Są EXtra.

— Ekstra?

— Nie, nie ekstra. Extra. Przez duże X.

³ *D. C. — Detective Comics i Marvel to duże wydawnictwa specjalizujące się w komiksach. D.C wprowadziło Supermana i Batmana, a Marvel Spidermana i Hulka.

— EXtra? — naśladowała mnie. — Cóż, dzięki, panie EXtra. Będę musiała to wykorzystać. EXtra. Przez duże X.

Kiedy powiedziała, że zamierza wykorzystać moje wyrażenie — żonko, pożałowałem, że je wymówiłem. Spojrzałem przed siebie, na dwa pasy ruchu sunące po Moście Queensboro, na chwilę zwróciłem wzrok w kierunku Silvercup Studios, potem z powrotem na budynek IDCNY⁴ tylko po to, by nasze spojrzenia się nie spotkały. EXtra. Będę musiała to wykorzystać. Moja Mama zwykła mawiać, że biali ukradną ci wszystko, łącznie z ostatnim tchnieniem.

Chwilę później, starając się ukryć swoje myśli, zagałęm rozmowę. Odchrząknąłem, rozprostowałem palce i zapytałem:

— Czy twoje prace są wystawiane?

— Jeszcze nie. Miałam szczęście i sprzedałam ostatnio kilka na zamówienie przez kilka miejsc w Village⁵.

— Więc to praca na pełny etat?

— Pracowałam tu i tam na pół etatu, ale jestem wolnym strzelcem. Współpracuję z wydawnictwami i katalogami dużych korporacji. Klienci indywidualni nie kupują dzieł sztuki ze względu na sytuację ekonomiczną, a przedsiębiorstwa są zawsze na rynku; mają to wliczone w koszty. Przeplacają i odpisują to sobie od podatku. Muszę jakoś opłacać czynsz zanim dostanę życiową szansę zrobienia okładki dla „Life'a”.

— Chciałbym zobaczyć twoje obrazy. Mógłbym coś kupić, jeśli będzie mnie na nie stać. Czym się posługujesz?

Wydawała się roztargniona, kiedy wymamrotała:

— Olej i płótno.

— Fajnie — powiedziałem. Jej piwne oczy zabłysły. Kiedy się uśmiechnęła, spytałem: — Co teraz?

— Chcesz zobaczyć resztę?

Skinąłem głową.

— Daj mi znać, kiedy będą wystawiane.

⁴ *International Design Center in New York — Międzynarodowe Centrum Wzornictwa w Nowym Jorku.

⁵ *The Village to dzielnica Nowego Jorku na dolnym Manhattanie, tradycyjnie zamieszкана przez artystów. Dzielona na East Village i Greenwich Village.

— Mogę zrobić coś lepszego. Tak sobie pomyślałam, że mieszkamy bardzo blisko siebie. Mógłbyś wpaść do mnie na chwilę i potem pojechać do domu inną taksówką.

Pod powłoką uśmiechu poczułem dreszcz niewygody. Próbowałem wymyślić jakieś kłamstwo, rzucić jakiś frazes i udać, że jestem zajęty, ale kłamstwo nie przechodziło mi przez gardło. Tym bardziej że patrzyliśmy sobie w oczy i nie było miejsca na alibi.

Kontynuowała:

— Nie wiem, czy masz jakieś plany albo randkę albo musisz wracać do domu do żony czy coś.

Pomyślałem o tym, że J'nette nie odpowiada na moje telefony i o tym, że nie mam nic do roboty od zachodu do wschodu słońca w piątkową noc, i zaśmiałem się cicho i swobodnie.

Obróciła głowę:

— Co?

— Nie, nie spieszy mi się do domu. Nie, nie mam żadnych planów. — Uniosłem serdeczny palec. — Nie, nie jestem żonaty.

Oczy jej się rozszerzyły. Przykryła usta dłonią.

— Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Nie wiedziałam, dokąd jedziesz. Nie, że ma to jakieś znaczenie. Interes to interes, prawda?

Skinąłem głową.

— Interes to interes.

Gwałtowny podmuch wiatru zanurkował w momencie, kiedy zatrzymaliśmy się przed jej trzypiętrowym budynkiem z czerwonej cegły. Mieszkała tuż obok Europejsko- Amerykańskich delikatesów. Niedaleko Bulova Corporate Center na Astoria Boulevard. Rząd sklepów z artykułami pierwszej potrzeby — takich jak rybny, zakład kosmetyczny, pralnia chińska i kwiaciarnia — był na następnej przecznicy. Mieszkaliśmy około pięciu kilometrów od siebie i było nam równie blisko do Waldbauma, gdzie kupowałem jedzenie, Banku Nowego Jorku, gdzie dokonywałem transakcji finansowych, i Rynku Bostońskiego, gdzie kupowałem gotowe jadlo, kiedy nie byłem w nastroju do gotowania. Z tego, co mogłem zauważyć, ludność jej dzielnicy nie różniła się zbyt od mojej: Włosi i Portorykańczycy z odrobiną Murzynów, by dodać smaku. Zauważyłem to, ponieważ mniej więcej co półtora kilometra narodo-

wości się zmieniały. Skręcisz w lewo — Włosi, skręcisz w prawo — Indonezyjczycy.

Ale bez względu na miejsce, prostokątne domy z maciupkimi pokoikami i paroma metrami podwórka były powciskane obok siebie na każdej przecznicy. Klimatyzatory wystawały z okien frontowych. Jak większość w okolicy, budynek Kimberly otaczał brunatny zimowy trawnik. Pod nagimi drzewami dwa rzędy wysokich krzaków okalały wejście, pokryte rozmokłym i brudnym śniegiem.

— Uważaj. — Kimberly wskazała na ziemię. — Pod tą chlapą może kryć się lód.

Nie było windy. Stopy miałem tak przemarznięte, że poruszałem się jak starzec, kiedy wchodziliśmy na drugie piętro. Gdy otworzyła wszystkie trzy zamki, powitało nas przyjemne ciepło. Dobrze, że nie spieszyłem się do domu, gdzie przykręciłem ogrzewanie, a ponieważ mieszkałem w suterenie, było tam teraz jak w lodówce. Poruszyłem palcami. Zapach dawno parzonej kawy przepełniał pokój. Wystarczająco mocny, bym poznał, że marka, jaką piła, była pełna kofeiny.

Z sypialni dochodziły głosy. Z początku pomyślałem, że ktoś na nią czeka, ale po prostu miała włączone radio. Ściany pomalowane były na jasny kolor. Ta naprzeciwko ulicy nosiła rysunki widoków Nowego Jorku: Statuę Wolności, Teatr Apollo*⁶. Inne miejsca były naszkicowane i nie mogłem się domyślić, co przedstawiały. Kimberly zauważyła, że im się przyglądam i podeszła do mnie.

— Rysuję sobie po ścianie, kiedy się nudzę.

Wskazując na zarysy, spytałem:

— Co to?

— To po prawej, to naprawdę kiepska wersja rzymskiego Koloseum. Po lewej masz meksykańską piramidę.

W małej jadalni, co typowe dla Nowego Jorku, nie miała stołu. Mieszkanie było dość duże, co znaczyło, że pewnie płaci ogromny czynsz. Ciekawe, do jakiej sumy przepisy regulowały wysokość jej czynszu. Beżowy bawełniany dywanik pochlapany wszystkimi podstawowymi kolorami i ich kuzynami przykrywał część drewnianej podłogi. Obrazy stały oparte o ścianę. Jeden był na sztalugach.

⁶ *Słynny teatr w centrum Harlemu, gdzie występowały i występują wielkie gwiazdy muzyki rozrywkowej.

Słyszałem odgłos własnych kroków, spacerując po jej pustych podłogach.

Powiedziała, żebym się rozgościł. Zastanowiłem się nad tym, odchrząknąłem i nerwowo się zaśmiałem, położyłem pakunki, jeszcze raz rozprostowałem ręce, po czym zdjąłem płaszcz i marynarkę i rzuciłem je na pastelową sofę w salonie. Zauważyłem stos kaset do aerobiku: „Pośladki ze stali”, „Brzuch ze stali”, „Ramiona ze stali”. Na podłodze leżały książki: *Gauguin Masterworks*, *TheFarSide*, *Works of Norman Rockwell*. Kucnąłem, usłyszałem, że kolana strzyknęły mi jak petardy, podniosłem książkę o Rockwellu. Wiedziałem, kim jest. Nie znałem tylko jego dzieł. Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie jego dobrze znanego realistycznego stylu. To on narysował małą czarną dziewczynkę eskortowaną przez Gwardię Narodową do nowo zintegrowanej szkoły w czasach walki o równe prawa obywatelskie. Pamiętam, że było to na okładce „Life'a”. Tak. W czasach integracji trzeba nas było eskortować. Kolejna z wolności moich braci, którą teraz uznaje się za oczywistą.

Miałem nadzieję, że ma współlokatorkę, ale mieszkała sama. Poczuję się nieswojo. Przesząpiłem nad stosem płyt porzucanych przy stereo — Harry Connick Jr. En Vogue. Diane Schuur. The Fugees. Bonnie Raitt. Alanis Morissette.

Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni płaszcz nową płytę Rachelle Ferrell. To przez nią zmarłem na kość na Times Square. Była niesamowita. Ona i pudełko pasty do butów zawsze umiały mnie olśnić. Uwielbiałem jej mocny, czarny, kilkuoktawowy głos, jej pełne wargi, podniecający sposób, w jaki uderzała te seksowne nuty, gdy śpiewała. Trzymałem się J'nette po części dla tego, że tak samo wyglądała. Nic lepszego niż silna czarna kobieta. Nic lepszego.

Kimberly zdjęła płaszcz i powędrowała do sypialni.

— Możesz coś włączyć, jeśli chcesz — zawołała.

— Włączę, to jest — poprawiłem się — czy mogę puścić swoją płytę?

— Pewnie — zawołała. — Wiesz, jak to działa?

— Tak. Poradzę sobie.

Ponieważ nie było jej w pokoju i nie mogła mnie obserwować, obejrzałem sobie dokładnie jej mieszkanie. Od czerwonego orientального dywanika do ciemnoróżowych zasłon na oknach, wszystko emanowało ciepłem i życiem. Żadnych bladych szarości, ciemnych błękitów czy wstrętnych brązów. Wróciła na chwilę, by podnieść żaluzje i wpuścić resztki dziennego światła, po czym wróciła do sypialni.

Muzyka zaczęła grać. Rozprostowałem palce, upewniłem się, że nic im nie jest. Trochę jeszcze bolały, ale nie było się czym przejmować. Opuszki nadal były purpurowe. Wstałem i w prostokątnym lustrze na ścianie zauważyłem odbicie Kimberly. Odgarnęła rude włosy z twarzy i usiadła na białym lakierowanym łóżku, nie poślany z jednej strony.

Usłyszałem jej automatyczną sekretarkę. Elektroniczny głos obwieścił, że ma pięć wiadomości, po czym zaczął je odtwarzać. Kilka wiadomości brzmiało jak interesy, telefony z galerii. Jedna była od kobiety o skrzeczącym głosie imieniem Sharon: „Kochanie, powiedziałam mężowi, że nocuję dziś u ciebie. Chciałam, żebyś wiedziała na wypadek, gdyby dzwonił i mnie szukał, w co wątpię. Zadzwoń, to umówimy się na lunch. Pa”.

Głos tak biały jak chleb tostowy.

Kolejna wiadomość była od kobiety imieniem Kinikki. Brzmiała jak siostra z mocnym karaibskim akcentem i zostawiła typową babską wiadomość. Nic osobistego ani skandalizującego, ale dosyć, żebym się domyślił, że były sobie tak bliskie jak ja i Solomon. Wygląda na to, że Kimberly miała przyjaciół po obu stronach granicy rasowej.

Ostatnia wiadomość pochodziła od zdesperowanego białego faceta: „Kim, dlaczego nie odpowiadasz na moje telefony ani nie pozwalasz się odwiedzić? Kochanie, już prawie Boże Narodzenie i chciałbym się z tobą spotkać w kawiarni u Ricky'ego, żeby chociaż porozmawiać...”

Kimberly zakłęta i potem albo przerwała wiadomość, albo ściszyła. Nie widziałem jej, ale słyszałem jej ciężki oddech. Kiedy wróciła i przeszła do kuchni, siedziałem sobie wygodnie na podłodze, nuciłem razem z Rachelle Ferrell i przeglądałem pierwszy stojak jej obrazów.

— Widzę, że podoba ci się muzyka Rachelle — powiedziała.

— Uwielbiam ją.

Odrobinę poweselała.

— Jest świetna. Widziałam ją na koncercie z George'em Dukiem i Jonathanem Butlerem. To jej pierwsza płyta. Chyba nie powiesz, że dopiero ją kupiłeś?

— Właśnie się do niej zabieram.

Już miałem zamiar dać się ponieść dobremu wrażeniu, ponieważ lubiła jazz, ale przypomniałem sobie, że większość jazzowych koncertów, na których byłem, miała głównie białą publiczność, która wiedziała o jazzie więcej

niż wszyscy rapujący hip-hopowi bracia razem wzięci. Przyszło mi nawet na myśl, że gdyby nie Europejczycy, część tradycyjnie czarnej muzyki dawno byłaby zapomniana.

Było kilka stojaków z obrazami, każdy na przynajmniej dwadzieścia obrazów. Wszystkie na płótnie, nie oprawione. Byłem po prostu zdumiony. Czuję się jakbym poznał autora dobrze napisanej książki. Chyba byłem olśniony, pełen podziwu i uwielbienia.

— Nie spiesz się, Jordan. — Kimberly ziewnęła i leniwie, wolno przeszła po pokoju. Była w różowych kapciach— króliczkach. — Ale nie zmuszaj się do obejrzenia ich wszystkich.

— Cóż, nie wiem, czy masz coś do roboty, czy spodziewasz się towarzystwa. Może twój mąż jest w drodze do domu.

— Cha, cha. — Pokazała pusty serdeczny palec. — Podróżuję lekko. .

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

— Jordan, jesteś głodny?

— Trochę.

— Mam tu trochę spaghetti. Jest bez mięsa, na wypadek, gdybyś go nie jadł, ale mam też sos z indykiem, jeśli chcesz.

— Pewnie. Może być indyk.

Kimberly odwróciła się do mnie plecami i pochyliła się, co bardzo wyeksponowało jej tyłek. Rzuciłem ukradkowe spojrzenie, żeby się upewnić, czy wyobraźnia nie płata mi figla. Albo ką. Albo dzinsy. Wiedziałem, że z tak wciętą talią i zgrabnym tyłkiem musiała mieć kłopoty z braćmi próbującymi zdobyć jej numer telefonu, beepera, komórki, ubezpieczenia socjalnego*⁷, jakikolwiek jej numer, gdziekolwiek jechała. Cholernie ładna. Z pewnością właśnie teraz jakaś siostra w Harlemie, z tyłkiem jak deska do prasowania, zapłakiwała się na śmierć, próbując dojść, kto ukradł część jej dziedzictwa.

Kimberly wyjęła żeliwny garnek i zamknęła szafkę, zatraskując ją stopą. Rachele śpiewała piosenkę o swoim ojcu. Kimberly nuciała, wychwytyując wszystkie charakterystyczne motywy melodii z taką dokładnością, jak gdyby sama ją napisała. Co jakiś czas potrzasała głową w rytmie, który odpowiadał taktom. A to niespodzianka.

⁷ *Social Security Number — numer ubezpieczenia, bez którego nie da się w Stanach Zjednoczonych normalnie funkcjonować. Odpowiednik polskiego numeru Pesel.

Wyjąłem kilka obrazów, które mnie zainteresowały, i podszedłem do drugiego stojaka. Przyjrzawszy się trzem obrazom znieruchomiałem. Większość stanowiły oleje przedstawiające Afrykańczyków. Czarni w wioskach, w miastach z barami szybkiej obsługi i amerykańskimi bankami. Ceremonie i rytuały. Rodziny. Dorośli. Dzieci. Niemowlęta.

Każdy zaopatrzony w kilkuwersowy opis i daty. Ghana. Akra. Wybrzeże Zielonego Przylądka. Takoradi.

— Namalowałam je, kiedy byłam w Afryce.

Aksamitny głos Kimberly okropnie mnie przestraszył, ale myślę, że za bardzo nie podskoczyłem. Albo płynęła po pokoju, albo ja byłem zbyt zajęty głosami w swojej głowie. Zapach spaghetti i kotletów z indyka wypełniał mieszkanie. Zaburczało mi w brzuchu. Rozkładany stolik stał w salonie naprzeciwko sofy. Na kilka minut zagubiłem się w czasie. Zatopiłem się w Afryce.

— Dobra, EXtra, chcesz jakiegoś napoju, wina, czy wody?

Wyrwałem się z zamroczenia. — A ty co pijesz?

— Wino.

— Świetnie. — Zaraz się poprawiłem: — Bardzo chętnie. — Wydawało mi się, że odrobinę za bardzo się odprężam. Może i tak. Wyprostowałem się i przybrałem bardziej formalny ton:

— Więc mówisz, że byłeś w Afryce?

— Przez prawie trzy miesiące. Byłeś tam kiedyś?

— Byłem w Detroit.

Zaśmiała się.

— Detroit?

— Hej, tam mieszka więcej czarnych niż w Afryce.

Usiedliśmy na sofie, ja w swoim kostiumie biurowej Ameryki, i zastanowiłem się, jak mnie postrzega. W tym pokoju za zamkniętymi drzwiami, który na chwilę stał się naszym światem, byliśmy tylko dwojgiem ludzi, próbujących się odprężyć, dobrze bawić i cieszyć się własnym towarzystwem. Było mi to potrzebne, szczególnie że wyglądało na to, że J'nette nie ujęła mnie w swoim Bożonarodzeniowym programie. Mimo wszystko czułem się nieswojo, myśląc, że Kimberly jest dla mnie taka miła bez żadnej wyraźnej przyczyny.

Gdyby była siostrą, już dawno poprosiłbym o jej numer telefonu i umówił się na kolację w przyszłym tygodniu. Gdyby wyglądała tak jak ja.

Odprężyłem się i zastanowiłem, dlaczego to dla mnie takie ważne. Granice. Nie wiedziałem. Po prostu taki byłem i już. Podejrzewam, że człowiek przyzwyczaja się do jakiegoś stylu myślenia i nie jest w stanie reagować inaczej, bez względu na to, czy jest to dobre, czy złe, politycznie poprawne, czy nie. Czasem to, co niepisane, staje się naszym osobistym prawem. Wychowałem się w małym miasteczku, które odgradzało nas od nich.

Oni mieszkali po jednej stronie torów kolejowych, a my po drugiej. Właśnie teraz siedziałem sobie po niewłaściwej stronie torów.

Między jednym uderzeniem serca a drugim gotowy byłem chwycić płaszcz i wynieść się z stamtąd. Ale się uspokoilem. Właściwe to czemu Kimberly wyprowadziła mnie z równowagi? Nie zrobiła ani nie powiedziała niczego, co mogłoby Ewie wkurzyć. Co mi przeszkadzało? Może ta jej otwartość. Może związek z Afryką. To musiała być Afryka. Czytałem o ojczyźnie. Czulem się najbliżej niej podczas powtórki "Korzeni". Ona tam spała, jadła, dotykała ludzi.

Wkurzyło mnie coś jeszcze. Kiedy mój umysł odtajał i zacząłem czuć, przyznałem coś, czemu próbowałem zaprzeczyć, odkąd dotknęła mnie w takówce — bardzo mi się podobała. Była piękną kobietą. Nie mogłem przejść obok niej Pojętnie, jak przechodziłem obok ludzi w biurze czy obcych, których mijalem na ulicy.

Po dużej porcji spaghetti i kotletów, chleba czosnkowego, sałaty, białego wina i kupnego jabłeczniaka, odprężyła się i opowiedziała mi o każdym obrazie, co w nim widziała, co ją zainspirowało.

Już po chwili poczuliśmy się zupełnie swobodnie. Zdjąłem buty i zaczęliśmy opowiadać o swoich rodzinach. Była jedynaczką, miała starszego brata, który chorował na białaczkę i zmarł trzy lata przed jej urodzeniem. Jej ojciec służył w lotnictwie. Jej mama zrezygnowała z kariery agenta nieruchomości, by zająć się dziećmi. Kimberly mieszkała chyba w każdej bazie w Stanach Zjednoczonych, plus w kilku w Europie.

Poza Nowym Jorkiem, mieszkałem w Brownsville i w Memphis. Opowiedziałem jej, że mam dwóch starszych braci, Darrella i Reggiego. Nie rozwodziłem się na żadne poważne tematy, mówiłem zdawkowo, ale wspomniałem, że moja Mama zmarła tuż przed moimi osiemnastymi urodzinami. Zapalenie płuc. Nie było jej dane uczestniczyć w uroczystości wręczenia świadectw maturalnych. Tak czy inaczej, powiedziałem Kimberly, że byłem

pierwszym w mojej rodzinie, który skończył szkołę średnią. Obydwaj moi bracia zrezygnowali, żeby pracować. Darrell musiał. Reggie chciał.

— A co z twoim tatą? — zapytała.

— Nigdy go nie poznałem. Zginął w wypadku samochodowym zaraz po tym, jak mama dowiedziała się, że jest ze mną w ciąży. Wszyscy mamy innych ojców.

Od razu pożałowałem, że o tym wspomniałem. Wino zaczynało mówić za mnie.

Odezwała się, zanim oboje zdążyliśmy poczuć się nieswojo.

— Wiele sam osiągnąłeś. Mam na myśli, że nigdy bym nie zgadła.

— Ty osiągnęłaś więcej.

— Nie, ja się urodziłam w klasie średniej.

— W czepku urodzona, co?

— Tak bym tego nie ujęła. Nasza rodzina też ma kilka tajemnic.

Biali zawsze mieli łatwiej i jeszcze narzekali. Zignorowałem jej narzekanie i spojrzałem na zegarek.

— Już po trzeciej — powiedziałem.

Ziewnęła.

— Cóż, było świetnie. Rzadko robię coś poza pracą i spotykaniem się z nudnymi ludźmi.

—Nudnymi?

— Tak. Moja przyjaciółka Sharon zawsze opowiada o imprezach dobroczynnych, a moja druga przyjaciółka Kinikki zawsze mówi tylko o pracy. Obydwie są mężatkami, a ja nie, więc sam wiesz jak to jest.

— A co z twoim facetem?

Porzuciła zawstydzoną minę, odrobinę wyduła wargi i powiedziała miękko i zalotnie:

— Nie mam faceta.

Oboje poczuliśmy się nieswojo. Drgnąłem, jej kąciki ust też nieznacznie się wygięły. Odgarnęła włosy z twarzy, odsunęła się ode mnie i szepnęła:

— Dzięki, że spytałeś.

— Więc może, jeśli masz ochotę, ponieważ mieszkamy tylko rzut beretem od siebie... — zacząłem, urwałem, odchrząknąłem i poczułem jak zderwienie paraliżuje mi język. — Może spotkamy się jeszcze. Spotkamy się i pójdziemy coś zjeść albo pojedziemy na Manhattan obejrzeć jakąś sztukę czy coś. Myślę, że Whoopie Goldberg nadal gra w *A Funny Thing Happened on the way to the Forum*.

— Nie Whoopie tylko David Alan Grier — sprostowała Kimberly.

— Jeśli będziesz miała ochotę się spotkać, daj mi znać — powiedziałem.

Odwróciła wzrok i niczego więcej nie powiedziała.

Na pewno spacerowałem po niewłaściwej stronie torów. Kroczyłem po ziemi, która nie powinna się znaleźć na podszwach moich butów.

Powtórzyłem jak echo:

— To znaczy, jeśli masz ochotę.

Wtedy na mnie spojrzała.

— Byłoby świetnie — odrzekła aksamitnym głosem.

Rozdzieliła nas kolejna chwila ciszy.

— Pozwól, że pomogę ci pozmywać — zaproponowałem.

— Nie, poradzę sobie.

— Nie mam nic przeciwko. Właściwie, to nalegam.

— Ja pomywam, ty powycierasz — zgodziła się i dodała: — Poradzisz sobie?

— Brzmi świetnie. — Podwinąłem rękawy i spytałem: — Co robisz w Święta?

Chwilę się zawahała.

— W tym roku niewiele.

Kimberly zakreśliła wodę. Ramiona jej opadły. Uśmiech znikł. Usta trochę się wykrzywiły.

— Przepraszam — powiedziałem — nie chciałem...

— Nic się nie stało. — Zaśmiała się. — Święta trochę mnie rozklejają. Święta i urodziny. Szczególnie moje urodziny. I PMS*⁸. Zwłaszcza PMS.

— Dzięki za podzielenie się tym ze mną.

Szturchnęła mnie łokciem.

— Proszę bardzo.

Zaśmiałem się.

— Kiedy masz urodziny?

— W Nowy Rok. Skończę wielkie dwa— osiem.

— Naprawdę?

— Tak jest. A kiedy są twoje?

— Dziesiątego marca — powiedziałem i poczułem się jakbyśmy grali w porównywanie naszych znaków Zodiaku. Ona to Koziorożec, ja Ryby. Byłoby wstyd, gdybyśmy byli w astrologicznej harmonii, ale przecież to nie miałyby znaczenia. To, co nas dzieliło, wykraczało poza astrologię. I to bardzo. Nie przestając się uśmiechać zapytałem: — Więc co planujesz na urodziny?

— Obydwie moje przyjaciółki obchodzą Boże Narodzenie z rodzinami swoich mężów, a my spotykamy się następnego dnia. To nasza tradycja. Ale w pierwszy dzień Świąt, przypuszczam, że będę sama. — Wzruszyła ramionami. — Może pojedę do Village. Przegryzę coś tajskiego w Toons, jeśli będzie otwarte. Może wypożyczę kilka filmów. Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

Zakręciła kran i włożyła rękę do wody, żeby sprawdzić temperaturę. Podwinęła rękawy koszuli, zawijając prawy tuż nad siniakiem po wewnętrznej stronie ramienia, nad łokciem. Był wielkości śliwki, koloru dojrzałej wiśni.

— Skaleczyłaś się w ramię?

— To znamię. — Wyciągnęła rękę.

— Mój brat Darrell ma podobne na szyi.

Kiedy przysunąłem się, by dotknąć jej skóry, na tyle, by pokazać dokładnie to miejsce, coś się stało. Moja ręka musnęła jej ciało i poczułem, że prze-

⁸*Premenstrual Stress — zespół napięcia przedmiesiączkowego.

szedł ją dreszcz. Minikonwulsja. Poczułem, jak się rozchodzi. A zmysłowy rumieniec, który wystąpił jej na twarzy, przyprawił mnie o dreszcz. Zamrugowała powiekami. Cichy jęk wyrwał się z jej wydętych ust. Znowu zobaczyłem ją w zupełnie innym świetle. Drgnąłem. To uczucie bardziej niż cokolwiek innego zmusiło mnie, żebym się odsunął bardziej na południe od miejsca, gdzie mieszkała. Gdzie sam mieszkałem.

Ona też się odsunęła, dotykając palcami miejsca, które musnąłem i wyjąkała:

— M— mam wrażliwą szyję.

— Nie miałem zamiaru...

— W porządku. — Odetchnęła. — Chyba jestem...

— Delikatna? — szepnąłem.

— Tak. — Też mówiła szeptem. — Delikatna.

Zamilkliśmy. Pożałowałem, że nie wyszedłem dziesięć

minut wcześniej. Nie, dwie godziny wcześniej. Powoli myła naczynia i podawała mi do wytarcia. Dotykała mnie, kiedy podawała mi talerz. Dotykałem jej ręki, kiedy go brałem. Nasze dłonie się muskały. Zatrzymywała się. Jej oddech się zmieniał. Mój był prawie astmatyczny. Niczego nie mówiła. Nie zabierała ręki, a ja odwzajemniałem przyjemność.

Spojrzała mi w oczy, przysunęła się i przechyliła głowę. Pocałowałem ją zdenerwowany. Poruszała wolno językiem jak pędzlem po płótnie. Prowadziła, a potem zmieniła taktykę i pozwoliła się smakować, objęła mnie, powoli przyciągnęła do siebie. Zrobiłem to samo i jej krągłe zdecydowane kształty znalazły się w centrum zainteresowania. Czułem jej piersi przyciśnięte do swojej. Wiedziałem, że czuje, jak budzi się do życia moja męskość. Jej biodra poruszyły się. Pocałowała mnie w szyję, która zaczęła pulsować. Wycofała się i wróciła do nucenia i zmywania bez uśmiechów ani rumieńców zakłopotania.

Kiedy wszystko było umyte, przemogłem się i zadzwoniłem p^o taksówkę. Po tym jak jej dotknąłem, jak ją posmakowałem, moje myśli były wszędzie, ale zdołałem trochę się uspokoić. Trochę. Zmusiłem się, żeby na nią nie patrzeć, zerwałem kontakt wzrokowy. Utrzymywałem dystans. Najlepiej dla mnie było nie pokusić się na to, co oczywiste. Najlepiej wynieść się z miasta, zanim szeryf i jego zastępca przyjadą po mnie z liną. Tak. Ziewnąłem. Było późno. A nawet bardzo wcześnie rano. Nadeszły mistyczne zmysłowe godziny, a ja byłem w towarzystwie kuszącej istoty, o której wiedziałem tak dużo, a

która w rzeczywistości była przecież nieznajomą. W dodatku nieznajomą innego rodzaju. Gdybyśmy byli z tego samego plemienia, uderzyłbym jeszcze przed północą, ale nie byliśmy z tego samego plemienia. Nie była żadnego odcienia czerni. I nie była J'nette. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle. Nie wiedziałem, czy to powinno mieć jakieś znaczenie.

Pozostaliśmy przy zdawkowej rozmowie i sztucznych uśmiechach. Częstka mnie nie mogła już się doczekać powrotu do swojej niewolniczej rzeczywistości. Powiedziałem:

— Mam nadzieję, że za długo się nie zasiedziałem.

— Ależ skąd. Jutro i tak nic nie robię. Maluję późno w nocy, wcześniej rano. Jeszcze trochę posiedzę. A ty?

— Mam wolne aż do poniedziałku. Popracuję kolejny tydzień, a potem mam urlop aż do Nowego Roku.

— Jedziesz odwiedzić rodzinę w Tennessee?

— Nie.

Inne uczucia dały o sobie znać. Dziwna tęsknota. Kiedy ja i moi dwaj bracia dorastaliśmy, brakowało nam prawdziwych więzi rodzinnych. Od lat spotykaliśmy się jedynie w niefortunnych okolicznościach. Coraz trudniej przychodziło zachować uśmiech, więc zmieniłem go w ziewnięcie i powiedziałem:

— Będę w mieście. Może spotkam się z Solomonem.

— To twój brat?

— Przyjaciel bliższy niż brat. Jest z Arkansas.

— Zadzwoń do mnie. Wskoczmy gdzieś, jeśli nie będziesz zajęty.

— Jasne.

Na dole zawył klakson. Moja taksówka. Kimberly odprowadziła mnie na dół. Na zewnątrz stanęliśmy pomiędzy wysokimi krzakami. Podała mi swoją wizytówkę, objęła mnie i pocałowała. Zająłem ręce pakunkami, które przyniosłem ze sobą, żeby nie pokusić się, by znów ją objąć. Ale ona położyła mi głowę na ramieniu i przytuliła do siebie, a palce rysowały kółka na moich plecach. Rozejrzałem się na prawo i lewo, czy ktoś nas nie obserwuje.

— Dzięki, że wpadłeś. Pamiętaj, wisisz mi sztukę.

— A ty nie zapomnij, że obiecałaś się ze mną spotkać. Zatrzymaj te dwa obrazy, które wyjąłem. Ile kosztują?

Taksówkarz znów zatrąbił. Skinąłem do niego.

Kimberly się zaśmiała.

— O interesach pogadamy potem, a jak będziesz taki słodki jak teraz, może jakoś się dogadamy.

Taksówkarz zaczął trąbić jak szalony. Znowu się rozejrzałem, czy ktoś nas nie widzi, położyłem torby i pocałowałem ją. Krócej niż za pierwszym razem, ale intensywniej. Głębiej i bardziej namiętnie. Jak na pożegnanie.

Złapała oddech i uśmiechnęła się, kiedy skończyłem.

— Dobranoc — powiedziała czułym tonem. — Wkrótce się odezwę.

— Dzień dobry. — Zamilkłem, a potem mrugnąłem: — Śpij smacznie.

Zalotnie się zaśmiała.

— Bądź EXtra.

Kiedy wreszcie oderwaliśmy od siebie wzrok, rzuciłem się na mróz i wiatr do taksówki. Kimberly stała na mrozie, obejmując się jedną ręką, w kapciach— króliczkach, drżąca, uśmiechnięta, machała. Odmachałem jej. Czulem się, jakbym wybiegł na wolność.

Wrzuciłem bagaże głęboko do samochodu i zagadnąłem taksówkarza:

— Jak leci?

Brat dotknął swej koziej bródki, spojrział na mnie i spytał:

— Dokąd, bracie?

Wymieniliśmy wrogie spojrzenia. W napięciu, sztywno wypowiedziałem swój adres: 23- 57 White Oaks Court. Powiedziałem, gdzie ma mnie wysadzić. Kiwnął głową, jakby Podrzucenie mnie sprawiało mu przyjemność. Nie spuszczaaliśmy z siebie oczu jeszcze przez chwilę.

Spytałem:

— Czy coś nie gra, bracie?

Lekko pokręcił głową, potem już patrzył na drogę.

—I żadnych przeklętych skrótów.

Zaśmiał się, jakby się tym przejmował.

Po raz pierwszy znalazłem się po tej stronie rasizmu. Zabolało, że brat tak na mnie patrzy. Poczułem się, jakby moja dusza została zamordowana bez powodu. Żadnego procesu, pytania o zamiar czy cel. Ale nie mogłem zmienić tego, co zobaczył: mnie i rudą całujących się, jakbyśmy kochali się przez całą noc.

Zacząłem się zastanawiać, jak do cholery się tu znalazłem, biorąc pod uwagę początek tego dnia. Wkrótce wszędzie słońce i roztopi wspomnienia tego, co zrobiłem, jak zeszłoroczny śnieg. Ziewnąłem, tym razem poważnie, i poczułem wizytówkę Kimberly w nagiej dłoni. Poczułem zapach jej perfum na płaszczu w miejscu, gdzie się przytulaliśmy. Smakowałem ślady szminki na ustach. Wytarłem wargi. Zamknąłem oczy.

Skończyło się. Najlepszym wyjściem było wymazać jej smak, rzucić wizytówkę na wiatr i żyć dalej.

Brat na przednim siedzeniu przygryzł wargi i rzucił mi spojrzenie we wsteczne lustro.

2. Jordan Greene

Kiedy już odtajałem i zdrzemnąłem się, wszystkie moje myśli skupiły się na Kimberly. Próbowałem myśleć o czymś innym, ale nie mogłem przestać wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby poprosiła, żebym został albo gdybym to ja zapytał, czy mogę zostać, a ona uśmiechnęłaby się.

A niech to. Niestosowne pragnienie wśliznęło się do mojego mieszkania. Miałem nadzieję, że głód osłabnie wraz z odległością; z każdym obrotem kół taksówki myślałem o podarciu jej wizytówki i wyrzuceniu za okno. Nie zrobiłem tego. Stale myślałem o tym, jak całuje. Jak przechyla głowę i lekko rozchyła wargi. Jak porusza językiem. O jej głosie. Sposobie, w jaki się porusza. O uprzejmości od taksówki aż po mieszkanie. Jak jej słowa inspirowały, pobudzały, kiedy opowiadała o Afryce. Pragnąłem zamknąć wszystkie te życzenia w areszcie domowym, ale pozwoliłem, by myśli o nieznanym i uczucia do kogoś, do kogo nie miałem prawa niczego czuć, utuliły mnie do snu.

Ciągle myślałem o Kimberly. Żałowałem, że jestem taki ostrożny i nie umiem się otworzyć i być wolny tak jak ona. Marzyłem o intelektualnej rozmowie. Spotkaniu umysłów.

Wtedy obudziłem się z przerażeniem.

Coś upadło, zagrzechotało i potoczyło się. Hałas dochodził z korytarza. W mieszkaniu było ciemno, ale zza drzwi łazienki dochodziło światło. Światło, którego ja nie zostawiłem. Odrzuciłem koce, podskoczyłem i rozkojarzony ruszyłem w ciemność, próbując się pozbierać. Schwyciłem lampką z szafki nocnej. Miała posłużyć jako broń.

Ktoś spuścił wodę w ubikacji.

J'nette wyszła z łazienki z dzinsami przewieszonymi przez ramię. Wyłączyła światło w łazience i włączyła na korytarzu. Nie wyglądała na zdziwioną moim rozkojarzonym spojrzeniem, lampą uniesioną nad głową ani skrzywioną miną.

Zamrugalem ze zdumienia:

— Jak się tu dostałaś?

— Metrem, linią E, a potem taksówką ze stacji Roosevelt Avenue.

— Miałem na myśli drzwi frontowe.

— Zapasowy klucz. Zapomniałam go zostawić. — Stała w grubych skarpetkach. Przetarłem oczy i powoli odzyskiwałem poczucie rzeczywistości. Reszta jej zimowego stroju i modne wojskowe buty leżały na podłodze przed orzechową komodą, co znaczyło, że była tu od kilku minut.

— Dlaczego nie schowasz swoich rzeczy do komody albo ich nie powieszysz, jak cię tyle razy prosiłem? — spytałem.

Mruknęła coś zirytowana, ale nie odpowiedziała.

— Wyłącz światło — poprosiłem.

' — Dlaczego ogrzewanie nie jest włączone?

— Jest włączone.

— Na ile?

— 16— 18 stopni.

— Jest zimno.

— Łóżko wodne jest ciepłe — powiedziałem ziewając;

— Na ile jest nastawione?

— 20— 25 stopni. Wyłącz światło.

— Dobrze już. Słyszałam.

Rozebrana do stanika i majtek zgasiła światło, nie przestając marudzić na zimno. J'nette podskakiwała z jednej strony na drugą i kołysząc się zdjęła zegarek, złote bransoletki i wielkie kolczyki— koła. Biżuteria z brzękiem spadała na komodę. Kiedy rozpięła z przodu stanik, swobodne piersi zaczęły kołysać się swoim rytmem. Szarpnęła przykrycie, narażając mnie na nieprzyjemne uderzenie zimnego powietrza i wśliznęła swoją małą, niską, miodowo— brązową figurkę pod kołdrę i podwójny koc i przytuliła się do mnie. Chwilę później zdała sobie sprawę, że nie schowała się pod górne prześcieradło. Rozkryła się i znowu przykryła, tym razem dobrze. Pocałowała mnie w ramię i otarła zimnym nosem o moje plecy. Kiedy się do niej obróciłem i przesunąłem ręką po jej głowie, zdałem sobie sprawę, że włosy ma jakieś inne. Płytkie, jakby ich brakowało.

— Obcięłaś włosy?

Przesunęła ręką po głowie.

— Tak.

— Kiedy?

— Podciąłam je.

— Kiedy?

— Nie pamiętam — mruknęła. — Trzy, cztery tygodnie temu.

Odsunąłem sprzed nosa jej śmierdzące od papierosów włosy. Przycisnęła się bliżej, mocniej. Jej zimne sutki wbijały mi się głęboko w pierś. Przesunęła stopą po moich nogach. Miała wilgotne, zimne skarpetki. Mówiła niewyraźnie. Pocałowaliśmy się i poczułem ten sam zapach, który roztaczała. Czułem go przez skórę.

— Gdzie byłaś? — spytałem.

— W mieście.

— Z?

— Elaine. Zoe. Moją siostrą Toni.

— Gdzie?

— W klubie Shadow.

Klub ten znajdował się na 28. Ulicy pomiędzy Siódmą i Ósmą Aleją. Elaine z wielkim tyłkiem i słodziutka Zoe pracują z nią w dziale kontaktów z mediami. Toni jest jej siostrą bliźniaczką. Elaine mieszka w SoHo, gdzie uciekli wszyscy aspirujący artyści i nie spotyka się za często ze zwykłymi pracownikami biurowymi, ale jest częścią ich babskiej paczki. Elaine jest początkującą aktorką, zawsze gdzieś wychodzi, próbując zyskać sławę w jakiejś operze mydlanej.

— Która jest godzina? — spytałem.

— Nie wiem — ziewnęła. — Słońce już wschodzi.

Odetchnąłem i spytałem:

— Dlaczego się nie odzywałaś?

— Byłam zajęta rozważaniem różnych spraw.

— Dlaczego nie oddzwaniałaś?

— Bez powodu.

— Bez powodu? To bzdura. Mogłaś wysłać mi e— mail.

— Chcesz, żebym sobie poszła?

— Już tu jesteś.

Ułożyła się tak, że lechtaczką mocno dotykała mojej nogi. Zaczęła się powoli ocierać. Całe jej ciało było zimne, oprócz jej intymnych części. Ciepło promieniowało przez bokserki. Moja ręka wśliznęła się w jej majtki, zaczęła masować jej okrągły tyłek. Mechanicznie nonie pocałowała. Przyciągnęła mnie na siebie.

Całowaliśmy się i rozbieraliśmy. Ściągnęła moją pidżamę. Pomogłem jej uwolnić się z bokserek. Obejmowaliśmy się mocno, co pozwoliło jej ukraść resztkę mojego ciepła. Całowałem jej szyję, skubałem i lizałem jej piersi. Położyła mi ręce na ramionach i popchnęła mnie w dół. Nie zsunąłem się. Popchnęła mocniej. Nie zareagowałem. Kiedy pochyliłem się nad nią, żeby ją pocałować, odwróciła twarz i jęknęła:

— Nie.

— Nie?

— Nie.

— Co jest grane? — spytałem.

— Jedź na południe. Wyliz mnie.

— Nie. Już ci mówiłem, że muszę być w odpowiednim nastroju.

— Aha, więc ja mogę ci dogodzić, ale ty mnie nie.

— Nigdy cię o to nie prosiłem.

— Nie musiałeś prosić.

— Mówiłem już, nie myję okien.

— Czemu się wkurzasz?

— Czemu ty się wkurzasz?

— Słuchaj, byłam szczerą i powiedziałam ci, co lubię. Dlaczego nie możesz trochę mnie wylizać, żeby wprowadzić mnie w dobry nastrój? Zachowujesz się, jakby to była trucizna.

— Dziwnie smakuje.

— To weź miód albo coś. A niech cię. Bądź pomysłowy.

— Bardzo dobrze wiesz, że czarni nie robią takich rzeczy.

— Nie, ty nie robisz — powiedziała i odepchnęła mnie od siebie, jednocześnie wysuwając się spode mnie. — Prawdziwi czarni tak. Robią to sami bez żadnego błagania. Kurczę. Prawdziwi czarni jadą na południe z całym programem.

— Z jakim programem?

— Programem 69. Sprawdź kalendarz i wkrocz w lata dziewięćdziesiąte.

— Słuchaj, próbowałem.

— Raz. I musiałeś się wcześniej upić.

— I powiedziałaś, żebym przestał.

— Powiedziałam, żebyś zwolnił. Do diabła, gryzłeś mnie do krwi.

— Wcale nie. To ty nie reagowałaś.

— Słuchaj, znam różnicę między lizaniem a gryzieniem. Jedno jest przyjemne, drugie nie.

— Więc ci się nie podobało?

— Musisz być delikatny. Powoli i spokojnie. I bardzo by mi pomogło, gdybyś przynajmniej udawał, że chcesz to robić. Sprawiasz wrażenie, jakby to był kłopot, a nie przyjemność.

— J'nette...

— Wiem, że dobrze smakuję.

— Całą noc będziesz zrzędzić?

— Ja nie zrzędzę. Tłumaczę ci, jak mnie zaspokoić. Proszę cię, żebyś, no wiesz, słuchał mego ciała i słuchał mnie. Damy ci znać, co sprawia nam przyjemność, a co nie gra.

— Myślałem, że cię zaspokajam.

— Cóż, no tak. Sprawiasz, że dochodzę. Ale nie zaspokajasz wszystkich moich potrzeb na sto procent. Pragnę wspiać się na kolejny poziom.

— Czyli jak?

— Tak, jak powiedziałam, na początek, uwielbiam dawać i otrzymywać seks oralny. To jest bzdura.

— Co jest bzdurą?

— To. Słuchaj, jedno z nas jest egoistą.

— Aha, więc teraz jestem egoistą.

— Nie powiedziałam, że ty. Powiedziałam jedno z nas. Tak jak — jedno z lokatorów tego niewdzięcznego, zimnego pokoju. Jeżeli przypadkowo czujesz się winny, no to cóż.

Przesunęła się na skraj łóżka, przytuliła do obitej poręczy, odwróciła plecami i przykryła kołdrą aż po małatki nos. Chwyciłem resztę nakrycia, które mi wyrwała i położyłem si?po swojej stronie. Łóżko wodne było stabilne, ale czułem łgania, które wywoływała uderzając nogą o nogę.

— J'nette?

Przestała uderzać nogą.

— Co?

— Nic.

— Co nic?

— Nic nic.

— To musiało być coś— nic.

— Nic— nic.

— Tak mnie wkurzasz!!!

— Więc co?

— Nic.

Znów zaczęła uderzać stopą. Tak, to była bzdura. Potrafiłem i miałem ochotę współpracować. Zaspokoiłbym sto procent jej pragnień z wielką przyjemnością, ale nie podobało mi się to wojownicze nastawienie. Brak poszanowania tego ledwie istniejącego związku. Moje specjalne seksualne traktowanie było tylko dla wyjątkowych ludzi. Poza tym, kiedy się kochamy, zawsze jest taką egoistką i sprawia, że czuję jakbym kochał się z oficerem przełożonym. Nie wiem, czy powinienem zasalutować przed czy po orgazmie. Nie treść, ale sposób, w jaki to powiedziała, wprawił mnie w wojowniczy, defensywny nastrój. Uwielbiam dawać i z przyjemnością zamieszałbym jej czarny budyń, gdyby nie była taka wymagająca.

Może nie chciałem niczego dla niej zrobić, bo tak naprawdę nie rozumiałem tego jej nowego nastroju. Stała się taka gwałtowna. Nikt nie wiedział, dlaczego jej charakter wykonał zwrot o 180 stopni bez żadnego wyraźnego

powodu. Siadałem nawet w pracy z Solomonem i rozmawialiśmy o tym. Opowiedziałem mu wszystko o moich problemach z J'nette mając nadzieję, że oświeci mnie swoją mądrością Południowca. Uważa, że za mocno angażuję się w związki z kobietami, z którymi się spotykam, szczególnie tymi niewłaściwymi, i zawsze czeka mnie zawód miłosny. Może i jest w tym ziarenko prawdy. Powinienem przyjąć bardziej beztroski stosunek do kobiet. Ale takiej nonszalancji nie mam po prostu we krwi. Sądzę, że jeśli nie nabrałem tego podejścia po tym jak Sabrina — dziewczyna, z którą się spotykałem na Uniwersytecie Memphis — mnie potraktowała, najwyraźniej nie miałem tego we krwi. Seks zawsze wiązał mnie z kobietą. I będzie tak najprawdopodobniej do czasu aż obrócę się w proch i zostanę zdmuchnięty przez letni wietrzyk. W niektóre wieczory żałuję, że nie odziedziczyłem tej cygańskiej zmysłowości, jaką ma mój brat Darrell.

Drgnąłem i odrobina się przesunąłem. Noga J'nette dotykała mojej. Była ciepła. Przysunąłem się do niej trochę bliżej. Odsunęła się ode mnie i zwinęła w kłębek. Jej nastawienie było chłodniejsze niż ulice miasta. Minęła chwila w absolutnie cichym pokoju i pomyślałem, że zasnęła, ale jej noga znów zaczęła uderzać o łóżko. J'nette robiła tak w kółko. Przypominała mi zmęczone dziecko walczące z sennością. Przysunąłem poduszkę do twarzy, próbując zdusić irytację. Minutę czy dwie później jej kołysanie było już bardziej kojące. Zaczynałem zasypiać, czułem, jak płynę na chmurce wspominając minione dni.

Trudno w to uwierzyć, ale J'nette była kiedyś najśłodszą kobietą, jaką znałem. Nasze południowo— północne charaktery się zderzały i miewaliśmy dziesięciminutowe kłótnie, ale zakładałem, że te iskierki stanowią część dreszczyku emocji. Nasze przeciwieństwa się przyciągały. To prawda, że miała twardego charakteru typowy dla Wschodniego Wybrzeża, charakter, który może tylko mnie wydawał się twardy, i raz czy dwa powiedziała coś, co potwornie mnie wkurzyło. Pewnego wieczora odwołałem nawet nasze spotkanie, kiedy mieliśmy iść na przyjęcie do Solomona, ale taka była natura bestii. W każdym związku ludzie mają drobne sprzeczki, nie chcą się widzieć przez dzień lub dwa, ale myślałem, że jej to przejdzie. Tak, wszystko się popieprzyło. Na początku znajomości trzymaliśmy się za ręce od stadionu Jankesów aż do zoo w Bronk— sie; raz nawet pojechaliśmy do Rockaway Beach i liczyliśmy strzykawki wyrzucone na brzeg. Teraz przy odrobinie szczęścia może dostałbym od niej jakiś marny uśmiech.

Zasnąłem. Płynąłem na chmurce spokoju. Właśnie kiedy piękne obrazy nabierały kształtów, J'nette delikatnie dotknęła mojego ramienia, lekko mną potrząsnęła i przyciągnęła do siebie.

— Jay, śpisz?

— Czego chcesz?

Odepchnęła mnie i wspięła się na mnie. Żadnych pocałunków. Potarła między moimi nogami, masując go do życia— Znowu masowałem jej pośladki, delikatnie całowałem piersi, lizałem je powoli, aż sutki zaczęły zwracać na mnie uwagę. Zanosilo się na coś poważnego, ale szybko przerwała grę wstępną, sięgnęła w dół i czując, że mam już przyzwoitą erekcję, wsunęła mnie szybko i na sucho. J'nette położyła mi głowę na piersi, ręce wśliznęła za kark, szarpnęła mnie, jakby próbowała przeciągnąć mnie przez siebie. Chrzęknęła. Powiedziała coś wulgarnego i religijnego. Jęknąłem z powodu boleśnie przyjemnego uczucia.

Wiedziałem, o co chodzi. Budowa jej ciała i lokalizacja punktu G pozwalały jej osiągnąć orgazm tylko będąc na górze. Inne pozycje sprawiały jej przyjemność, ale jedynie tak mogła dojść. A ze sposobu, w jaki się teraz poruszała, nurkowała w szalonym rytmie, widać było, że zmierza prosto do celu. Zanim którekolwiek z nas zdążyło się porządnie spocic, skrzywiła się, jęknęła, złapała łyk powietrza, wstrzymała oddech, zagryzła wargę, pochwaliła Jezusa, przeklęła przyjemne uczucie, wcisnęła twarz głęboko w moją pierś, warknęła, mocno ścisnęła moje ręce, a potem głęboko odetchnęła, puszczając je. Jej ciało się odprężyło, mięśnie pochwy zwolniły gwałtowne skurcze. Zsunęła się i położyła obok mnie dysząc i jedną ręką trzymając się za serce.

Wyrównała oddech i gapiła się w sufit bez mrugnięcia okiem. Usiadła i spojrzała na mnie. Na początku pomyślałem, że chce zmienić pozycję, na pieska albo po misjonarsku, ale kiedy dotknąłem jej, żeby ją przywołać do kochania, warknęła i odsunęła się.

— Poczekaj, nie skończyłem.

— Trudno — zadrwiła. — Weź trochę balsamu do ciała i sam dokończ.

— Co?

— Słyszałeś.

— Co się z tobą dzieje?

— Zastanów się.

Wyszarpnęła mi kołdrę tak, że prawie spadła z łóżka, podskoczyła, wytarła twarz i niezdarnie podeszła do swoich ubrań, chwyciła legginsy i naciągnęła je z powrotem.

— Dokąd idziesz?

— Nie twój interes.

Rozprostowała i nałożyła pogniecione, wymięte ubrania. Przejechała palcami po włosach, nałożyła czapkę- baseballówkę i wypadła na korytarz. Otworzyły się drzwi frontowe.

Powiedziała z pasją:

— Chcę, żebyś wiedział. Może nawet nie powinnam tego mówić takiemu egoiście. Nie miałam okresu. Znowu. Nie powiedziałam ci w zeszłym miesiącu, bo nie. Oto co głupia dostałam za zadawanie się z tobą.

— Jesteś pewna? To znaczy, robiłaś test?

— Nie przejmuj się. Zajmę się tym.

Zawołałem ją po imieniu. Drzwi zatrzasnęły się na tyle mocno, by rozbić owalne lustro na komodzie. Zanim wskoczyłem w spodnie od pidżamy i wbiegłem do pokoju, już jej nie było. Mój klucz zapasowy marszczył na mnie brwi z blatu zakurzonego stolika. Wróciłem do łóżka śmierdzącego alkoholem i perfumami. Przerzuciłem cztery poduszki, znalazłem jedną, która nią nie pachniała. Zapach był silny, miałem go na skórze. Moje drżące ręce i ciągle pobudzony penis były oszołomione korzennym aromatem jej wścieklej pochwy.

Przesunąłem palcami po włosach, spojrzałem na tykający zegar ścienny. 7.45 rano. Podkręciłem ogrzewanie do 27 stopni.

3. Jordan Greene

Dzwoniłem do J'nette, zostawiając wiadomość za wiadomością. Błagałem, żeby do mnie oddzwoniła. Myślałem, żeby przeprosić, ale nie wiedziałem, za co, do cholery, miałbym przeproszać. Jedyne, czego żałowałem, to to, że poznałem ją w windzie w CompSci pół roku temu, w dniu, w którym zaczęła tam pracować. Jej arogancja w pracy podniecała mnie. Wkurzało mnie tylko, że przenosiła swoje nastawienie poza biuro. Ubierała się wystrzałowito i profesjonalnie do pracy, a radykalnie i hip-hopowo po pracy. To też mnie podniecało. Zamiast stać się niewolnicą systemu, opanowała oba światy.

To poczucie winy nie było niczym nowym. J'nette Barrett i ja mieliśmy już swoje kłopoty. Poważne kłopoty. Spotykałem się z nią od nieco ponad czterech miesięcy — jeśli można to nazwać chodzeniem ze sobą — ale ostatnie dwa nie były warte nawet żetonu na metro. Pracowaliśmy w tym samym budynku, ona w dziale kadr, na szóstym piętrze, ja na sześćdziesiątym. Ale przez ostatnie dwa tygodnie, do wczorajszej nocy, nie wymieniliśmy dwóch przyzwoitych słów. A do tego, przez telefon. Co mówiło wiele o jakości naszego związku, ponieważ przerwa świąteczna była tuż za pasem. Nie szukałem dla niej gwiazdkowego prezentu. To nie miało znaczenia. To i tak nie były jej urodziny.

Byłem już na etapie błagania. A facet może błagać tylko tak długo, aż się wybłaga.

Ponieważ większość nocy nie spałem, bez trudu zasnąłem z powrotem. Na nieszczęście, był to niespokojny sen, którego wołałbym uniknąć. Przyśniła mi się noc, kiedy się kochaliśmy i pękła prezerwatywa. Nienawidziła używać prezerwatyw, zawsze narzekała, że czuje, jakby jakiś obcy przedmiot był w nią wpychany, więc używaliśmy tylko bardzo cienkich, w czasie jej owulacji. Tak czy inaczej, śniło mi się, że J'nette weszła do pokoju z brzuchem wielkim jak balon napęczniony helem. Warknęła, chwycił ją skurcz, podniosła jedną nogę i wypluła dziewczynkę, która wyglądała dokładnie jak ona. Ten sam rozmiar. Ten sam charakterek. Te same ciuchy. Obydwie mnie zaatakowały.

Dręczyły mnie koszmary, kiedy zadzwonił telefon. Było teraz potwornie gorąco i duszno, powietrze gęste, zaschło mi w gardle. Otarłem z twarzy pot, odchrząknąłem i pochyliłem się, żeby odebrać bezprzewodowy telefon z szafki nocnej. Ktoś, kto nie mówił ani krztyny po angielsku. Odłożyłem słuchawkę. Potem zadzwoniłem do J'nette na pager i czekałem. Podlałem wszystkie rośliny. Czekałem. Umyłem łazienkę. Znowu do niej zadzwoniłem.

Pozmywałem naczynia. Pół godziny później znów do niej wykręciłem. Minęło następne pół godziny. I nic.

Wytarłem szklany blat stołu w pokoju, potem ramy obydwu obrazów, zjadłem miskę płatków, spryskałem dywan odświeżaczem, przejechałem odkurzaczem, żeby zebrać brud, który J'nette zostawiła na jego beżowej powierzchni. Jej biżuteria leżała porozrzucana na komodzie. Wrzuciłem wszystko do szuflady.

Koło pierwszej znów do niej zadzwoniłem. Odebrała jej siostra bliźniaczka Antoinette, bardziej znana jako Toni.

— J'nette zostawiła dla ciebie wiadomość.

— Co powiedziała?

— Idź do diabła. — Toni roześmiała się i rzuciła słuchawką.

Zatrząsałem się z wściekłości. Musiałem odreagować, więc zadzwoniłem do Solomona. On też ze mną pracował, ale w dziale planowania systemów. Chciałem sprawdzić, czy ma ochotę wybrać się do miasta, obejrzeć film czy coś. Nie miał. Jego kobieta — najlepsza przyjaciółka J'nette, Zoe — była u niego, umilając mu przedświąteczny okres.

— Jak długo Zoe jest u ciebie?

— Przyjechała ze mną w piątek po pracy.

— Aaa. Czym się zajmowała wczoraj wieczorem?

Odpowiedział bardzo dumnie:

— Mną. A jak ci się zdaje?

J'nette kłamała więc o spotkaniu z Zoe wczorajszej nocy.

Chyba się tego domyślałem, bo większość ludzi tak baluje w ciągu tygodnia, że nikt nie wychodzi do klubów w weekendy. Weekendy są po to, żeby odpocząć. Jej fałszywy scenariusz tak naprawdę nie miał znaczenia. Miał, ale nie takie duże. Powinna się nauczyć, że kombinując coś, trzeba najpierw skontaktować się ze wszystkimi graczami i ustalić wersje wydarzeń. Złe traktowanie i kłamstwa nie mają żadnego alibi. Skończyłem z nią. Chyba łatwo mi to powiedzieć, zwłaszcza że to ona już ze mną skończyła.

— Wydaję karciane przyjęcie w niedzielę — powiedział Solomon.

— Na dworze jest zimno jak cholera. Czy nie miał znów padać śnieg?

— Lepiej wpadnij. Będzie obiad i w ogóle.

— W porządku.

Po tym jak zostawiłem Solomona jego kobiecie, nie mogąc wpaść na żaden powód, żeby tego nie zrobić, zadzwoniłem do Kimberly. Tylko żeby powiedzieć cześć. I podziękować za północną gościnność.

Słyszałem uśmiech w jej głosie.

— Miałam nadzieję, że się dzisiaj odezwiesz.

— Wydajesz się zupełnie obudzona, a ja się ślaniam na nogach.

— Poszłam pobiegać i właśnie wychodziłam spod prysznic, kiedy zadzwonił telefon. Wycieram się.

Było coś w ludziach, którzy opowiadali ci, że wychodzą spod prysznic, co sprawiało, że wyobrażałeś ich sobie nagich. Zastanawiałem się, czyjej włosy były naturalnie rude, czy rude jak u Lucille Bali.*⁹

— O, biegasz?

— Trzy do sześciu razy w tygodniu. Zależnie od rozkładu zajęć.

— Jak daleko?

— Przynajmniej pół godziny. Do przystanku metra i z powrotem.

— Zrobisz to w pół godziny?

— Może w dwadzieścia siedem minut, jak mam dobry dzień.

— A niech cię. Jesteś zmęczona?

— Kompletnie zamieszana. Zamierzam spotkać się z przyjaciółką obgadać interesy. Poplotkować. Masz ochotę wybrać się do Village?

Moje uczucia wśliznęły się z powrotem do tego miejsca, tej strefy, w której czułem się nieswojo. Żona mojego brata została zgwałcona przez białego faceta. Kiedy dorastaliśmy, biali w Brownsville nazywali nas czarnuchami i dla zabawy rzucali w nas ze swoich pikapów butelkami. Mój umysł krzyczał, że nie wolno, mój palec już miał celowo nacisnąć przycisk i niby przypadkowo rozłączyć rozmowę, ale moje usta zdążyły już odpowiedzieć swobodnie:

— Pewnie. Spoko.

9 *Lucille Bali — główna bohaterka popularnego w latach pięćdziesiątych amerykańskiego serialu telewizyjnego pt. „I Love Lucy!”

Podjechała do mnie taksówką. Zeszła po sześciu nadkruszonych betonowych stopniach do mojego mieszkania w suterenie, przyjaźnie uścisnąłem ją w drzwiach. Nie za mocno, nie jak zeszłego wieczoru. Zarumieniła się. Czar działał nadal.

— Masz ładne mieszkanie.

— Dziękuję.

Kimberly przyglądała się książkom, które zostawiłem na sofie: podręcznikom do oprogramowania finansowego i podatkowego. Żałowałem, że nie wsunąłem ich pod dywanik, bo teraz wyglądałem jak kujonek bez żadnego hobby. Ratowały mnie jedynie GQ*¹⁰, „Newsweek” i EM.

— Używasz Maca czy IBM— a?

— IBM— a.

Zachichotała.

— Co w tym śmiesznego?

— Ja używam Maca. Wygląda na to, że nie jesteśmy kompatybilni.

Roześmiałem się.

— Chyba nie.

Nuciła gwiazdkową melodię przechadzając się po pokoju. Zdjęła z półki nad stereo zdjęcie w złotej ramce.

— Czy to twoja matka?

Ucieszyłem się, że zapytała o nią w czasie teraźniejszym.

Lubiłem utrzymywać żywe wspomnienie. Skinąłem głową.

— Tak.

— Masz jej cerę.

— Dość podobną.

Uśmiechnęła się.

— Ładna. Bardzo piękna kobieta.

Wpatrywała się przez chwilę. Przesunęła się i znalazła lepsze oświetlenie.

¹⁰ * „Gentleman's Quarterly” — popularne amerykańskie pismo dla mężczyzn.

— Co się stało? — spytałem.

— Nic. Czy masz indiańskich przodków?

— Myślę, że moja praprababcia była z plemienia Czerokezów. Dlaczego pytasz?

— Większość Afro-Amerykanów, których spotkałam, mówiło, że mają jakieś indiańskie korzenie, to wszystko. — Powiedziała to jakby to było nic wielkiego, urwała, skinęła głową. — Twoja matka jest naprawdę bardzo ładna.

Poczułem gorąco w piersiach, poczułem tłący się ogień na myśl o tym, z iloma czarnymi braćmi się spotykała, ilu całowała i obejmowała.

— Dziękuję — powiedziałem.

Mrugnęła.

— Teraz wiem, skąd to masz.

Jej ciężkie dzinsy i golf były w tym samym odcieniu czerni i doskonale pasowały do jej ciemnej, czekoladowej szminki. Miała styl pięknej awangardowej modelki. Żwawa, pełna spokoju i pozytywnego nastawienia, przypominała J'nette z początku naszej znajomości, tyle że była biała. J'nette była jak dynamit, a Kimberly nie była nawet petardą. Kimberly pociągała mnie z całą pewnością, nie wiedziałem tylko dlaczego. Najprawdopodobniej dlatego, że jej nie znałem. Tajemniczość, jaką promieniowała, działała jak afrodyzjak. Gdyby była czarną kobietą, nie kwestionowałbym zmysłowego uczucia, które się we mnie budziło. Nie zastanawiałbym się, czy pokazywanie się z nią publicznie jest takim rozsądnym pomysłem.

— Fajne sztruksy.

Ściągnęła z szyi nauszniki.

— Dzięki. — Zdjąłem luźną nitkę ze swoich spodni. — Czy ten odcień zieleni pasuje do złotego swetra?

— Tak. I pasuje do butów do wspinaczki.

Chwilę później stałem już w wełnianym płaszczu, szaliku i rękawiczkach. Rozmawialiśmy i szliśmy na przystanek, wsiedliśmy do autobusu Q33 i pojechaliśmy 82. Ulicą na Roosevelt Avenue z włoskimi i portorykańskimi dziećmiakami i ludźmi, którzy mieli za dużo toreb i zajmowali za dużo miejsca. Przez całą drogę staliśmy obok siebie, trzymając się poręczy, zderzając

się ramionami, kołysząc się w tę i z powrotem w ogromnej mieszance zapachów. W porównaniu z wczoraj, dziś było bardzo ciepłe minus jeden. Żadnego wiatru, mnóstwo słońca. Rześkie powietrze. Kiedy mijaliśmy sklepy, z każdym słowem z naszych ust wydobywały się mgiełki pary.

Zeszliśmy na dół na peron metra, poćwiczyliśmy cierpliwość, czekając aż wskoczmy do pociągu linii E wraz z grupą wyniosłych nieznajomych i ruszymy z chrzęstem do Greenwich Village. Moja dusza pochodzi z Brownsville, to miejsce na ziemi stanowi mój fundament. Małe miasteczko. Prostszy styl życia. I bez względu na to, jak daleko zapędzę się od domu, duch Brownsville jest we mnie jak hieroglify wyryte na ścianach egipskiego grobowca. Właśnie dlatego mógłbym mieszkać w Nowym Jorku sto lat i nadal czuć się gościem. I dlatego nadal dziwi mnie, jak tylu ludzi może stać w jednym miejscu i nie zamienić z nikim ani słowa. Gdybyś się uśmiechnął, pomyśleliby, że zwariowałaś. Gdybyś się odezwał, równie dobrze mógłbyś mówić do siebie.

Kimberly trąciła mnie przyjaźnie.

— Jak tam twoje dłonie?

— O wiele lepiej.

Uniosła brwi.

— Myślałam, że zgubiłaś rękawiczki?

Roześmiałam się.

— Wpadłam.

— Tak. — Roześmiała się. — Tu cię mam.

Kimberly trzymała swoją małą torebkę w nowojorskim stylu, z paskiem na przeciwległym ramieniu blisko ciała z przodu, co sprawiało, że była trudnym łupem dla złodziei. W domu na Południu żyło się o wiele spokojniej.

Przynajmniej kiedyś. Pamiętam, że kobiety chodziły trzymając torebki jedną ręką, zwisające swobodnie. Na Południu, ludzie kiedy szli, sprawiali wrażenie, jakby włóczyli się bez celu, nie jak na Północy, gdzie każdy chodził szybkim dziarskim krokiem. Jazda z drogi albo zostaniesz przewrócony i poturbowany. Wszyscy nowojorczyki chodzili, jakby mieli kupę spraw do załatwienia i byli już dziesięć minut spóźnieni. Nawet kiedy nie mieli nic do roboty. Tutaj przepychanie się w metrze było obowiązkowe, a nadeptywanie na stopy nie wymagało przeprosin. Zajęło mi trochę czasu zanim się do tego przyzwyczaiłem.

— Powinam była nałożyć okulary przeciwsłoneczne. Na dworze jest cholernie jasno — powiedziała.

— Tak — przytaknałem. — Słońce odbija się od chodnika.

— Gorzej jest, jak pada śnieg. Wtenczas jest oślepiające.

— Okulary są wtedy obowiązkowe.

Czułem się trochę nieswojo stojąc z nią na peronie. Wyglądało jakbyśmy byli razem, ale tak naprawdę nie byliśmy razem. Nie za blisko, nie za daleko. W bardzo przyjacielskiej odległości, dopasowywaliśmy nasze języki ciała śmiejąc się i rozmawiając. Ale mimo wszystko czułem się dziwnie. Jakby wszyscy mnie obserwowali, osądzali. Jakby wiedzieli, że ją pocałowałem.

Kimberly mówiła, ale ja myślałem o J'nette. Nie jestem pewien, czy to wina J'nette, czy moja, ale cholernie dobry kiedyś związek został bardzo przez nieuwagę zaniedbany. Poza tym, że już tak często nie rozmawialiśmy, nasze sporadyczne stosunki seksualne były bardziej zajęciem ruchowym niż uczuciowym zespoleniem. To mnie rozczarowywało. Miałem nadzieję na więcej niż tylko przelotną satysfakcję. Wczoraj nie po raz pierwszy tak mnie potraktowała. Właściwie, to spodziewałem się, że wyskoczy, zanim pot wyschnie. Ostatnich kilka razy nie została na noc. Wstała, uśmiechnęła się w mroku, wymówiła się, że musi wyjść i jechała taksówką do domu. Czy gdziekolwiek. Wszystko się zmieniło. Przeszliśmy od psychodelicznego kochania do bezbarwnego pieprzenia. Eksperymentowanie się nam znudziło. Teraz przypominało to masturbowanie się w kimś. Pozbawione emocji, ale nadal lepsze od uprawiania seksu własną ręką. .

Kimberly znów na mnie wpadła.

— Nadjeżdża nasz pociąg.

Uśmiechnąłem się, żeby nie zmarszczyć brwi na wspomnienie J'nette. Potem kaszlnąłem i odsunąłem się parę centymetrów od Kimberly.

W Village wstąpiliśmy do nieco zatłoczonej, modnej kawiarni w pobliżu Washington Square Park, z jasnofioletowymi — mi stolikami, miękkimi pomarańczowymi krzesłami i zielonymi ścianami. Miejsce przypominało dobrze narysowaną kreskówkę. Przepelniał je silny zapach egzotycznej kawy i ciastek. Cztery dziewczyny, wszystkie w za dużych bluzach Uniwersytetu Nowy Jork, siedziały przy narożnym stoliku z otwartymi książkami do psychologii, kiwając głowami i sącząc gorącą czekoladę.

Na każdej ścianie wisiały oryginalne obrazy, abstrakcyjne i z martwą naturą, wszystkie opatrzone metkami z ceną. Trio składające się z małego perkusisty, przysadzistego saksofonisty i za wysokiego basisty grało instrumentalny, świąteczny jazz. Taki, który Coltrane by potępił.

— Słuchaj, właśnie coś sobie pomyślałem — powiedziałem.

— Co takiego?

— Dlaczego w twoim mieszkaniu nie było żadnych zdjęć twojej rodziny?

Zamilkła, wzruszyła ramionami. Przechyliła głowę, jakby się nigdy dotąd nad tym nie zastanawiała. Miałem nadzieję, że jej rodzina nie urządzała przyjęć na dorocznych zjazdach Ku— Klux— Klanu czy czegoś takiego. Potem zastanowiłem się, dlaczego moje myśli znów powędrowały w tym niewygodnym kierunku. Zostałem wychowany w przekonaniu, że biali mają zawsze jakiś ukryty plan. Nigdy nie wiadomo, kto zdejmował prześcieradła z łóżek i nakładał je nocą na głowę.

— Nigdy nie przepadałam za zdjęciami — powiedziała. — Nie zrobiłam sobie nawet zdjęć w klasie maturalnej.

— Te zdjęcia utrwalają chwile, które się już nie powtórzą.

— To prawda. Nigdy tak o tym nie myślałam. Ostatnio, cóż, zawsze używałam ścian do wystawiania własnych prac.

— Gdybym miał twoje zdolności, też bym się obnosił. — Obnosił?

— Był dumny? Roześmiała się.

— To o wiele lepsze określenie. Poza tym, ty też nie masz zbyt wielu swoich zdjęć.

Przytaknąłem. Nie pomyślałem o tym. Ale ludzie w mojej rodzinie nie byli tacy, jakich chciałbym publicznie pokazywać. Z nią było prawdopodobnie tak samo; rodzina z problemami, których nie chciała rozgłaszać.

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przy cappuccino i jago— dziankach, podczas gdy inni grali w karty i domino. Płaszcz i szaliki położyliśmy na wolnych krzesłach i przysunęliśmy nasze krzesła bliżej do siebie, żeby nie trzeba było głośno rozmawiać i sekrety, jakie moglibyśmy sobie wyjawić, zachować między nami. Sączyliśmy kawę i patrzyliśmy na siebie. Jej ciepłe flirtowanie otulało mnie. Nie uśmiechałem się. Ani nie marszczyłem brwi. Byłem opanowany. Trzymałem się rzeczywistości. Rozluźniony.

— Grosik za twoje myśli — powiedziałem.

— Co mówisz?

— Wyglądasz na zamyśloną.

Uśmiechnęła się i zarumieniła.

— Dobrze całujesz.

— Sama jesteś niczego sobie.

— Dlaczego mnie nie pocałowałaś, kiedy weszłam?

Zamilkłem. Jej bezpośredniość trochę mnie zmieszała.

Ale podobało mi się to, bo było w niej coś, co mnie poruszało. Więc uwolniłem uśmiech i powiedziałem:

— Dzień się jeszcze nie skończył.

Pogładziła moją dłoń, dotknęła mnie i zapytała:

— Czy to obietnica?

— Właśnie tak.

— To dobrze. — Szeroko się uśmiechnęła. — Dzień się jeszcze nie skończył.

Kiedy się odprężyłem, rozluźniałem i pocierałem dłonią o jej dłoń, weszło dwóch czarnych braci. Obaj byli w mdłych spodniach i nudnych krawatach i wyglądali jak sprzedawcy w akcji. Albo jak Świadkowie Jehowy robiący sobie chwilę przerwy. Skinąłem głową i powiedziałem serdecznie:

— Jak leci?

Ten południowy nawyk pozdrawiania obcych był rzeczą, której koniecznie musiałem się pozbyć. Stale zapominałem, że jestem w Nowym Jorku; uprzejmość wobec obcych nie była w modzie. Marszczenie brwi było hitem sezonu. Uśmiechy wyróżniały cię z tłumu jak naiwnego turystę. Mężczyźni skinęli. Skinienia z poważną miną, żadnych uśmiechów. Przestałem patrzeć w tamtą stronę, ale czułem na sobie oczy wszystkich.

Kiedy Kimberly potarła moją rękę i wyszła do toalety, wpatrywałem się w jej chód. Miała kuszący chód. O wiele bardziej rozluźniony niż ten krok przepychający się przez tłum przechodniów. Bardziej kobiece kołysanie. Wiele kobiet utraciło tę artystyczną stronę bycia damą. Kimberly z całą pewnością była damą. Jej ramiona pozostawały niewzruszone. Raz czy dwa przesunęła dłonią po kręconych rudych włosach, prowadziła biodra lekkim kołysaniem, które wessało mnie w swój rytm. Byłem zbyt zajęty obserwowaniem jej, tak

zatopiony w rytmie, że nie zauważyłem, kiedy jeden z mężczyzn podszedł i stanął nade mną. Miał karcące, upominające spojrzenie.

— Co słyhać? — powiedziałem przez zaciśnięte usta.

Mrugnął do mnie.

— Laleczka ma wszystko na swoim miejscu.

Uśmiechnął się tak szeroko, że zobaczyłem jego ciasno osadzone zęby.

Zmieniłem pozycję i sztywno rzuciłem:

— Tak, jest świetna.

Miałem właśnie powiedzieć, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale facet— aligator mrugnął i odszedł od naszego stolika. Nie dotarła do mnie wiadomość, którą mi przekazał. Gdyby Kimberly była czarna, z uśmiezkami czy bez, wiedziałbym, co ma na myśli. A może to był ten sam komplement, a ja robiłem z igły widły, byłem niepotrzebnie przewrażliwiony.

Pospacerowaliśmy jakiś czas po okolicy, oglądaliśmy witryny sklepowe w SoHo, minęliśmy budynki, na których znajdują się billboardy Ralphi Lauren, wielkie na sześć pięter zdjęcia supermodelki Naomi Campbell i modela Tysona, obojga w pół nagich reklamujących Polo Sport. Zatrzymaliśmy się przy modnym sklepie dla artystów na 8. Ulicy. Miejsce mieniło się wszystkim kolorami tęczy i praktycznie nie miało mebli. Podłogę przykrywał ogromny, pastelowy dywan w orientálním stylu. Na ścianach wisały matowe obrazy okolicznych artystów. Na wystawie znajdowały się też trzy obrazy Kimberly. Rozpoznałem je. Kobieta i mężczyzna pod prysznicem. Kochankowie o zachodzie słońca. Rozstająca się para. Każdy za ponad tysiąc dolarów. Przy moim budżecie, nie stać by mnie było na te dwa, które odłożyłem, nie bez poważnego planu oszczędzania. Musiałbym się zadowolić reprodukcją za pięćdziesiąt dolarów i ramką z Kmartu.*¹¹

Kimberly rozmawiała z właścicielką, Włoszką w średnim wieku o imieniu Claire, której ubiór i sposób bycia były tak wyjątkowe jak Kimberly. Poza tym, Claire miała zielone włosy. Wyglądała jakby została zanurzona w wiadrze soku z limonek. Claire zerknęła przez ramię Kimberly, uśmiechnęła się. Obie zachichotały.

¹¹ *Kmart — nazwa domu towarowego, w którym zakupy robią raczej biedni ludzie, zważywszy na dość niskie ceny.

Podczas gdy Kimberly załatwiła interesy, poszedłem do telefonu sprawdzić wiadomości, czy J'nette się nie odezwała. Nie odezwała się. Wskazówka była oczywista. Myślę, że chyba tak to zostawię. Zwróciłem wzrok ku Kimberly i pomimo mroźnej pogody, poczułem, jak ciepło rozlewa się we mnie od stóp do głów. Czułem się tak, jakbym sączył ziołową herbatkę, słuchając dobrego instrumentalnego jazzu w środku nocy.

Usiadłem sobie wygodnie w wytartym brązowym fotelu przy drzwiach wejściowych, przeglądałem magazyny o sztuce leżące na złotym stoliku. Zabrzęczał czujnik, kiedy otworzyły się drzwi, przynosząc mocny podmuch zimnego wiatru. Facet, który wyglądał jak James Dean, w dżinsach i kurtce wojskowej, ostatni raz się zaciągnął i wyrzucił papierosa na chodnik, zanim wszedł do sklepu, zdjął rękawice, podszedł bezpośrednio do lady, zaszedł Kimberly od tyłu i pocałował ją w tył głowy. Odwróciłem się. Krew we mnie zawrzała. Najpierw się uśmiechnęła, ale kiedy się odwróciła i zobaczyła go, przestała się uśmiechać. Jej ciało się napreżyło. Palce zwinęły się w pięści. Zrobiła krok w bok.

— Myślałem, że to ty.

Uśmiechnął się i spróbował ją objąć.

— A ja myślałam, że jesteś kimś innym — odgryzła się i odsunęła jeszcze bardziej w bok. — Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Wziął głęboki oddech i uklonił się Claire.

Claire kaszlnęła, odgarnęła swoje zielone włosy z twarzy, przestała się uśmiechać i odwzajemniła ukłon.

— Cześć, Eric.

Bez słowa, Kimberly odwróciła się w moją stronę, by sprawdzić, czy się temu przyglądam, potem szybko do mnie podeszła.

Wstałem i zrobiłem krok w jej stronę.

— Kimberly — zawołał Eric. — Przestań. Musimy się tym zająć. Rozwiążmy to.

— Trzymaj się ode mnie z daleka.

— Nie rób nam tego, Kimberly.

Machnęła ręką w jego stronę i warknęła:

— Z drogi!

Nie odsunął się od lady. Claire coś do niego powiedziała, jakby starała się uspokoić Iwa. Eric zignorował Claire tak samo jak Kimberly zignorowała jego. Nie byłem pewien, co sądzić o tej sytuacji.

Kimberly podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę. Czuję jakby marszczył na mnie brwi, a może na odcień mojej skóry. Trzymałem stanowczą postawę i ton głosu.

Eric zwiesił głowę, ukłonił się. Przekreślił głowę i odrzucił włosy z twarzy.

— Wszystko w porządku? — zapytałem Kimberly.

— Tak, chodźmy.

Odpowiedziałem niepewnie:

— Dobrze.

— Claire — powiedziała nie odwracając się. — Zadzwoń do ciebie.

— Trzymaj się — odrzekła Claire, nie spuszczać Erica z oczu.

— Ach, Kimberly — mruknął Eric i podskoczył do nas, próbując wyprzedzić nas do drzwi. — Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać?

— Trzymaj się ode mnie z daleka!

Cała się trzęsła. Czuję dreszcze, ponieważ trzymałem ją za rękę. Eric spojrzał na mnie, zamachał swoimi włosami jak z serialu „Beverly Hills 90210”, przejechał po nich palcami, wrogo na mnie spojrzał i chłodno zapytał:

— Masz coś przeciwko temu, żebym z nią chwilę porozmawiał?

Głos miał o wiele bardziej dojrzały niż wygląd. Nie mogłem się domyślić, ile ma lat, ale przypuszczałem, że jest kilka lat ode mnie młodszy. Akcent i język ciała zdradzały, że jest ze Wschodniego Wybrzeża. Zanim zdążyłem dać jakąkolwiek odpowiedź, Kimberly wyszła z za moich pleców.

— Eric, idź do diabła! Nikt nie kontroluje moich rozmów. Nikt nie ma mnie na własność. Rozmawiam z kim chcę. Mówię ci po raz ostatni, nie chcę z tobą rozmawiać. Nigdy...

— Kim, dlaczego...

— Kimberly. Mam na imię Kimberly, chrzań się. Miłego dnia. A teraz zjeżdżaj mi z oczu.

Eric przestąpił z nogi na nogę, wpatrywał się we mnie, jakby próbował mnie wyczuć. Lustrował mnie wzrokiem. Ja robiłem to samo. Skinąłem głową. Przesunął ciężar ciała na jedną nogę i przybrał wyświechtaną Deanowską pozę. Z pół uśmiechem powiedział:

— Jestem jej chłopakiem.

— Byłem chłopakiem — wtrąciła Kimberly.

Pociągnęła mnie za ramię i wyszliśmy ze sklepu na zatłoczoną 8. Ulicę. Kiedy szliśmy Aleją Obu Ameryk, mijając przechodniów, dwie przecznice bezdomnych, ulicznych muzyków i poetów, wpadając na Mikołaje ustawione przez Armię Zbawienia, Eric podążał za nami, maszerując po jej drugiej stronie, trzymając się ode mnie z daleka, wpadał na ludzi i naprzykrzał się ignorującej go Kimberly. Wciąż wykrzykiwał jej imię. Brzmiał jak zdarta płyta. Wkurzał mnie, ale zrobiłem co trzeba i się opanowałem. Ostatnia rzecz, której pragnąłem, to wdać się w jakąś rasistowską wojnę.

— Słuchaj, Kim, proszę — powiedział Eric.

— Kimberly. Nazywam się Kimberly.

— Proszę — parsknął. — Kimberly, chcę, żebyśmy znów byli razem. Potrzebuję cię.

Eric został na mrozie, kiedy skręciliśmy nagle i wskoczyliśmy do taksówki, którą Kimberly zatrzymała, całym ciałem rzucając na jezdnię. Nie zerknęła nawet za siebie ani nie odpowiedziała na jego krzyki i walenie w maskę. Chuda taksjarka z rosyjskim akcentem nie sprawiała wrażenia przejętej sytuacją. Spytała jedynie, dokąd chcemy jechać. Drastyczna scena wywołała u niej jedynie ziewnięcie. Była przyzwyczajona do szaleństwa.

Kimberly siedziała po swojej stronie taksówki, ja po swojej. Minęło kilka chwil, zanim się odezwała.

— Przepraszam cię za to. — Zagryzła wargę. Założyła nogę na nogę i uderzyła rękawiczką o kolano.

— O co w tym wszystkim chodziło? — spytałem.

Kimberly rozluźniła szalik i zapytała:

— Czy mogłaby pani przykręcić ogrzewanie?

Taksjarka uniosła rękę.

— Tak.

— Kimberly — zacząłem — o co...

— On nie rozumie znaczenia słowa żegnaj. Jest jednym z tych mężczyzn, którzy nie chcą skończyć związku, póki sami nie będą chcieli go skończyć. Z powodem czy bez, to koniec, kiedy ja tak mówię.

— Tak dobrze? — spytała taksjarka.

— Ach, ja... — Kimberly wzburzona próbowała rozpiąć płaszcz. — Tak, dziękuje. O wiele, hmm, dobrze.

— Nie ma sprawy. Proszę wołać, jak zrobi się pani zimno.

Oboje powiedzieliśmy:

— W porządku.

— Jak długo się spotykaliście? — spytałem.

— Prawie pół roku. Za długo.

— Co się stało?

— Powiedzmy po prostu — mówiła suchym, sarkastycznym tonem, patrząc przed siebie — chciał być w moim łóżku, ale nie miał zamiaru uczestniczyć w moim życiu.

— Więc jest twoim chłopakiem?

— Nie, do cholery!

Roześmiałem się.

— Co w tym cholernie śmiesznego? — zaskowyczała.

Uśmiechnąłem się.

— Jak cholernie świetnie wyglądasz, kiedy się złościś.

Przestała się wiercić.

— Co?

— Twoja skóra się rozjaśnia. Oczy rozbłyskują. Głos się obniża i wrzucasz taki profesjonalny ton. Nadajesz bez przerwy. Podoba mi się, jak poruszają się twoje usta, kiedy szybko mówisz. Masz takie namiętne, zmysłowe spojrzenie.

— To wyświechtane — jęknęła.

Podniecił mnie jej gniew. Kurczę. Zawsze pociągało mnie to u kobiet.

— Dlaczego się nie przysuniesz i nie odświeżysz mi pamięci? A może już nie podoba ci się, jak całuję, co?

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Przysunęła się blisko i uderzyła mnie w ramię.

— Przepraszam cię za tę scenę.

— W porządku.

Chwilę później wpatrywaliśmy się w siebie. Przysunęła się jeszcze bliżej i przekręciła głowę tak jak za pierwszym razem.

Całowaniem przekraczamy ważną osobistą granicę. Kiedy próbujesz smaków, kiedy smakujecie się nawzajem, z pewnością nadaje to inny, głębszy wymiar znajomości. Dopuszcza cię do środka. Każdy potrafi się całować, ale nie każdy pojmuje sztukę całowania. Słuchanie. Rozmawianie. Wycucie, kiedy dawać, a kiedy brać. I przy całej związanej z tym namiętności, przy wszystkich pragnieniach i fantazjach, jakie masaż językiem potrafi stworzyć, całowanie jest sztuką samą w sobie, która nie jest koniecznym preludium do seksu. Całowanie jest całowaniem, a seks jest seksem. Jedno nie jest konieczne dla drugiego. Ale doprowadzone do perfekcji, jakże wspaniale współgrają ze sobą. I zależnie od tego, jak zręcznie, z jakim smakiem albo jak niedbale się całuje, może to być spokojny początek czegoś magicznego albo bardzo gwałtowny koniec. Słodko podniecające albo od razu odpychające.

Po kilku minutach wzajemnego smakowania, spojrzałem na uśmiechniętą taksjarkę. Usta miałem wysmarowane czekoladową szminką. Kobieta odwróciła lusterko. Kimberly delikatnie wsunęła mi rękę na szyję i przywołała do całowania. Jej okrągła twarz wyglądała tak zmysłowo, kiedy rozchyłała pełne usta. Possała moje ucho, całowała po twarzy i wróciła do ust. Moja ręka przesunęła się po jej swetrze i bez większego trudu znalazła pierś. Uniosła kawałek swetra i wślizgnęła moje palce w swoje ciepło.

Trudno czynić dygresje w chwili intymności nie wychodząc na hipokrytę. Szczególnie kiedy nie chce się wycofać i nie ma się zamiaru oddalać od tego, co się czuje. W porządku czy nie, czułem się wspaniale. Mój umysł i serce były w tym zgodne.

Ale jedno wiedziałem na pewno. To nie ciekawość pociągała mnie ku Kimberly. Pociągało samo pożądanie.

4. Jordan Greene

Nasze ubrania leżały pozrzucone już od drzwi wejściowych. Zostawiliśmy szlak pożądania w jej pokoju i pracowni. Nawet nie zdążyliśmy włączyć światła. Zamierzałem pocałować ją na pożegnanie i pójść do domu, ale nie przestaliśmy się całować. Poszedłem za nią do sypialni. A może to ona szła za mną. Bez muzyki. Jedyne słyszalne dźwięki wydawaliśmy my sami.

Skóra Kimberly miała brzoskwiniowy zapach. Pocałowałem ją w policzek, zaciągnąłem się świeżym zapachem jej włosów, kiedy wplątały mi się w usta. Całowaliśmy się tak długo i tak mocno, że oboje byliśmy spoceni jak po ćwiczeniach na siłowni. Nasze oddechy były nieregularne, urywane.

Zwolniliśmy przy drzwiach do sypialni, wyrównaliśmy oddechy. Jej oczy wyrażały to samo pożądanie co moje, ale im bardziej zbliżaliśmy się do sypialni, na jej twarzy spod namiętności przebijało spojrzenie, które zdawało się pytać: co my do cholery robimy? Czulem to samo, ale męska część mnie nie zamierzała stchórzyć i odejść od kobiety. Wiem jednak, że czulem to samo, co ona, więc każde z nas czekało na reakcję drugiej strony.

Zatrzymałem się i pozwoliłem obojgu nam odetchnąć świeżym powietrzem. Czekałem aż odgarnie z twarzy rude włosy i miękko i czule wypowie słowa, które będą odpowiadały jej spojrzeniu: nie możemy tego zrobić, bo dopiero co się poznaliśmy. Miałem nadzieję, że z mojego wyrazu twarzy wyczyta, że to nie musi się wydarzyć. Przynajmniej nie dzisiaj.

Ale ona wyskoczyła ze swoich mocno wyciętych majtek, które jeszcze bardziej wydłużały jej długie nogi, a potem stopą ściągnęła moje bokserki z kostek. Bił od niej żar. Jakby się żarzyła od wewnątrz. To sprawiało, że chciałem się dowiedzieć, jak spodoba jej się moja nagość; czy gorąco, które czulem w żołądku, promieniowało w moich oczach. Próbowałem udawać, że kolejny pocałunek mnie nie spali, zachowywałem się, jakbym nie pragnął się w nią wślizgnąć, ale ona już trzymała w ręce moją erekcję. Pieściła ją. Trzymając mnie, przyciągnęła mnie w stronę łóżka. Podążyłem za uczuciem.

Na dworze zatrąbił samochód. Kolejny przemknął po rozjeżdżonym śniegu i pokruszonym lodzie.

Kiedy wyzwoliła się z objęć, żeby odkryć prześcieradła, stałem za nią i całowałem ją po plecach wzdłuż kręgosłupa. Wygięła plecy, wdychała powietrze krótkimi haustami, głęboko odetchnęła, upuściła pościel i obróciła głowę

po więcej pocałunków. Pieściłem jej pierś jedną ręką, drugą poprowadziła między nogi, gdzie rozpocząłem powolny masaż palcami. Była wilgotna. Mięka. Gorąca. Popchnąłem ją twarzą do łóżka, lizałem plecy, szlak doprowadził mnie do jej pośladków. I jeszcze niżej do łydek. Jej grubych kostek. Palców u nóg. Odsunęła stopę.

— Masz łaskotki? — spytałem.

Skinęła głową.

Następne liźnięcia, muśnięcia i pocałunki pośladków. Kimberly wierciła się, jęczała i próbowała się wyswobodzić. Gonilem ją. Obróciła się, włożyła mi dłonie pod pachy i podciągnęła mnie do góry, twarzą w twarz. Całowaliśmy się, sięgnęła na dół ręką, by mnie znaleźć, ale sam skierowałem się już w stronę jej szczeliny. Dotknąłem jej, wślizgnąłem się w jej wilgoć i wsunąłem do środka. Zaczęła szybciej oddychać, zacieśniła uchwyt i wciągnęła mnie głębiej w siebie. Przestałem oddychać. Żadne z nas nie ruszało się ani nie oddychało. Potem, w tej samej chwili, oboje wróciliśmy do życia.

Połączyliśmy się, staliśmy jedną osobą. Byłem wewnątrz niej ale to ona była głębiej we mnie. Zagryzła wargę i wydała falą piskliwych jęknięć. Jej odgłosy równały się moim, przechodziły mnie dreszcze. Z jedną ręką na moich pośladkach, drugą pod szyją, dyrygowała rytmem naszego kochnia, głębokością pchnięć i wysunięć.

Za oknem przez dłuższy czas słychać było pogwizdujący wiatr, który po pewnym czasie ucichł. Kolejny samochód zaczął trąbić. Z innego dał się słyszeć ciężki bas jakiegoś rapera.

Poruszałem się w wolnym rytmie. Wszystkie moje nerwy wyemigrowały, pracowały nad tym, żeby przelać na nią zadowolenie z mojego ciała. Wysunąłem się. Wstrzymałem oddech. Otarłem twarz. Wzięła moją dłoń i zaczęła pieścić palce. Jej biodra były niespokojne, wciąż w ruchu. Próbowwała nakłonić mnie do powrotu.

— Nie chcę jeszcze dojść — powiedziałem.

Wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się, a potem odetchnęła i szepnęła:

— Też tego nie chcę.

Kimberly wzięła koniuszek mojego penisa, ucisnęła główkę. Pottrzymała tak, aż znikło napięcie i odzyskałem kontrolę.

— Lepiej? — szepnęła.

— Tak. Lepiej.

Przekreśliła mnie na brzuch i wysunęła się z łóżka.

— Dokąd idziesz?

— Nie otwieraj oczu. Trochę cierpliwości.

Otworzyła lodówkę i światło rozjaśniło korytarz. Zamknąłem oczy. Usłyszałem drzwi od szafki. Brzęk szklanek. Nalewanie jakiegoś płynu. Wtedy wróciła. Zachichotała. Przełknęła parę łyków i wydała zadowolone „ahhhhhh”.

Kiedy całowała moje plecy, mocno chwyciłem poduszkę i jęknąłem, napiąłem mięśnie pośladków i brzucha. Miała lodowate usta. W buzi był lód. Przejechała kostką po kręgosłupie, trzymała ją tak, że ledwie muskała skórę. Pokój napełniał jej chichot i moje jęki. Kurczę. Już po mnie. Bez szans na ratunek.

— Podoba ci się? — szepnęła.

Przewróciłem ją na plecy, zjechałem językiem do wilgotnego pępka, zlizalem jej pot i przeciągnąłem jej nogę przez swoje ramię.

— Mmmmmmm — zamruczała i zadrżała.

Najpierw delikatne liźnięcia i pocałunki na udach. Potem w tę i z powrotem po jej wnętrzu. Stałem się artystą. Udawałem, że mój język jest pędzlem, a esencja jej kobiecości jest płótnem.

Podparłem ją dwiema poduszkami. Patrzyliśmy sobie w oczy .

Zarumieniła się.

— Nie wierzę, że to robimy.

— Ja też nie. — Pocałowałem jej szyję. Szarpnęła się.

— Chcesz przestać? — spytałem.

Objęła mnie mocnej.

— A jak myślisz?

— Nie protestujesz, więc nie narzekam.

Nagie drzewa za jej oknem wyglądały, jakby wskazywały na nas, gdy tak nieruchomo stały i obserwowały.

Przyciągnęła mnie bliżej ręką i pocałowała. Pocałunek był gwałtowny. Jej język gonął mój, a kiedy schwytał go w pułapkę, wssysał go głęboko do swej kryjówki.

Objąłem ją ręką w pasie i mocno do siebie przyciągnąłem. Gwałtownie i szeroko otworzyła oczy, chrząknęła, wyszarpnęła się i odprężyła.

— Zrób to raz jeszcze.

Proszę bardzo. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Co zaczęło się tak spokojnie, stało się dzikie i prymitywne. Krótkie oddechy. Dziwne pomruki. Głośne chrząkania. Nieludzkie piski. Wezgłowie łóżka uderzyło o ścianę.

Skrzypienie ustało. Opadła na mnie spocona. Czułem przez skórę bicie jej serca. Było prawie tak szybkie jak moje. Wachlowaliśmy się. Wycieraliśmy pot. Większość potu spływała jej na boki, po krzyżu.

Kimberly zachichotała i przysłoniła twarz dłonią.

— Co?

— Byliśmy głośno. Myślę, że naprawdę głośno.

Dopiero kiedy wszystko ucichnie, zdajesz sobie sprawę

z tego, jak było głośno. Roześmieliśmy się i przytuliliśmy mocniej. Czułem się jak dzieciak z ogólniaka, który właśnie przeżył swój pierwszy orgazm. Zdumiony tym, co inne ciało może dać mojemu. Kobiety są tak szalenie niezwykłe. Błogość sprawiła, że dotyk i słowa stały się łagodne, szeptane.

— Czy ty? — spytałem.

Uderzyła mnie łokciem i sarkastycznie spytała:

— A nie było widać?

— Trudno być pewnym.

— Dlaczego faceci zawsze o to pytają?

— Bo jesteśmy drobiazgowymi stworzeniami.

— Jesteście stworzeniami pełnymi niepewności.

Pochyliła się, włączyła lampkę i wciągnęła kołdrę na łóżko. Nie chciałem światła, nie tak wcześnie. Nie byłem gotowy rzucić światło na to, co zrobiliśmy.

Leżałem na plecach i łączyłem ciemniejsze piegi na jej plecach i piersiach w wyimaginowane wzory. Ona przesuwiała palcami po moich ramionach, klatce i nogach.

— Twoja skóra ma tyle różnych kolorów — szepnęła.

— Co masz na myśli?

— Twoje palce mają ze trzy różne odcienie. Widzisz tutaj? Jest ciemniejsza wokół kostek niż w innych miejscach. Twoje plecy mają przynajmniej trzy różne kolory. Twoje ramię jest jaśniejsze po tej stronie niż po drugiej.

Pewnie powinienem się obrazić, przejść na pozycje obronne, przez to, że tak mnie ocenia, ale nie zrobiłem tego. Była otwarta; to ja miałem kompleksy i problemy ze szczerością. I byłem zbyt zajęty wpatrywaniem się we własne dłonie. Własne ramiona. Oglądając różne odcienie brązu.

— Nigdy tak naprawdę tego nie zauważyłem — odpowiedziałem.

— A twoja twarz jest trochę ciemniejsza niż klatka piersiowa.

— Moja twarz jest ciemniejsza z powodu słońca. Jest zawsze odsłonięta.

— Więc dlaczego penis jest najciemniejszą częścią twojego ciała?

Roześmieliśmy się. Chichotała:

— Jest koloru czekolady. Też jest zawsze odsłonięty?

Przesunęła go na bok, porównała z kolorem uda. Śmieliśmy się, kiedy bawiła się w doktora i krążyła po moim ciele.

— Twój tyłek nie jest narażony na słońce, a jest tego samego koloru co twoje nogi. Jak to możliwe? — spytała.

Wzruszyłem ramionami.

Nadal się mną bawiła, dotykała tu, sprawdzała tam, masowała dłońmi i słowami. Wróciłem do dotykania jej piegów. Najwięcej było na szyi i plecach. Kilka na piersiach. Niektóre były tak brązowe jak ja, parę mlecznych, inne wahały się od ciemnobrązowego do koloru czerwonej gliny. Jej ciało nie było takie blade, jak się spodziewałem, ale w porównaniu z moim brakowało mu koloru, zwłaszcza w rejonie bikini. Zwłaszcza tam. Ktokolwiek stwierdził, że białe mięso jest suche, kłamał. Skóra wokół oczu i na policzkach była ogorzała od wiatru. Reszta była ociupinkę jaśniejsza. Jaśniejsza, ale daleka od bladej. Miała jędrne piersi i jasnobrązowe brodawki.

— Skąd masz piegi? — spytałem.

— Po tacie. Moja mama ma kilka, ale tata ma najwięcej.

Przytuliła się do mnie. Wiatr gwizdał długą, nielitościwą piosenkę. Wydawało mi się, że słyszę uginające się w agonii drzewo. Zadzwoił telefon. Drgnęliśmy, włączyła się automatyczna sekretarka. Zrobiła tak trzy razy, raz po raz. Zastanowiło mnie, jakie Kimberly wiodła życie. Co by robiła, gdyby mnie ta nie było. Aparat był ściszony, więc nie słyszałem żadnej z jej późnych wiadomości. Zignorowała urządzenie, więc ja zrobiłem to samo.

Wygiąłem szyję, by spojrzeć na zegarek. Było kilka minut przed pierwszą. Przekomarzaliśmy się, dotykaliśmy się i szeptaliśmy przez prawie dwie godziny.

Ziewnęła i spytała:

— Zostajesz?

— Tak. W porządku?

— Pewnie. Chciałabym tego. To znaczy, nie musisz, jeśli nie chcesz, zrozumiem. To nie było spodziewane, więc nie czuj się zobowiązany.

Myślałem, że będę chciał rzucić się do drzwi, ale tak nie było. I mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz moje życie wydawało się takie poukładane. Czułem się tak, jak kiedy wyobrażałem sobie uczucie podczas lotów na parolotni nad oceanem na Wyspach Bahama. Dotknąłem jej kręconych włosów, przejechałem palcami po obeschłym pocie i powiedziałem:

— Chcę. Może rano zjemy razem śniadanie.

Jej słowa brzmiały jak uśmiech ulgi.

— W porządku, EXtra.

Pochyliła się nade mną, pocałowała mnie i wyłączyła światło. Minęło parę chwil. A niech to. Podobała mi się ta kobieta. Przynajmniej dzisiejszej nocy. Zacząłem się zastanawiać, jak w jej oczach będzie wyglądał jutrzejszy wschód słońca. Część mnie zastanawiała się, jaka wyda mi się rano; inna część zastanawiała się, jak sam siebie będę widział.

— Jordan.

— Co?

— Nic. Myślałam sobie twoje imię. Chciałam je po prostu usłyszeć.

— Naprawdę?

— Tak. Naprawdę.

Chwilę później szepnąłem:

— Kimberly.

— Jordan. — Przesunęła dłonią w dół po mojej piersi, dotknęła penisa. Wzięła go w garść, podniosła i opuściła, pozwoliła, by urósł w jej dłoni. Zadrzałem z gorąca, poczułem się silny i potężny. Pocałowała mnie i powiedziała:

— Pokochajmy się raz jeszcze.

— A kochamy się?

Zachichotała, pocałowała mnie i spoważniała. Próbowałem wysmakować różnicę z zamkniętymi oczami.

Podskoczyliśmy jak oparzeni około trzeciej w nocy. Kомуś kompletnie odbiło i dzwonił bez przerwy do jej drzwi. Kiedy dzwonienie ucichło, zaczęło się walenie. Na początku cicho, ale przerodziło się w wymagający rytm. Ktokolwiek to był, nie zamierzał odejść. Walenie miało charakterystyczny rytm, a to przyprawiło mnie o dreszcze o wiele bardziej niż nowojorski wiatr.

Kimberly zbudziła się gwałtownie, podskoczyła, odgarnęła włosy z twarzy i wymamrotała:

— Cholera.

Jej głos i zmiana nastawienia podpowiedziały mi, że oto kłopoty robią swój nocny obchód. Czuję, jak serce bije mi w gardle. Po kolejnej rundzie, Kimberly zasnęła z głową na moim karku, robiąc sobie ze mnie poduszkę. W pokoju było chłodniej, bo ogrzewanie się wyłączyło, co sprawiło, że przytulanie nabrało nowego waloru. Niedawno temu pokój pachniał przyjemnością, teraz śmierdział strachem.

Walenie nie cichło. Nasilało się. Było coraz bardziej natarczywe.

— Co się stało? — spytałem.

Wyjrzała przez okno, potem spojrzała tępych wzrokiem w stronę drzwi.

— Dupek.

— Kto?

— Eric.

W rozproszonym świetle, Kimberly weszła do szafy i wyciągnęła grubą, czerwony szlafrok z kapturem.

— Zaraz wracam — powiedziała.

Przymknęła drzwi do sypialni, ale ich nie zamknęła. Bose stopy Kimberly kroczyły twardo i szybko po drewnianej podłodze. Zahaczyła o coś palcem u nogi, zawyla z bólu i zakląła, gdy coś spadło. Już miałem zawołać, czy wszystko w porządku, ale nie chciałem, żeby było słychać mój głos. Przesuwała coś albo kopnęła z drogi. Jej prężny krok zmienił się w rozgniewane wleczenie nogi za nogą.

Już miałem zamiar przysunąć bliżej do siebie ubranie, ale przypomniałem sobie, że wszystko leży porozrzucone w salonie. Porzucone byle gdzie. Byłem czarnym uwięzionym w łóżku białej kobiety, nagi i bezbronny. Zacząłem się zastanawiać, jakby to wyglądało na okładce „New York Timesa”. Prawdopodobnie żadnego współczucia od NAACP ani UNCF*¹² bym nie dostał, bez względu na to, ile darowizn im ofiarowałem.

Usłyszałem jak szczerknęła: — Czego? — Nie otworzyła drzwi wejściowych. Później usłyszałem jakieś mamrotanie z drugiej strony. Z początku brzmiało jak przekleństwa, potem zmieniło się w błaganie. Głos Kimberly był donośny i czysty; przeszedł w ton formalny. Dało się słyszeć kolejne gniewne mamrotania.

W kilka minut później wpadła do sypialni i otworzyła szafę. Leżałem na brzuchu, obejmując rękami poduszkę.

— Jordan?

— Tak? — Uniosłem głowę, kiedy szepnęła moje imię. — Co jest?

— Muszę wyjść na minutkę.

— Chcesz, żebym sobie poszedł?

Włożyła sweter przez głowę i cicho powiedziała:

— Nie.

Naciągnęła legginsy na gołą pupę, ściągnęła sznurek. Usiadłem i spytałem:

— Co się dzieje?

¹² * NAACP — National Association for the Advancement of Colored — — Narodowe Stowarzyszenie dla Rozwoju Czarnej Społeczności. — United Negro College Fund — Zjednoczony Fundusz Uniwersytecki dla Czarnych.

— Wie, że mam towarzystwo. Dlatego tak się wkurza i nie odejdzie. Nie chcę, żeby sąsiedzi wiedzieli o moich sprawach, więc nie mam wyjścia. Porozmawiam z nim przed domem.

— Chcesz, żebym wychylił głowę za drzwi i...

— Nie, dzięki, ale nie. Dam sobie radę.

Dzwonek zadzwonił kilka razy, potem ktoś zapukał. Każde uderzenie było coraz głośniejsze. Zmieniłem pozycję, owinąłem się w zeszywniałe od spermy prześcieradła i usiadłem, stawiając stopy na zimnej podłodze. Z lodowatego podmuchu wywnioskowałem, że musi być strasznie zimno. Za zimno, żeby o tej porze cokolwiek kombinować. Ale głupiec był głupcem bez względu na porę dnia i temperaturę.

— Chcesz, żebym sobie poszedł? — spytałem.

— Nie dałabym mu tej satysfakcji.

— Możemy pogadać później.

— Wszystko w porządku. — Jej słowa były szybsze niż automatyczne wybieranie.

Włączyłem małą lampkę na nocnym stoliku. Miała regulowaną jasność i ustawiłem ją na najśłabszą. Czekałem aż oczy przyzwyczają się do światła. Oboje w tej samej chwili spojrzeliśmy na zegarek. Pokręciła głową, cmoknęła.

— On zawsze wpada tak wcześnie rano? — spytałem.

— Nie. Cóż, kiedy wychodziliśmy gdzieś wieczorami, parę razy tak zrobił, ponieważ wiedział, że będę pracować do późna.

— Och.

— Nie widziałam go od miesiący — przerwała. — Jest tu tylko dlatego, że widział mnie dzisiaj z tobą.

Kimberly pospieszyła do drzwi. Kiedy je otworzyła, słyhać było, jakby próbował wepchnąć się do środka, ale zmusiła go, żeby wyszedł. Głosy uciły. Musieli zejść po schodach.

Światło z sypialni przenikało do pokoju i mogłem zapolować na własne ciuchy. Przyniosłem je wszystkie z salonu i złożyłem u stóp. Czekałem. Było późno. Zimno jak cholera. Byłem potwornie zmęczony. Zdrowy rozsądek zwyciężył. Ubrałem się, poczekałem jeszcze parę minut, potem na palcach

przeszedłem przez pokój. Stałem przy drzwiach. Wsłuchiwałem się w ich głosy.

Otworzyłem drzwi i zajadła kłótnia, którą echo niosło z dołu schodów, nagle umilkła. Spojrzeli do góry. Kimberly odgarnęła z twarzy włosy, obróciła się, pobiegła do góry, zostawiając Erica samego. Eric nie przestawał wrogo się na mnie gapić.

Spotkaliśmy się z Kimberly w połowie schodów. Twarz miała bardziej czerwoną niż włosy. Jej oddech parował:

— Nie idź.

Potrząsnąłem głową.

— Tak będzie lepiej.

Staliśmy gapiąc się na siebie, dzieląc głębokie spojrzenia pełne wstydu i niepewności. Poetycka więź była głęboka. Prawie tak szeroka jak granice, które zlekceważyłem i przekroczyłem. Podeszła jeden stopień i pocałowała mnie w usta.

— Dobrze.

Eric chrząknął. Jego wściekłość była wyczuwalna z samego dołu. Brzmiała jak echo z czeluści piekła. Nie poruszyłem się. Kimberly nawet nie drgnęła. Miałem zamiar zawrócić i dać jej parę chwil, żeby wszystko wyjaśniła, kiedy ciężkie buty Erica popędziły po schodach. Zatrzymał się przy nas, potrząsnął głową i rzucił gorzko:

— Myślałem, że jesteś sama.

Kimberly spojrzała na mnie, a potem odpowiedziała zła:

— Nie.

— Kim, dlaczego...

— Nazywam się Kimberly, do cholery.

Podskoczył na półpiętro.

— W porządku, Kimberly.

Kimberly powiedziała stanowczo:

— Eric. Odejdź. Wezwę policję, jeśli nie...

Eric przeskoczył obok niej i rękami w rękawiczkach chwycił mnie za gardło. Kimberly krzyknęła, upadła na jedno kolano, próbowała przytrzymać

się ściany, żeby się podnieść. Wykręciłem i odrzuciłem jego ręce, kopnąłem go w tyłek aż stracił równowagę. Upadł na kolana i spadł kilka stopni

Narzuciłem właściwą przynętę, kopnąłem go w twarz, ale chybiłem obydwoma razy i poślizgnąłem się. Złapałem się poręczy i odzyskałem równowagę. Kalesony, spodnie i płaszcz nie ułatwiały walki. Przez to, że był niżej i grawitacja była po mojej stronie, już miałem przewagę i mogłem go skopać ze schodów.

Rzuciliśmy się na siebie. Ale zanim się dosięgnęliśmy, Kimberly wskoczyła między nas. Rozsadzało mi klatkę. Skupiłem wzrok na draniu i gniewnie spojrzałem na kobietę, która utrudniała mi kopnięcie go prosto w twarz. Pomyślałem o tym, kim jestem i skąd przybyłem.

Oni. My.

Znów się włączyło.

— Nie wiesz, z kim zadzierasz — wypaliłem i ruszyłem w jego stronę.
— Tak ci nakopię w dupę, że będziesz kaszlał gównem.

Eric skulił się, cofnął, odskoczył od ściany jak piłeczka, próbował przyjąć lepszą pozycję do walki. Zmusiłem go do defensywy. Sam zostałem zmuszony do ofensywy. Kimberly wyskoczyła przede mną, odgradzając mnie od dupka.

Krzyknęła:

— Nie! Jordan, proszę, ja...

— Kimberly... — Eric wycofał się i powiedział: — Przepraszam. Chodzi o to, że ja nie chcę bez ciebie żyć

— Eric, zabieraj swój niedojrzały tyłek z mojego domu. Koniec z nami i nie chcę...

Wyszarpnąłem się jej, wyminąłem go, zbiegłem po schodach i wybiegłem z budynku. Przemknąłem wzdłuż płotu fabryki Bulova. Nie oglądałem się.

Po pięciu kilometrach znalazłem się w domu. Nie czułem palców.

5. Jordan Greene

Kiedy przyjechałem z pralni taksówką, zjechałem z wózkiem do mieszkania i rozpakowałem stertę pachnącego lenorem prania, miałem dwie wiadomości.

Jedną od starszego brata Darrella. Wyświetlacz wskazywał, że dzwonił o pierwszej po południu, zaledwie dziesięć minut temu. To był jego drugi telefon w tym roku. Tak naprawdę nie rozmawialiśmy od piętnastu miesięcy. Nie było między nami żadnej wrogości. Tylko że po śmierci Mamy każdy poszedł w swoją stronę. Spotyka to wiele rodzin, gdy spoiwo, które je łączy, odchodzi do lepszego świata. A z Darrellem trudno się rozmawiało po tym incydencie, który przydarzył się jego żonie. Powinienem chyba powiedzieć, byłej żonie. Kolejna tragiczna karta w naszej rodzinie. Dzwonił albo żeby ponarzekać, albo powiedzieć, że nasz średni brat Reggie znowu przedawkował. Kiedy ostatni raz widziałem Reggiego, był otyły i wyglądał jak czekoladowy chłopiec od reklamy. Nikt nigdy nie wiedział, gdzie jest Reggie. Pojawiał się, kradł, co się dało, i znikał. Kiedy byłem w koledżu, ukradł telewizor z mojego pokoju w akademiku. Na pierwszym roku studiów. To był telewizor mojego współlokatora. Zbyt długo harowałem za marne pieniądze w studenckiej świetlicy, żeby oddać Jeffersonowi. Może to przez Reggiego nigdy nie dzwoniłem. Czasami nie byłem w nastroju do wysłuchiwanie złych wiadomości.

Jednak to byli moi bracia. Krew nie woda. Więc zazgrzytałem zębami i zadzwoniłem do Darrella. Nie było go. Zostawiłem wiadomość, że odebrałem jego wiadomość. Nagrane, odfajkowane, poczucie winy znikło.

Kolejna wiadomość była od Solomona. Mój kumpel z Południa urządzał kolejne nieplanowane przyjęcie. Cała weekendowa załoga na pewno tam będzie.

Dwie godziny później, otulony w czarny wełniany płaszcz, wyskakiwałem z pociągu linii numer 2 na 110. Ulicy i Lenox, minąłem Central Park North i ruszyłem do Collard Green Projects — tak czarni nazywają Harlem. Chwilę potem, stałem we wschodniej części miasta, gdzie przewidywana długość życia czarnych mężczyzn jest niska, przez domem Solomona, z butelką Spumante w dłoni, naciskałem dzwonek. Kiedy wysiadłem z windy na dwudziestym piętrze, usłyszałem śmiech dochodzący się z jego mieszkania. Zapach pieczonego kurczaka, brokułów i kapusty unosił się w powietrzu i wydo-

stał się już na korytarz. Stary patefon Solomona grał jego zestaw płyt. „I Destroyed Your Love” na specjalne życzenie słyhać było głośno i wyraźnie. Miał też odtwarzacz płyt kompaktowych, ale bywał czasami nostalgiczny. Jego kolekcja Temprees stała wyjęta obok zakurzonego albumu Isaaca Hayesa.

Poza muzyką, wszystko było supernowoczesne. Skórzane zielone meble. Jego kolor. Solomon miał na ścianach ogromne portrety Billie Holiday, Saiy Vaughn, Diny Washington i Niny Simone. Piracka kopia jakiegoś filmu akcji, który nie wszedł jeszcze do kin, leciała na ekranie, ale rozmawiano tak głośno, że nie było słyhać dźwięku. Poza tym jakość obrazu kazała mi się zastanawiać, czy nie mam katarakty albo jaskry.

Wszyscy mieli na sobie albo dzinsy, albo ubrania sportowych projektantów, buty poustawiane w przedpokoju. Solomon był czuły na punkcie ludzi chodzących w butach po mieszkaniu. Pierwszymi osobami, które zobaczyłem, były J'nette i Toni. Parę metrów dalej w maleńkiej jadalni, przy niskiej choince, grały w domino z jakimiś facetami, których nie znałem. Toni przez pomyłkę się odezwała. Przez pomyłkę, bo otworzyła buzię i powiedziała coś miłego, zanim podniosła wzrok i zobaczyła, do kogo mówi. Wzdrygnęła się, jakby chciała cofnąć swoje słowa. Mężczyźni skinęli w milczeniu. J'nette skrzywiła się i spuściła głowę. Zoe wyjrzała z kuchni, roześmiała się, podeszła i pocałowała mnie w policzek. Nigdy nie widziałem tak szczęśliwej kobiety.

Przytuliłem ją.

— Gdzie jest Sol?

— Mój facet jest w kuchni. — Podeszła na paluszkach i pociągnęła mnie za rękaw płaszcza.

— Podaj płaszcz.

Solomon wszedł i wziął go od Zoe, ale ona mu go zabrała i powiedziała:

— Zajmę się tym, Sol. Kochanie, pogadaj z przyjacielem. Zabierz wino do kuchni i skończ jeść.

Zażartował:

— Widzisz, to właśnie jest nie w porządku z czarnymi kobietami. Nie pozwolą mężczyźnie traktować się jak królowe. Nie pozwolą się rozpieszczać.

— Nie zaczynaj z tymi bzdurami.

— W porządku. — Solomon mrugnął do niej gładząc gęste wąsy. — To ty tu rządzisz. Ja jestem tylko wiewiórką.

— Próbującą schrupać orzeszek — odparowała.

— Brzmi zbyt perwersyjnie dla moich niewinnych uszu — powiedziałem.

Wyglądali uroczo, stojąc tak obok siebie. Jak małe Afro— — Amerykańskie lalki. Miała metr pięćdziesiąt w dobry dzień. Kiedyś wyglądała jak Salt'n'Pepa. Wszystkie razem i Spinderella obok siebie. Taka była gruba. Ale zapisała się na siłownię sześć razy w tygodniu, wynajęła prywatnego trenera, skorzystała z diety Oprah i schudła prawie trzydzieści kilo. Solomon ma prawie metr sześćdziesiąt, ale ze sposobu, w jaki chodzi, i timbru głosu można by pomyśleć, że ma przynajmniej metr osiemdziesiąt. Połysk jego włosów podpowiadał mi, że znów je przefarbował. Toczył walkę z przedwczesną siwizną.

Zoe pomaszerowała z moim płaszczem i skórzanymi brązowymi rękawicami. Przez chwilę pomyślałem o rękawiczkach Kimberly. Zobaczyłem wszystkie kolory. Przypomniałem sobie jej współczucie i to, jak ciepłe były jej ręce na moich. Myślałem o jej pocałunkach bardziej niż o czymkolwiek innym.

Pokręciłem się po pokoju i porozmawiałem prawie ze Wszystkimi, szczególnie tymi, których nie znałem. Yasmean była Mulatką w zielonej bluzie i złotej fryzurce na pazia. Miała trzy pieprzyki na pełnej piegów twarzy i rozluźnioną posturę. Solomon chciał nas sobie przedstawić już parę miesięcy temu, ale wtedy już chodziłem z J'nette. Yasmean uśmiechnęła się, ucisnęła mi rękę, przytrzymała ją za długo.

J'nette i Toni spojrzały znad stolika. Te same naburmuszone miny, każda zmarszczka na czole miała swój duplikat, tyle że wyraz twarzy Toni zdawał się pochodzić z serca. J'nette powinna odnaleźć Czarnoksiężnika*¹³, żeby zdobyć czyjeś serce.

— Jak leci, J'nette? — spytałem najuprzejmiej jak mogłem. — Toni?

— Nie leci — odpowiedziała Toni i tak mocno trzasnęła klockiem o stół, że aż kieliszki z winem drgnęły. Odgarnęła włosy z twarzy i aroganckim tonem rzuciła: — Dwadzieścia pięć punktów.

¹³*W oryg. The Wizard — Czarnoksiężnik z Krainy Oz.

— Nie wiedziałam, że przyjdiesz — powiedziała J'nette nie podnosząc wzroku. Wyczułem jej sarkazm. Cuchnął z daleka. Przy niej pielęgniarka Ratchid*¹⁴ wyglądała jak Królowa Śnieżka.

— A ja nie wiedziałem, że ty przyjdiesz — odparłem chłodno.

— Czy ktoś ma balsam do ciała? — spytała ze złościwością.

Toni zachichotała, przybiła J'nette piątkę. Solomon poszedł za mną do kuchni. Kostki domina głośno uderzały o stół.

— O co chodziło? — spytał.

— Jedzenie wspaniale pachnie — sprowadziłem rozmowę na inne tory.

— Nie żałuj sobie.

Wziąłem papierowy talerz, podszedłem do kuchenki i zdjąłem pokrywki z kilku garnków. Z okna, które wyglądało na Piątą Aleję, widziałem nagie drzewa w Central Parku, szpital Mt. Sinai i odcinek East River. W niektóre dni widać było wyraźnie 40. Ulicę i Trump Plaża. Facet miał najwspanialszy widok na świecie. Nie miał zasłon, żeby móc obserwować każdą pogodę.

— Sam gotowałeś? — spytałem.

— Gdzie tam. Nie gotuję w niedzielę.

— Ale dziesięć minut po wyjściu z kościoła, przechodzisz przez ulicę, urządzasz przyjęcie i słuchasz bluesa?

— Zgadza się.

Hipokryta.

— Zoe przygotowała kurczaka. Yasmean przyniosła kapustę. Placek ze słodkich ziemniaków jest w lodówce.

— J'nette i Toni coś ugotowały?

— Te pijawki nigdy niczego nie przynoszą. Przecież wiesz.

— To znaczy, że można jeść spokojnie. Żadnego cyjanku.

— Tak. — Solomon wziął swój talerz. Jedliśmy na stojąco. Ktoś zmienił płytę. Temprees śpiewali „Thousand Miles Away”.

¹⁴*Nurse Ratchid — postać z powieści Kena Keseya „Lot nad Kukulczym Gniazdem”. Osoba niezwykle antypatyczna.

— Więc jak jest z tobą i Zoe?

— Teraz — powiedział z uśmiechem — tak świetnie, że nie mogłoby być lepiej.

— Rozumiem.

— Topi się jak lód na gorącej patelni — powiedział Solomon.

— Co dalej?

— W tym tygodniu poznam jej córeczkę, Sierę.

— Ile ma lat?

— Cztery.

— DaReus ma cztery latka, nie? — spytałem.

— Mój synek ma trzy. Przyjeżdża tu na lato.

— Brzmi poważnie.

— Oglądałem pierścionki. Jeden nawet mi się spodobał.

— Jesteś gotowy znów się ożenić?

— Już ci mówiłem, Zoe to moja przyszłość.

Solomon uganiał się za Zoe i próbował zaskarbić sobie jej łaski przez ostatnie pół roku. Uganiał się ostro. Romansował za grube pieniądze. Nie dawał za wygraną, nawet gdy jeszcze miała chłopaków. Mówił, że ona ma to coś, czego on pragnie i że będzie ją ścigał aż do końca świata. Wygląda na to, że warto było. Dla obu stron. Oboje promienieli. Osobiście, uważam, że udawała trudną do zdobycia, ponieważ była go zupełnie pewna.

Solomon zmienił temat.

— A co z tobą i J'nette?

— Absolutnie nic.

— Ona do ciebie nie pasuje. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

— Jakbym nie wiedział.

— Nie miałem pojęcia, że ona tu przyjdzie. Wiesz, wcale jej nie zaprosiłem. Weszła z tym swoim humorkiem. Jeszcze się bardziej naburmuszyła, jak powiedziałem Zoe, że już jesteś w drodze. Miałem nadzieję, że wyjdzie, zanim ty przyjdiesz.

— Chciałbym spotkać ją w metrze czekającą na pociąg i zepchnąć jej wredny tyłek na szynę pod napięciem.

Solomon roześmiał się i wciągnął mnie głębiej do kuchni. J'nette spojrzała na mnie wrogo, a potem zwróciła wzrok ku swojej równie wrednej siostrze. Obydwie wyglądały jak czarownice.

— Co to za facet z J'nette? — spytałem.

— Ten zwrócony do ściany to Carlton. Ten drugi to Rodney. Weszli tu ramię w ramię. Chciałem ci o tym powiedzieć przez telefon, ale bałem się, że możesz nie chcieć się opatulić i sprowadzić tu swojego tyłka w taką pogodę.

— W porządku. — Przełknąłem łyk napoju. — Nie przeszkadzają mi.

— Jesteś pewny?

— Tak. J'nette jest już skreślona. Historia. Zmieniam kanały. Na początku była fajna, ale się zmieniła i zaczęła grać trudną do zdobycia. A teraz nie zostanie zdobyta.

Solomon zmarszczył brwi.

— Chcesz, żebym ją wyrzucił? Zrobię to.

— Zadzwoń do grubej Elaine. Przyjechałaby tu z

SoHo w mgnieniu oka i mielibyśmy je wszystkie na karku, jakbyśmy coś przeskrobali.

Opowiedziałem mu o Kimberly, pomijając kwestię rasy. Opowiedziałem o jeździe taksówką, o jej pracy, o tym, jak wpadliśmy na jej byłego, o seksie, o tym, jak ten były pojawił się przed domem w środku nocy, o tym jak na mnie na— skakiwał i o nocnym powrocie do domu, zanim zaczęłyby się zamieszki.

Solomon promieniał.

— Zadzwoń do niej. Brzmi bardzo ciekawie. Wróbel w garści.

— Myślisz, że powinienem?

— Widzisz? Właśnie to jest złe u czarnych braci. Zawsze czekają na telefon. Schlebiaj, adoruj, właśnie to powinien robić czarny mężczyzna.

— Ona nie jest siostrą.

Zniżył głos i uniósł brwi.

— Portorykanką?

Pokręciłem głową.

Zniżył głos o oktawę.

— Włoszką?

Pomyślałem o tym i pokręciłem głową.

— Żydówką?

Pokręciłem głową i nerwowo się zaśmiałem.

Bardzo niskim głosem zapytał:

— Po prostu zwykłą białą?

Skurczyłem się i kiwnąłem głową.

Na jego twarz wystąpił głupi uśmiezek.

— Kłamiesz gorzej niż trzydniowy trup. Nie jesteś z żadną Betsy Ross. Próbujesz mnie tylko podpuścić.

— Mówię zupełnie poważnie.

— Nabierasz mnie.

— Czy wygląda jakbym żartował?

— Ty się nie umawiasz z białymi kobietami. Nie facet z portretem Malcolma X w biurze. Tyle narzekasz na białych, z którymi pracujemy. Wciskasz mi kit, co?

Jego ton przeszedł z braterskiej w ojcowską troskę. Chodziło o to, że obaj byliśmy z Południa. Negatywne podejście do kulturowej mieszanki płynęło nam we krwi: zostało wprowadzone do organizmu dziewięć miesięcy przed naszym urodzeniem. Solomon westchnął i zniżył głos do szeptu. Tak jak to robili Babcia i Dziadek i inni starsi czarni z Południa, kiedy się spotykali i narzekali na białych, mimo że najbliższy biały mieszkał dwa hrabstwa od nich.

Powiedział:

— Słuchaj, to twoja sprawa, ale wiesz, co siostry zawsze mówią o wykształconych braciach, którzy zrobią karierę i kiedy tylko zaczną dostawać wypłatę, kręcą się po Bensonhurst, próbując coś poderwać.

— To nawet nie o to chodzi.

— Nie kryjesz się z tym?

— Mówisz tak, jakbym powinien to ukrywać.

— Masz malarię*¹⁵?

— Gdybym miał, zażyłbym aspirynę i zadzwonił do siostry.

— Pamiętaj, jak spotykasz się z białą, lepiej się nie afiszuj. Bo jak porzucisz swych braci, nie będzie powrotu.

Solomon martwił się o mnie, nie planował rewolucji.

— Tylko dlatego, że podobają mi się kobiety innej rasy czy koloru skóry, nie znaczy, że nie lubię moich silnych czarnych sióstr — powiedziałem.

— Poczekaj, czy to nie jest na jakiejś płycie?

— En Vogue. Maxine, Cindy, Dawn i...

— Terry Ellis. — Podrapał się w krocze. — Bóg jeden wie, że chciałbym zanurzyć tę dziewczynę z Południa w jakimś sosie i ją schrupać.

— Trochę tylko pozmieniałem słowa.

— Tak myślałem. — Uśmiechnął się szeroko. — Jest ładna?

Zacząłem małpować jego akcent:

— Ładna jak malowanie.

— Dobrze. Nie potrzeba nam kolejnych braci przeciągających jakieś brzydule na naszą stronę. Nie potrzeba nam brzydkich dzieci o dziwnych kształtach. Ma duży tyłek?

— Czy J'nette jest wredna?

Roześmialiśmy się i zaczęliśmy żartować. Opowiedziałem mu, jaka Kimberly jest świetna. Potem zaczęliśmy gadać o tym, jak czarni mężczyźni lubią duże tyłki. To dla nas typowe. Tak je kochamy, że piszemy piosenki o pożądaniu na ich cześć. „Baby Got Back”. „Doin' Da Butt”. „Rump Shaker”. „Bertha Butt Boogie”.

Kiedy przybijaliśmy piątkę, J'nette wtrąciła się niegrzecznie i stanęła obok nas. Kilka razy odchrząknęła, za każdym razem trochę głośniej. Nie spojrzałem na nią. Solomon spojrzał, ale potem odwrócił wzrok. Przewróciła

¹⁵ *Malaria — w orygl. *Junglefever*. Aluzja do słynnego filmu Spike'a Lee przedstawiającego burzliwy romans Afro-Amerykanina z Amerykanką włoskiego pochodzenia. On mieszkał w Harlemie, ona w Bensonhurst.

oczami i popatrzyła na niego tak wrogo, że aż się wzdrygnął. Podeszła do mnie z jeszcze mniejszym szacunkiem.

— Jordan — powiedziała zjadliwie. — Musimy porozmawiać.

— Pogadajcie sobie — powiedział Solomon, wycofując się. — Muszę sprawdzić parę rzeczy.

Minął J'nette nie dotykając jej. Odsunęła się od niego, jak gdyby nie mogła znieść kontaktu z nikim, kto był mi bliski, potem wbiła wzrok w esencję mej męskości, jakby źle mi życzyła, zassała zęby.

— Co słyhać? — spytałem.

— A jak ci się zdaje?

— Ty mi powiedz.

— Cóż, krucho u mnie z kasą, a muszę się tym zająć. Potrzebuję od ciebie trzysta dolarów.

— Na?

— Jak to na?

— To znaczy, dlaczego potrzebujesz trzystu dolarów i dlaczego myślisz, że to ja powinienem ci je pożyczyć?

— Pożyczyć?

— Chyba rozumiesz to pojęcie, nie? Jeśli nie jestem ci dłużny i ci daję, to ci pożyczam.

— Nie, nie. — Przez ułamek sekundy wydała się krucha, potem wróciła do twardego spojrzenia. — Masz mi dać pieniądze, żebym mogła się tym zająć w ciągu kilku dni.

— Czym się zająć?

— Nie zgrywaj idioty, Jay.

— Więc zrobiłaś test?

— A myślisz, że dlaczego potrzebuję pieniędzy?

— Dlaczego miałbym ci je dać?

— Jesteś mężczyzną, więc bądź mężczyzną i zachowaj się po męsku.

— Kim są ci goście, z którymi przyszłaś?

— Przyjaciele, który przyjechali z nami z Jersey.

— Przyjaciele?

— Żebyśmy nie musiały same jechać metrem.

— Więc jesteś w ciąży?

— Powiedziałam ci, że nie miałam okresu, a poza tym przybieram na wadze.

— Ale nie zrobiłaś testu ciążowego?

— Nie.

— Tak czy inaczej, nie mam trzystu dolarów.

— Czemu nie?

— Wydałem wszystko na balsam do ciała.

Gwałtownie wybiegła do drugiego pokoju, zaczęła śmiać się i rozmawiać z nowymi ludźmi, którzy właśnie weszli, jakby nic się nie wydarzyło.

Nie zamieniliśmy ani słowa przez resztę wieczoru, ale zauważyłem jej przeszywające spojrzenie, szyderczy uśmiech, chłodniejszy niż styczeń na Alasce.

Miałem wobec niej złe przeczucie. Powstawało w głębi mego ciała i mówiło, że w ogóle nie powinienem być się z nią zadawać. Oboje podobaliśmy się sobie fizycznie, ale się nie lubiliśmy. Przynajmniej nie poza łóżkiem. Nigdy tak nie było ani nie będzie. Jednowymiarowa zgodność okazała się zdecydowaną niezgodnością.

Parę minut później miałem już dość moich głośnych i na— buzowanych przyjaciół i zacząłem się żegnać. Uwielbiam przyjęcia, ale znoszę hałas tylko w małych dawkach i dzisiejszą dawkę już zażyłem. Większość z nich będzie balować do drugiej nad ranem, a potem dowlecze się jakoś na dziewiątą do pracy. Ja potrzebuję siedmiu do ośmiu godzin snu codziennie.

Przy drzwiach Ysmean przytuliła mnie długo i spojrzała na mnie z pożądaniem. Przytuliłem ją jedną ręką i zignorowałem jej pocałunek.

Właśnie kiedy winda się otworzyła, J'nette pojawiła się nagle i wskoczyła do windy razem ze mną bez płaszcza i butów. Miała zmarszczone czoło.

— Jay, czy możemy minutkę porozmawiać? — spytała.

Miała surowy wyraz twarzy, ale w jej oczach tańczył strach.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wcisnęła przycisk na najwyższe, dwudzieste czwarte piętro.

— Jay, przepraszam, że się naprzykrzam, ale potrzebuję twojej pomocy...

— J'nette...

— Wysłuchaj mnie, dobrze?

Winda stanęła po dwóch piętrach. J'nette wzięła mnie za rękę i wyciągnęła z windy, kiedy dozorca i kilku podejrzanym wyglądających facetów weszło do środka. W korytarzu zatrzymała się i umilkła. Szukała właściwych słów, opierając się o betonową ścianę.

— Dobrze — powiedziałem. — Mów. Muszę iść.

— Wiem, że nasz związek nie istnieje. Nie próbuję cię usidlić i nie igram z tobą, żeby wyłudzić trochę kasy. Ale wiem, że jestem w ciąży i nie mam się do kogo zwrócić, więc potrzebuję twojej pomocy. Gdybym miała pieniądze, sama bym to załatwiła. To gówno strasznie mnie wkurza. Pożycz mi, a oddam, kiedy tylko będę w stanie. Nie chcę zwracać się o pomoc do swojej rodziny. Toni nic nie wie i nie chcę, żeby rodzina wiedziała. To sprawa tylko między nami. Będziesz mógł spokojnie odejść i nikt nie pomyśli, że jesteś złym facetem. Więc możesz mi pomóc?

— Jesteś pewna, że jesteś w ciąży?

— Tak. Już to przerabiałam. Znam swoje ciało.

Stałem przy oknie w korytarzu, plecami zwrócony do Madison Avenue i miliona drapaczy chmur.

— Ze mną? — spytałem.

J'nette zmrużyła oczy. Żyła wystąpiła jej na czoło. Poruszyła się, jakby zamierzała mnie znokautować, ale zmiękła, jej ramiona opadły. Ukryła twarz w dłoniach i wyszeptała:

— Nie wiem.

Zamrugalem chyba z milion razy.

— Nie wiesz?

— To znaczy, tak mi się zdaje.

— Jak możesz nie wiedzieć?

Ta cisza powiedziała mi dużo o naszym związku. Powiedziała mi dużo o jej krętaćwie. Ta sama cisza posłała mnie z powrotem do koledżu, z powrotem na Uniwersytet Memphis, kiedy myślałem, że całe swoje życie spędzę z Sabriną. Pomyślałem, że teraz bylibyśmy już po ślubie. Tak samo mnie oszukała, zostawiła samotnego, na skraju bankructwa i ze złamanym sercem. Zmusiła, żebym dokładał się do jej czynszu, podczas gdy ktoś inny wkładał klucz do jej zamka.

— To możliwe — odpowiedziała J'nette.

Mrugnąłem, złagodziłem spojrzenie, ale gniew nadal pobrzmiwał w moim głosie.

— Dlaczego nie poszłaś z tym do tego drugiego faceta?

— Nie mogę

— Dlaczego?

— To zbyt skomplikowane.

— Skomplikowane?

— Bardzo.

— To jest popieprzone. Oto co jest skomplikowane.

— Odejdź jeśli chcesz. Nie będę cię winić. Ja bym odeszła.

— Dam ci te pieniądze — powiedziałem.

Patrzyła na swoje stopy, na piaskowe kafelki. Bez względu na to, jak się wkurzałem, to nie była wyłącznie jej wina. Ona tylko ponosiła konsekwencje.

— Chcesz, żebym z tobą poszedł? — spytałem.

— Nie. — Skrzywiła usta i zmarszczyła czoło. — Nie wydaje mi się, bym mogła na ciebie spojrzeć, jak już będzie po wszystkim.

Staliśmy w korytarzu, znieruchomiali w spokoju. Twardą J'nette zastąpiło niewinne, niespokojne dziecko. Przy całej surowości, nie mogła teraz na mnie spojrzeć nie odwracając się.

— J'nette, dlaczego cały czas zgrywasz taką twardzielkę?

— Nic na to nie poradzę. — J'nette uśmiechnęła się z wyższością. — Taki mam charakter. Jestem dziewczyną z Bronksu.

— Czy mogę podrzucić ci je do biura w poniedziałek?

— Zwolnili mnie w piątek.

— Co?

— Zwolnili czworo z nas po lunchu bez wypowiedzenia.

— Bez wypowiedzenia?

Potrząsnęła głową.

— Wyrzucili mnie. Tuż przed świętami. Jestem spłukana, bo wydałam już wszystko na gwiazdkowe prezenty. I właśnie zapłaciłam czynsz. Więc muszę wykombinować, co zrobić, żeby zachować dach nad głową po świętach.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— A co byś zrobił?

Wzruszyłem ramionami. Nie wiem, czemu ją o to spytałem.

— Nie pasujemy do siebie — powiedziała.

Skinąłem głową.

— Dlatego przyszedłam do ciebie w środku nocy taka wkurzona. Musiałam z kimś pogadać.

— Dlaczego wtedy nic nie powiedziałaś?

— Z powodu tego, jak spojrzaleś na mnie, kiedy mnie zobaczyłeś.

— Czego się spodziewałaś, czerwonego dywanu?

Wzruszyła ramionami.

— Pragnęłam, by ktoś mnie przytulił. Byłam taka samotna. Nie jestem dobra w mówieniu takich rzeczy.

Wypisałem jej czek. Objęła mnie.

— Jay, przykro mi, że tak się to skończyło.

Jej głowa leżała na mojej piersi. Miała zapchany nos. Puściłem ją, ale na nią nie spojrzełem. Teraz nie byłem w stanie spojrzeć na nią nie widząc błysku mojego nie narodzonego dziecka w jej oku. Może czuła to samo, bo odwróciła się plecami i poszła korytarzem, skulona, lewą ręką wycierała oczy, w prawej trzymała czek.

— Nie patrz na mnie — powiedziała. — Odezwę się.

— Obiecujesz?

— Idź już. Dzięki.

— Jeśli będziesz mnie potrzebowała, to dzwoń.

— Idź. Przestań udawać zatroskanego.

Jak włóczęga powlokłem się z powrotem do windy, zakrztusiłem się własną duszą, kiedy powiedziałem ochryple:

— Słuchaj, J'nette...

Odwróciła się i prawie warknęła:

— Nie dzwoń do mnie. Nic mi nie będzie.

Nastała zbawienna cisza. Drzwi windy zamknęły się z trzaskiem. Rozłączyły nas w osobne życia. Pozostawiły mnie z obrazem J'nette trzęsącej się z trzystudolarowym czekiem w zaciśniętej dłoni i upartymi łzami wypływającymi z jej przekrwionych oczu.

Zabolało do żywego. Gdyby nie seks, moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Świetnymi przyjaciółmi, którzy stworzyliby wspaniałą związek, gdybyśmy tylko trochę lepiej się poznali.

Teraz twierdziła, że wewnątrz niej istnieje życie z moim kodem genetycznym. I jeśli mówiła prawdę, to życie nie ujrzy światła dziennego. Nie dożyje pierwszego oddechu. Może dlatego ścisnęło mnie w gardle, a oczy wypełniły się łzami. Więc zagryzałem wargę i uderzałem rękawicami po ręce. Zrobiłem kilka głębszych wdechów. Potarłem oczy i zastanowiłem się. Próbowałem doprowadzić się do porządku, by wyjść na ulicę, minąć róg Central Parku, dojść do 110. Ulicy i dalej do przystanku metra, gdzie żebracy i uliczni muzycy w smrodzie i hałasie próbują naciągnąć kogoś, by zarobić na następny posiłek.

J'nette odchodziła z częścią mnie. Zacząłem myśleć o tym jeszcze intensywniej, kiedy doszedłem do holu i zobaczyłem wbudowany plac zabaw. Dlatego Solomon lubił ten budynek, bo jego synek miał się gdzie bawić, kiedy przyjeżdżał. Kochał swojego syna.

Stałem na ulicy naprzeciwko kościoła baptystów i zastanawiałem się, czy J'nette jest w ciąży z chłopcem czy dziewczynką. J'nette odchodziła z częścią czegoś, co Mama zostawiła mi w spadku i co stworzyła, by trwało. Bardzo mnie to przygnębiło. Spowolniło drogę do metra. Odsuwając na bok wszystkie żarty, też jestem człowiekiem. Ale wydarzyło się zbyt wiele, żebyśmy mogli zostać tylko przyjaciółmi.

6. Jordan Greene

Poniedziałek rano. Walkman nastawiony na 98.7. Isaac Hayes rozgrzewa fale klasycznym soulem na KISS-FM. Wyszedłem z metra, gdzie zatrzymuje się pociąg linii E. Albo rusza. Zależnie od tego, gdzie się jedzie. Znowu zdumiało mnie, jak tylu ludzi mogło stać stłoczonych ramie w ramie i nikt nie rozmawiał. Nikt na nikogo nie patrzył.

Przedarłem się przez tłum i wyszedłem na dwór. Padał śnieg. Isaac wykorzystywał swoją pozycję i puszczał swój własny kawałek „*By the Time I get to Phoenix*”.

O dziewiątej byłem już w siedzibie CompSci, budynku z czarnego szkła, który wyglądał nowocześniej i bardziej elegancko niż większość starych budynków z cegły i betonu wznoszących się wysoko nad miastem. Budynek zwrócony był w stronę New Jersey i z jego okien roztaczał się widok na Światowe Centrum Handlu i rzekę Hudson.

Otrzeptałem śnieg z ramion, pospacerowałem do biura, rzuciłem rękawice, płaszcz, skórzaną aktówkę i szalik na brązowe krzesło obrotowe przed moim komputerem. Było ciepło, więc zdjąłem granatowy sweter, zanim usiadłem w skórzanym fotelu zwróconym do zdjęcia Malcolma X wiszącego na ścianie.

Potem zadzwoniłem na dół i poprosiłem J'nette Barrett. Jedna z jej przyjaciółek powiedziała mi, że ją zwolnili. Chciałem się upewnić. Nienawidzę, kiedy ktoś gra ze mną nieczysto.

Zamierzałem powiesić płaszcz na stojaku na zapleczu niura, kiedy zauważyłem, że do czarnej wełny przyczepiło kilka rudych włosów. Potem coś jeszcze przerwało nowy tok myślenia, trochę go spowolniło. Mark Yamamoto, jeden z facetów pracujących w moim zespole, wetknął głowę w drzwi. Mark ma trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt, ciemne włosy. Jest gładko ogolony i nosi ciemny garnitur.

Powiedział „cześć”, wyciągnął szyję w moją stronę, zniżył głos i powiedział:

— Słyszałeś?

— Jakie wiadomości?

Powiedział, że w piątek zwolnili dwie osoby z naszego piętra. Jednego z kierowników średniego szczebla i głównego programistę. Kierownik pracował tu od dwudziestu siedmiu lat; programista przyszedł z Microsofta dwa lata temu. Nierozważny krok.

Mark powiedział, chichocząc nerwowo:

— Kiedy cię nie widziałem w piątek wieczorem, pomyślałem, że też cię dopadli.

Pokręciłem głową, uśmiechnąłem się jak ktoś pewny swojego stanowiska.

— Wyszedłem wcześniej.

Nasze spojrzenia zmieniły się w posępne miny. Wyszedł.

Nadal trzymałem płaszcz. Dwa kręcone rude włosy przyłgnęły do kołnierza jak wspomnienie, które nie chciało przeminąć. Zwalczyłem pragnienie, potem przytknąłem płaszcz do nosa. Zrobiłem wdech. Lekki zapach Passion unosił się z kołnierza. Nie wiem, czy ten zapach został tu po lym, jak obejmowałem Kimberly, czy jak przytuliłem J'nette. Wrzuciłem długie rude włosy do śmietnika. Wyrzuciłem włosy, ale zachowałem wspomnienie.

Pulchna blondynka w średnim wielu, w długiej sukni w kwiaty wetknęła głowę do biura. Edna. Była kiedyś sekretarką naszej grupy, ale została przeniesiona do innego kierownika w dalszej części korytarza. Nikt tak naprawdę jej nie lubił, jakoś nam się jednak układało. Nigdy nie mijalem jej stanowiska pracy, ale ona zawsze przychodziła poplotkować kilka razy w tygodniu. Zawsze się na mój widok uśmiechała.

— Zjemy dzisiaj lunch? — spytała.

— Pewnie. Spotkajmy się w stołówce o dwunastej.

— Lepiej o w pół do pierwszej — powiedziała.

— Nie ma sprawy.

— Więc do zobaczenia.

Wyszła.

Byłem zajęty przygotowaniem do zebrania, które zapowiedziano na początku tygodnia. Dziwne myśli i wizje zaczęły galopować w mojej głowie. Uczucia, które rozbudzały moje lędźwia. W oczach miałem ramiona Kimber-

ly, kształt jej piersi' smakowałem wino zmieszane z jej śliną, słyszałem okta-
wy jej zadowolenia, kiedy tańczyłem wewnątrz niej, czułem ją na sobie, ob-
serwowałem jej cień podskakujący na ścianie, przynoszący mnie z agonii w
ekstazę. Oddech miałem ciężki jak ołów. Rozpocząłem weekend odmroże-
niem, a ona rozpałała mnie w ciągu kilku godzin. Zmieniła moje fantazje w
uniesienie. Uszkodziła mi też mózg. Cholera. Żałuję, że powiedziałem Solo-
monowi o tym, co się wydarzyło. Mama mówiła nam, że jak się zdradzi sekret
jednej osobie, to nie jest to już sekret. Wieść poszła i moja sprawa mogła już
być własnością całej społeczności. Powinienem był zostawić swoje tajemnice
w łóżku. Wzbierał we mnie gniew. Chciałem skłamać, ale pocałunki jeszcze
nie zwietrzały. Poczułem jakiś naturalny haj. Próba niemyślenia o niej koń-
czyła się myśleniem o niej jeszcze intensywniej.

Stałem przy oknie i patrzyłem, jak śnieg okrywa kolejną warstwą Wielkie
Jabłko*¹⁶ przejechałem językiem po ustach, próbując polizać się tak, jak ona
mnie smakowała.

Za moimi plecami ludzie przechodzili śmiejąc się i rozmawiając głośno
jak cholera. Wyrwałem się z transu, narzuciłem sobie tempo i sprawdziłem
pocztę głosową. Mój brat Darrell dzwonił w piątek wieczorem. W jego tonie
pobrzmiwały złe nowiny. Powiedział tylko, że to pilne — co oznaczało, że
mam sięgnąć do kieszeni po pomoc finansową — i nie podał żadnych szcze-
gółów. Dzwonienie na zamiejscową i niezostawianie wiadomości eliminuje
cel automatycznej sekretarki. Będzie musiał poczekać, aż będę w kulo-
odpornym nastroju.

Solomon zadzwonił i zostawił wiadomość, kiedy przyszedł do biura o
szóstej rano. Wygląda na to, że pojawiał się w pracy jeszcze przed woźnym.
Wierzył, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Oddzwoniłem do niego.
Chwilę potem stał u mnie w biurze w garniturze od Brooks Brothers, sącząc
kawę.

Ziewnął i zamknął drzwi kiedy wszedł.

— Co tam na dole do cholery zaszło pomiędzy tobą a J'nette?

— Nic. — Wzruszyłem ramionami. — Skąd to groźne spojrzenie?

— Po pierwsze, nagle wychodzisz. Ona wybiega za tobą. Kiedy wreszcie
wraca, idzie prosto do łazienki i nie chce wyjść. Zoe musiała tam wejść i
chwilę z nią posiedzieć. Toni strasznie się wściekła i zaczęła cię obrzucać
wszystkimi wyzwiskami.

¹⁶ *The Big Apple — przydomek Nowego Jorku.

— Musieliśmy porozmawiać o pewnych niedokończonych sprawach.

— Nie jestem Sherlockiem — usiadł w obrotowym fotelu i pogładził wąsy — ale każdy na to wpadł, kiedy tak wybiegła za tobą na korytarz. A teraz, przestań nadawać szyfrem.

— Co powiedziała J'nette?

— Nic. Była tak wymijająca jak ty teraz.

Usiadłem na brzegu biurka i opowiedziałem mu, co zaszło. Z każdym słowem, każdym gestem mój umysł przeskakiwał z miejsca na miejsce. Kimberly. J'nette. Obydwa miejsca wydawały echo różnych smaków żalu. Mówiłem o J'net— te, ale Kimberly wślizgiwała się w moje myśli. Moja wyobraźnia była przepełniona i kielich się przelewał. Język nadal poruszał się swoim rytmem, całując rudowłosa. Oczy próbowały przywołać jej obraz, zastanawiałem się, co do mnie czuła. Co czuła, kiedy mnie dotykała.

Solomon nadawał, wymyślając J'nette. Błądziłem myślami, spojrzałem na prawą ścianę, na zdjęcia silnych czarnych mężczyzn, który na mnie patrzyli. Każdy beształ mnie wzrokiem. Obserwował każdy mój ruch.

Solomon zaczął mówić tak głośno, że kilka razy musiałem go uciszyć.

— Jest w ciąży? Od jak dawna?

— Od dwóch miesięcy. Chciała, żebym jej dał trzysta dolarów.

— Trzysta przeklętych dolarów?

Westchnąłem, kiwnąłem głową.

Potrząsnął głową, popił kawy.

— Dałeś jej?

— Tak.

— Dlaczego zrobiłeś coś tak głupiego?

potarłem oczy, nic nie powiedziałem.

— Bracie — zakrztusił się — ona najprawdopodobniej kłamie. Urządziła sobie zabawę, wmawia każdemu, z którym była, że jest w ciąży, i kasuje trzysta dolarów na prawo i lewo. A niech cię, założę się, że drugie tyle dostała od faceta, z którym przyszła.

Powiedziałem mu, jak była zdenerwowana w korytarzu. Jak płakała.

Solomon zachichotał, potrząsnął głową.

— Jordan, Erica Kane płacze tysiąc dwieście razy dziennie, co nie znaczy, że jest w ciąży.

— Solomon...

— Uspokój się, bo jeszcze nie skończyłem. Nie wydaje ci się dziwne, że gdy tylko zostaje zwolniona, przychodzi do ciebie z płaczem, że jest w ciąży, i bardzo, ale to bardzo liczy na twoją hojność?

— Solomon...

— A gdzie jej pieniądze? Pracowała tu od pół roku, nadal mieszkając z rodzicami, i nie zaoszczędziła trzystu dolarów? Co to za bzdury?

— Solomon...

— Kurczę, mogła wziąć zaliczkę z karty kredytowej.

— Solomon!

— Co?

Spojrzałem na złoty zegar na ścianie.

— Już prawie czas na moje poranne poniedziałkowe spotkanie personelu.

— A kogo to obchodzi? Gdybyś teraz padł trupem, to wiesz co? To spotkanie nadal by się odbyło.

Przestał się wściekać, zgniótł kubek, wrzucił go do śmietnika, przeciągnął się, zawył i ziewnął.

— Kiedy ostatni raz ją widziałeś albo z nią byłeś, zanim pojawiła się prosząc o pieniądze?

— Rozumiem, co sugerujesz. Zabieraj nogi z mojego biurka.

Nie zabrał ich. Powiedział:

— Anuluj ten czek.

Przerwało nam czyjeś pukanie do drzwi. Kolejny z moich podwładnych przyszedł sprawdzić, czy spotkanie się odbędzie zanim wyjdzie do laboratorium. Pod włosami blond i uśmiechem przystojniaka miał ten sam niepewny wyraz twarzy, to spojrzenie mówiące: Mam nadzieję, że nie będę następny. Spojrzenie, które miało teraz wielu ludzi w biurze.

Kiedy wyszedł, zmieniłem temat i spytałem Solomona:

— Czy kogoś zwolnili w twoim dziale?

— Nasze cięcia zaczynają się dopiero w ten czwartek. Nie ma roboty i będę musiał zwolnić dwie osoby. Naprawdę nie mam na to najmniejszej ochoty.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilę i przełożyliśmy spotkanie na szczycie czarnych na później. Ziewnął, znów się przeciągnął i udał się z powrotem na dół do działu systemów.

Wziąłem trochę drobnych na kawę, już miałem wychodzić, kiedy nagle spojrzałem na matowe zdjęcie Martina Luthera Kinga Jr. Zdjęcie zrobione, kiedy siedział w więzieniu białego człowieka. Czarno-białe zdjęcie. Był sam, z pochyloną twarzą, poważną miną. Gapiłem się na zdjęcie człowieka, który miał głowę pełną marzeń i chciał usłyszeć dzwon wolności.

Do tego czasu Kimberly i Eric musieli się już pogodzić. Spakowała się i przeniosła na swoją stronę torów, z powrotem do swojej artystycznej społeczności. Jej wizytówka była w moim portfelu. Portfelu cieńszym o trzysta dolarów. Pogapiłem się przez chwilę na telefon. Poczulem, jak ogień opanowuje mój kręgosłup. Powinienem z grzeczności zadzwonić, upewnić się, czy Ericowi nie odbiło po tym, jak wyszedłem. Okropnie bym się czuł, gdyby się okazało, że ją pobił. Ale to, co się działo po ich stronie torów, nie było moim problemem.

Jordan, a to jest pierwsza kolonialna stolica Ghany.

Czy to nie był jeden z dużych targów niewolników?

Tak. Z pewnością. A ten port to Takoradi.

Dobra, a co to jest?

A, to Qumasi. Centrum imperium Ashanti.

Interes to interes, więc mogłem przybrać oficjalny ton, wykręcić jej numer i upewnić się, czy sprzeda mi jedną ze swoich prac. Tak, to mogłem zrobić. Interes to interes. Kimberly Chavers miała talent i zdolności, którym trudno było zaprzeczyć. Jej potencjał był ogromny. Pewnego dnia mogła stać się sławna i wtedy jej prace miałyby poważną wartość. Głupotą było nie skorzystać z okazji. Na dłuższą metę mógłbym odzyskać te trzysta dolarów, które straciłem, stawiając 0a uczucia J'nette.

palące pragnienie, które wywołała Kimberly, rozprzestrzeniało się. Smakowałem jej inteligencję od stóp do głów. Ona zrobiła ze mną to samo.

Kiedy podniosłem słuchawkę, uniosłem wzrok, stanąłem twarzą w twarz z oprawionym zdjęciem człowieka znanego niegdyś jako Malcolm Little. Miał rude włosy, bródkę, okulary i niezwykle charyzmatyczny uśmiech. Zdjęcia Malcolma i Martina nie były jedynymi, które u mnie wisiały. Matowe zdjęcia Coltrane'a i Milesa Davisa zdobiły te same białe ściany. Ale tego ranka czułem, że Malcolm zieje ogniem i marszczy na mnie brwi. Chociaż szeroko się uśmiechał, jego wzrok przeszywał mnie, jakby myślał, że zamierzam kupić parę wstrętnych butów Bruna Magli i wziąć w leasing białego bronco.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że prace Kimberly nie są świetne, ale nie miała przecież wyłączności na talent. W Harlemie był milion miejsc, gdzie można kupić czarną sztukę. Stworzoną rękami, oczami i sercami czarnych. Nie stworzoną z naszej krwi, potu i łez. Odłożyłem słuchawkę.

Okolo pierwszej Edna i ja nadal siedzieliśmy w stołówce, kończąc sałatki owocowe, które wzięliśmy na lunch. Rozmawialiśmy o zwolnieniach. Przy sąsiednim stoliku dwóch czarnych facetów rozmawiało o starej, ale niezupełnie zapomnianej sprawie OJ. Simpsona. Małe umysły nigdy nie mogły wyzwolić się spod czaru spraw mało ważnych. Nadmiernie gestykulowali i kiedy pokój opustoszał, ich głosy stawały się coraz głośniejsze.

Przysadzisty puknął w Biblię i powiedział:

— ...kulturowe odwzajemnienie za grzech ojca. Dlatego nie jest winny.

— Albo jak to ujął James Brown: Czas Zapłaty! — Tyczkowaty facet z krótkim afro roześmiał się jak przemądrzały uczeń wieczorówki.

— OJ. będzie musiał pożyczać od Rodneya Kinga, żeby mu zapłacić. Przybili piątkę.

Rozmawiali o wyjściu na wolność Geronimo Pratta, kiedy podnieśli tacki i ze śmiechem odeszli.

Edna spojrzała na mnie. Zmieniła grymas w ciepły uśmiech.

— Jesteś miły, Jordan — powiedziała.

— Dziękuję — powiedziałem. — Ty też jesteś miła.

— Wiesz, dlaczego cię lubię?

— Nie. — Uśmiechnąłem się czekając na jakiś żart. — Dlaczego?

Zmarszczyła się. Zniżyła głos do szeptu, jakby zwierzała się z najskrytszej tajemnicy.

— Bo nie jesteś taki jak tamci. Jesteś miły.

Mój uśmiech zniknął.

— Co proszę?

— Nie zachowujesz się jak tamci.

— Tamci? Jacy tamci?

Wydeła usta, otworzyła szerzej oczy i skinęła na pusty stolik, gdzie siedzieli woźni.

— Oni.

Zagotowało się we mnie. Kiedy trochę ochłonałem, oparłem się o krzesło i otrząsałem się po tym nagłym prysznicu. Jadałem z nią lunch i spotykałem się od prawie trzech lat, a ona tak właśnie mnie widziała. W wyuczonej od małego wersji *ich*.

Pochyliłem się blisko jej twarzy.

— Ja jestem *nimi*.

Zakryła usta dłońmi, jej blada skóra poczerwieniała. Zrozumiała. Podniosłem rękę do góry, by ją upewnić, że odcień mojej skóry nie blednie jak u Michaela Jacksona. Zaczęła mamrotać jakieś przeprosiny za to, że włożyła sobie biały kaptur na głowę w publicznym miejscu. Jąkała się. Ruszyłem w stronę windy.

Gdy wróciłem do biura, na moim biurku stał tuzin żółtych róż. Od Kimberly. To wyjaśniało, dlaczego gdy wyszedłem z windy, każdy na korytarzu tak się do mnie uśmiechał. Miałem też wiadomość od niej nagraną pół godziny temu. Opadłem na fotel, powąchałem kilka kwiatów, nie mogąc się zdecydować, czy się zarumienić, czy pozostać przy skrzywionej minie. Pogapiłem się na ścianę i zacząłem się zastanawiać, czy nie przesadziłem z reakcją w jej mieszkaniu. Pomyślałem to samo o tym, co właśnie stało się na dole, patrząc na zdjęcia obserwujących mnie braci.

Zobaczyłem, że Edna wychodzi z windy. Jej niebieskie oczy spotkały się z moimi brązowymi. Spuściła głowę, podreptała do swojej klatki, potem zawróciła i pobięła z powrotem do windy.

Znów powąchałem bukiet. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie przysłała mi kwiatów. Teraz zrozumiałem ich moc. Zmiękczały mi serce, tak, rozumiałem prawdziwą moc róży. Zrozumiałem, dlaczego mężczyźni je dają i dla-

czego większość kobiet topi się jak masło, kiedy je dostaje. To musiało działać w obie strony, ponieważ działało na mnie.

Działało, i to jak.

Wyjąłem wizytówkę Kimberly i popukałem się nią w czoło chyba ze sto razy, zanim wykręciłem numer.

W radosnym tonie podziękowałem za róże. Powiedziałem:

— Myślałem o tobie chwilę zanim je dostałem.

Słysząc to, że Kimberly się uśmiechnęła:

— Wymyśliłeś mnie.

— Co?

— Pomyślałeś o mnie, a ja posłałam ci kwiaty i zadzwoniłam. Wymyśliłeś mnie.

— Jak zdobyłaś mój numer do pracy?

— Łatwo. — Miała wesoły głos, jakby nic dobrego czy złego nam nigdy się nie przydarzyło.

— Zadzwoniłam na centralę i poprosiłam o EXtra faceta.

Roześmialiśmy się.

— Chyba ci to nie przeszkadza? — spytała.

— Zdobyłaś nagrodę za oryginalność, wyzwanie i odwagę.

— Czy to dobrze?

— Dzisiaj tak.

— Cóż, nie wiedziałam, co myślisz.

— O?

— Miałam nadzieję, że nie pomyślałeś sobie, że podrywam facetów w taksówkach i sam wiesz. Chcę chyba powiedzieć, że mi się podobasz i chciałabym cię jeszcze zobaczyć. To znaczy, może moglibyśmy gdzieś razem pójść, napić się cappuccino czy coś. Może kupimy bilety na Times Square i obejrzymy jakąś sztukę?

To był ciężki dzień. A właściwie ciężki sezon. Uśmiechnąłem się do jej ciepłych słów, do sposobu, w jaki słodko zaproponowała spotkanie. W taki

zachmurzony dzień jak dzisiejszy kilka słonecznych słów potrafiło ogrzać człowieka. Staralem się nie być taki łatwy, zatuszować swój entuzjazm, ale jej wesoły głos niósł w sobie poważne uczucie.

— Jesteś zdenerwowana? — spytałem.

— Nie, tylko niepewna. Nigdy jeszcze nie ściagałam żadnego faceta.

— A mnie ścigasz?

— Być może. — Zaśpiewała to słowo. — Chciałam się upewnić, czy bezpiecznie dotarłeś do domu. I chciałam przeprosić za, hmm, wiesz, za co.

Kimberly powiedziała, że kiedy wyszedłem, zostawiła Erica w korytarzu. Błagającego. Mówiła, że nawet nie lubi go na tyle, by mogli zostać przyjaciółmi.

— Ale kiedyś go lubiłaś? — spytałem.

— Dopóki go nie poznałam. Wiesz, jak ludzie dobrze się zachowują na początku znajomości, potem dopiero poznajesz ich prawdziwe oblicze, kiedy spada maska uprzejmości.

— Rozumiem cię doskonale. — Pomyślałem o J'nette. Też była niesłychanie słodka na początku.

Kimberly flirtowała.

— Mam nadzieję, że nie pomyślałeś, że jestem dziwaczna. — Wydawała się zawstydzona. — Od miesięcy tego nie robiłam.

— A co z tobą i Erikiem?

— Już ci mówiłam, nie widywałem się z nim od kilku miesięcy.

— A inni ludzie?

— Od czasu do czasu chodzę na randki. Jeszcze nie umarłam, wiesz.

— I nic od miesięcy?

Roześmiała się.

— Taka jest właśnie różnica między kobietami a mężczyznami.

— Jaka?

— Kiedy kobiety mówią randka, mają na myśli wyjście z kimś na randkę. Dla facetów randki i pieprzenie to to samo.

Zaintrygowała mnie. Nigdy nie spotkałem kobiety, która byłaby tak swobodna.

— Miałam wyrzuty sumienia przez to, co się stało, i spałam tylko kilka minut. Zrozumiem, jeśli nie będziesz miał ochoty się spotkać.

— Masz coś pod ręką, żeby zapisać mój numer?

W jej głosie słychać było jeszcze większy uśmiech. Zachichotała.

— Tak. Nie wiem, jak ty to robisz.

— Co?

— Sprawiasz, że się uśmiecham, rumienię i tak dalej. Nikt by nie uwierzył, że tak się zachowuję. Posyłam mężczyźnie kwiaty.

Poflirtowaliśmy przez godzinę i umówiliśmy się na później. Kiedy odłożyłem słuchawkę, mój kierownik wszedł ze swym standardowym IBM— owskim spojrzeniem. Wyglądał jak wysoki, przysadzisty Ross Perot z brzuszkiem i z klasą. Ciemny garnitur. Biała koszula. Krawat świadczący o władzy.

Wstałem i uścisnąłem mu dłoń.

— Dzień dobry, Rodger.

— Greene — rzekł Rodger. Ścisnął w dłoni beżowy folder. Pomyślałem, że może to moje zwolnienie. Skinął głową na żółte róże, nie uśmiechnął się i powiedział: — Proszę cię do siebie do gabinetu.

Kiedy weszliśmy do jego biura, polecił, bym zamknął drzwi. Zrobiłem to, usiadłem w jednym z czarnych skórzanych foteli naprzeciw niego i wszystkich dyplomów i nagród, które zdobył, pracując w tej firmie.

Spojrzał na beżowy folder.

— Miałeś udany weekend? — spytał.

— Był o tydzień za krótki — zażartowałem.

Nie roześmiał się. Tylko spojrzał na mnie. Przybrał urzędowy ton. Ja też.

Pochylił się w moją stronę i powiedział:

— To tak tylko między nami.

Niepewnie odparłem:

— Dobrze.

— Mamy tu potencjalny problem, którego chciałbym uniknąć.

— No już, strzelaj.

— To zgłoszone zakłócenie polityki etycznej naszej firmy Rozumiesz, że w świetle niedawnych kłopotów, wszystkie oskarżenia muszą być sprawdzane, bez względu na okoliczności sprawy.

Zmieniłem pozycję, przesunąłem się do przodu i oparłem łokcie na jego biurku. Instynkt podpowiadał mi, żeby być asertywnym, cokolwiek by się działo. Mój wzrok śledził jego ruchy. Atakował to, o czym tak oględnie mówił Rodger.

— O co chodzi? — spytałem.

— Edna właśnie złożyła na ciebie zażalenie do działu etyki.

— Co? — Moja twarz wykonała więcej grymasów, niż to się kiedykolwiek udało Jimowi Carreyowi. — Edna Riordan wniosła na mnie skargę?

Skinął głową, nie zmienił pokerowej miny i gapił się na mnie próbując wyczytać jakąś reakcję. Moją ostateczną reakcją było całkowite zaskoczenie i zmieszanie. Podniósł rękę i powiedział:

— To nie poszło jeszcze do góry. Ale żona mi powiedziała, że Edna właśnie wypadła z ich działu.

— Jakiego rodzaju skargę?

— Godzinę temu pomaszerowała na dół i stwierdziła, że obrzuciłeś ją rasistowskimi wyzwiskami, gdy jadła lunch w stołówce.

— Żartujesz chyba?

Podsunał mi skserowaną kopię zarzutów. Edna twierdziła, że zrobiła nieszkodliwą uwagę pod adresem pracowników, którzy nie sprzątnęli swoich taczek, po czym ja obrzuciłem ją rasistowskimi wyzwiskami. Po przeczytaniu kopii, Rodger wyjął kłamstwa z mojej ręki, podarł na pół i wrzucił do niszcarki albo deprocesora, jak ją w biurze nazywaliśmy, obok swojego biurka. Zniszczył nieprofesjonalny związek łączący go z żoną Sarą. Nikt nie był w stanie udowodnić, że przekazują sobie informacje.

Westchnął, jakby mówienie sprawiało mu ból, i zapytał:

— Zrobiłeś to?

— Nie, to było odwrotnie. To ona mnie obraziła, a ja dałem jej do zrozumienia, że mnie to dotknęło.

— Czasami coś chlapnie. Dlatego przeniosłem ją do działu Jacka.

— Co mi radzisz w tej sytuacji?

— Czy przeprosiny, by to zażegnać, wchodzi w rachubę?

— Nie zrobiłem niczego, za co powinienem przeproszać.

— Wiem, ale dział etyki musi badać wszystkie skargi.

Zwłaszcza te, które mogłyby ewentualnie narazić firmę na proces. Procesy martwią udziałowców i niszczą wizerunek firmy, publiczny i prywatny.

— Proces, chyba nie mówisz poważnie?

— Tak i nie. Mamy o 30% za dużo pracowników i oni szukają byle pretekstu, żeby kogoś zwolnić. Zwłaszcza kiedy wielu długoletnich pracowników nie daje się usunąć. Nie mówię, że to mogłoby być powód, ale decydujący czynnik.

— Chcesz powiedzieć wymówka. — Starałem się nie tracić humoru.

— Właściwie. Ja uważam, że nie wolno dać im żadnego argumentu ani żadnych gównianych, przepraszam za łacinę...

— Łacina wybaczona.

— ...powodów do zwalniania moich pracowników. I tak jest mi już trudno usprawiedliwiać opóźnianie zwolnień, szczególnie przy malejącej liczbie zleceń.

— A co z moją pracą?

— Jest doskonała. Ponad przeciętną.

— Więc nie widzę problemu. Mógłbym się najwyżej przenieść do innego działu.

— Ale takich ludzi do przeniesienia jest kilku, a ja wiem, że w firmie nie ma dla nich etatów.

Wszyscy wiedzieli, że CompSci przestała zatrudniać nowych pracowników, spoza i z wewnątrz firmy. Zostawiano niewypełnione etaty i przesuwano zadania wewnątrz grupy. Zwalniano doświadczonych ludzi, a pracę dzielono na pozostałych.

Chętnie zamieniłbym wszystkie te kłopoty na letni wietrzyk i możliwość tańczenia na polu pełnym czterolistnej koniczyny i wazek. To i szklanka chłodnej lemoniady.

— Czy NAFTA pomoże firmie? — spytałem.

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

— Wątpię.

Oparłem się wygodnie w fotelu.

— Dobra, przejdź do rzeczy. Co to wszystko ma ze mną Wspólnego?

— CompSci chce przenieść kilku kierowników na niższe stanowiska, żeby utrzymać ich w firmie do czasu, aż się wszystko uspokoi.

— Polityka.

— Ta cała arena jest polityczna. Oni patrzą na cyferki, a nie ludzi. Robi się naprawdę przerażająco. Tylu ludzi szuka pracy, to rynek popytu. Firmy robią się okrutne. Moja praca wisi na włosku tak samo jak wszystkich innych. Ale dopóki się trzymam, muszę dbać o swoich ludzi.

— Pracujesz tu od ponad trzydziestu lat.

Uśmiechnął się i wskazał na złotą firmową szpilkę do krawata.

— Trzydzieści jeden. Pracowałem tu, kiedy komputery miały tuby próżniowe. I będą mnie stąd musieli siłą wyciągać. Potrzebujemy z Sarą wszystkich możliwych pieniędzy, teraz, kiedy opiekujemy się czwórką wnuków.

Próbowałem się uspokoić i nastawić tak optymistycznie jak Rodger Phelps. Ale z drugiej strony, on nie miał moich kłopotów. Nie słyszał echa kroków. Niepokoju serca. Stać mnie było tylko na uśmiech i:

— Dzięki za ostrzeżenie.

— To może nic takiego. Chciałem, żebyś wiedział tak na wszelki wypadek.

— Doceniam to, Rodger.

Kiedy wstałem, Rodger uniósł się, pochylił, uściśnął mi dłoń i powiedział:

— Ta rozmowa nie miała miejsca.

7. Jordan Greene

O ósmej Kimberly wchodziła już do mnie, niosąc różową torbę w kwiaty. Była ubrana w szerokie džinsy, pastelowy sweter, buty i płaszcz w marynarskim stylu. Beret na głowie i dyndające nauszники sprawiały, że wyglądała buntowniczo i artystycznie.

Włosy miała zaplecione w warkoczyki związane razem przy końcu. Rozdrażniła mnie ta fryzura. Krew zaczęła mi szybciej płynąć, jak strumienie zlewające się w rzekę dyskomfortu. Widziałem wiele nie czarnych kobiet, zapożyczających uczesanie czarnych sióstr. I za każdym razem, kiedy biała kobieta nosiła jakąś etniczną fryzurę, słyszałem szepty czarnych sióstr, byłem świadkiem fałszywych komplementów, a czasem nawet negatywnych uwag wprost na temat wszystkiego, od fryzur czy strojów Kente po taniec zwany moonwalk. Jęczące Afro— Amerykanki zastanawiały się, czy kiedykolwiek będą miały coś, czego inne rasy im nie ukradną, spróbują naśladować czy duplikować bez oddania należnego szacunku. Tak. Siostry narzekają, że białe kobiety podkradają im modę, a same obnoszą swoje kakaowe ciała odziane w Levisy i stroje od Anne Klein. Mężczyźni w koszulach Tommy Hilfigera i butach Nike robią to samo.

Kimberly rzuciła torbę w pokoju i poszła za mną do kuchni. Gotowałem wegetariańskie ravioli, które kupiłem w Price Club, dodając do mojego dwudziestominutowego dzieła Nie Mogę Uwierzyć, Że to Nie Masło i sos czosnkowy.

— Trochę więcej czosnku — powiedziała Kimberly i po chwili spytała:
— Jak wygląda twój weekend, EXtra?

— Może pójdziemy z Solomonem do Birdland.

— To na 28. Ulicy, prawda?

— Tak. Między Siódmą i Ósmą Aleją.

— Byłam tam parą razy. Kinikki i ja chodziłyśmy do Bentleya, ale teraz jest tam taki potworny tłok i wszyscy są tacy młodzi, że stanowią zagrożenie pożarowe.

— Bywa tam tłoczno — przytaknąłem.

— Każdy wygląda, jakby nie skończył jeszcze siedemnastu lat. Czułam się, jakbym była nianią tych wszystkich małych. Ale schlebia mi, jeśli ktoś tak młody stawia mi drinka i prosi o mój numer telefonu.

Roześmiałam się razem z nią.

— Ja i Solomon nie chodzimy za często do klubów hip— ho— powych. A nawet jeśli, to już w weekendy. Wygląda na to, że większość chodzi tam w ciągu tygodnia, a to mi nie odpowiada.

— Solomon. Chwileczkę, to ten, który jest ci bliższy niż brat, prawda?

— Tak. Co miałaś w planach na ten weekend?

Jedna z jej przyjaciółek, Sharon, miała spędzić weekend w Los Angeles, ale jej bogaty mąż musiał lecieć w interesach do Cabo San Lucas i chciał, żeby żona mu towarzyszyła, więc Sharon oddała bilety do L.A.

— Byłaś kiedyś w L.A.? — spytała.

— Nie.

— Mieszkaliśmy kiedyś godzinę drogi od L.A. w Sunny— mead.

— Gdzie jest Sunnymead?

— Głęboko na pustyni. Kompletne odludzie. Mamusia nienawidziła tego miejsca, bo nie było tam nawet dużego domu towarowego.

— Mamusia?

— Tak mówię na swoją matkę.

— A ona jak cię nazywa?

— Kim— Kim.

Roześmieliśmy się.

— A jak nazywasz swojego tatę? — spytałem.

— Tata — powiedziała, kiedy wreszcie przestała się śmiać.

— Dużo o nim nie mówisz.

Wzruszyła ramionami.

— Jest dupkiem. Nie słucha kobiet. Koniec dyskusji. Jesteśmy sobie obcy.

— Od jak dawna tak jest?

— Odkąd się urodziłam.

— Nie wiedziałem, że twoi rodzice nie są razem.

— Są razem.

Jej młodzieńczy timbre głosu znikł; to, co pozostało, zeszywniało. Odchrząknęła i powiedziała:

— Nadal są szczęśliwym małżeństwem. Bardzo szczęśliwym. To on i ja jesteśmy sobie obcy. On i mama są dobraną parą.

— Kiedy ostatni raz ich widziałaś?

— W Święto Dziękczynienia. Złamałam się i pojechałam tam na cztery dni. I przez te cztery dni nie zamieniłam z mężem mojej matki więcej niż dwa słowa.

Zmieniłem temat i spytałem:

— Więc co z tym Los Angeles?

— Sharon zadzwoniła dziś po południu i zaproponowała mi bilety.

— Ile za nie chce?

— Nic.

— Nic? — spytałem jak echo.

— Stać ją na to. Cóż, chce, żebym ofiarowała jakąś swoją pracę i pojawiła się na bankiecie dobroczynnym, który organizuje na rzecz jakiejś organizacji walczącej z AIDS, kiedy wrócę. Myślałam już nawet, żeby poprosić cię, byś mi tam towarzyszył. Jeśli nie będziesz zbyt zajęty.

Pokręciłem wymijająco głową.

Kimberly mówiła nadal:

— To trochę wakacje, a trochę wyjazd w interesach, bo muszę wpaść do kilku sklepów na Zachodnim Wybrzeżu w ramach autoreklamy. Więc jeśli masz ochotę, możemy polecieć pierwszą klasą do L. A., wynająć samochód i robić co chcemy.

— Naprawdę jesteś wolnym duchem.

Roześmiała się, a ja zacząłem się zastanawiać. Rozważać za i przeciw. Plusy i minusy.

Czułem poważną pustkę w środku. Emocjonalną próż— mę. A o tej porze roku próżnia była zupełnie nie do zniesienia. Może samotność ciągnęło do samotności. Chciałem Ją zapytać, co my do cholery robimy, gdzie to, co tak gwałtownie rozpoczęliśmy i czego nie potrafiłem nazwać, może nas zaprowadzić, ale było chyba na to za wcześnie. Dzisiaj było dzisiaj, a jutro będzie jutro. Czasem zamykanie czegoś w słowach świadczyło o desperacji, albo o oczekiwaniach i potrafiło zniszczyć coś naprawdę dobrego. Niech się samo potoczy.

W piątek późnym wieczorem, gdy samolot wylądował po pięciogodzinnym locie, poczułem charakterystyczny klimat Los Angeles. Przechodząc korytarzem do busów hotelowych wdychałem suchy, słony zapach Pacyfiku. Od wybrzeża do wybrzeża, od poziomu morza do wysokości trzydziestu tysięcy stóp, prowadząc Kimberly pod rękę zauważałem wiele różnych rzeczy, szczególnie pary mieszane. Teraz mieszane związki były niezwykle widoczne.

Staliśmy na cle. Rozglądałem się, próbując zauważyć, kto mnie obserwuje. Rzuciałem spojrzenia na czarnych, którzy w ogóle się mną nie interesowali.

— Co jakiś czas brzmisz jak prawdziwy Południowiec — powiedziała Kimberly, próbując zwrócić moją uwagę. Zrobiła mi kolejne zdjęcie i uśmiechnęła się. — Wczoraj wieczorem o mało się nie przekreśliłam, kiedy powiedziałeś *głodny*. Nie głodny, tylko *głodny*.

Rozpakowywaliśmy się w hotelu Pacific Shore w Santa Monica. Jedna strona szafki wypełniona była jej rzeczami, druga moimi. Przybory do makijażu, pasta do zębów Crest, suszarka, pianka do układania włosów i inne babskie przybory po jej stronie, kosmetyki firmy Nexxus, pasta Colgate z sodą oczyszczoną, pianka do golenia, prezerwatywy ze środkiem plemnikobójczym i tonik Ambi po mojej.

Nazajutrz wzięliśmy prysznic i ruszyliśmy do miasta. Zatrzymywaliśmy się po drodze i prosiliśmy przechodniów, żeby zrobili nam zdjęcie aparatem Kimberly. Wczoraj trząłem się z zimna i przedzierałem przez zasy. Teraz palmy i ludzie w spodenkach na rolkach sprawiali, że czułem się, jakbyśmy wylądowali w innej porze roku. Starłem się za bardzo nie ekscytować. Mama zawsze nam mówiła: „Nigdy nie zachowujcie się tak, jakbyście jeszcze gdzieś nie byli— Szczególnie w obecności białych”.

Zastanawiałem się, co by poczuła, gdyby mnie teraz zobaczyła.

Zjedliśmy na promenadzie, kupiliśmy mapę i sprawdziliśmy, jak dojść do Melrose Boulevard — bardzo rozwodnionej wersji nowojorskiej Greenwich

Village. Zatrzymaliśmy się w galerii wystarczająco długo, by nas zauważono. Obejrzeliliśmy wszystko. Ludzi z włosami pofarbowanymi na trzy niepasujące do siebie kolory. Ciała z przekłutymi językami, nosami i sutkami, tatuaże na tatuażach — rzeczy, które mogliśmy obejrzeć nie opuszczając Nowego Jorku. Takich ludzi pełno było na ulicach NoHo, SoHo i w East Village. Jediną różnicą było to, że na Zachodnim Wybrzeżu ludzie byli ładniej opaleni.

Zatrzymaliśmy się w Condomanii. Kiedy oglądałem wybór prezerwatyw smakowych, łaskoczących i szalonych w kształcie małych zwierzątek, ciemna siostra z długimi włosami po trwałej i Mulatka z krótkimi, kręconymi złotymi włosami weszły do środka. Zobaczyły, że trzymam Kimberly za rękę, wybieram odpowiednie zabezpieczenie. Mulatka pokręciła głową, wydała dziwny dźwięk i odwróciła się ode mnie. Ciemniejsza kobieta odeszła. Kimberly niczego nie spostrzegła. Nie zauważała spojrzeń ani przeciągłych gwizdów. Ja wszystko widziałem i słyszałem. Każda drwina powodowała skurcze żołądka.

Kimberly poszła w głąb sklepu, żeby znaleźć seksowne prezenty dla swoich przyjaciółek. Mulatka podeszła blisko i rzuciła na tyle głośno, bym usłyszał:

— Powinien się zastanowić. Taki biały czarnuch.

Cholera, nie słyszałem tego przezwiska już bardzo długo. Nikt nigdy nie użył go wobec mnie. Biały czarnuch — to ktoś biały zachowujący się jak czarny. Falsyfikat, oszust, złodziej kulturowy.

Czułem się ocieężały, ale nie spuściłem wzroku. Spojrzałem suce prosto w oczy. Najpierw wykrzywiła się i warknęła, jakby uciekła z zoo, potem roześmiała się i potrząsnęła głową jakby to, co zobaczyła, było żałosne. Zrobiła dokładnie to samo, co ja z moimi przyjaciółmi i rodziną, kiedy widzieliśmy Mandingo w ramionach Miss Daisy. Tylko że teraz było inaczej, bo to wrogie spojrzenie było skierowane do ttttie. Nie mogłem odparować żadnego z tych spojrzeń.

Ten atak ścisnął mnie za szyję mocniej niż stryczek. Jej spojrzenie krzychało, że się zaprzedałem, jestem Wujem Tomem, przyszłym białym, wytresowanym czarnuchem Snującym się po ulicach i próbującym udawać białego.

Coś musiało zostać w wyrazie mojej twarzy, bo kiedy Kimberly wróciła i wzięła mnie za rękę, przestała się uśmiechać.

— Co się stało? — spytała.

— Nic. Jestem jeszcze zmęczony lotem.

— Chcesz wrócić do hotelu? Możemy później wyjść jeszcze na promenadę przy hotelu. Recepcjonista powiedział, że w pobliżu hotelu są miejsca, gdzie można zagrać w bilard, potańczyć, i mnóstwo miejsc, gdzie można dobrze zjeść.

— Nie, wszystko w porządku.

— EXtra?

Mrugnąłem. Ona też mrugnęła.

Ciemniejsza kobieta podeszła do nas. Jej pobrudzone czekoladą górne dziąsła odsłaniały aparat korygujący. Szybko powiedziała:

— Cześć.

Kimberly uśmiechnęła się.

— Cześć.

Gotowałem się w środku ze złości. Miałem lepkie ręce.

Kobieta powiedziała:

— Chciałam tylko przeprosić za swoją koleżankę.

Odeszła, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć. Wybiegła na dwór, upominając swoją drwiącą na wpół białą przyjaciółkę.

— O co jej chodziło? — spytała Kimberly.

— O nic — wymamrotałem i pokręciłem głową.

— Znasz je?

Znów pokręciłem głową.

— Co zrobiła jej przyjaciółka? — Głos Kimberly przeszedł w ton urzędowy, taki, jak wtedy w taksówce, gdzie się poznaliśmy, kiedy jeszcze byliśmy sobie obcy. Ostro spytała:

— Co się stało?

Potrząsałem głową.

— Nic, o czym warto mówić. Daj spokój.

Pierś Kimberly unosiła się od gwałtownych oddechów. Spojrzała w stronę kobiet, potem znów na mnie. Bez słowa zapłaciła za prezenty i ruszyła w stronę drzwi.

Nie odwracając się ostro rzuciła:

— Gotowy?

Była za drzwiami, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Pomasowałem skronie. Powinienem był zostać w Nowym Jorku. Powinienem był poczekać na następną taksówkę.

przez całą drogę do hotelu cisza była moim jedynym przyjacielem. I tylko ciszę słyszałem. Wyłączone radio, włączony humorek. Przez czterdziestominutową podróż z Hollywood do Santa Monica nie padło ani jedno słowo. Nikt niczego nie powiedział, kiedy wypakowywaliśmy rzeczy z samochodu. Jej gorący duch ostygł. Kimberly nie spojrzała nawet w moją stronę ani nie podeszła na tyle blisko, bym mógł wziąć ją za rękę, kiedy szliśmy z zatłoczonego podziemnego parkingu do lobby hotelowego. Z torbą objającą się jej o nogę, szła tak szybko, że przez moment zrobiłaby milę— Jej twarz rozjaśniła się i uśmiechnęła, kiedy odezwała się do pucybuta, którego minęliśmy. Potem jej głos się zmienił i powróciła Królowa Śniegu. Przez cały czas w windzie miała wydęte usta i wzrok utkwiony we własnych dłoniach.

— Czy wszystko w porządku? — spytałem wreszcie.

Spojrzała na mnie, a potem znów spuściła wzrok.

— Tak.

Winda zatrzymała się na naszym piętrze. Wyszła, zanim drzwi zupełnie się otworzyły, pomaszerowała przodem i wyjęła kartę magnetyczną z torebki.

Kiedy weszliśmy do pokoju, chwyciła torbę i poszła do łazienki. Słysząc było, jakby się potknęła i krzyknęła.

— Nic ci nie jest? — zawołałem.

Cisza.

Kiedy wyszła, była przebrana w dres. Bez słów. Jeszcze bardziej wściekła.

— Dokąd idziesz? — Zdejmowałem buty i dżinsową koszulę. Wiem, że mnie słyszała, ale musiałem jeszcze raz zapytać.

Związała warkocze z tyłu i odparła:

— Pobiegać.

W drzwiach położyła rękę na klamce i zatrzymała się.

— Kimberly — powiedziałem.

Patrzeliśmy na siebie przez chwilę, bez uśmiechów. Bardzo nieprzyjemne spojrzenie. Jej napięcie przygalopowało i uderzyło mnie w twarz, raniło prawie tak bardzo, jak słowa tej kobiety zacisnęły mi się wokół szyi. Kimberly wróciła i usiadła na łóżku obok mnie.

— Jordan? — szepnęła.

— Tak? — wstałem.

Odetchnęła i miękko wyszeptała:

— Nie rób tego.

— Czego?

Dotknęła dłonią mojego policzka, pocałowała mnie i powiedziała:

— Nie zbywaj mnie i proszę, nie kłam. Nie ignoruj mnie tak, dobrze?

— Dobrze.

— To właśnie robił mój ojciec. To mnie rani.

Znów przeprosiłem.

Zapytała, co się wydarzyło.

Spojrzeliliśmy na siebie wymownie.

Powiedziałem jej, co się stało. Dziwnie się czułem, dzieląc się z nią tymi uczuciami, może nawet zdradzając kilka kulturowych tajemnic. Próbowałem nie być wymijający, ale nie chciałem też być obcesowy. Pragnąłem zachować tarczę i pozostać silny. Po jej reakcji zrozumiałem, że ten incydent zmartwił ją bardziej niż zdenerwował mnie.

Lekko zmarszczyła brwi. Położyła rękę na mojej. Spojrzałem na swoją i jej skórę. Zapytała prawie zażenowana:

— Czy kiedykolwiek spotykałeś się z nie— Afro- Amerykanką?

— Nie.

Jej wzrok padł na nasze ręce, na naszą skórę. Nasze dłonie miały najbardziej zbliżony odcień. Kimberly nie była bladą blondynką o niebieskich oczach. Znałem kilka sióstr, które były jaśniejsze od Kimberly. Spotkałem czarne jak węgiel siostry, które nosiły niebieskie szkła kontaktowe i zachowywać się bardziej europejsko niż księżna Diana. A co do szaleństwa z włosami, to Jada Pinkett, Mary J. Blige, Faith Evans i około ośmiu milionów

sióstr pofarbowało włosy na platynowy blond. Ciekawy byłem, czy biali kiedykolwiek narzekali albo wściekali się o to, że czarni przechwytywali rzeczy uznawane za białe.

— Jeśli wprawiam cię w zakłopotanie, możemy zadzwonić na lotnisko, zmienić rezerwację i wrócić do Nowego Jorku. Bez żalu — powiedziała.

— Nie, to nie o ciebie chodzi — urwałem. — Cóż, jeśli mam być szczerzy, to moja wina. To dla mnie nowe. Nie jestem przyzwyczajony do związków tego typu.

— Jakiego typu? Co, zwykle nie spotykasz się z kobietami?

Roześmialiśmy się trochę. Tylko trochę.

„Wiesz, co mam na myśli. Nie jestem przyzwyczajony do takich różnic. Nie tak jak ty.

Minęła chwila. Wreszcie Kimberly powiedziała:

— Dlaczego sądzisz, że ja jestem do tego przyzwyczajona?

— A nie jesteś?

— Nie.

— Mieszkałaś w tyłu miejscach. Daj spokój, byłaś nawet w Afryce.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Żyłam w celibacie. Nie umawiałam się na randki.

— Czy ja jestem pierwszym czarnym, z którym się spotykasz?

— Tak. — Zniżyła głos. — Z pewnością. Jesteś zdziwiony?

— Chyba źle cię osądziłem.

Stłumiła to, co chciała powiedzieć, a potem dodała:

— Myślałam, że to ty jesteś do tego przyzwyczajony i założyłam, że podobają ci się urocze... — Sztucznie się zaśmiała. — Podobają ci się rude artystki.

— Artystki? Chciałaś powiedzieć białe kobiety?

— Jordan — zaczynała się denerwować — dlaczego to ma takie znaczenie? Jesteśmy dwojgiem dorosłych, którzy dobrze się bawią. Prawda?

Wycofałem się.

— Prawda.

— Biały to kolor. Ja jestem osobą, ludzką istotą, a nie malowanką.

— Mój błąd. Cóż, jestem czarny i jestem z tego dumny.

— Co ty powiesz, jesteś czarny? Nie zauważyłam.

— Jakiego jesteś pochodzenia?

— Moja mama jest na wpół Niemką, na wpół Irlandką. — Nadała się, pobawiła włosami i spytała: — Przeszkadza ci to, kim jestem?

— Cóż, zawsze podobały mi się jedynie siostry. Zamilkła.

— Och. Rozumiem. Nie jestem w twoim typie.

— Nie. — Czuję jakbym miał usta pełne waty. — Właśnie Próbuję powiedzieć, że ty też bardzo mi się podobasz.

— Więc o co chodzi? — spytała zniecierpliwiona.

Wzruszyłem tylko ramionami. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak czarny. Miałem tyle na głowie. Myślę, że nie byłem w stanie patrzeć na ludzi i nie widzieć w ich oczach płonącego krzyża.

Minęła chwila, zanim spytałem:

— Co sądzą twoje przyjaciółki?

Przygryzła wargi.

— Nie wiem. Nic im nie mówiłam.

— Sharon myśli, że z kim jesteś?

— Nie pytała.

— Wstydzisz się?

Uśmiechnęła się.

— Jestem ostrożna. Ale zawsze taka jestem. Nie dlatego, że jesteś Afro-Amerykaninem. Nie dzielę się z nikim swoimi sprawami. Poza tym sama ustanawiam reguły i własne standardy.

— Zauważyłem.

— Też powinienes. Większość zasad społecznych jest rasistowska.

Przyznałem jej rację.

— To dlatego, że żyjemy w rasistowskim społeczeństwie.

— Które dla jednych jest bardziej rasistowskie niż dla innych. Spróbuj pobyć kobietą przez piętnaście minut.

— Oblałbym ten sprawdzian.

Stąpaliśmy po kruchym lodzie.

— Dlaczego zaprosiłaś mnie, bym z tobą pojechał? — spytałem.

Wzruszyła ramionami.

— Lubię cię, EXtra. Chcę spędzić z tobą trochę czasu, żeby cię poznać. Myślałam, że będziemy się świetnie bawić. Innego powodu nie potrzebuję. Tylko to się dla mnie liczy.

Poza tym, co oczywiste, różniliśmy się pod każdym względem. Artystka — inżynier. Konserwatywny ubiór — modny strój. Mimo to, za każdym razem, kiedy na nią spojrzałem, czułem dreszczyk. Ciepło. Napięcie.

— Zimno ci? — spytała.

— Trochę.

Przesunęła się w stronę ściany i podniosła temperaturę, przeciągnęła się, ziewnęła, potem przytuliła do mnie.

Powiedziała poważnie:

— Jeśli mamy być razem, nawet jako przyjaciele, a nie kochankowie, to nie możemy uciekać za każdym razem, jak jakaś suka coś chlapnie.

Wypluła ten jad, jakby robiła to już wiele razy. Jej wrogi ton przypominał mi mojego rozgoryczonego brata Darrella. przypominał mi czasy, kiedy dora- stałem i biliśmy się z białymi chłopcami z drugiej strony torów.

— To prawda — zgodziłem się.

— Jej nastawienie i dolar pięćdziesiąt doprowadzą ją do metra.

— Humor ci wraca.

— Jordan, pamiętasz, jak ci opowiadałam, że wychowywałam się w tylu różnych miejscach? Pamiętasz, jak wspomniałam, że moi rodzice mieszkali w Oakland przez jakiś czas?

— Tak.

Zawahała się, spojrzała na swoją skórę.

— Cóż, w dzielnicy, w której mieszkaliśmy, ludzie mnie nie lubili. Właściwie to nie lubili nas wszystkich. Te dwa lata tam spędzone to najgorsze lata mojego życia. Oto jeden z powodów, dla którego nie lubię swojego taty.

— Co zrobił?

— Nic. Kiedy mu powiedziałam, co ludzie robią, jak mnie wyzywają, gonią ze szkoły do domu, nie zareagował.

Była ciepła. Wydawało się, że zdenerwowała się potwornie, ale szybko jej to przeszło. Uspokoila się.

Kimberly odgarnęła włosy z twarzy i dotknęła czoła.

— Spójrz tutaj, Jordan. Widzisz tę linię?

Pokazała mi starą bliznę. Była prawie niewidoczna, w kształcie przewróconej litery L.

— Co się stało? — spytałem.

— Kilka czarnych dziewczyn goniło mnie w drodze do domu ze szkoły, wyzywały mnie i zrzuciły z roweru. Upadłam na twarz. Musieli mi założyć piętnaście szwów.

— Nie zauważyłem. Twoja skóra dobrze się goi.

— Tylko dlatego, że nie widzisz blizny — jej głos zamarł — nie znaczy, że rana się zagoiła.

Kimberly przykryła twarz włosami, schowała bliznę, zamknęła oczy i zanuciła tę samą piosenkę Rachelle Ferrell, którą nuciła pierwszego wieczora, kiedy siedzieliśmy i rozmawialiśmy. Masowała ręką moją pierś, wierciła się i nuciła. Obróciła się i wczółgała na mnie, przez chwilę mnie całowała, gniotła i ocierała się o mnie, potem westchnęła, zsunęła się na bok i ziewnęła.

Ton Kimberly był słodki i kobiecy.

— Przytul mnie, EXtra.

Moje ramiona przyciągnęły jej ciepło do mojego, ale sam już zasypiałem.

— Jeszcze coś, zanim stanie się to problemem — powiedziała.

— Co?

— Opuszczaj deskę.

— Pomyślę o tym.

— Tak mnie wkurzyłeś, że o mało tam nie wpadłam.

— Zawsze uważaj, jak siadasz.

— Ma być opuszczona.

— Podniesiona.

— Opuszczona, opuszczona, opuszczona. — Dała mi kuksańca w bok i pocałowała. Kilka chwil później oddychała głęboko z głową opartą o moje plecy.

— Podniesiona.

— Opuszczona. Mam twój bilet na samolot.

— Postaram się pamiętać, żeby ją opuszczać.

— A ja spróbuję zapamiętać, gdzie położyłam twój bilet.

8. Jordan Greene

Dwie godziny później wyskoczyłem spod prysznicza i usiadłem na sofie przed otwartym oknem, by widzieć karuzelę i inne atrakcje na molo. Ocean Spokojny uderzał o brzeg.

Podniosłem słuchawkę i wykonałem telefon, który tak odwlekałem.

— Jak leci? Dostałem wiadomość, że dzwoniłeś...

— To ty?

— Tak, to ja. Co słychać?

— Czarnuchu, najwyższy czas, żebyś się odezwał. Poczekaj chwilę — powiedział mój brat Darrell i rzucił telefon na coś, co brzmiało jak twarde białe stołu. Jego radio ryczało „The Christmas Song” Nat King Cole'a. Przycichła i spiker uciął zakończenie. Miałem już odłożyć i ponownie zadzwonić, bo pomyślałem, że o mnie zapomniał, kiedy usłyszałem, jak ktoś spuszcza wodę w toalecie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Darrell wyłączył radio.

Podniósł słuchawkę, beknął i zapytał:

— Gdzie jesteś?

— Za tym zaimkiem.

— Jaka to dzielnica Nowego Jorku?

— Darrell — nieważne. Jestem w Santa Monica.

— W Kalifornii?

— Tak.

— Znów się przeprowadziłeś?

— Nie. Przyjechałem tu z przyjaciółką na kilka dni.

— Z przyjaciółką? Jedną z tych nowojorskich kobiet?

— Tak.

— Założę się, że to Mulatka, co?

Mulatka, czyli kobieta o jasnej karnacji. Zawahałem się.

— No pewnie.

— Kurczę, muszę przyjechać do Nowego Jorku i poderwać sobie jedną. Gdzie jest?

— Kto?

— Dziewczyna.

— Na dole, w siłowni.

— Widzę, że żyjesz jak król. To musi być fajne.

— Darrell, to międzymiastowa. Kto zmarł?

— Po pierwsze, miałem nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku.

— Jest w porządku.

— I potrzebuję twojej pomocy.

— Wiedziałem — jęknąłem. — Co tym razem?

— Reggie. Twój brat wpakował nas w kłopoty.

— Cholera! — Chciałem zadławić się własnym oddechem. — Jak poważne?

— Siedzisz wygodnie z otwartym portfelem?

Reggie zadzwonił do Darrella dwa tygodnie temu z banku krwi. Próbował wydostać od nich pieniądze, ale nie chcieli mu zapłacić, bo był już raz w tym tygodniu. Darrell powiedział, że kiedy Reggie do niego dotarł, był już w złym stanie. Skurcze, spazmy, drgawki, brak koordynacji. Na wpół rozebrany w taki mróz. Reggie powiedział, że mieszka „tu i tam, gdzie popadnie”. Darrell chciał go wziąć do szpitala, ale Reggie powiedział, że chce tylko parę dni poleżeć, by dojść do siebie. Kiedy Reggie dotarł do domu Darrella, Darrell wykapał go, nakarmił i położył spać. Reggie nocował dwa dni. Trzeciego dnia, kiedy Darrell wrócił z pracy, Reggiego nie było. Nie było też dwudziestoseściocalowe— go telewizora, dobrego płaszcza Darrella, spodni, koszuli, swetrów, tenisówek, magnetowidu, kart kredytowych i około stu dolarów w gotówce, które Darrell schował w szufladzie ze skarpetkami. Zanim Darrell zadzwonił do banku, żeby zgłosić kradzież kart, Reggie nakupował już towaru za osiemset dolarów.

— A na dodatek, kilku młodych czarnuchów przychodzi to mnie od trzech dni, szukając Reggiego.

— Dzwoniłeś na policję?

— Policję? Prędziej zadzwonię po broń niż na 997.

Darrell powiedział, że faceci siedzą przed jego domem i go śledzą—
Więc teraz nosił ze sobą broń, nawet kiedy szedł wynieść śmieci.

— O czym oni mówili?

— Te młode śmiecie próbowały mnie nastraszyć, udając świrów i twar-
dzieli. Twierdzą, że Reggie jest im winien jakieś pieniądze za jakiś towar.

— Jaki towar?

— Przecież sam wiesz.

Drzwi się otworzyły i weszła Kimberly z beżowym hotelowym ręczni-
kiem na szyi. Włosy miała związane do tyłu jedną z tych miękkich rzeczy do
włosów, których używają kobiety. Uśmiechnęliśmy się do siebie i pomachali-
śmy palcami.

Szepnęła ze zdziwieniem:

— Nadal rozmawiasz z bratem?

Skinąłem głową.

Uśmiechnęła się i poszła do łazienki. Patrzyłem na nią, na jej kobiecy
chód, który tak dobrze jej wychodzi. Tył jej fioletowego stroju do ćwiczeń był
przeпоcony, szczególnie na pupie.

Poklepałem się po brzuchu. Uszczypnąłem w bok.

Spytałem Darrella:

— Mówią, że ile im wisi?

— Czarnuchy twierdzą, że trzysta pięćdziesiąt. Nie sędzę, że wisiał im
tak dużo. Jednak wyglądali poważnie. Nie przestraszyłem się ich, ale nie
chcę, żeby dopadli Reggiego, póki sam się nie dowiem, dokąd zwiął. Pobie-
głem do bankomatu i dałem im pieniądze. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

— Trzysta pięćdziesiąt dolarów?

— To były moje pieniądze na czynsz, jedzenie i gaz.

— W porządku.

— Więc będę potrzebował twojej pomocy.

Mnie też nie było łatwo. Ale trzeba było zrobić, co należy. Bez względu
na okoliczności. Za każdym razem, kiedy coś takiego się działo, obiecywali-

śmy sobie, że to już po raz ostatni. Staraliśmy się być stanowczy. Potem się to powtarzało i robiliśmy wszystko jeszcze raz. Ostatnim razem czterysta dolarów kosztowało mnie zapobieżenie znalezieniu Reggiego płynącego sobie w pobliżu Hernando głową w dół nurtami Missisipi.

Przeszedłem do rzeczy:

— Czego potrzebujesz?

— Podzwoniłem trochę i myślę, że będę mógł powiedzieć ludziom z banku, że moje karty zostały po prostu skradzione i na tym koniec. Zrobię to, żeby, to znaczy, żeby Reggie nie miał kolejnych kłopotów.

— Dobrze.

— Ale będę potrzebował trochę pieniędzy, aby jakoś przeżyć. Właśnie zacząłem pracę w FedEx dwa miesiące temu i już prawie kończy mi się okres próbny.

— Ile?

— Tylko na czynsz. — Darrell jęknął wkurzony. — Będę musiał codziennie nosić ten pieprzony płaszcz służbowy. Dobrze, że miałem go na sobie. Poślij mi, co możesz. Nie chcę cię wpędzać w długi. Nie ma powodu, żebyśmy wszyscy byli biedni.

— Zobaczę, ile mam.

— Nie każ mi długo czekać, dobra?

— Dobrze.

— Przyślij mi paczkę tych pysznych nowojorskich bajgli. Podobną są najlepsze w kraju.

— Nie ma sprawy.

W naszych głosach wykwitła stara jak my irytacja i przesądziła o końcu rozmowy. Ludzie myślą, że jak mieszkasz w Nowym Jorku, to twoja sytuacja finansowa jest świetna i w ogóle wspaniale ci się wiedzie. A Nowy Jork jest drogi; trzeba mieć co najmniej pensję klasy średniej, żeby stać cię było na mieszkanie w dzielnicy, gdzie nie ma szurów wielkich jak koty.

Kiedy ustaliliśmy datę wysłania przekazu pieniężnego czy czeku na okaziciela, rozłączyliśmy się, nie życząc sobie braterskich Wesółych Świąt czy Szczęśliwego Nowego Roku.

Miałem jeszcze cztery wiadomości. Wszystkie od J'nette. Cholera, cholera, cholera. Czułem się jakby był sezon Braku Sprawiedliwości i Spokoju.

Pierwsza wiadomość mówiła tylko „Muszę się z tobą skontaktować”. Następne trzy były niegrzeczne, oskarżały mnie o lekceważenie jej telefonów.

Kimberly spłukiwała włosy i przygotowywała się do czesania. Powiedziała, że pomaluje jeszcze raz paznokcie, żeby dać mi trochę czasu. Chwilę po tym, jak zamknęła drzwi do łazienki, usłyszałem prysznic. Wziąłem klucz magnetyczny i wyszedłem na dół do budki telefonicznej.

Pierwsze, co usłyszałem od J'nette, to:

— Nie poszłam.

— Cóż — powiedziałem, starając się ze wszelkich sił nie dać jej odczuć, że się zmartwiłem. Byłem ciekawy, czemu wydzwania do mnie, zamiast do faceta numer dwa. — Co zamierzasz zrobić?

— Chcę to załatwić we wtorek.

— A może być środa?

— Dlaczego nie wtorek?

— Nie ma mnie w mieście.

— Gdzie jesteś?

— W Memphis.

Głos jej zadrżał.

— Chcę, żebyś ze mną poszedł, bo nikogo innego nie chcę w to wciągać. Idę do tego miejsca na rogu Bulwarów Northern i Astoria.

— To w pobliżu Shea Stadium.

— To w tym kierunku, tak.

— Dlaczego przyjeżdżasz aż na Queens?

— Ponieważ nie chcę natknąć się na żadnych gorszących się ludzi z Jersey. To jest mała klinika planowania rodziny.

Minęła chwila zanim powiedziałem zrezygnowany:

— Dobrze.

— Chcę u ciebie przenocować we wtorek. Będę mogła wstać wcześniej i mieć to z głowy. Musimy to wreszcie załatwić.

Prawie krzyknąłem: Mowy nie ma!, ale miała rację; musieliśmy to wreszcie załatwić. Patrzyłem na drzwi windy, mając nadzieję, że Kimberly nie zjedzie teraz na dół z jakiegoś powodu.

— Dobrze. Zadzwoń do ciebie jutro — odpowiedziałem J'nette.

Kiedy wróciłem do pokoju, Kimberly miała zgaszone światło i zapalone świece. Jedna stała na szafce przez lustrem. Druga na stole. Odsunięte zasłony ukazywały rozgwieżdżony obraz plaży i oceanu.

Wysuszyła i rozprostowała włosy. Były długie i zwisały nieco poniżej miejsca, gdzie byłoby zapięcie stanika. Jej perfumy i waniliowe kadzidełko przepełniały pokój. Radio nastawione było na 94.7, skąd płynął jazz Normana Browna, uzupełniając nastrój. Jej pełne wargi błyszczały czerwienią. To była zupełnie inna kobieta. Z oczu wyczytałem pragnienie aprobaty. Skinąłem głową i uśmiechnąłem się, potem zobaczyłem, jak jej temperatura rośnie. Wstała i pozwoliła, żeby biała Victoria*¹⁷ odsłoniła część jej sekretów.

Z uśmiechem zaprosiła mnie na swój plac zabaw. Gdy do niej podchodziłem, przechyliła na bok głowę.

¹⁷ *Aluzja do słynnej amerykańskiej firmy Victoria's Secret sprzedającej damską bieliznę.

9. Jordan Greene

Solomon wyciągnął swoją pięcioletnią celicę z garażu i przejechał z dzielnicy do dzielnicy, by odebrać nas z lotniska w poniedziałkowy wieczór. Przedarł się przez korek i stał uśmiechnięty przy wyjściu, kiedy wysiedliśmy z samolotu. Trzymał w ręce pierścionek zaręczynowy dla Zoe i chciał, bym go jak najszybciej obejrzał i powiedział, co sądzę. Kiedy pięć godzin temu dzwoniłem do niego z lotniska w Los Angeles, nawrzeszczałem na niego, że jeszcze za wcześnie na ponowny ślub. Odgryzł się i powiedział, że to ja polecałem do L.A. z rudą poznaną w taksówce. To mi odebrało wszelkie argumenty.

Szczerze mówiąc, nie wiem, co sobie myślał, kiedy wysiadaliśmy z samolotu. Solomon pokręcił głową, parę razy skinął. Uścisnęli sobie dłonie, zaczęli rozmawiać. Chwilę później nawijał o Zoe i pokazywał pudełeczko z pierścionkiem.

— Czy rozmawiałeś z Zoe o tym, że chcecie się chajtnąć? — spytałem.

— To piękny pierścionek — wtrąciła Kimberly.

Solomon uśmiechnął się do Kimberly i przysunął się bliżej:

— Tak myślisz?

— Bardzo jej się

spodoba. Mogę się przyjrzeć?

Kiedy przepychaliśmy się przez międzynarodowy tłum na dół do oclenia bagażu, Solomon mnie ignorował. Kimberly Upomniała o mnie. Pod tą awangardową maską i twardym charakterem, który tak lubiła eksponować, nadal była kobiety Kimberly była podekscytowana, szybko mówiła, pytała o potencjalne oświadczenia. Rozmawiali. Ja zamarudziłem z tyłu.

Dopiero kiedy doszliśmy na parking, Kimberly wsiadła do samochodu, a my wpychaliśmy nasze torby do bagażnika, Solomon pochylił się blisko i spytał o J'nette.

— W którym jest miesiącu? — spytał.

— Nie jestem pewien. — Podałem mu cztery dolary za dziesięciminutowy postój na parking. Spytałem: — Twoja kobieta coś o tym mówiła?

— Schowaj te pieniądze, bo się obrażę. — Zniżył głos jak stary czarny z Południa obgadujący kogoś ze swojej parafii. — Z tego, co wiem, one nie mają pojęcia, że jest w ciąży.

Zamknąłem bagażnik. Staliśmy tak wydechając powietrze i kiwając głowami. Solomon podzielał mój niepokój. Od tego są przyjaciele. Dlatego jesteśmy sobie bliżsi niż bracia.

Poprawił szalik i spytał:

— Dlaczego ją tam zabierasz?

— Próbuję być przyjacielem. Ktoś musi być odpowiedzialny.

Wczorajszej nocy przyśnił mi się ten sam sen o J'nette

wypluwającej dziecko. Tylko tym razem J'nette i dziecko miały ręce jak Edward Nożycoreki. Ta walka przerodziła się w koszmar o Reggiem. Byliśmy w pokoju pełnym ognia. Wyprzedzał mnie o parę metrów i bez względu na to, jak szybko biegłem, nie mogłem go złapać. Wrzeszczałem jego imię, próbowałem go dogonić, ale nie mogłem go dosięgnąć. Kiedy musnąłem jego ramię, zatrzymał się, odwrócił się i miał twarz J'nette na swoim krępych, brązowym ciele. J'nette zaśmiewała się do łez.

Podrzuciliśmy Kimberly. Solomon podwiózł mnie. Został na pięć minut, potem zostawił mnie z moimi myślami.

Zadzwoiłem do J'nette upewnić się, czy ma jeszcze pieniądze, które jej dałem, powiedziałem, że może przyjść około dziewiątej. Rozmawiałem z Kimberly koło siódmej i powiedziałem, że położę się wcześniej spać. Planowała! popracować do późna nad olejnym obrazkiem dla jakiegoś europejskiego magazynu, o którym nigdy nie słyszałem. Z samego rana miała iść pobiegać z przyjaciółką.

J'nette pojawiła się godzinę za wcześnie, nieco przed ósmą— O dziewiątej zostawiłem ją w pokoju przed telewizorem, wykapałem się i położyłem do łóżka. Chwilę później podkreśliła ogrzewanie, rozebrała się do naga i próbowała się na mnie wspiąć. Odsunąłem ją od siebie i powiedziałem, żeby się przespała, żebyśmy mogli wstać wcześniej rano i się tym zająć.

Zrobiła obrażoną minę. Powiedziała, że jestem niewrażliwy.

Prowadziła nadal swoje gierki. Teraz zgrywała wkurzoną, w tej chwili w ogóle mnie to nie obchodziło. Wróciła do pokoju i nastawiła telewizor naprawdę głośno. Oglądała ten głupi program Physic Friends. Głośno. To może zabrzmieć okrutnie, ale nie mogłem się już doczekać, kiedy wyjdzie z mojego

mieszkania do kliniki i zniknie z mojego życia. Za każdym razem, kiedy myślałem że to koniec, dzwoniła albo pojawiała się, żeby mnie wkurzać.

Weszła do sypialni po kołdrę i powiedziała, że prześpi się na podłodze w pokoju. Potem zrobiła głośniejsze i zaczęła przerzucać kanały. Słyszałem, jak mijają CNN chyba ze trzy razy. Odrzuciłem poduszkę, poszedłem do łazienki, wskoczyłem pod prysznic, namydliłem się i sobie przypominałem, że już się przecież kąpałem.

Była prawie druga w nocy.

Kiedy wyszedłem z łazienki, J'nette stała w sypialni w moim zielonym szlafroku przy na wpół otwartej szufladzie. Podskoczyła. Odsunęła się od szafki.

— Co ty robisz? — spytałem.

Podniosła rękę, zabręczała swoją biżuterią i rzuciła:

— Upewniałam się, czy zabrałam wszystkie swoje rzeczy, które tu ostatnio zostawiłam. To wszystko.

Zamknęła szufladę tak mocno, że aż lustro się zatrzęsło, i ruszyła z powrotem do pokoju. Telewizor wreszcie ucichł. Podziękowałem Bogu za Jego cuda.

Minęły spokojne godziny. Obudziliśmy się przytuleni do siebie z minami, jakbyśmy pili zimną kawę z dodatkiem świeżego nawozu. Ubraliśmy się, a kiedy wszedłem do pokoju, jej torba rzucona była na moją białą sofę. Torba była nowa, ale miała brudny spód. Podniosłem ją i położyłem na bywanie. Zanim zdążyłem zrobić dwa kroki w stronę kuchni J'nette wpadła do pokoju. Spojrzała na torbę i rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

— Dlaczego rzuciłeś moją torbę na podłogę? — syknęła.

Miała mocno zaciśnięte usta. Doprowadzała mnie do szału.— Wczoraj wydawała się taka spokojna i ludzka, jakiej jej dawno nie widziałem.

— Nie rzuciłem twojej torby na podłogę — powiedziałem.

— To jak się znalazła na podłodze?

— Zdjąłem ją z sofy i postawiłem na podłodze.

— Nie musiałeś jej zrzucić ze swojej śmierdzącej małej sofy.

— Nie zrzuciłem twojej torby.

— Słyszałam to nawet w łazience.

Chwilę później wdaliśmy się w głupią kłótnię, wrzeszczeliśmy na siebie z powodu jej głupiej torby. Próbowałem zachować spokój i wyjaśnić, że położyłem ją na podłodze, bo nie chciałem, żeby zaplamiała mi sofę. Uważałem to za rozsądne. Ale im bardziej próbowałem sprawę naświetlić, tym stawała się ciemniejsza. Sprawy wymknęły się spod kontroli, kiedy powiedziałem, żeby przestała zrzedzić. Zawyla i zawołała, kogo nazywam zrzedą. Kiedy wziąłem głęboki oddech, zniżyłem głos, i uprzejmie powiedziałem, że nie nazwałem jej zrzedą tylko powiedziałem, że zrzedzi, kompletnie jej odbiło i zaczęła wrzeszczeć, że jeśli powiedziałem, że zrzedzi, to musiałem nazwać ją zrzedą, bo tylko zrzedą zrzedzi.

Echo niosło jej głos, kiedy wychodziłem. Wściekła się. Biegała za mną od pokoju do pokoju, wrzeszczała mi prosto do ucha, nadepnęła mi na piętę, potknęła się, popychała mnie.

Zacisnąłem ręce w pięści, podszedłem do niej, i zimno, z pełnym opanowaniem jak Wesley Snipes powiedziałem:

— Mam już dość twoich wybryków.

Podniosła pięści i odszczeknęła:

— Chciałabym.

To była sytuacja bez wyjścia. Działała mi na nerwy do tego stopnia, że byłem już na skraju wytrzymałości i chciałem tylko, żeby się wreszcie zamknęła. Wrażliwe podejście Montela Williamsa działało jedynie na rozsądną kobietę typu Oprah Winfrey.

Odwróciła się w połowie zdania, wpadła do łazienki, trzasnęła drzwiami i zamknęła je na klucz. Kusiło mnie, żeby je zaspawać i wybudować przed nimi mur z cegieł. Ale wyszedłem na dwór, by zaczerpnąć świeżego powietrza i oczyścić głowę, zanim wybuchnę jak Światowe Centrum Handlowe. Moje stopy poruszały się i zabrały mnie na terapeutyczny spacer do rogu i z powrotem. Było mniej więcej minus jeden i niezły wiatr, ale byłem zbyt wściekły, by poczuć, że marzną mi Palce. Zbyt wściekły, by zauważyć piękny wschód słońca. Ogrzewała mnie wrząca w żyłach krew.

Kiedy wróciłem do mieszkania, jej wstrętne bagaż był znów na sofie. Pocięte zdjęcia leżały wszędzie na podłodze i stoliku do kawy. Kiedy je podnosiłem, pomyślałem, że musiała pociąć nasze zdjęcia, ale to były zniszczone zdjęcia mnie i Kimberly. Te, które właśnie zrobiliśmy sobie w Los Angeles i wywołaliśmy w godzinę na promenadzie. J'nette znalazła je grzebiąc w moich

szufladach. To właśnie robiła wczoraj, kiedy ja brałem prysznic. Kręciła się, grzebała w moich rzeczach tak, jak bezdomni grzebią w śmieciach. Stała teraz w drzwiach do sypialni z wredną miną, założonymi rękami, tupiąc nogą w rytmie, jakim obracała szyją. Nienawidziłem, kiedy czarne kobiety odstawiały tę scenę ze spojrzeniem węża.

Warknęła i podeszła do mnie.

— Myślałam, że byłeś w Memphis.

— O co ci chodzi?

— Wychodzi na to, że w Memphis jest pieprzony znak Hollywood, co?

Aparat Kimberly wskazywał datę i czas na wszystkich zdjęciach. Nie było czemu zaprzeczać. Alibi nie było potrzebne. Teraz dopiero rozpętało się piekło. Głośno i ostro.

Wrzeszczała, że jestem psem: kiedy ona przechodzi przez piekło, ja lecę sobie do Kalifornii do jakiejś białej dziwki". Zakładała, że Kimberly mieszka w Los Angeles. Nie przeszkadzało mi to.

Zmieniła emocjonalne biegi i powiedziała, że nie dokona aborcji. Kiedy straciła rozum, pierwsze, co zrobiłem, to przypomniałem jej:

— Nawet nie wiesz, z kim jesteś w ciąży.

Nie powinienem był tego mówić. Pobiegła zapłakana do kuchni i chwyciła nóż i rzuciła się z nim na mnie w ferworze. Bez namysłu zachowałem się po męsku i zacząłem uciekać. Gonila mnie, wygrażała. Skończyłem, udając Zorro, machając w jej stronę złotą lampką z drugiej strony łóżka wodnego. Nie dawała za wygraną, stała twardo między mną a drzwiami.

Potem zaczęła zachowywać się, jakby zamierzała pociąć mi łóżko. Zaczęliśmy się szamotać z nożem. Odebrałem jej go. Cóż, właściwie to nie odebrałem — rzuciła go, a ja skoczyłem i podniosłem, zanim zdążyła po niego sięgnąć. Teraz miałem nóż, ale ona nie przestawała walić mnie w pierś.

Potem strasznie mnie przestraszyła. Przestała się bić. Zaczęła płakać. Najpierw pomyślałem, że próbuje mnie podejść, ale nogi zaczęły jej się trząść i upadła na podłogę, z lekkością poduszki w locie. Chwilę później usiadłem.

Potarła oczy i powiedziała:

— Jestem przerażona.

— Przerażona?

Skinęła głową.

— Śmiertelnie przerażona.

J'nette powiedziała, że nie uznaje aborcji, ale nie chce wychowywać dziecka bez ojca. Spytałem, czemu nie porozmawia z tym drugim facetem.

— Już za późno. Nie ma znaczenia — powiedziała.

Nie rozwijałem tematu. Pomyślałem, że facet musi być żonaty. Może koleś nie był czarny, a może nie chciała, żeby ktokolwiek się dowiedział. Czarne kobiety wymawiały facetom, że je zdradzają, a same uciekały do Włochów czy Portorykańczyków.

— Nie chcę znów przez to przechodzić — powiedziała. — Trzy razy już to przerabiałam i po tym lekarz powiedział, że być może nie będę mogła mieć już dzieci.

Szczęka mi opadła, kiedy tak opowiadała, jak nie będzie mogła donosić do terminu z powodu osłabionego układu rozrodczego. Lekarz uważał, że ten zabieg zaniknie jej szanse na własne dzieci. Przestałem słuchać, kiedy zaczęła jęczeć o słabych ściankach czy czymś takim.

— Jordan — spokojnie i miękko wymówiła moje imię, jakbym był jej najlepszym przyjacielem. — Czy jeśli urodzę dziecko, pozwolisz mi wpisać je na twoje ubezpieczenie, żebym mogła się nim zająć, dopóki sama nie stanę na nogi?

— To znaczy mam uznać dziecko za swoje?

— Tak. Ale nie wpiszę twojego nazwiska w akcie urodzenia i podpiszę dokumenty stwierdzające, że nie jesteś ojcem.

Powiedziała to tak, jakby prosiła o rozmienienie dolara. Poczucie winy było dojmujące, ale głupota to co innego. Nie kłamałem w rozliczeniach podatkowych. Nie skłamałbym w takiej sprawie. Musiałem powiedzieć swoje zdanie.

potarłem spocony nos i najdelikatniej powiedziałem:

— Nie możemy tego zrobić. Jeśli dziecko jest moje, to w porządku, zrobię, co trzeba. Jeśli nie, wtedy, cóż, przykro mi. To nie byłoby w porządku. Wobec mnie, wobec ciebie, wobec dziecka, i wobec ojca dziecka — kimkolwiek on jest. Tego typu sprawy mogą wszystkich zacząć prześladować długo po...

Podniosła się z trudem, odeszła ode mnie, chwyciła torebkę.

— Rusz się. Spóźnimy się na zabieg.

Minutę później szliśmy w stronę warzywniaka Waldbauma, złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy na Northern Boulevard. Przykleiła się do swojej strony. Ja do swojej. Miałem wrażenie, jakbyśmy usiłowali nie zarazić się od siebie jakąś chorobą. Nie mogłem uwierzyć, że kiedyś czule jej dotykałem.

Przez chwilę skupiłem uwagę na wszystkim oprócz wnętrza taksówki. Kiedy zatrzymaliśmy się na światłach, patrzyłem na billboard wiadomości kanału 9 na Erniego, Brendę, Storma i Rossa, dziennikarzy wiadomości z godziny dziesiątej. Kiedy pociągnąłem nosem i skierowałem wzrok z nieba na własne kieszenie, szukając chusteczki, nagle zamarłem i omal nie zemdlałem. Kimberly i wysoka szczupła siostra wbiegły na skrzyżowanie, wprost przed nas. Z każdym krokiem z ust Kimberly wydobywały się chmurki pary. Gdyby teraz spojrzała w prawo, spojrzałaby mi prosto w oczy. Gdyby J'nette uniosła wzrok, zobaczyłaby Kimberly. Ruda i jej przyjaciółka biegły dalej. W Nowym Jorku nie zagłada się do samochodów. Dzięki Bogu. Obydwie były w Pastelowych dresach, biegły i były tak zajęte rozmową, że nawet nie zauważyły mojej taksówki.

Zanim dotarliśmy do kliniki, powiedziałem:

— Nie musisz.

J'nette warknęła:

— Nie mam pracy. Nie dostanę innej pracy, jeśli jestem czarną kobietą w ciąży. A nawet gdybym urodziła dziecko, to koszty wychowania są tak wysokie. A skoro nie pracuję, to co do cholery mam zrobić? Jestem w ciąży. Właśnie mnie zwolnili. Nie zamierzam iść na zasilek. Kurczę, po moim trupie pójdę na zasilek. Kiedy ludzie raz tam trafiają, to nie potrafią się już z tego dostać.

Taksówkarz spojrzał we wsteczne lusterko i zapytał:

— Przepraszam? Chce pani jechać do AFDC? Gdzie to jest?

— Nie, nie, nie! — powiedziała J'nette. — Nikt do pana nie mówi. Patrz na drogę.

Kierowca uniósł rękę w rękawiczce:

— Bardzo przepraszam.

— Może chciałabyś porozmawiać najpierw z psychologiem? — spytałem.

— Jay, jestem w ciąży, nie jestem szalona.

Kiedy przeprowadziłem ją przez rozgorączkowany tłum przeciwników aborcji wrzeszczących, plujących i wygrażających, pchających nam przed oczy powiększone zdjęcia zmasakrowanych płodów, J'nette jeszcze bardziej się zatrzęsła. Ja byłem tak samo poruszony. Przeciwnicy aborcji zabili lekarza na Florydzie. Wysadzili inne miejsce w powietrze. Lekarz z Kansas został zastrzelony. Jakiś kamikaze próbował wjechać ciężarówką z propanem prosto do środka kliniki. Ci głupcy nie żartowali i gotowi byli cię zabić w mgnieniu oka.

Wysiedliśmy z taksówki przed niską, krępą Portorykanką trzymającą wielki plakat: JEDNO MARTWE, JEDNO RANNE. Przysadzisty, brodaty brat zablokował nas jasnoczerwonym znakiem: DZIECKO Z POTENCJAŁEM, NIE POTENCJALNE DZIECKO. Facet i ja spojrzeliśmy na siebie. Skoro nie miał macicy, to co do cholery tu robił?

Zwolniliśmy kroku, kiedy J'nette potknęła się na nierównym chodniku. Powiew wiatru zdmuchnął nas na stronę. Popchnął nas do siebie.

Kaszlnąłem.

— Wszystko w porządku?

Głos jej się załamał, nie wydała żadnego dźwięku. Ścisnęła moją rękę tak mocno, że myślałem, że oderwie mi palec. Zacisnąłem zęby z bólu, przeszedł mnie dreszcz. J'nette wtuliła głowę w ramiona i przyspieszyła kroku. Zrobiłem to samo.

Kiedy usiadłem z nią w miejscu pełnym twarzy wyrażających żal, usiłowała wypełnić formularze. Ręce za bardzo jej się trzęsły. Wziąłem je od niej i sam zacząłem wypełniać.

— Jaki jest inicjał twojego drugiego imienia? — spytałem.

— L. — powiedziała.

— Od czego?

— Lynnette.

— J'nette Lynnette? — spytałem.

— Tak.

W każdym innym okolicznościach bym się roześmiał, ale nie przypuszczałem, że dzisiaj cokolwiek mnie rozśmieszy.

Patrzyła na swoje dłonie.

— A twoje?

— Jordan to moje drugie imię. Nazywam się Elijah.

Wytarła twarz.

— Nie wiedziałam.

Przez chwilę rozmawialiśmy jak przyjaciele. Byliśmy dla siebie mili jak na początku naszej znajomości. Nie zmieniając poważnej miny powiedziała, że nic jej nie będzie i że chce się ze mną spotkać za parę godzin w McDonalddie przy końcu ulicy. Nie poprosiła, żebym wyszedł. Kazała mi odejść.

Kiedy wyszedłem na wiatr, zastanawiałem się, przez co musi przejść. Białe ściany i poważna recepcjonistka sprawiały, że miejsce przypominało katownię. Nie było mi wcale łatwo siedzieć sobie w McDonalddie przy babeczce i kawie.

Poszedłem za róg do Western Union i przesłałem Darrel— lowi czterysta dolarów, zadzwoniłem i zostawiłem wiadomość, żeby oddzwonił, jak odbierze pieniądze. Kurczę. Trzysta dolarów dla J'nette. Czterysta dla Darrella. I kolejne trzysta wydane w Los Angeles. Kimberly zajęła się biletami i hotelem, więc ja zapłaciłem za jedzenie i wynajem samochodu. Z bilansu mojej książeczki czekowej wynikało, że przez trzy następne miesiące będę jadł jedynie zupę. Miałem kilka obligacji schowanych w sejfie na czarną godzinę. A teraz właśnie była burza jak cholera.

Trochę ponad dwie godziny później wyszła J'nette. Silny wiatr rozwiewał jej włosy na wszystkie strony, kiedy przechodziła przez ulicę do McDonalda. Martwiłem się i chociaż cieszyłem się, że wreszcie wyszła, panicznie bałem się stawić jej czoło. Wstydziłem się. Wydawała się ożywiona, ale szła o wiele wolniej niż zwykle. Bezduszny chód. Nie wiedziałem, co powiedzieć, a z jej wyrazu twarzy i pustki słów wynikało, że nie chce niczego usłyszeć. Zwłaszcza ode mnie. Zatrzymaliśmy taksówkę. Gdy tylko wsiedliśmy, spojrzała na mnie tym spojrzeniem mówiącym „jak mężczyźni mogą być tak okrutni?” Poczulem jej spojrzenie, uchwyciłem jego część kątem oka. Napięcie zmusiło mnie, bym spojrzał w jej stronę.

Powiedziała chłodno:

— Zadowolony?

Jej słowa zmroziły mnie. Milczałem. Zdjąłem rękawice i skierowałem spojrzenie w przeciwną stronę, na zimne ulice. Rozpięła szary płaszcz, przetarła oczy.

— Chcesz u mnie odpocząć? — spytałem.

Gapiała się przez okno, wycierała nos.

— Chcesz, żebym odwiózł cię do Jersey? — spytałem.

Zaczęła szlochać, kiwała się jakby w żałobie, unosząc w górę ręce.

Kiedy wreszcie otworzyła usta, kazała taksówkarzowi zatrzymać się przy przystanku metra. Na Roosevelt Avenue. Gdy taksówka zwalniała, przechyliła się i wcisnęła mi do kieszeni zmiętą kartkę. Jedną z tych żółtych ulotek informacyjnych z kliniki. Na odwrocie napisała wiadomość czerwonym atramentem. Wyskoczyła i zamknęła drzwi. Przedzierała się przez korek i tłum ludzi w stronę restauracji i cukierni Zaika, do rzędu sklepów pod metalowo—betonowym mostem. Parę kroków dalej odwróciła się i spojrzała na mnie. Otworzyła usta, zaczęła formować jakieś słowa, ale nic nie powiedziała.

Otworzyłem drzwi i stałem na wietrze czekając na to, co chce zrobić. J'nette podeszła do mnie. Z trudem otworzyła torebkę. Wyjęła mały zapakowany prezent i położyła go na dachu taksówki. Przesunęła go ze swojej strony na moją. Wskazała ręką na zielony, mieniący się, gwiazdkowy papier w ma-lutkie złote łuki.

Znowu usiłowała coś powiedzieć. Poczułem kulę w gardle. Ręce pocily mi się w rękawiczkach. Nie wydaliśmy nawet dźwięku, nawet kiedy taksówkarz zatrąbił i wrzasnął, żebym się na coś zdecydował.

J'nette niezręcznie poprawiła włosy, spuściła głowę między krótkimi oddechami, wytarła oczy i stopniowo zniknęła w ruchliwym tłumie. Weszła do środka przystanku metra, nie czuła potrzeby, by się odwrócić, ja nie czułem się zobowiązany, żeby za nią gonić.

Zacząłem się nad sobą zastanawiać. Dlaczego życie musi być takie.

Otworzyłem pudełko i zajrzałem do środka. Zwiędły pąk czerwonej róży. Przeczytałem notkę napisaną drżącą ręką:

Jay,

Do widzenia i nigdy się ze mną nie kontaktuj. A tak, zapomniałam ci powiedzieć. Dzwoniła Kimberly. Trochę sobie porozmawialiśmy. Wesółych pie-przonych Świąt.

J'nette

TLR

10. Jordan Greene

Zanim wróciłem do domu, Kimberly zdążyła już zadzwonić. Wypowiedziana upartym głosem wiadomość brzmiała:

— Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz chwilę.

Nie zadzwoniłem. Po nieprzespanej nocy pełnej kłótni i J'nette rzucającej mi zwiędłe róże, miałem dość blizn wojennych jak na jeden dzień.

Darrell też zadzwonił. Odebrał pieniądze. Bez wątpienia nie porozmawiamy aż do następnych kłopotów.

Solomon przyszedł około trzeciej. Był nadal samochodem i pojechaliśmy do Centrum Rockefellera na zakupy i obejrzeć ogromną choinkę. Solomon zrobił zdjęcie choinki, potem pojechaliśmy w stronę jego domu robić następne zdjęcia na Lenox Avenue i sprzedawców na St. Nicholas Avenue w Harlemie. Kiedy już opędziliśmy się od sprzedawców pirackich filmów, płyt i kaset, Solomon zrobił zdjęcie tabliczki ulicy Malcolma X. Jego rodzice uwielbiali zdjęcia z Nowego Jorku. Uwielbiali chwalić się sąsiadom, że ich syn z Pine Bluff żyje pełnią życia. Chciałem jeszcze wrócić do dzielnicy sklepów odzieżowych, ale zrobiło się za późno i zgłodnieliśmy.

O ósmej siedzieliśmy u mnie i jedliśmy wczorajsze kotlety wieprzowe. Solomon zaczął oglądać pierścionek, choaząc z pokoju do pokoju, jak naiwny marzyciel w poszukiwaniu własnego szczęścia, odchrząkując i wycierając spocone ręce o spodnie.

O dziewiątej siedzieliśmy w pokoju zajadając się popcornem i oglądając stary czarno- biały film z bardzo młodą Earthą Kitt, Sammy Davisem Jr., i facetem, który grał dziadka Huxtable'a w The Cosby Show. Już od dwóch lat chciałem obejrzeć ten film, ale zawsze coś mi wypadło.

W mieszkaniu był straszny bałagan, po tym jak J'nette szalała w nim rano. Pisma PC, GQ i EM leżały porzucane na zakurzonej stole. Ekran telewizora też wymagał przetrucia. Tak jak zdjęcie Mamy i małe statuetki Afro-Amerykańskich jazz- bandów. Inne pisma leżały jeszcze na podłodze, porzucane po dywanie przez J'nette.

Włączył się wykrywacz dymu. Zanim zdążyłem wbiec do kuchni, okropny smród dotarł już na korytarz. Solomon omyłkowo zaprogramował mikrofalówkę na trzydzieści minut zamiast na trzy. Popcorn się spalił. Solomon stał teraz na środku kuchni odganiając dym ręką.

Potem nadal nie mogłem obejrzeć w spokoju choćby dwóch minut filmu, żeby Solomon nie otworzył buzi. Był przejęty Zoe i tym przeklętym pierścionkiem. Przez cały dzień wszystko, o czym rozmawialiśmy, prowadziło nas z powrotem do Zoe. Kiedy wreszcie wywietrzyliśmy kuchnię i usiedliśmy, Solomon wkurzał mnie ciągłym otwieraniem i zamykaniem tego głupiego pudełka z pierścionkiem zaręczynowym. Za każdym razem, kiedy otwierał pudełko, zasysał dolną wargę. Kiedy je zamykał, wzdychał. Przynajmniej ze dwadzieścia razy w ciągu ostatnich dziesięciu minut zdążył mnie zapytać, co sądzę o tym kamieniu.

— No już — przysunął mi pierścionek pod nos. — Powiedz prawdę. Nie podpuszczaj mnie. Co o nim sądzisz?

— Solomon — powiedziałem nie odrywając wzroku z telewizora. — Jest świetny.

— Na pewno?

— Tak, jest ekstra.

Byłem już zmęczony oglądaniem tego przeklętego pierścionka, a dźwięk otwieranego i zamykanego pudełka zaczynał działać mi na nerwy.

Ale Solomon był moim kumplem z Południa, moim najlepszym przyjacielem, doradcą, przyjaznym bankomatem, który nie pobierał prowizji. Byliśmy dwiema rybami z południowych zatok, próbującymi pływać w wielkim północnym stawie.

Najbardziej w tym wszystkim przeszkadzało mi to, że Solomon tak jej pragnął. Za bardzo, obsesyjnie. O wiele za bardzo, jak na te kilka miesięcy i jeszcze mniej nocy, które razem spędzili.

Może byłem zazdrosny, ponieważ nigdy nikogo tak nie pragnąłem. Nie pragnąłem tak bardzo witać z kimś milio. nów poranków. Nie pragnąłem pró-

bować niczych owoców aż zniknie ich słodycz. Może przygnębiała mnie myśl, że żadna kobieta o złotej skórze nie pragnęła mnie na zawsze.

Zoe zdążyła już zerwać z dwoma facetami w tym roku. Tyle powiedziała mi J'nette. Obydwaj byli prawnikami. Miała swój system. I z tego, co mówiła o niej J'nette, od rozwodu Zoe była niespokojnym duchem.

Solomon stale podkreślał, że ma trzydzieści dwa lata. Bardzo poważne, południowe trzydzieści dwa, co było równoznaczne z normalną czterdziestką. I ciągle narzekał, że jest zmęczony pogonią za cieniem związków bez przyszłości. Zmęczony uganianiem się za kobietami, które twierdziły, że chcą kogoś dobrego, a gdy takiego spotykały, były zbyt zajęte gierkami, by to dostrzec. Zbyt zajęte odsuwaniem facetów o dobrych intencjach na rzecz tych, którzy je wykorzystywali.

Dodał, że Zoe ma dopiero trzydziestkę i twierdzi, że ma dość adoracji nic nie wartych facetów, takich, którzy udają, że pragną wszystkiego i mogą wszystko zaofiarować, a w rzeczywistości chcą tylko jednego i niczego nie dają w zamian.

— Więc ty i Zoe rozmawialiście o małżeństwie? — spytałem.

— Z filozoficznego punktu widzenia.

— I?

— Oboje pragniemy mieć rodzinę. I mimo że czasy się zmieniły, wierzymy w to, co reprezentuje, czym kiedyś była, i czym nadal powinna być.

— Solomonie, podejście ideologiczne— filozoficzne i prawdy niezaprzechalnej rzeczywistości dzieli przepaść szeroka jak Wielki Kanion.

— Uspokój się i przestań używać wielkich słów.

Sparafrazowałem i podkreśliłem to, co wcześniej powiedziałem:

— Gadka nic nie znaczy. Najdobitniej przemawiają czyny.

Spojrzał na pierścionek, jakby był lekarstwem na jego nieszczęście. Tak patrzyłem na J'nette jeszcze parę tygodni temu. Tygodni, które minęły szybko jak życie. Teraz poszukiwanie zaczyna się od początku. Wszyscy na coś polowali. Wydawało się, że im coś jest łatwiejsze, tym trudniej osiągalne.

— O czym myślisz? — spytałem.

— Kto nie ryzykuje, ten nie je.

Solomon poszedł do łazienki, potem śpiewając przeszedł do kuchni i nalał sobie trzecią szklankę soku. Film na dobre się rozkręcił. Korzystając z chwili ciszy wróciłem do oglądania świetnej sceny tanecznej z Earthą Kitt i Sammym Davisem Jr.

Mój kumpel z Południa wrócił i położył przede mną pudełko. Solomon położył stopy na ławie i skrzyżował nogi. Zmarszczyłem brwi.

— Zabieraj nogi z moich mebli.

Uśmiechnął się.

— Cicho bądź.

Miał kompleks władzy niskiego mężczyzny. I tak nie był w butach. Siedzieliśmy sobie w granatowych dresach, znudzeni, zdenerwowani i godni politowania. Solomon chwycił garść popcornu i zaczął mówić z pełnymi ustami, tak jakbyśmy byli w toku jakiejś rozmowy.

— Dobrze mi się układa z małą Sierrą. Naprawdę dobrze. Poszliśmy do restauracji dla dzieci Chuck E. Cheese. Uwielbia mnie.

Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie, że Sierra jest córeczką Zoe. Odpałem:

— Przecież widziałeś ją tylko raz.

Uśmiechnął się.

— Dwa razy.

— Ale tego samego dnia, tak?

Wzruszył ramionami.

— Tak.

— Tak jak mówiłem, raz. Poza tym wszystkie dzieci będą się kochać w Chuck E. Cheese. To nie ty. To gadające misie.

— Ale wiesz, jakie to uczucie, kiedy coś między wami zaskoczy?

— Obawiam się, że nie wiem. Jakie?

Dotknął klatki piersiowej i uśmiechnął się, jakby trzymał w dłoni swoje serce. Próbował wyrazić uczucie słowami, ale najwyraźniej uznał, że rzeczowniki i czasowniki niewiele tu przydadzą. Najpierw jego twarz nabrała grymasu, jakby próbował dotrzeć do najdalszych zakątków duszy, żeby pod-

kreślić uczucie, potem się uśmiechnął, twarz się rozjaśniła i wydał z siebie namiętne „UNnnununumMmMmmmmmmmpHHHH!”

Roześmialiśmy się.

Zdaje się, że nareszcie zrozumiałem, co wyraża moja twarz. Jego twarz. Był zakochany. Nie zakochany, ale *zakochany*. Uznawałem to za oczywiste, ponieważ wiem, jak mężczyźni maskują każdy objaw uczucia. Zatopiony we własnych problemach, nie byłem w stanie wsłuchać się w prawdy zawarte w jego radosnych słowach. Nie gonił jakiegokolwiek kobiety, gonił tę właściwą. Solomon zawsze panował nad swoim życiem i nie widziałem go nigdy wątplącego, a ta obecna niepewność była czymś nowym.

Solomon to mój najlepszy przyjaciel i powinienem zachować się także jak najlepszy przyjaciel. To, że moje życie powoli waliło mi się na głowę, nie było teraz najważniejsze. Sam byłem sobie winny.

Wyłączyłem telewizor i zapaliłem lampkę na stoliku, podniosłem pierścionek i dokładnie się mu przyjrzałem. Gdy wydałem okrzyk wrażenia, Solomon się zaśmiał, klepnął po udach, uśmiechnął z małego zwycięstwa i przysunął bliżej.

— Wygląda na drogi — powiedziałem.

— Chcesz zobaczyć certyfikat autentyczności?

Wyjął go i podsunął mi przed oczy, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Nawet oszacowanie kosztowało kupę kasy.

Jęknąłem.

— Solomon, biorąc pod uwagę, ile zarabiasz, i to, że kobiety przyjmują za standard równowartość dwóch pensji, wydałeś trzy razy więcej, niż musiałeś.

— Jay — wzniosł ręce do nieba — jak można wycenić to, co czujesz, szczególnie kiedy to, co czujesz, jest wspaniałe?

— Kurczę, to bomba. — Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. — Już go widziała?

Zapalił się.

— Jeszcze nie. Chcę ją zaskoczyć na Gwiazdkę.

— Przy całej rodzinie?

— Nie. — Zagryzł górną wargę. — Tylko ona i ja. Nie chcę być nachalny i jej naciskać. I nie chcę dać się zawstydzić— Przecież to tylko pier-

ścionek zaręczynowy. Nie musi następnego dnia lecieć kupować sukni ślubnej, chyba że sama tego chce. Nie miałbym nic przeciwko. Chcę, żeby wiedziała, że myślę o niej poważnie i że pragnę stworzyć coś stałego z jej pięknym uśmiechem u mego boku.

— A co z dziećmi?

— Ja, ona, mój synek DaReus, i jej córeczka Sierra moglibyśmy stworzyć trwałą rodzinę. Szkoda, że nie jest matką DaReusa. Byłoby dużo łatwiej.

— Twoja była żona się wścieka?

— Nie masz pojęcia, jak bardzo. Bez względu na to, ile pieniędzy jej posyłam, zawsze chce więcej. Posyłam jej sto dolarów miesięcznie więcej niż powinienem, i dodatkowo posyłam jej pieniądze, kiedy DaReus jest ze mną, a ona nadal chce więcej.

— A niech to.

— Alimony mogą być problemem nawet dla dobrego taty.

Cała radość związana z Zoe prysła. Słuchając go doszedłem do wniosku, że dobrze zrobiłem, nie pozwalając J'nette skorzystać z mojego ubezpieczenia. Wykorzystać mojego nazwiska. Kiedy raz zaczęłaś płacić, nie dało się przestać.

— Chce cię z powrotem — stwierdziłem.

— Gdyby się nie puszczała — powiedział i machnął ręką — miałyby mnie nadal. Jestem dla niej miły tylko ze względu na synka.

— Jeśli Zoe odmówi, będzie mogła zatrzymać pierścionek?

— Zwariowałeś?

— Tylko sprawdzam, czy ty nie zwariowałeś.

Zadzwoił telefon. Jak poprzednie trzy razy, pozwoliłem, by włączyła się sekretarka. Były jeszcze cztery telefony, jeden po drugim.

Solomon się zaśmiał.

— Chcesz, żebym odebrał?

Chwyciłem garść popcornu.

— Włączy się sekretarka.

Solomon położył się na sofie i skrzyżował nogi.

— Ktoś cię ściga.

Kilka minut później zaburczało mi w brzuchu i skoczyłem łazienki. Rozwijałem papier toaletowy, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zanim zdążyłem uchylić drzwi i krzyknąć do Solomona, żeby zobaczył, kto to może być tak późno, usłyszałem głosy. Pokręciłem się w łazience, psiknąłem odświeżaczem i umyłem zęby dla zabicia czasu.

Szedłem korytarzem, wcierając krem w dłonie. Kimberly z koleżanką, z którą ją wcześniej widziałem, stały w pokoju przed telewizorem. Solomon przyparł je do muru i pokazywał pierścione.

Kimberly zdjęła czapkę baseballówkę ze znakiem Giants i uśmiechnęła się. Odwzajemniłem uśmiech. Nieznacznie.

Pomyślałem, że obcięła włosy, ale miała warkocz schowany pod kurtką, co sprawiało, że jej włosy wyglądały na chłopięco krótkie. Nie była umalowana, twarz miała wysmaganą wiatrem i wyglądała na dwadzieścia lat. Po raz pierwszy sam zauważyłem wyblakłą bliznę na jej czole.

Uśmiech Kimberly osłabł. Kołysała się, rozpinając i zapinając skórzaną kurtkę.

— Czy dostałeś moją wiadomość? — spytała.

Skinąłem głową. Ostatni z moich uśmiechów zbladł.

Jej przyjaciółka posłała mi skrzywiony uśmieszek, otworzyła wydatne usta i przerwała nieprzyjemną chwilę ciszy.

— Więc to ty jesteś tym, który zabiera czas mojej przyjaciółce.

Była wyższa ode mnie. Solomon dosięgał jej do piersi. Miała nigeryjskie rysy, jamajski akcent, gładką skórę. Rozpięła czarną kurtkę, poluźniła czerwony szalik, zdjęła baseballówkę i pozwoliła swobodnie opaść warkoczom.

Wymusiłem uśmiech.

— Jestem Jordan. Ty musisz być Sharon.

Podeszła i mocno uścisnęła moją dłoń.

— Sharon to nasza druga przyjaciółka. Ja nazywam się Kinikki Cameron.

— Ki— ni— ki?

— Tak. Całkiem nieźle.

— Kinikki, miło mi, Kinikki. — Wymówiłem jej imię dwa razy. Powtórz dwa razy, a zapamiętasz na całe życie.

— Jestem malarką jak Kimberly.

Solomon wtrącił:

— Zdejmijcie kurtki.

Kimberly potrząsnęła głową.

— Wpadłyśmy tylko na chwilę.

Kimberly i Kinikki wymieniły konspiracyjne spojrzenia, poczym Kimberly uformowała usta w uśmiech, wyminęła swoją wysoką przyjaciółkę, objęła mnie lekko i szepnęła mi do ucha:

— Unikasz mnie z jakiegoś powodu?

Uśmiechnąłem się tak jak ona i wyszeptałem:

— Nie.

Kinikki się roześmiała.

— Wy dwoje, przestańcie już. Będziecie mieli mnóstwo czasu na to później. Jordan, czy masz coś do picia?

— Sok. Pepsi. Wino.

— Może być wino — bez namysłu odparła Kinikki.

Kimberly poszła za mną do kuchni. Nalałem kieliszek wina, który Kimberly zniosła do pokoju i zaraz wróciła. Masowała sobie kark, kiedy szła.

Wskazała na stół kuchenny. Usiedliśmy. Założyła nogę na nogę. Zaczęła bębnić paznokciami po szklanym blacie. Sączyłem swój sok, a kiedy postawiłem szklanke, ona ją wzięła i wypila kilka łyków. Gdy ją odłożyła, widać było na niej ślady czekoladowej szminki. Spojrzała na mnie. Oparłem się wygodnie, zaczerpnąłem powietrza, zrobiłem głęboki wydech i zatarłem ręce.

Przechyliła głowę i powiedziała:

— Masz łupież.

— Mam suchą skórę.

— Kup balsam nawilżający. Skóra ci schodzi. — Kimberly przestała bębnić, podrapała się w głowę, i spytała: — Kim jest J'nette?

Była zazdrosna. Może zastanawiała się, czy nie rywalizuje z Afro-Amerykanką.

Odchrząknąłem i spytałem:

— Rozmawiałaś z nią?

— Nie rób tego.

— Czego?

Schyliła się i dotknęła mojej dłoni.

— Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

— To po to przyszłaś? Żeby mnie o to spytać?

— Właściwie to był pomysł Kinikki. Po tym, jak zostawiłam ci wiadomość, a ty nie miałeś dość przyzwoitości, żeby oddzwonić, zamierzałam dać sobie spokój. Dać sobie spokój z tobą po tym, jak usłyszałam, co powiedziała twoja przyjaciółka. Ale Kinikki, cóż, ona uważa, że za bardzo cię lubię i że powinnam wysłuchać, co masz na ten temat do powiedzenia, zanim ostatecznie cię skreślę jako kolejny nieudany wybór.

— Naprawdę?

— Co naprawdę?

— Za bardzo mnie lubisz?

— Jestem tu. Sam mi powiedz. Lubię?

— Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

Kimberly się nie uśmiechnęła. Jej mina pozostawała stanowcza. Zakryła dłonią usta.

— Kim jest ta J'nette, która wczoraj odebrała twój telefon?

Powiedziałem jej z zaciśniętymi pięściami. Nie miałem wyboru, ponieważ nie wiedziałem, jaką wersję usłyszała od J'nette. Jej twarz, oczy, nic w spokojnym zachowaniu nie zdradziło mi jej uczuć. Nie wiedziałem, jak bardzo powinienem żałować tego, co się działo i co się stało. Moja znajomość z Kimberly rozwinęła się tak szybko, że nie zdążyłem wyczyścić resztek poprzedniego romansu z podeszew swoich butów. Kimberly patrzyła na mnie, gdy mówiłem, w sposób, który sprawiał, że myślałem, że jest w stanie rozpoznać, czy kłamię, na podstawie wyrazu ust. Nie miało to znaczenia, bo nie kłamałem.

— Odprawiłeś ją? — wypaliła oburzona.

— Chciała odejść. Poprosiła mnie o pieniądze.

Z rękami na stole — wierciła się na krześle i spytała chłodnym urzędowym tonem:

— To twoje?

Westchnąłem, oblizałem usta i wzruszyłem ramionami.

— Nie wiem.

— Jordan, ten kit, który mi wciskasz, nie ma najmniejszego sensu.

— To prawda.

— Brzmi jak bzdura. W takim razie dlaczego dałeś jej pieniądze? Dlaczego pozwoliłeś jej zostać na noc?

— Tak było wygodniej. To znaczy, nie wiem.

Skrzyżowała ramiona.

— Nadal z nią sypiasz?

— Nie.

— Spotykasz się z nią.

— Nie.

Odsunęliśmy krzesła i wstaliśmy. Zanim się poruszyła, Kimberly powiedziała przeszywająco:

— Wiesz, co jeszcze jest spaprane? Dziś rano widziałam was razem w taksówce.

Nic nie mogłem na to odpowiedzieć.

Szła dwa kroki przede mną, zapięła kurtkę, wciągnęła rękawiczki i wcisnęła ręce do kieszeni. Solomon siedział na sofie i nadal pokazywał Kinikki pierścionek.

Kinikki spojrzała na Kimberly i spytała niepewnie:

— Jesteś gotowa?

Kimberly odparła po prostu:

— Tak, skończyliśmy.

Kimberly stała prawie że w pozycji sprinterki, z ugiętymi rękami i wysuniętą głową. Solomon nadal przebywał w swoim własnym świecie. Spojrzał na zegarek i zdecydował, że na niego też już pora. Kimberly poprosiła, żeby podwiózł ją do domu, a Kinikki do przystanku metra. Powiedziały, że zapłacą mu jak za taksówkę, ale odmówił. Cieszył się, że może wyświadczyć przysługę. Południowa gościnność. Powiedział, że jedzie w tę samą stronę i że nie będzie to żaden kłopot.

Pierwsza wyszła po cichu Kimberly, za nią Solomon, a na końcu Kinikki. Patrzyłem na Kimberly, na jej strój. W swym krótkim życiu jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ona. Nie znałem nikogo tak doskonałego. Była otwarta i tajemnicza zarazem. Tajemnica, która szła naprzód bez oglądania się za siebie. Nie znałem jej dostatecznie długo, by zapracować na złamane serce, ale tak właśnie się czułem. Już wiedziałem, że przez jakiś czas będę za nią tęsknił. Przez dłuższy czas. To nic. Dawno się nauczyłem, że wszystko się kiedyś kończy. Szczególnie to, co dobre. Więc dla mnie złamane serce było czymś tak spodziewanym jak wschód słońca czy tak wygodnym jak znoszone buty. Chwile melancholii prowadzące do długich minut szaleństwa nie były niczym nowym.

Kimberly usiadła na tylnym siedzeniu samochodu Solomona, spojrzała przed siebie, nie odwróciła się. Głupio się czułem, stojąc bez butów w ciemności, na mrozie. Nie czekając na nic, wymamrotałem ogólne „do widzenia” na łagodny wiatr i poczłapałem na dół do mojej fortecy samotności.

W domu podniosłem „Times'a”, pokręciłem się w ciszy, zgasłem światła w pokoju, włączyłem jakieś klasyczne nagranie Charliego Parkera i poszedłem do kuchni, by zagrzać wodę na ziołową herbatę.

Ruszałem się jak żółw. Niepokój ścinał mi krew, przytłaczał mnie, sprawiał, że czułem się staro. Cholera, przecież urodziłem się stary. Tak to jest, kiedy zostaniesz przytłoczony odpowiedzialnością w momencie narodzin.

Zadzwonił dzwonek. To Kimberly. Stała w łagodnym świetle na moim ganku z zamkniętymi oczami i mocno obejmowała się ramionami. Nuciała wściekłą wersję „Jingle Bells”.

— Co słyhać? — spytałem.

— To twoje?

— Nie wiem.

— Co to ma znaczyć?

— Ona nie wiedziała.

Kimberly odwróciła się i pozwoliła, by jej oddech odpłynął od jej twarzy. Potem znów na mnie spojrzała.

— Czy będziemy nadal się spotykać, czy mam pójść do domu?

— A czego chcesz?

— Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

— To przestań zadawać tyle pytań.

— Przestań być taki tajemniczy.

— Przestań być taka sarkastyczna.

— Przestań mnie wkurzać.

Odwróciła się i pomachała Kinikki na do widzenia. Kinikki wsiadła do samochodu Solomona i odjechali.

— Jest zimno, wpuścisz mnie? — spytała zniecierpliwiona.

— Czy mogłabyś opuścić ręce?

Opuściła ręce. Usunąłem się z przejścia. Weszła, rozpięła kurtkę, pocałowała mnie w policzek, w usta i przytuliła.

Wzięła mnie za rękę i powiedziała:

— Chodź.

— Gdzie idziemy?

— Umyć ci włosy. Sypią się tak jak ty.

— To nie było śmieszne.

— Nie miałam takiego zamiaru.

— Nie zaczynaj.

— To nie prowokuj.

— Jesteś jedną z tych kobiet, które muszą mieć ostatnie słowo?

— Tak.

11. Jordan Greene

Solomon zadzwonił, wrzeszcząc co sił w płucach. Zoe była tak samo głośna. W Bożonarodzeniowy ranek dał Zoe zdjęcie oprawione w szpanerską złotą ramkę, która nagrywała wiadomości. Solomon przyłożył ją do telefonu i odtworzył swoje nagranie: *Najdroższa Zoe. Jesteś kobietą moich marzeń. Pragnę poświęcić moje życie miłości do ciebie i zbudowaniu dla nas wszystkich czegoś prawdziwego, dla dzieci, które mamy i dla tych nie narodzonych, o których myślę za każdym razem, gdy na ciebie patrzę. Żadna inna — to znaczy, nie ma dla mnie innej kobiety i wiem, że jestem mężczyzną dla ciebie. Kiedy otworzysz tę ramkę, z tyłu znajdziesz tam pierścionek, który wyraża moje uczucia do ciebie, do mnie, do Sierry, DaReusa, do nas wszystkich. Diament symbolizuje, że to, co nas łączy jest wieczne, niekończące się koło znaczy, że pragnę od ciebie tego samego. Wyjdiesz za mnie?*

Powiedział, że Zoe wybuchnęła płaczem, krzyknęła i zgodziła się, zanim wiadomość odegrała się do końca. Słyszałem ją w tle krzyczącą, jakby nawiedzoną przez Ducha Świętego.

Była szósta rano. Nie spali całą noc. Ja spałem ze trzy godziny, byłem z Kimberly na imprezie w klubie „Shadow” Ziewnąłem i powiedziałem:

- Moje gratulacje.
- Pobudka, czarnuchu! Chcę, żebyś był moim świadkiem.
- A co z twoimi braćmi?

W tle Zoe krzyczała, jak bardzo kocha swojego faceta. Solomon odkrzyknął:

- *My* jesteśmy braćmi. Oni mogą pomagać.

Spytał, gdzie jest Kimberly.

Ruda leżała pod flanelowym prześcieradłem przytulona do mego boku, lekko oddychając.

- Umila ci Święta? — roześmiał się Solomon.
- No pewnie.
- Co macie na dzisiaj w planie?

Powiedziałem Solomonowi, że Kimberly spędzi ze mną cały dzień. Mieliśmy zamiar obdarować się prezentami, kiedy się wreszcie po południu obu-

dzimy. Potem ugotować obiad, poleniuchować w ciepłku i oglądać mecze. Ale jutro po południu jedzie na tradycyjne spotkanie z Kinikki i Sharon do jej domu na Long Island. W zeszłym roku spakowały jedwabne pidżamy i spotkały się u Kimberly; w tym roku przypadła kolej Sharon, by ugościć ich mały radosny klub. Kimberly powiedziała, że dziewczyny zawsze spotykały się w drugi dzień Świąt, by obgadywać facetów, sącząc koniak i wymieniając się prezentami.

Solomon powiedział:

— Więc nie będzie się mogła jutro z nami spotkać na Kwanzaa?

Kimberly poruszyła się. Na ułamek sekundy otworzyła oczy.

Szepnąłem do Solomona:

— Poczekaj chwilę.

Przejechałem palcami po włosach Kimberly, lekko dotknąłem jej twarzy, okrążyłem jej usta. Znowu się poruszyła, lekko uśmiechnęła, wyglądała tak młodo i niewinnie. Poczułem, jak przyjemne uczucie rozgrzewa mnie od środka, pocałowałem ją w policzek, po czym wysunąłem się z łóżka, poszedłem do kuchni, żeby jej nie budzić. Było mi zimno nago, więc chwyciłem szlafrok i włożyłem kapcie wychodząc z sypialni.

Włączyłem kuchenkę, żeby szybko zrobiło się ciepło, usiadłem przy kuchennym stole i wreszcie odpowiedziałem Solomonowi:

— Nie. Nie spotka się jutro z nami w Harlemie.

— To fatalnie. Chciałem, żeby Zoe ją poznała. Opowiadania Zoe, jaka świetna jest Kimberly.

— Co mówiła Zoe?

— Przewróciła oczami. Roześmieliśmy się.

Zastanowiłem się, czy gdyby Kimberly nie była jutro zajęta, to czy przechadzałbym się z nią w Parku Marcusa Garveya trzymając ją za rękę, uśmiechając się. Cieszyłem się? tego, co nas łączyło, czekałem na następną fazę, ale nie by. Iłem pewien, czy jestem gotowy włożyć kolorowe dashiki i Ray Bany i z gestem zwycięstwa wejść do księgarni Black Books Plus i kupować książki o walce czarnych o równouprawnienie, z Rudzielcem zerkającym mi przez ramię. Wiedziałem, że przez cały jutrzejszy dzień Solomon i Zoe będą się przytulać i rumienić, a jej pierścionek będzie świecił jak latarnia szczęścia.

Ale to byli oni.

Gdyby Kimberly miała czas, nie wiem, czy mógłbym stać z kumplem i jego narzeczoną po jednej stronie, a Kimberly po drugiej.

Nienawidziłem hipokryzji, którą wyczuwałem. Było to tak okropne jak zimna owsianka.

To znaczy, wypożyczyłem smoking i poszedłem na bankiet Sharon parę dni temu, poznałem wszystkich znajomych Kimberly, ludzi, których przedstawiała mi bez wahania czy rezerwy.

Ale w moim świecie poznała tylko Solomona. Wiedziała o pozostałych, ale nie ciągnąłem jej na bezpośrednie prezentacje. Żadna z czarnych kobiet, z którymi się spotykałem, nie słyszała nigdy, bym wspominał imię Kimberly. Ale wiedziały. J'nette rozpuściła wici, jak tylko wypadła z płaczem z kliniki.

Solomon powiedział, że planują ad hoc przyjęcie zaręczynowe w Sylwestra w jego mieszkaniu, i że pragnie, żeby ci, którzy uczestniczyli w jego słynnych karcianych przyjęciach, wpadli świętować jego dopiero co spełnione marzenie. Powiedziałem, że nie przyjdę. Nie chciałem się pojawić i zburzyć spokoju. Nic by światu dobrego nie przyniósł pobyt mój, Kimberly i J'nette w tym samym pomieszczeniu. Mieszanka alkoholu i zazdrości mogła okazać się wybuchowa.

— Słuchaj, Jay — powiedział Solomon. — J'nette jest przyjaciółką Zoe, to fakt, ale ty jesteś *moim* kumplem, a to jest *mój* dom. Ja płacę tu czynsz. Jeśli J'nette się coś nie podoba, może zabierać swój ignorancki tyłek do domu.

— Nie chcę rozróby.

— Jak niczego nie zaczną, to niczego nie będzie. Trzymam z tobą dzień i noc. Przecież wiesz.

Nie chciał odpuścić, ani przyjąć „nie” za odpowiedź.

Pierwszą osobą, którą zobaczyliśmy zaraz po wejściu, była uśmiechnięta od ucha do ucha Toni. W zielonej aksamitnej sukni, miała złotą biżuterię, stała oparta na ramieniu swojego portorykańskiego chłopaka. Jej wzrok wyrażał obrzydzenie. Nie podobało jej się, że ogląda mnie żywego. Podeszła, nie odezwała się do mnie, za to przedstawiła się Kimberly, po czym zapytała Kimberly, kim jest i czym się zajmuje, uśmiechnęła się, gdy Kimberly ucisnęła jej rękę. Toni poprawiła dekolt i pobiegła do swojego chłopaka tygodnia.

Okolo dwudziestu osób wchodziło i wychodziło z mieszkania, więc bez względu na to, gdzie poszedłem, wszędzie stał ktoś z drinkiem w ręce. Byłem

przygotowany na reakcje stałych gości, kiedy wszedłem z Kimberly, ale to, jak wyglądała w złotym kostiumie z szerokimi spodniami, z kręconymi włosami spływającymi lekko po plecach — nikt nie miał się do czego przyczepić, a zwłaszcza kobiety z treskami. Fakt, że nie słyszałem niczego negatywnego, nie znaczy, że tego nie było. Wiedziałem, jak to działa: czarni uwielbiali obgadywać za twoimi plecami. Była tam sąsiadka Solomona, Yasmear. Bez osoby towarzyszącej. Ubrana w ciasną czerwoną sukienkę z ogromnym dekoltem, przez który jej ramiona traciły dużo ze swej seksowności. Kiedy pojawiłem się za rękę z Kimberly, w całej jej postaci dało się wyczuć ogromne rozczarowanie. Po paru drinkach Yasmear przygruchała sobie faceta, który zamachał jej nad głową gałązką jemioli.^{*18} Po tym, jak wymie-nili dwuminutowy pocałunek, Yasmear nie opuszczała jego boku przez resztę wieczoru. Wątpię, czy facet kiedykolwiek widział jej oczy, bo cały czas wzrok miał utkwiony w jej dekolcie, językiem próbując dosięgnąć piersi. Yasmear miała taki duży dekolt, że gdyby dobrze podskoczyła, to jeden z cyców wyskoczyłby jej jak grzanka z toastera.

Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie bałem się zatańczyć z Kimberly, ponieważ zawsze miałem opory, jeśli chodziło o taniec z białymi kobietami. Były zbyt nieprzewidywalne. Niektóre odgrywały aerobik i myślały, że właśnie stworzyły nowe kroki. Kimberly tańczyła naprawdę dobrze, zadziwiła mnie dobrym poczuciem rytmu, seksowną miękkością ruchów. Jej taniec nie był powtarzalny, ani wcześniej obmyślany. Dawała się ponieść muzyce.

Solomon wciął się na jeden taniec, a ja poszedłem do kuchni z naszymi pustymi kieliszkami do szampana. Toni stanęła mi na drodze, kiedy szedłem po nowe drinki. Na początku nic nie powiedziała. Ale sposób, w jaki ułożyła język, wskazywał, że ostre słowa właśnie nadchodzą.

— Jak tam twoja bliźniaczka? — spytałem.

Odszczeknęła, że J'nette spakowała się i przeniosła do

Waszyngtonu. Potem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i odparowała:

— Zejdź mi z oczu i wracaj do tej swojej białaski.

— Co proszę?

— Nie ma o co prosić dla takiego faceta jak ty.

¹⁸ *W krajach anglosaskich zwyczaj całowania się dwóch osób, które znalazły się przypadkiem razem pod jemiolą.

— Czy masz mi coś za złe, panno Antoinette Barrett?

Toni podeszła bliżej.

— Miałeś tupet przyprowadzić tu tę białą dziewczynę. Jesteś gównem wart.

Uśmiechnąłem się.

— Też ci życzę szczęśliwego Nowego Roku.

Toni zaczęła przeczesywać palcami włosy, od czoła do szyi, tak jak to zawsze robiła J'nette. To samo jajo. Te same nawyki. Czasami były do siebie tak bardzo podobne, że nie wiedziałem, gdzie jedna się kończy a druga zaczyna.

W salonie, ponieważ nie było zasłon, widać było jak drapacze chmur rozświetlają wyspę zwaną Manhattan. Central Park przysypany był śniegiem i wyglądał jak zimowa cudowna kraina. Solomon prowadził tłum, tańcząc cza—czę z Kimberly. Zoe rozmawiała i śmiała się z Yasmear, obie w wieczorowych sukniach, w jednej ręce trzymały drinki, a drugą się wachlowały. Kimberly mrugnęła mnie. Lubieżnie oblizałem wargi. Roześmiała się i tańczyła dalej.

O północy wsunąłem jej do ręki złotą bransoletkę na kostkę i szepnąłem:

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Uśmiechnęła się.

— Nie powinieneś być.

— Podoba ci się?

— Oczywiście — szepnęła.

— To dobrze.

— Nie wiem dlaczego, ale szaleję za tobą. A nie jestem osobą, która by za kimkolwiek szalała. Jeśli to nie w porządku, to daj mi znać, a wtedy moim noworocznym postanowieniem będzie dać sobie na wstrzymanie.

— Przestań — wrzasnął Solomon. Wyciągnął Zoe na środek parkietu i tańczył z nią wolny taniec, jakby był to znak do zabawy dla pozostałych.

— Szczęśliwego Nowego Roku! — Zoe uśmiechała się od ucha do ucha i uniosła do góry rękę z pierścionkiem. Uśmiechnięta najszerszej, jak to tylko możliwe.

Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek będę taki szczęśliwy. Wyglądali i zachowywali się tak, jakby już stanowili rodzinę. Spojrzałem na Kimberly i zastanowiłem się, czy będzie częścią mojego rozwiązania, czy kolejnym problemem.

Solomon obracał swoją kobietę; Zoe krzyknęła i uciekła. Śmiesznie to wyglądało, jak na tak niskiego faceta.

— Podoba mi się to. — Kimberly pocałowała mnie. — Twój przyjaciele są zabawni.

— Tak myślisz?

— Solomon wygląda na bardzo szczęśliwego.

— Tak — skinąłem. Zazdrość krążyła mi we krwi. — To prawda — powiedziałem.

— Czy jest tu twoja była?

— Nie. Jest jej siostra bliźniaczka.

— Czy to ta w szmaragdowej sukni?

— Tak.

Uśmiech Kimberly nieco zbladł, potrząsnęła głową raz czy dwa.

— Jest atrakcyjna — powiedziała.

Niczego nie odrzekłem. Byłem tak samo opanowany jak Kimberly.

Kontynuowała:

— I jeśli mam być szczerą, to ona jest najgorsza.

— Zaczepiała cię?

— Nie. Przypomina mi czasy, kiedy dorastałam. Sama musi dorosnąć. Niektórzy ludzie nie akceptują tego, co uważają za inne. Nawet jeśli tak naprawdę nie jest.

— Ktoś coś mówił?

— Nie. Negatywna energia ściiera nieszczerze uśmiechy. Jak powiedziałam — Kimberly pięknie się uśmiechnęła — przypomina mi dziewczyny, z którymi dorastałam.

— W Oakland?

— Tak. Z Oaktown, jak to nazywają tubylcy.

— Męczy cię to przyjęcie?

— Jestem z tobą, nie z nimi. Dobrze tańczysz.

— Dzięki. Ty też.

Uniosła brwi, parsknęła:

— Wydajesz się zdziwiony.

— Trochę.

— Myślałeś, że zacznę przestępować z nogi na nogę i odstawię ten tańiec, z którego narywał się Eddie Murphy?

— No tak.

— O, proszę cię.

Roześmieliśmy się. Bardzo głośno. Otarliśmy się policzkami.

Toni obserwowała nas z drugiego końca pokoju. Uśmiechała się, ale wiedziałem, że to tylko dobrze zamaskowane zmarszczenie brwi. Znając ją, już poleciała do telefonu i wykrcięła waszyngtoński numer J'nette.

A co mi tam.

Potem przez chwilę zacząłem się zastanawiać, z kim spędzę następnego Sylwestra. Nigdy nie spędziłem dwóch Sylwestrów z tą samą kobietą. Nigdy nie przetrwałem od urodzin do urodzin z tą samą duszą. Jeśli o to chodzi, to nigdy nie byłem z nikim dłużej niż przez trzy następujące po sobie poiy roku.

Pomyślałem o swojej własnej rodzinie. O moich braciach' Byłem ciekaw, gdzie spędzają pierwsze chwile nowego roku. Kogo trzymali w ramionach, kto ich obejmował, przyciskając policzek do policzka. Jeśli mogłem sobie czegoś życzyć, to tego, byśmy stali się sobie bliżsi. By łączyło nas to samo braterstwo, które dzieliłem z Solomonem. Pragnąłem, żeby Darrell przewyciężył ból. Żeby Reggie prowadził bezpieczne życie. Nie miałem zielonego pojęcia, czy byli szczęśliwi, jak życie ich traktowało. Oni wiedzieli o mnie jeszcze mniej.

Solomon podszedł i uściskał mnie po męsku. Powiedział wzruszające, płynące z głębi serca:

— Szczęśliwego Nowego Roku, bracie.

— Szczęśliwego Nowego Roku, bracie.

Potem objąłem Kimberly. Znowu życzyłem jej wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Przytuliłem ją mocno i długo. Trzymałem i nie chciałem wypuścić.

Wydawało się, jakby wszyscy na mnie patrzyli.

— Wiesz, czego pragnę? — szepnęła Kimberly.

— Czego? — uśmiechnąłem się.

— Dużego kawałka nowojorskiego sernika. Mam nieprzepartą ochotę.

Oboje się roześmieliśmy.

— A wiesz, gdzie można znaleźć taki sernik? — spytałem.

— U mnie. Na drugiej półce w lodówce, obok butelki dobrego szampana z wypisanymi na niej naszymi imionami.

— Już przynoszę płaszcze.

— Nie ucieknie. Skończmy tańczyć. Przytul mnie mocno.

Tak zrobiłem. Ona przytuliła mnie jeszcze mocniej.

Kiedy muzyka przygasła, wymieniliśmy spojrzenia. Wyglądała delikatnie jak płatek śniegu i tak samo wyjątkowo. Jej oczy wyrażały przyjaźń i iskierki powagi, która przyprawiła mnie o dreszcze. Kiedy jej wzrok spotykał się z moim, odniosłem wrażenie, jakby cały ten jej twardy charakter, całe to gówno, które kobieta na siebie bierze, próbując przetrwać w męskim świecie, roztopiało się. Stawała się krucha i kobieca. Patrzyła na mnie wzrokiem czulej kobiety. Czulej, ufnej i tęsknej. To spojrzenie oko w oko sprawia, że jej ulegam, mięknię; eliminuje moją hardość. Powoduje, że czuję się jak mężczyzna. Pozwala mi czuć się tak, jak mężczyzna czuć się powinien. Nie musi mówić, co CzuJe, żebym zrozumiał, że coś do mnie czuje. Coś poważnego. I ja czuję to samo. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Nie mogłem oderwać od niej serca, nawet gdybym chciał.

Kimberly uśmiechnęła się, patrząc na bransoletkę, pocałowała mnie w policzek, i wyszeptała pachnącym od szampana oddechem:

— EXtra?

— Tak?

— Czy dzisiaj jesteśmy na randce?

— Ty zdecyduj.

Część druga
Tajemnice
z przeszłości

TLR

12. Kimberly Chavers

Jordan sprawia, że czuję ciepło. To uczucie pulsuje wewnątrz mnie. Jest troskliwy, bardzo mną zajęty. Nie jest dominujący. Potrafi dawać. Zachęca. Jest wyrozumiały i nie czuje się zastraszony przeze mnie ani moje ambicje. A spotkałam go w taksówce.

Przez większość czasu trzyma mnie za rękę, gdy spacerujemy. Na początku za często tego nie robił, ale teraz tak. Z własnej inicjatywy. Nie przez cały czas, ale dość długo, by to docenić. Nie na tyle, żeby zaczęło mnie to irytować i sprawiało wrażenie, jakby czepiał się kurczowo. Gdy ja biorę go za rękę, nie zachowuje się, jakby chciał ją wyrwać.

Jeśli jestem u niego i odpoczywam, co czasami robię dla zmiany scenerii, i aby uciec od nieustannie dzwoniącego telefonu, przestaje pracować na komputerze i podchodzi, by mnie pocałować i przytulić. Kilka razy w tygodniu dzwoni tylko po to, by zapytać, jak mi minął dzień, i kiedy mu opowiadam, słucha. Nie tylko słucha tego co mówię, ale zapamiętuje drobne szczegóły. Jego głos jest zawsze przyjemnie miękki, jak gdyby stworzył specjalny ton, nowy smak tylko dla mnie. Mam wrażenie, że wiele dla niego znaczę. Bierze mnie pod uwagę. Wiem, ponieważ dziś rano, kiedy braliśmy Pysznic, kiedy mył mi plecy, wyszeptał mi to do ucha. Obserwuje, jaką jestem kobietą. Ogląda mnie z samego rana i nadal uważa, że jestem ładna.

Oczywiście, że się kłócimy, ale zawsze się potem godzimy— Czasem ja inicjuję drobną — jak się to nazywa? — sprzeczkę kochanków, tylko po to, by trochę podgrzać atmosferę. Wiem, że to źle, ale lubię te gierki. A kiedy się tak kłócimy prawie Zawsze pozwala mi mieć ostatnie słowo. P prawie zawsze.

Jedyną, o co się kłócimy, to ta przeklęta deska klozetowa Mój czuły punkt. Wystarczy. Inną sprawą jest to, że Jordan jest typowym mężczyzną i sądzi, że za długo się ubieram. Za długo się czeszę. Warto na mnie poczekać. Skąd to wiem? Bo chociaż narzeka, to czeka. A kiedy widzi, jak wychodzę z łazienki umalowana, uśmiecha się, jego oczy nabierają tego wyrazu, i nie może oderwać ode mnie rąk. Wychodzi na moje. Robię wszystko powoli, ale to dlatego, że jestem nałogową spóźnialską i zawsze jestem pięć minut po umówionym czasie tam, gdzie powinnam była być. Odziedziczyłam tę cechę po Mamusi. Mam to w genach.

Je mi z talerza, czego nie lubię, ale i tak to robi. W ten sposób próbuje coś zacząć. Wkurza mnie, bo niewłaściwie się odżywia, a przez to łatwo się

choruje: przeziębienia, grypa, takie sprawy. Przyzwyczaiałam go do biegania ze mną kilka razy w tygodniu. W te dni biegam wolniej i nie tak daleko, bo on nie jest biegaczem. Liczy się to, że jesteśmy razem. A ćwiczenia stymulują cielesny apetyt. Cóż, mój na pewno.

Łapię się na tym, że bardzo dużo o nim myślę. Za dużo. Kiedy widzę mężczyznę w ładnym garniturze czy ubraniu, pierwsze o czym myślę, to to, o ile lepiej leżałoby na Jordanie. Kiedy nosi garnitur, wygląda tak, że mógłby zaszczyścić okładki GQ*19.

Jestem zakochana i potwornie mnie to przeraża.

Nie widziałam go ani za dużo z nim nie rozmawiałam przez ostatnie półtora tygodnia, bo korzystając z dobrego nastroju, pracowałam nad obrazem. Jednego dnia udało mi się wyrwać i pojechaliśmy na Times Square. W drodze zdecydowaliśmy się obejrzeć sztukę i kiedy wyszliśmy z metra na przystanku na 42. Ulicy, minęliśmy sklep Disneya, zauważyłam jubilera, przy którym chciałam się zatrzymać. Miał tabliczkę z tym słodko— kwaśnym dziewięcioletowym słowem WYPRZEDAŻ. Chociaż nie stać mnie na nic, chciałam przynajmniej zobaczyć, na co mnie nie stać. Pociągi'łam go za sobą poprzez tłum i przeszliśmy przez Siódmi Aleję, nie dlatego, że był niechętny, ale dlatego, że bardziej interesował go Geraldo Rivera i jego grupa stepująca na ulicach. Nic mnie nie obchodzili Południowi Baptyści bojkotujący Disneya, więc pociągnęłam go za sobą. Poza tym cho— (}zę szybciej niż Jordan. Roześmiał się, gdy go za sobą pociągnęłam, a potem to on pociągnął mnie w tył, żebym przyhamowała. Jest kochany. I naiwny pod tyloma względami, szczególnie jeśli chodzi o chamstwo Nowego Jorku. Sądzi, że jeśli będzie miły, to ludzie to odwzajemnią. Ciągłe mu powtarzam, że to Nowy Jork. Nowy zbiór zasad. W Nowym Jorku chamstwo jest mile. Uprzejmość obraźliwa.

Jest łagodniejszy. Może dlatego, że pochodzi z Południa. Przez jakiś czas dorastałam w San Antonio, ale już dawno wyzbyłam się tamtejszej uprzejmości. Ale te właśnie rzeczy w nim lubię. Jego i ten południowy akcent, który próbuje ukryć. Pojawia się i znika, daje o sobie znać od czasu do czasu. Szczególnie gdy się ożywia albo jest w towarzystwie Solomona. Kiedy są razem, już po dziesięciu minutach brzmią jak odcinek „Hee Haw”.

Gdy przyglądałam się biżuterii na wystawie, Jordan stał przy mnie i trzymał mnie za rękę. Zwykle ociera się o moją skórę w sposób, który bardzo

19 *GQ — „Gentelman's Quarterly”. Magazyn dla mężczyzn.

mnie podnieca. Przechodzi mnie dreszczyk i pozwalam mu to robić tak długo, jak chce.

Obsługujący nas Malezyjczyk spytał:

— Czy chcieliby państwo obejrzeć przecenione pierścionki zaręczynowe?

Potałam kark i starałam się nie skulić. Czułam, że na twarzy pojawił mi się idiotyczny uśmiech. Rozzłościło mnie jego obraźliwe założenie. A zwykle, kiedy spotykasz mężczyznę i ten temat pojawi się bez jego inicjatywy, obraża się i myśli, że próbujesz go usidlić, zgasić jego wolność zimnym strumieniem zobowiązania. Niektórzy, nie wszyscy. Jednak, większość mężczyzn. I niektóre kobiety, ze mną włącznie. Więcej kobiet, niż się spodziewacie. Nie każda osoba z macicą szuka domku otoczonego białym płótem, dużego volvo i dwóch koma pół dziecka czekającego na odwiezienie do szkoły.

Jordan się nie wycofał. Zanim zdążyłam zaprzeczyć, potarł moją dłoń i spokojnie powiedział:

— Pewnie. Zerknijmy na kilka.

Zaczęłam odchrząkiwać i poprawiać nauszники. Serce zaczęło mi walić, a ręce się pocić. A zwykle się nie pocę. Cier— pliwie oglądał każdy pierścionek i pomagał mi go przymierzyć. Pytał, co o nim sądzę. Mimo że kilka z nich było naprawdę pięknie zrobionych i miało kamienie, które podbija, ły moje serce, powtarzałam, że żaden mi się nie podoba. Szczególnie wybrzydzałam na te, które podobały mi się najbardziej. Specjalnie wymyślałam inne kłamstwo na temat każdego. Nie podobał mi się kamień. Nie podobała mi się oprawa.

Zmieniłam temat i zdecydowałam, że chcę obejrzeć popołudniowe przedstawienie. Gdy siedzieliśmy w teatrze, przyszło mi na myśl, że jestem w związku. Prawdziwym związku. Nie kolejnej znajomości jednej nocy. Nie kolejnym romansie, który wygasa w przeciągu sześćdziesięciu do stu dwudziestu dni.

Być może brzmiało to niedojrzale, ale naprawdę miałam *chłopaka*.

Kiedy poznałam EXtra, muszę się przyznać, myślałam, że to ktoś na jedną noc, Południowiec ze zgrabnym tyłkiem. Po tym, jak było nam tak dobrze, pomyślałam, że spotkamy się raz jeszcze, a potem wrócę do swego samotnego życia w celibacie. Potem pomyślałam, a co mi tam, postanowiłam przedłużyć swój sen, zrobić sobie przyjemność, na jaką zasługiwałam, i zabrać go do L.A. na wypełniony seksem weekend, zanim wrócę do codzienności. Był w

porządku, więc powiedziałam, że fajnie byłoby spędzić z nim Święta, sącąc kakao i oglądając cały maraton filmów świątecznych.

Magicznych chwil przybywało. Dzwoniłam do niego i zapraszałam go na randki. On dzwonił do mnie i zapraszał mnie na randki. Zanim się spostrzegłam, miałam szufladę w jego mieszkaniu. Szufladę tak pełną ciuchów, że gdybym zechciała zostać u niego na noc, nie musiałabym niczego zabierać. A on zostawił u mnie kilka swoich garniturów.

To, co czułam, zaczęło rosnąć. Spokojnie i powoli. Jak fundament budowany dzień po dniu.

Potem zapytał, czy nie chciałabym zacząć oszczędzać na wyjazd na Wyspy Bahama w następne Święta. Nie zwróciłam na to szczególnej uwagi. Nie brałam poważnie jego słów, ponieważ mężczyźni znani są z niedotrzymywania obietnic. A czas temu sprzyjał. Jednak pamiętam, z jakim pożądaniem o to spytał i zadrzałam z pragnienia.

W porządku, teraz siedzieliśmy na musicalu *Bring In 'Da Noise, Bring In 'Da Funk*, Jordan przysunął się do mnie blisko i przerwał niekończące się myśli szepcząc:

— Co się stało?

Uśmiechnęłam się.

— Nic.

— Podoba ci się przedstawienie?

— pewnie. Stepowanie jest wspaniałe.

Drżałam przez prawie dwie godziny. Nie z powodu przedstawienia. Nie z powodu Wysp Bahama. Do Gwiazdki było jeszcze daleko, więc Jordan zamierzał trochę pobyc w moim życiu. Byłyby to nasze drugie Święta razem. Brał mnie pod uwagę w swoich planach. To znaczy, marzy się o czymś takim, o mężczyźnie takim jak on, ale kiedy to się naprawdę dzieje, przeraża cię to na śmierć.

Mówiąc szczerze, mimo że spodobał mi się w chwili, kiedy wetknął swój zasmarkany nos w moje życie, i po tym, jak go zachęciłam i pozwoliłam rzeczom zajść tak daleko i poważnie, nie planowałam być z nim tak długo. Muszę się przyznać, że większość moich związków trwa około sześciu miesięcy, zanim się rozpadną z tej czy innej przyczyny. Chyba martwi mnie to, że po tym, jak wymusiłam jego zeznanie, ja nigdy nie kłamałam, ale też nie powiedziałam mu prawdy o swojej sytuacji.

Zna tylko Kimberly, nie Kim.

Nie wiem, jak mu powiedzieć o swoich osobistych problemach, tajemnicach, i to mnie przeraża. Opowiedziałam mu o sobie prawie wszystko. Prawie wszystko z rzeczy powierzchownych. Tyle, żeby poczuł się swobodnie. Nigdy nie mówię wszystkiego, ponieważ w przeszłości ludzie wykorzystywali to przeciwko mnie. Ludzie są tacy z natury. Przynajmniej większość ludzi, któiy ufałam. Nie, żebym to celowo przed nim ukryła. Po prostu nie zaprzątałam sobie tym głowy. To nie była jego spawa. Nie powinna być; powtarzam sobie, że nie jest i żeby poczekać, ale mimo wszystko chcę mu powiedzieć. Szczególnie, jeśli zamierza zostać. Tym bardziej że czuję, pragnę, by został.

Po przedstawieniu staliśmy przy krawężniku. Jordan żartował, kiedy wymijała nas kolejna pusta taksówka. — Dlaczego nie przywołasz taksówki, i nie zrobimy tak, Jak ostatnim razem? — Zaśmiałam się. — Wskoczysz i będiesz się zachowywał, jakbyśmy dopiero co się poznali. Potem zaczniesz mnie całować i się przytulać?

— Tak. To dopiero przestraszy taksówkarza.

— Dobrze, ale trzymaj ręce tak, bym je widziała.

— Zmuś mnie.

Potem zamierzałam mu powiedzieć po powrocie z mojego wernisażu w San Francisco, ale wyszedł po mnie na lotnisko. Zastanawiałam się, jak mu powiedzieć. Próbowałam znaleźć właściwe słowa, by wyjaśnić, dlaczego nie powiedziałam mu wcześniej. Najtrudniejsze, prawie nie do wybaczenia, to to, że jestem mężatką. Jestem mężatką od dawna.

Kiedy szłam na lotnisku JFK zajęta własnymi myślami, pojawił się znikąd z tuzinem żółtych róż. Zawsze dawaliśmy sobie żółte róże; symbol naszego rosnącego związku i niegasnącej namiętności.

W następnym tygodniu miałam zamiar wyrzucić to z siebie, chciałam wyjaśnić wszystkie mylące szczegóły, które mu podawałam. Miałam się z nim spotkać u mnie o trzeciej, ale się nie pojawił. Około piątej zadzwonił Solomon z wiadomością, że Jordan jest w szpitalu. Solomon powiedział, że nie ma potrzeby, żebym przyjeżdżała, że to nic poważnego, ale byłam już w drodze do szpitala, zanim odłożyłam słuchawkę. Jordan prawie zemdlał biegając. Zaczął się atak astmy, i zgrywając macho, próbował go zignorować. To jeszcze pogorszyło sytuację, a tabletki Primatine, które kupili w drodze do domu, nic mu nie pomogły. Kiedy pytałam, czemu zrobił coś tak głupiego, powiedział, że trenował, by móc biegać ze mną na dziesięć kilometrów. W moim tempie. Byłam wściekła, ale kiedy to usłyszałam, szybko mi przeszło. Naraził

się z mego powodu. Zasnął, a ja siedziałam przy jego łóżku przez trzy godziny do czasu, aż się obudził. Dali mu maskę z tlenem. Wyglądał okropnie. Starałam się nie płakać, ale nie mogłam się powstrzymać. Nigdy nie płaczę w czyjejs obecności. Nigdy. Nie chcę być brana za słabą, zawodzącą kobietkę. Tak się wychowałam. Nie płacząc przy obcych. Poszłam do łazienki się wypłakać. Kocham go i poczułam, jakbym go prawie straciła.

— Cześć. — Głos Jordana był suchy i ostry.

Podalam mu wodę.

— Jak się czujesz, czubku?

Uśmiechnął się i spróbował usiąść.

— Lepiej.

Lekko się uśmiechnęłam.

— Jestem na ciebie wściekła, wiesz o tym, prawda?

— Domyślałem się

Trzymaliśmy się za ręce, kiedy dochodził do siebie.

To było kilka tygodni temu, a cały czas o tym myślę.

Siedzę z nim twarzą w twarz, może idziemy na lunch, i mówię:

— EXtra, tak przy okazji, jestem mężatką, ale wyleciało mi to z głowy. Czy mógłbyś podać mi musztardę?

Nie chcę go stracić z powodu swojego kłamstwa. Ale powiedzenie prawdy wiązałoby się z uczciwością i otwartością na inne tematy.

Byłam gotowa się przyznać do swoich grzechów, byleby nie oszaleć, ale potrzebowałam wina, by dodać sobie odwagi. Wczoraj wieczorem siedzieliśmy sobie i piliśmy chablis. Piłam drugi kieliszek. Zwykle wystarcza mi jeden, ale miałam nadzieję, że po drugim łatwiej mi pójdzie. Poczulałam się wygodnie, chwila była odpowiednia, kiedy zadzwonił przeklęty telefon i zepsuł mi pierwsze zdanie, które miało prowadzić do wyznania. Odebrałam i ktoś, kto dzwonił, pomyślał, że to pomyłka.

— Tak — powiedział z południowym akcentem.

— Czy Elijah w domu?

— Przykro mi, ale nikt o takim imieniu tu nie mieszka.

Ktokolwiek to był, odłożył słuchawkę i ponownie zadzwonił. Gdy tylko go usłyszałam, przypomniałam sobie, że Jordan ma na pierwsze Elijah. Był to jego najstarszy brat, Darrell. Jordan rozmawiał jakieś pół godziny, a ja wierciłam się przez cały czas. Cały czas myślałam, że już dawno miałabym to za sobą.

Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział mi, co się stało. Ojciec ich brata, Reggiego, zmarł i nikt nie wiedział, gdzie jest Reggie. Jordan nie miał pojęcia. Darrell wiedział jeszcze mniej. Reggie dużo ćpał i zniknął od czasu do czasu, ale nigdy na dłużej niż parę tygodni.

W porównaniu z jego zmartwieniem, mój problem wydawał się błahy. Zupełnie nie na miejscu.

Jordan spytał, czy chciałabym się przejechać do Memphis na parę dni. Uśmiechał się jakby wszystko było w porządku ale w jego oczach widać było ból, ból, który pobrzmiwał w każdym jego słowie. Jechał się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Musi znaleźć Reggiego, sam zobaczyć. Powie, działam, że chętnie bym z nim pojechała, ale mam dużo pracy, i przekonałam go, że powinien jechać sam i zadzwonić do mnie, kiedy będzie mnie potrzebował.

— Zawsze będę cię potrzebował — odparł.

Jego słowa, szczerość, z jaką je wypowiedział, zaskoczyły mnie.

Jutro jedź do domu do Memphis, ale dziś wieczorem go ukoję. Moje tajemnice mogą poczekać. Będą musiały poczekać.

13. Kimberly Chavers

— Czy mogę mówić z panią Kimberly Chavers?

— Przy telefonie.

Była ósma i w moim świecie zachodziło słońce, a ja właśnie wróciłam z Greenwich Village. Przemęczyłam się metrem, autobusem i taksówką, wciągnęłam torby z zakupami przez trzy piętra zakurzonych schodów i miałam właśnie położyć torbę z książkami o fotografii i sztuce i przyborami, które kupiłam w sklepie Rizzoli w SoHo na Zachodnim Broadwayu. Krążąc po okolicy nadszarpnęłam poważnie swój miesięczny budżet i wydałam za dużo. Zawsze tak było, kiedy szłam na zakupy, żeby poprawić sobie humor.

Byłam bardzo podekscytowana, bo w tym tygodniu udało mi się sprzedać trzy swoje obrazy przez galerię Claire. A jeden z kupców chciał mi zapłacić za przygotowanie portretu rodzinnego. Poza tym, modne czasopismo bardzo dużo płaciło mi za materiały do zimowego numeru. Więc byłam na dobrej drodze do finansowego bezpieczeństwa. Przynajmniej na jakiś czas. I nie zalegałam z żadnymi rachunkami, jak w zeszłym roku.

— Dobrze, cieszę się, że panią zastałem.

— Kto mówi?

Miałam właśnie podnieść słuchawkę i zadzwonić do Jor— dana do mieszkania jego brata w Memphis, ale telefon sam zadzwonił, zanim dotknęłam ręką słuchawki. Odpowiedziałam szybko i seksownie, ponieważ spodziewałam się Jordana— To nie był on.

— Mówi Brent Perkins.

— — Przepraszam — powiedziała i podrapałam się w nos. — Brent Perkins?

— Z agencji.

— Ach. — Przypomniałam sobie. — Witam, panie Perkins.

— Mam dla pani dobre wieści...

Podczas nieobecności Jordana spróbowałam zająć się swoim problemem. Na początku próbowałam znaleźć mojego odseparowanego i obłąkanego męża na własną rękę, ale zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam zielonego pojęcia, jak go znaleźć. Minęło prawie siedem lat. Oboje jego rodzice zmarli;

jego siostra przeprowadziła się z San Antonio — a może porzuciła swoje lesbijskie życie, wyszła za mąż i zmieniła nazwisko.

— ...znaleźliśmy Petera Olivera Stensona. Mieszka w San Luis Obispo, w Kalifornii.

— Gdzie to jest?

— Pomiedzy Los Angeles a San Francisco. W połowie drogi.

Więc wzięłam książkę telefoniczną, zadzwoniłam do kilku agencji i ostatecznie zgłosiłam się do Agencji Brenta Perkinsa po uprzednim dokładnym jej sprawdzeniu. Zawsze tak robiłam, kiedy miałam wydać własne pieniądze. Znalazłam jakieś stare dokumenty, na których figurował numer ubezpieczenia społecznego Pete'a, to jest Petera. Tyle potrzebowali w agencji, żeby zacząć szukać przez sieć komputerową.

Mijały lata. Nadal jestem mężatką. Cholera.

— Jest szefem kuchni w nadmorskiej restauracji nad Zatoką Morrow. Przynajmniej tak jest napisane w jego zeznaniu podatkowym. Zarobił nieco ponad czterdzieści tysięcy w zeszłym roku. Nie ma dzieci. Żonaty, rozlicza się oddzielnie. Wygląda na to, że płaci duże kary i wyższe podatki.

I ja cierpiałam przez te same kary i te same wyższe podatki, bo nie naprawiłam nigdy głupiego błędu. Podwójna cholera. Nie, poczwórna cholera. Wpisuje żonaty? Po tylu latach? Kurczę.

— Halo, czy pani tam jeszcze jest, pani Chavers?

— Tak, jestem.

— Pytałem, czy chce pani jego numer telefonu i adres?

To powinna być kaszka z mleczkiem. To znaczy, mieszkam sama od ucieczki z Teksasu, zatrzymałam się, stawiałam czoło i zwyciężyłam wiele trudnych rzeczy w swoim życiu. Odparłam atak złodzieja w obleśnym i hałaśliwym pociągu linii E; zaliczyłam więcej charytatywnych bankietów za dziesięć tysięcy niż potrafię spamiętać; żyłam sama w obcych krajach, które łamią prawa kobiet, dzień po dniu walczyłam i utrzymywałam się w bardzo konkurencyjnej i twórczej branży; ustanowiłam własne standardy doskonałości. Stworzyłam własne zasady, by określić, kim jestem.

Więc czemu czuję się taka bezradna? Dlaczego jestem zdenerwowana? Nie popełniłam przestępstwa. Skąd to poczucie winy...?

— Pani Chavers?

Miałam przed oczami własną tajemnicę. Mogłam ją poczuć. Tak długo ją ignorowałam. Pragnęłam o niej zapomnieć. Teraz ocierała się odrzuconym wspomnieniem o moje ciało...

— Czy chce pani informacje, o które pani prosiła?

Żeby się ujawnić, korzystała z głosu prywatnego detektywa. Zmierz się ze mną; ja zmierzę się z tobą. Czas to zabić i pochować.

— Tak, proszę podać mi numer i adres.

— Halo, czy mogę rozmawiać z Peterem Stensonem?

— Tak, to Pete. Z kim rozmawiam?

— Peter — ciężko westchnęłam — mówi Kimberly.

— Jaka Kimberly?

— Twoja żona.

Nastąpiła długa przerwa. Usłyszałam jego głos i czas cofnął się w nieprzyjemny sposób. Bardzo nieprzyjemny sposób. Wspomnienia, które przyblakły, zostały przywołane, zapach przeszłości powrócił.

— Kimberly? A to niespodzianka.

Jego oschły ton przyprawiał mnie o dreszcze. Jego głos brzmiał tak samo, a jednak tak inaczej. Wiek. Czas. Nie myślałam, że jeszcze go usłyszę, i szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że nigdy nie będę musiała. Oboje byliśmy z rodzin wojskowych i poznaliśmy się, kiedy obydwie rodziny stacjonowały w Bazie Lotnictwa Lackwood w pobliżu San Antonio w Teksasie. Łatwo było nam za—interesować się sobą, ponieważ byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, a w owym czasie nie mieliśmy wielu rówieśników. Zeszliśmy się przez przypadek. Młodzi. Gniewni.

— Tak, Peter. Kimberly Chavers. Jak się masz?

— Chavers? Nie powinno brzmieć pani Kimberly Stensons.

— Nie. Wróciłam do tego kim jestem, Kimberly Chavers

— Och, naprawdę?

— Tak, naprawdę.

Myśleliśmy, że jesteśmy zakochani, ale tak naprawdę słu. chaliśmy tylko swoich genitaliów. Mówiąc otwarcie, seks był dla nas czymś nowym, odważ-

nym i dorosłym, więc za łatwo było pomylić uczucie podniecenia z czymś, czym ono nie było.

— Jak mnie znalazłaś?

Chcieliśmy się pobrać, żeby móc być razem przez cały czas. Nasi rodzice tego nie pochwalali, ale nie przejmowaliśmy się tym. Myśleliśmy, że jesteśmy dorośli, dojrzały, mądrzejsi niż każdy, kto był staroświecki. W naszej głupocie wydawało nam się, że nasi rodzice nie wiedzą, o czym mówią. Więc wzięliśmy ślub i tak. Wiedzieliśmy, że jesteśmy pokrewnymi duszami. Szkoda tylko, że jedno z nas miało duszę, a drugie chciało tylko się pieprzyć.

— Przez agencję detektywistyczną.

Kochany mężczyzna— chłopiec, którego poślubiłam, szybko zmienił się w tyrana.

— Agencję? — Roześmiał się — Wynajęłaś agencję, żeby mnie znaleźć?

Władca, który żądał wyjaśnień dlaczego jego jednopokojowe mieszkanie nie jest posprzątane, dlaczego jego obiad nie jest gotowy. Król, który nie chciał, żeby jego królowa pracowała i nie dawał pieniędzy, chyba że na coś, co leżało w jego interesie. Dzwonił, żeby sprawdzić, czy jestem tam, gdzie powiedziałam, że idę. Dusił mnie. Nie chciał, żebym wyrażała swoją artystyczną naturę. Powiedział, że kupno płótna i przyborów malarskich to głupota. Strata czasu i pieniędzy. Jego pieniędzy. Chciał, żebym zadowolona się pracą na pół etatu w Dairy Queen. A poza tym, powiedział, tylko mężczyźni byli wielkimi malarzami. Nie chciał, żebym poszła na studia i odmówił kupowania książek i przyborów, gdybym poszła. Na drugie imię miał Kontrola. Pragnął bezmózgowej kobiety. Niewolnicy, która czekałaby na niego co wieczór z otwartymi ramionami i rozstawionymi nogami. Błąd.

— Tak. Wykorzystałam twój numer ubezpieczenia, żeby znaleźć.

Więc odeszłam. Po nieco ponad roku. Przestaliśmy sypiać ze sobą regularnie kilka miesięcy wcześniej. I do tej chwili nie rozmawialiśmy ze sobą od dnia, kiedy wrócił do domu, a w nim ani mnie, ani moich rzeczy nie było. Nie zostawiłam nowego adresu. Zaczynałam od zera.

— O, naprawdę? Cóż, co słyszeć?

Gdy tylko go zostawiłam i kochałam się z kimś innym, yo sprawił, że poczułam się tak samo — a właściwiej lepiej, bo przeżyłam swój pierwszy or-

gazm i zrozumiałam, jak strasznie samolubny był Peter, o wiele bardziej niż zdawałam sobie sprawę — zrozumiałam, że to, co do niego czułam, to nie miłość, tylko młodzieńcza głupota. I chęć wyrwania się z domu rodziców.

— Jesteś tam jeszcze? Kimberly? Jesteś tam?

Było mi bardzo ciężko, bo wszystko potoczyło się tak szybko. Miałam swój plan. Najpierw gadka — szmatka, co słyhać, co porabiasz, jak tam twoja siostra. Rzeczy, które głównie mnie interesowały, ale przełamywały pierwsze lody. Ale był tak obcesowy i to zbiło mnie z tropu. Tyle rzeczy, o których nie pomyślałam i unikałam tak długo, wróciło do domu wysiadywać swoją grzędę.

Bądź obcesowa.

— Czy kiedykolwiek wносиłeś sprawę o rozwód?

Spokojnie. Nie pozwól wyprowadzić się z równowagi.

Nie zdenerwuj się.

— Nie. Dlaczego miałbym to zrobić?

Świetnie. Runda druga. Miałam nadzieję, że może, tylko może, udzielono mu rozwodu bez orzekania winy stron pod nieobecność.

— To musi znaczyć, że jesteś z kimś i chcesz wziąć ślub.

— Co?

Powtórzył, mimo że usłyszałam za pierwszym razem, dziwne.

— Tak. Poznałam kogoś, ale nie w tym rzecz — powiedziałam i pozwoliłam, żeby górę wzięło moje profesjonalne ja. — to głupie, że żadne z nas nie zrobiło nic, żeby naprawić ten błąd. Minęło tyle lat. Zbyt wiele.

— Co chcesz zrobić? Skoro to ty zadzwoniłaś, jestem pewien, że masz jakieś sugestie.

— Mogę poprosić swojego prawnika o przygotowanie odpowiednich dokumentów dla rozwodu bez orzekania o winie stron. Zgadzasz się?

— Czy ten twój przyjaciel prawnik to facet, za którego chcesz wyjść za mąż?

— Nie, i to kim on jest nie ma najmniejszego znaczenia. Musimy się skupić na załatwieniu rozwodu bez orzekania o winie.

— Dlaczego tak podkreślasz to bez orzekania o winie?

— Bo właśnie takie dokumenty będziemy wypełniać.

— Dlaczego sama tego nie zrobisz? Byłoby dużo taniej niż wynajmowanie adwokata. Sprzedają komplety rozwodowe bez recepty prawie w każdej aptece w mieście.

— Ponieważ zlecam adwokatom załatwianie wszystkich swoich spraw prawnych. Lubię, żeby były załatwione poprawnie.

— Skoro tak się troszczysz o poprawność, rozumiem, że za to zapłacisz? Skoro to nie moja wina, że nie jesteśmy już razem.

Dupek. Zrobić wszystko, co tylko trzeba, by skończyć tę rozmowę i wyrzucić go z mojego życia.

— Tak, zapłacę za to.

— Gdzie jesteś?

— Nie twój interes. — Odetchnęłam. — Na Wschodnim Wybrzeżu.

— Czy nie mogłabyś być trochę bardziej dokładna? Wschodnie Wybrzeże rozciąga się od Kanady po Florydę. Gdybym chciał cię odnaleźć, już bym to zrobił, nie sądzisz? To ty do mnie zadzwoniłaś, pamiętasz?

— Buffalo, w stanie Nowy Jork.

— Więc z czego żyjesz?

— Z tego samego co udowodniłam, że potrafię, kiedy byliśmy w Teksasie.

— Nadal coś pacykujesz?

— Tak. — Byłam już porządnie wkurzona. — Jestem malarką, jeśli to masz na myśli.

— A z czego żyjesz w międzyczasie?

Powiedziałam sobie, uspokój się. Chciałabym, że Jordan tu był; żałuję, żeby nie powiedziałam mu, kiedy się poznaliśmy, wtedy to by mnie tak nie martwiło. Uspokój się.

— Utrzymuję się z malarstwa. Radzę sobie.

— Pamiętam kiedy...

— Albo ja, albo mój adwokat się z tobą skontaktuje, gdy tylko dokumenty będą gotowe. Nazywa się Tony Laird.

— W porządku.

— Tak jak uzgodniliśmy, zapłacę za rozwiązanie i dlatego liczę na twoją pełną współpracę, Peter. To prosta procedura. Brak majątku. Brak dzieci. Czy jest coś jeszcze, co chciałbyś wiedzieć? Jakies informacje?

— Tak.

Milczał przez kilka sekund.

— Więc? — spytałam.

Zachichotał.

— Czy nadal jesteś taka ładna jak kiedyś?

— Będę w kontakcie, Peter.

— Czy możesz mi podać swój numer telefonu?

— Nie. Będę w kontakcie — powiedziałam najuprzejmiej jak umiałam, starając się ukryć, że jestem roztrzęsiona, żeby nie pogarszać sytuacji. Odłożyłam słuchawkę.

Nie zmienił się. A co najgorsze, wydobył ze mnie pokłady złości, które, jak myślałam, już dawno temu zostały zmyte przez czas. Ale dla niektórych ludzi czas to nie rzeka; to szambo. Brodziłam teraz w części swojego życia, którą uważałam za martwą.

Nigdy nikogo tak nie lubiłam jak Petera. Poprawka, jak nie lubię Petera. Nigdy, nikogo.

Zapowiadały się kłopoty. On miał być ich źródłem.

Natychmiast zadzwoniłam do adwokata i zostawiłam mu na sekretarce szczegółową wiadomość, mając nadzieję, że jak koła maszyny ruszą, kiedy dowiem się, co należy jeszcze zrobić, to sprawę nareszcie da się zabić i skremować. Jedyne, czego żałowałam, to to, że nie stanie się to z dnia na dzień. Pragnęłam mieć to z głowy już dwa dni temu.

Siedziałam na blacie stołu kuchennego, wyglądałam Przez okno na zieleńce się drzewa i bezchmurne słonecz— ne niebo, zastanawiając, się czy odgrzać resztki wczorajszego obiadu, czy korzystając z ładnej pogody przejść się kawałek na pizzę wegetariańską, gdy zadzwonił telefon.

Uśmiechnęłam się, bo pomyślałam, że to może być Jordan.

Albo on, albo mój adwokat. W obu przypadkach ucieszyłbym się.

Zaczeźnie zapytałaam:

— Cześć. Czy to ty, EXtra?

— Nie.

— Kto mówi?

— Nie mieszkaś w Buffalo.

— Peter? — sapnęłaam.

— Mieszkaś w Queens. Widzę, że nadal kłamiesz.

Ześlizgnęłaam się z blatu i prawie wpadłaam na lodówkę.

Zaskoczenie, że dzwoni, że jest po drugiej stronie linii bez mojej inicjatywy, odebrało mi mowę i oddech. Pokój zawirował mi przed oczami. Wydawał się powykrzywiany i zdeformowany. Każda spokojna myśl w mojej głowie wyparowała, została wykopana i zmieniona w niepokój i obsesję przez to, że moje kłamstwo wyszło na jaw, i możliwość, że może on jest gdzieś tu blisko i obserwuje mnie.

Podbiegłaam do okna, znalazłaam budkę Bell Atlantic. Nikogo nie zauważyłaam. Nawet żadnego samolotu nad głową lecącego w kierunku lotniska LaGuardia.

— Skąd wzięłaś mój numer?— syknęłaam.

— Sama mi go podałaś.

— Nie kłam.

— Sama powinnaś posłuchać swoich rad.

Nie wiedziałaam, co powiedzieć. Właśnie położyłaam słuchawkę po rozmowie z nim niecałe dziesięć minut temu. Próbowalaam wpaść na to, do kogo mógłby zadzwonić przez tę krótką chwilę. Do moich rodziców? Nie, nie wiedział, gdzie są. Informacji telefonicznej? Niemożliwe. Może sama mu powiedziałaam, ale nie, wiem, że powiedziałaam Buffalo. Przecież sam mówi, że powiedziałaam Buffalo.

— Peter — zaczęłaam tak spokojnie, jak tylko mogłaam. — Jak zdobyłaś mój numer?

— Mów ciszej — rzucił nonszalancko. — Jak już mówiłem, Kimberly, sama mi go podałaś. Mam funkcję rozpoznawania dzwoniącego. Zadzwoniłaś do mnie, wyświetlił się twój numer. Więc, dziecino, sama mi go podałaś.

— WMR — obruszyłam się. — Wielka Mi Rzecz. Skąd myślisz, że jestem w Queens?

— Zadzwoń do informacji i podaj im twój numer kierunkowy, spytałem. Powiedzieli, że to nie jest numer Buffalo. To Queens.

— Więc?

— Więc zadzwoniłem, żeby przekonać się, o co tak naprawdę chodzi.

— Mówiłam ci, dlaczego dzwonię. Nadszedł czas rozwodu. Na mój koszt.

— Nie kupuję tego. Dlaczego wynajęłaś kogoś, żeby mnie znaleźć, zadzwoniłaś tak zniecka i potem skłamałaś?

— Cóż, nie musisz wiedzieć, gdzie mieszkam.

— Nawet gdybyś mi powiedziała, jak miałbym cię znaleźć? Czy w Nowym Jorku nie mieszkają dwa miliardy ludzi? Myślałaś sobie, że co robię? Wskoczę do samolotu, a potem będę jeździł w kółko samochodem, aż cię znajdę? Nie zwracałem sobie głowy szukaniem cię, no nie? Bez wątpienia, skoro wynajęłaś kogoś, żeby mnie znaleźć, musiałaś mieć na mój temat mnóstwo informacji.

— To bez znaczenia — powiedziałaś i zdałam sobie sprawę, jak defensywnie to zabrzmiało. — Zadzwoń z jednego tylko powodu.

— Jesteś pewna, że nie zadzwoniłaś tylko dlatego, że o mnie myślałaś? — szepnął.

— Powiedziałaś ci, dlaczego zadzwoniłam.

— Rozchmurz się — roześmiał się szorstko. — To tylko żart.

— A jednak nie musiałeś do mnie dzwonić. Mój prawnik do ciebie zadzwoni. Mam nadzieję, że uda mu się przyspieszyć procedurę, skoro się zgadzasz.

— Tak przecież powiedziałem, nie? I dlatego do ciebie oddzwoniłem. Nie zadzwoniłem, żeby znowu coś zaczynać.

— Co proszę?

— Skoro chcesz to załatwić tak szybko, i chcesz przyspieszyć procedurę, a ja lecę jutro do New Jersey w interesach...

— Lecisz do New Jersey? — spytałam.

— Tak, przylatuję do Newark. Otwieramy kilka restauracji na Wschodnim Wybrzeżu i ponieważ jestem szefem kuchni, ja szkole nowych pracowników, upewniam się, czy gotują i podają zgodnie ze stylem firmy.

— W Jersey?

— New Jersey. Będę w Hoboken. Czy to daleko od ciebie?

— Jak długo tu — to znaczy tam będziesz?

— Trzy, cztery dni. Zależy od wielkości grupy i tego, jak szybko będą się uczyć.

— Och. — Poczulałam dziwną ulgę słysząc, że nie przyjeżdża na długo. Ale miał rację. Nowy Jork jest duży i nawet gdyby miał mój numer, i tak najprawdopodobniej nie mógłby mnie znaleźć. Ale robiłam się coraz bardziej nerwowa. Dlaczego mnie nękał? Dlaczego po tych wszystkich latach tak się przez niego trzęsłam? Sam tego nie dokonał, ale pomógł zniszczyć moje poczucie własnej wartości i zabrało mi bardzo dużo czasu odzyskanie go. Odnalezienie siebie zabrało mi dużo czasu.

— I moglibyśmy podpisać to, co trzeba i dać to do notariusza, czy cokolwiek, i mieć sprawę z głowy — powiedział. — Może moglibyśmy pójść na kawę i powspominać dawne czasy.

— Dziękuję, nie. Możesz wstąpić do biura mojego adwokata i on się wszystkim zajmie.

Umilkł na chwilę, a później zniżył głos:

— Dlaczego tak boisz się ze mną spotkać, Kimbo? Będę w twojej okolicy, a ty nie możesz znaleźć czasu na krótką rozmowę z własnym mężem?

— Nie boję się i na imię mam Kimberly, proszę.

— Wszystko jedno — sapnął. — Kim, wszystko jedno...

— Kimberly.

— Dobrze, Kimberly.

— Dziękuję.

— Cokolwiek jest teraz z tobą nie w porządku, nie ja to spowodowałem, dobra? Nie widziałem cię od Bóg wie ilu lat. Kiedy mnie zostawiłaś, dałem spokój, czyż nie?

— Nie miałeś wyboru.

— Nigdy nie zmieniłem zamków. Długo czekałem na twój powrót, a jeszcze dłużej zajęło mi pogodzenie się z faktem, że nie wrócisz. A jednak zostawiłem otwarte drzwi.

— Nie potrzebowałam... chwileczkę, chwileczkę. Peter nie. Nie zamierzam teraz rozmawiać o przeszłości. Jest już za nami i niech tak zostanie.

— Dlaczego jesteś taka zgorzkniała? Ostatnią rzeczą, jaką ci powiedziałem, było to, że mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa. Jeśli jesteś, nie miałem z tym nic wspólnego. Jeśli nie, to też nie moja sprawa, w porządku? Wyjechałaś bez pożegnania. Zawsze chciałem wiedzieć tylko jedno.— Dlaczego? Czy to z powodu twojego ojca?

— Mój adwokat do ciebie zadzwoni — ścięłam go.

— Chrzanić to — urwał i rzucił słuchawkę.

Pozwoliłam, by telefon upadł na blat. Przeklełam go. Kręciło mi się w głowie, czułam się oszołomiona. Sparaliżowana świadomością, że tak łatwo można było mnie wysledzić, gówniana technologia. Będzie w pieprzonym New Jersey. Zbyt blisko, żebym czuła się swobodnie. Byłam pobudzona, zderwowana. To powinno być proste, łatwe. Cholerne rozwody miały miejsce na świecie co trzy czy cztery minuty.

Głowa zaczęła potwornie mnie boleć. Kiedy tak pulsowała, cienka blizna na czole bolała najbardziej, była wtedy mocno napięta. Masowałam miejsce, gdzie skóra została rozdarta, przypominałam sobie, jak wracałam do domu ze szkoły, niosłam pocięty rower, krew spływała mi po twarzy, na białą bluzkę, niebieską spódnicę i czarne skórzane buty. Pamiętam, jak siedziałam na pogotowiu i ktoś szyl mi ranę. Poczułam przeszłość raz jeszcze. To nigdy nie przemija. Nigdy.

Na dworze było słonecznie, ptaki latały nad głowami, słyszałam rozmawiających ludzi, słyszałam, jak jakiś samochód usiłuje zapalić, ale czułam się, jakby padało. W mojej głowie zbierały się chmury. Od lat się tak nie czułam. To bolesne uczucie powracało. Myślałam, że odeszło, a ono było po prostu uśpione.

Nawet telefon zwariował; stracił rozum i zaczął powtarzać zaprogramowaną wiadomość, wrzeszcząc na mnie, że jeśli chcę zadzwonić, to mam odłożyć słuchawkę. Wiedzieli nawet, że mój głupi telefon jest źle odłożony na widelki.

Żadnej prywatności; żadnych tajemnic.

Kiedy telefon zaczął wrzeszczeć jak szalony, wyjąc psychotycznie, wzięłam słuchawkę o widełki. Wtedy zadzwonił znowu. Skuliłam się, wyciągnęłam rękę, pomyślałam, że może to znowu Peter, i dałam spokój, pozwoliłam, żeby wiadomość nagrała się na sekretarce. Dzwonił Jordan, żeby powiedzieć, że wszystko jest w porządku i że tęskni za mną. Położyłam rękę na słuchawce i prawie ją podniosłam, lecz w ostatniej chwili rozmyślałam się. Tęskniłam za nim, ale nie wydawało mi się, że to dobra pora na rozmowę. Byłam tak roztrzęsiona, zdenerwowana. Pomyślę o tym jeszcze w czasie spaceru.

Świeże powietrze, wegetariańska pizza i butelka wody mineralnej Evian.

Tak, to właśnie zrobię.

TLR

14. Kimberly Chavers

Po niespokojnej nocy i porannej przebieżce pospieszyłam spotkać się z Kinikki i Sharon w zawsze zatłoczonym modnym miejscu nad Hudsonem. Modne miejsce, w którym ceny były okropnie zawyżone. Kinikki i mnie wystarczyłby lunch za pięć dolarów we francuskiej piekarni jak „Au Bon Pain”, ale tym razem miejsce wybierała Sharon, a ta zawsze przeholowywała. Zawsze musimy się wystroić i wydam przynajmniej trzydzieści dolarów, kiedy ona wybiera miejsce na lunch.

Lubiłam Kinikki od stóp do głów. Podobało mi się jej zachowanie. Kinikki urodziła się w Montego Bay i miała silny jamajski akcent. O czymkolwiek mówiła, w każdym słowie słychać było pasję jej przekonań. Poznałam ją i Sharon prawie sześć lat temu w małej galerii w Village, gdzie Kinikki i ja wystawialiśmy swoje prace.

Kinikki jest niedocenionym geniuszem. Ona schlebia mi, twierdzi o mnie to samo, więc jesteśmy dobre dla swoich ego. Artyści bardzo tego potrzebują, by odstraszyć zazdrosnych i nieutalentowanych krytyków.

Kinikki jest najlepszą przyjaciółką Sharon i moją. Mimo że spędzamy z Sharon mnóstwo czasu plotkując przez telefon i że dała mi bilety na samolot do Los Angeles, i zapłaciła za apartament w czterogwiazdkowym hotelu jako prezent urodzinowy, Sharon i ja jesteśmy raczej osobistymi znajomymi. Dość bliskimi, by wyświadczać sobie przysługi na każde skinienie. Bliskimi na tyle, że nie ukrywa przede mną swoich tajemnic. Na tyle, że kłamie jej mężowi, żeby ją kryć. Ale nie dość bliskimi, by się z nią dzielić brudnym praniem.

Sharon ma metr sześćdziesiąt, ale zawsze chodzi w siedmiocentymetrowych szpilkach. Ma lekką nadwagę, seksowny zachrypnięty głos, jest ciemną blondynką, pochodzi z gan Fernando Valley w Kalifornii. Jej mąż jest za chudym, obrzydliwie bogatym inwestorem, którzy dał jej przyjemny wybór między pracą lub domem, więc ona zdecydowała się na pracę charytatywną w imieniu galerii i organizowanie bankietów. A i to pomiędzy lunchami z ludźmi, którzy akurat byli pod ręką. Zwykle byłyśmy to ja albo Kinikki. Rzadko obydwie razem. Więc dzisiaj był dzień szczególny dla nas wszystkich.

Kinikki ma skośne oczy i miłą, naturalnie uśmiechniętą twarz z idealną cerą. Kiedy się spotykamy, zwykle ubiera się w jakieś rzeczy z materiału Kente i nakłada małe kapelusiki na swoje długie do pasa warkocze. Śmieszny

mnie to, jak bez przerwy wymachuje rękami we włoskim stylu i nieustannie nadaje o swoim oddanym mężu. O tym, jak kupił jej to czy tamto, zwykle po tym, jak mu dogadała.

Była w życiu tylko z dwoma mężczyznami. Pierwszym był jej profesor sztuki włoskiej, kiedy studiowała na ostatnim roku na Uniwersytecie Nowojorskim, drugim jej jamajski mąż, Jamal. Kinikki zawsze twierdzi, że jest geniuszem pościeli. Gdybyś zapytał, może opowiedzieć ci wszystko o sztuce miłości według Kamasutry i przekonać cię, że wymyśliła i zastrzegła sobie przez Bibliotekę Kongresu prawa autorskie na sztukę miłości. Nigdy jej nie powiedziałam, ale skorzystałam z jej pomysłu z kostką lodu i wypróbowałam go na Jordanie, kiedy pierwszy raz się kochaliśmy.

— Ten złoty kostium leży na tobie doskonale — powiedziała Kinikki. — Guziki są po prostu idealne.

— Dziękuję — odparłam. — Bardzo mi się podoba twoja bluzka.

— Chciałabym mieć twoją figurę — Sharon wskazała na mnie palcem i mówiła z buzią pełną homara. — Nosiłabym więcej niż tylko kostium ze spodniami. Ty we wszystkim wyglądasz świetnie. Dałabym się pociąć za twoje łydki.

— Naprawdę? — uśmiechnęłam się. — Tak jest mi wygodnie.

Kinikki roześmiała się.

— — Sharon zaczęłaby paradować w czymś za ciasnym, zbyt odkrytym i za drogim.

— Oczywiście że tak! — Sharon uśmiechnęła się do Kinikki. — Jak ta bluźniercza mini, w której paradujesz. Coś, co się łatwo wkłada i szybko zsuwa.

— To się właśnie podoba Jamalowi.

— Nie zamierzasz skończyć krewetek? — spytała Sharon.

— Nie. — Odsunęłam talerz. — Nie mam apetytu.

— Dzisiaj żadnego odchudzania. — Kinikki przysunęła w swoją stronę mój talerz. — Nic nie może się zmarnować.

— Obie obżeracie się jak świnie, a nie tyjecie nawet grama — zadrwiła Sharon. — Ja poczuję zapach chleba i tyję pięć kilogramów. Nienawidzę was.

Sharon zawsze nosiła za drogie kostiumy, zwykle jaskrawoczerwone i otwarcie przechwalała się swoimi ostatnimi seksualnymi niewiernościami. Podbojami. Jak uwodziła mężczyzn pozwalając im sądzić, że to oni ją uwodzą, potem zgrywała rolę winnej i przestawała odpowiadać na ich telefony po kilku seksapadach. Nienawidziła, kiedy zaczynali się zachowywać, jakby się przywiązali albo zostali zranieni, ale uwielbiała, gdy błagali. Dawała każdemu mężczyźnie jedną szansę zadowolenia jej. Jeśli zawiódł ją będąc zbyt szybki, egoistyczny albo zbyt delikatny, udawała, że go nie zna, gdy się przypadkiem jeszcze kiedyś spotkali. Twierdziła, że kiedyś poszła do hotelu z gwiazdorem filmów akcji i gdy tylko zsunął spodnie i odkrył swój „elementarny i niedożywiony penis”, wróciła do męża zaśmiewając się po drodze.

Sharon ma trzydzieści siedem lat. Jej mąż jest o piętnaście lat starszy. I według jej standardów jest praktycznie impotentem, pragnącym jedynie sporadycznych eskapad w sypialni i to w porze nocnej. Ona uwielbia światło dzienne i tajemnicze miejsca. Im bardziej tajemnicze, tym lepszy orgazm. Ale przy całym swoim szaleństwie, nigdy nie opuściłaby męża. Kochał ją, a ona potrzebowała stabilizacji i po* czucia bezpieczeństwa. I potrzebowała tego od niego.

Kinikki jęknęła, jakby była na łożu śmierci. Zawsze wydawała takie przykuwające uwagę dźwięki, kiedy chciała, by ktoś zapytał ją, co się stało, i wtedy mogła zabłysnąć i otoczona uwagą poplotkować na swój ulubiony temat. Ponieważ Sharon zajęta była lustrowaniem sąsiednich stolików, to ja spytałam:

— O co chodzi?

— Jamal chce mieć przekłete dziecko. — Kinikki zmarszczyła brwi, zjadła ostatni kawałek halibuta i popiła winem.

Uśmiechnęłam się.

— Naprawdę?

— Co mu odpowiedziałaś, kochanie? — spytała Sharon, nie odrywając wzroku od kelnerów, zwłaszcza od napakowanego blondyna ostrzyżonego na jeża, w za ciasnych spodniach.

— Powiedziałam, żeby sobie nie żałował! — Kinikki roześmiała się i pokazała, jak się masturbuje. — Zadzwoń, jak skończysz!

— Dlaczego nie? — powiedziałam. — Jesteś mężatką od pięciu lat.

— Sześciu pięknych lat — wtrąciła Kinikki i wyrzuciła rękę w powietrze w dramatycznym geście.

— Masz trzydzieści dwa lata — przypomniałam jej.

— Dwadzieścia dziewięć — szybko mnie poprawiła.

— Chwileczkę. Obchodziłyśmy twoje dwudzieste dziewiąte urodziny trzy lata temu — powiedziała Sharon i uśmiechnęła się do kogoś zaczepnie.

— I w tym roku znowu będą moje dwudzieste dziewiąte urodziny.

Sharon zachichotała:

— A w przyszłym będziemy obchodzić twoje dwudzieste ósme.

— To najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałaś.

Sharon zrobiła nieprzyzwoity gest.

— Ja też cię kocham.

Roześmiałyśmy się, i zapytałam Kinikki:

— Więc?

Spróbowała wina i szatańsko się uśmiechnęła. Przyłożyła do głowy dwa palce, żeby wyglądały jak rogi.

— Może zapomnę wziąć tabletki przez następną parę tygodni i zobaczymy, co się przypadkowo wydarzy.

— Wydarzy się. — Uśmiechnęłam się. — A nawet jeśli nie, to i tak będziesz miała niezłą zabawę próbując.

Kinikki warknęła i oblizwała usta.

— Kiedy jesteś doskonała, nie potrzebujesz ćwiczyć.

— To dobrze, ale praktyka czyni mistrza. — Sharon powielala to z zazdrością i ironią. Zwróciła się do mnie: — Co u Jordana?

— W porządku. Musiał pojechać do domu. Ktoś z jego rodziny zmarł.

— Na Florydę? — spytała Kinikki.

— Do Memphis. — Czułam, że dzielą nas dwa światy. — Tennessee.

Powiedziałam jej, że ojczym Jordana zmarł.

— To straszne — powiedziała Sharon. — Przekaż mu moje kondolencje.

— Więc — spytała Kinikki — kiedy wy dwoje macie zamiar się pobrać?

— Dlaczego zawsze o to pytasz?

— Widzę, jak on na ciebie patrzy, dlatego.

— Nie rozmawiamy o takich sprawach. — Ukryłam swoje poczucie winy pod disnejowskim uśmiechem. — Tęsknię za nim.

— To słodkie — rozczuliła się Sharon. — Jaki jest w łóżku? Nadal jest troskliwy, czy już przeszedł na „złapali go i uciekł”?

Zarumieniłam się w odpowiedzi; potem wszystkie się roześmiałyśmy.

— Bardzo się cieszę. — Kinikki uśmiechnęła się. — Stałość jest zawsze ważnym czynnikiem.

— Tak jest w większości przypadków. — Roześmiałam się. — Jest facetem i czasem mu po prostu nie wychodzi.

— Jakby się starał jak najszybciej stąd wyjechać? — spytała Sharon.

— Nie. — Mój oddech się skrócił, kiedy wyobraziłam sobie, jak Jordan mnie obejmuje. Poczułam delikatne pocałunki na policzkach. Wyobraziłam sobie, że się właśnie we mnie porusza. Poczułam jak drży i rozgrzewa słowa, które zakwitają w moim sercu. — Nigdy aż tak się nie spieszy.

— O Boże! — Kinikki jęknęła i machnęła rękami. — Jak ten sukinsyn Eric, z którym się spotykałaś. Nie rozumiem, co w nim widziałaś.

— Nie przypominaj mi o nim i nie psuj mi humoru.

Kinikki spytała Sharon:

— A jak tam Todd?

— Świetnie — wymamrotała Sharon i leniwie postuka końcem widelca w talerz. — Jest w Vermont, dobija targu Todd ma się świetnie. Za dobrze. Cholernie świetnie.

Sharon nie skupiała się na rozmowie. Sprytnie przysunęła się trochę bliżej i szepnęła:

— Nie chcę, żeby to głupio zabrzmiało, ale czy czarni faceci są naprawdę lepsi w łóżku?

Kinikki szczęka opadła na talerz. Ja też straciłam głos. Spojrzałyśmy na zaniepokojoną minę Sharon i obie wybuchałyśmy śmiechem. Prawie dusiły-

śmy się ze śmiechu. Zupełnie straciłyśmy panowanie nad sobą i dopiero po paru fychach wina zdołałyśmy się uspokoić.

Kinikki i ja zerkałyśmy, kogo tak podziwia Sharon. Afro- Amerykanin z lekko cofniętym się czołem, kwadratowym podbródkiem, bardzo cienkimi wąsami i bardzo dostojnym wyglądem uśmiechał się do niej. Ukłonił jej się, uśmiechnął szeroko i wskazał na puste krzesło przy jego stoliku.

Sharon nie dawała za wygraną:

— Panie, czy któraś z was mi odpowie?

Kinikki odpowiedziała ze spokojną miną:

— Sama będziesz musiała to ocenić. Utopia dla jednych jest Erebem dla innych.

Sharon przerwała jej dla zabawy:

— Przestań gadać jak natchniona.

Spojrzałam w stronę faceta i spytałam:

— Czy on nie siedział z jakąś kobietą, kiedy weszliśmy?

— Siedział — szepnęła Sharon. — A teraz pozna prawdziwą damę.

Sharon podniosła nasz rachunek, powiedziała, że lunch jest na jej koszt, przywołała jednego z kelnerów, żeby odsunął jej krzesło, wstała od stolika i poprawiła kostium.

Powiedziała bardzo znacząco:

— Czas na deser.

— Bądź ostrożna — ostrzegłam.

— Prezerwatywa — dodała Kinikki.

— To nie takie przyjęcie — mrugnęła Sharon.

— Bądź ostrożna — powtórzyłam.

— Zawsze.

Potem z wdziękiem gwiazdy filmowej podeszła do stolika, piniąc się na myśl o nowo poznanej ciekawostce. Wstał

odsunął dla niej krzesło. Nie przestawał się uśmiechać. Kinikki spytała:

— Miałabyś czas pójść pograć w bilard na Mulberry? Czas się odegrać za ostatni raz.

— Nie dzisiaj. Muszę się zająć pewną sprawą.

— Co się stało?

— Muszę zadzwonić do adwokata.

— Chyba nie masz kłopotów? — Uśmiech Kinikki zanikł.

Po tym, jak przysięgła, że to się nie rozniesie, opowiedziałam jej o swoim problemie. Była bardziej wyrozumiała niż mogłam sobie wyobrazić, więc otworzyłam się i wyjawiałam wszystko — prawie wszystko. Powiedziałam jej o detektywie, o tym, że Peter do mnie oddzwonił, o tym, jak mnie zdenerwował, pytając, jak teraz wyglądam, jak mnie przeraził, kiedy spytał, czy zanim tęsknię, o wielu sprawach z naszej przeszłości. Potrzebowałam wentyla, potrzebowałam usłyszeć to głośno. Chciałam zobaczyć jej reakcję, bym mogła ocenić, jaki będzie Jordan, kiedy rzucę mu taką bombę. Ale przede wszystkim, cieszyłam się, że nie uznała moich problemów za mało ważne czy głupie. Bardzo interesowała się moim związkiem z Jordanem. Zwłaszcza że uważa, iż bardzo do siebie pasujemy. Uważa, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Kinikki jest osobą, która pragnie, żeby wszyscy inni też byli szczęśliwi. Jednak wydawało jej się niewyobrażalne, że jej silna, niezależna przyjaciółka, która była taka harda dla współpracowników i hałaśliwa w kontaktach ze sprzedawcami dzieł sztuki, będzie taka bezbronna i delikatna w związkach.

— To nie jakiś związek — powiedziałam. — To ten związek. Dlatego to wielka różnica.

— Nie skłamałaś.

— Nie byłam też uczciwa.

— Jestem zupełnie pewna, że on też ma parę spraw do ukrycia. Wszyscy mężczyźni mają. Nie zapominaj o tamtej dziewczynie.

— To było zanim się poznaliśmy. Mimo że ta sytuacja mi się nie podobała, nie mogę go za to winić.

— Będiesz tą samą starą Kimberly, to tylko kwestia prawna.

— Dlaczego się boję? — spytałam się głośno.

— Dlaczego mu na początku nie powiedziałaś?

— Po pierwsze, nigdy o to nie zapytał, przynajmniej nie bezpośrednio, a to nie jest powód do dumy. Poza tym, mój już wkrótce być nie jest kimś, z kogo byłabym dumna. A po

drugie—

— Po trzecie.

— A po trzecie, nigdy nie sądziłam, że to zajdzie tak daleko, nasz związek. Jest taki intensywny, ale w zwyczajny, miły sposób. Wiesz, o co mi chodzi?

— Jednak nie poprosił cię o rękę?

— Nie, jeszcze nie. Oglądaliśmy ładne pierścionki zaręczynowe.

— Oglądanie pierścionków to tylko oglądanie pierścionków.

— Wiem, wiem. Tak czy inaczej, muszę to wyjaśnić. To się stało teraz rzeczą najważniejszą.

— Z tego, jak wygląda, kiedy jest z tobą, myślę, że jesteś dla niego najważniejsza.

Uśmiechnęłam się do Kinikki. Uśmiechnęłam się do prawdziwej przyjaciółki i pomyślałam, zanim powiedziałam:

— Czy mogę cię o coś zapytać i spodziewać się uczciwej odpowiedzi?

— Zawsze.

— Dlaczego jesteś taka nieporuszona Jordanem i mną?

— Co masz na myśli?

— Chodzi mi o to, że — urwałam, bo słowa dusiły mnie w gardle, ból jaki widziałam w oczach Jordana, gdy niektórzy Afro— Amerykanie ignorowali go, kiedy był ze mną — jesteśmy mieszaną parą.

Roześmiała się.

— Ponieważ nie jestem Amerykanką. To obsesja tego kraju. Nie podpisuję się pod tą doktryną.

Włączył się mój pager i wyciągnęłam go z kieszeni płaszcza. Mój adwokat próbował się ze mną skontaktować.

Kiedy szłyśmy do telefonu, zobaczyłyśmy, jak Sharon i jej n°wa fascynacja wsiadają do taksówki. Jej ciemnoskóry Przyjaciel przytrzymał drzwi, kiedy zmysłowo wsuwała si(? do środka.

Kinikki powiedziała:

— — Czekaj go deser jego życia.

— — Waldorf- Astoria? — spytałam.

— Tak. — Kinikki potrząsnęła głową. — Jest czterogwiazdkową dziwką.

— Lepiej ona niż my. Jaj na to stać.

Śmiałyśmy się i plotkowałyśmy w drodze do telefonu w damskiej toalecie. Kinikki poprawiała makijaż, kiedy ja dzwoniłam do pana Lairda. Głos Tony'ego brzmiał mocno i monotonicznie, prawdopodobnie dlatego, że po czterdziestu latach w rozpadowym biznesie, rozwód nie był dla niego niczym wyjątkowym. Żartował, że ma siwy włos od każdego klienta, którego reprezentował z sukcesem, a stracił włos przez każdego, którego sprawę przegrał. Innymi słowy, był zupełnie siwy. Nie zdziwiła go wiadomość, że jestem mężatką. Tony zdawał się spieszyć, ale nie był niecierpliwy. Zadzwoił do Petera, a ten miał się jutro stawić w jego biurze.

— Zaraz po tym, jak porozmawia ze swoim adwokatem — powiedział Tony.

— Dlaczego chce rozmawiać ze swoim adwokatem? To prosta procedura. Ja podpiszę, on podpisze i sprawa nabierze tempa, tak?

— Mówiąc bez ogródek, wygląda na to, że wydaje mu się, że jest uprawniony do finansowej rekompensaty i chce się upewnić, czy wszystko zostanie załatwione na jego korzyść.

— Co takiego?

— Nie martw się. Wykorzystuje sztuczki prawne, które mogą jedynie spowolnić procedurę.

— Cholera. Jak długo to zajmie?

— Sześć miesięcy. — Kaszlnął. — Minimum.

O mało nie upuściłam cholernego telefonu.

— Sześć miesięcy? Sześć pieprzonych miesięcy? Tony, to przeklęta połowa roku.

W głowie zaczęły mi się kłębić różne myśli; wszystko wokół mnie — samochody, rozmowy we trzech językach — zrobiło się tak głośnie, że świat wydawał się przytłumiony.

— Można to legalnie przyspieszyć — powiedział Tony — ale to będzie kosztowało.

Po paru oddechach, niechętnie spytałam:

— Ile?

— Dużo.

— Kimberly? — Kinikki położyła mi rękę na ramieniu — Wszystko w porządku?

Skinęłam głową. Objęła mnie swoim chudym ramieniem, z ja rozmawiałam z Tonym.

— Sześć miesięcy? Nie można przyspieszyć? — Właśnie zdałam sobie sprawę, że już go o to pytałam.

— Sześć miesięcy to norma. Chyba że wylecisz z kraju i załatwisz sobie szybki rozwód.

— O co mu do cholery chodzi? Od lat z nim nie rozmawiałam. Powinien być wdzięczny, że za to płacę.

— Wydaje mu się, że mógłby być uprawniony do twoich byłych i przyszłych dochodów ze względu na fakt, że jak twierdzi, pomagał ci finansowo na początku twojej kariery, a ty, w nagrodę, porzuciłaś go bez powodu. Że twój obecny sukces zależał od jego pomocy finansowej.

— To bzdura.

— Twierdzi, że zapłacił za twoje wykształcenie.

— To bzdura i on to wie.

Przypomniałam Tony'emu, że jesteśmy w separacji od prawie siedmiu lat. O wiele dłużej niż byliśmy razem. I nie mieliśmy wspólnego majątku ani dzieci. Zapewnił mnie, że to właśnie stanowi o mojej przewadze.

— Nie martw się — powiedział nonszlancko. Żuł coś. — To tylko wydłuży procedurę.

— I będzie więcej kosztowało?

— Tak — powiedział Tony. — I będzie więcej kosztowało. Więcej papierkowej roboty, więcej procedur, więcej czasu, więcej pieniędzy. Przykro mi, ale takie są zasady gry. Nic na tym świecie nie jest za darmo. Nawet wolność.

Część trzecia

Zjazd rodzinny

TLR

15. Jordan Greene

Rozległy wylew zabił tatę Reggiego trzy dni temu. Reggie jest naszym średnim bratem, starszym ode mnie o prawie dziesięć miesięcy. Mama zerwała z ojcem Reggiego sześć miesięcy przed jego urodzeniem, potem poznała mojego tatę, kiedy jeszcze była w ciąży. W każdym razie, stary Reggiego nie miał żadnego ubezpieczenia. Poza niespioniężonym czekiem z opieki społecznej, facet zostawił po sobie jedynie marne grosze ukryte pod materacem. Ani centa na koncie. Za to stos rachunków do zapłacenia.

Więc rodzina taty Reggiego w Północnym Memphis, w pobliżu Chelsea i Hollywood Street w Goodwill Village, zbierała od krewnych datki na porządną trumnę i przyzwoity pogrzeb. Tyle dowiedział się Darrell od jednego z krewnych. Sąsiedzi i parafia najprawdopodobniej wyrównają różnicę. Ludzie na Południu już tacy byli w nagłych wypadkach. Jak afrykańska wioska jednocząca się w trudnych chwilach.

Darrell nie odnalazł Reggiego. Nie widział go ani nie miał od niego żadnej wiadomości od czasu, kiedy braciszek ostatni raz go okradł. Miałem nadzieję, że Reggie nie okrada każdego napotkanego brata. Gdyby oskubał niewłaściwego, to mogłoby być jego ostatnie przestępstwo. Był zaginiony w akcji od miesięcy. Nikt nie słyszał jego głosu, nikt nie wisiał, jak przechodzi. To dlatego tak się martwiłem i wierciłem w tym upale. I dlatego nie reagowałem na uwagi Darcia na temat Kimberly. Gdyby Kimberly nie odbierała telefonu, nic by nie wiedział. Ale wiadomość poszła w świat.

Kiedy Kimberly podała mi słuchawkę, Darrell szczechnął: Powiedz, czy to nie biała kobieta odebrała twój telefon?

Odchrząknąłem.

— Tak.

— Co to za jedna?

— Jak leci?

— Powiedz chociaż, że poderwałeś jakąś dziwkę.

— To moja dziewczyna, Kimberly.

— Jest biała?

— Tak jest.

Złość, irytacja i rozczarowanie widniały na jego twarzy kiedy odbierał mnie z lotniska w Memphis. Wcisnął ręce głęboko do kieszeni sztywnych, wykrochmalonych lewisów, mruknął, zmarszczył brwi, potrząsnął głową i rzucił:

— Siostry już ci nie wystarczają, co? A może ci po prostu zbrzydły?

Przez głośniki słyhać było mocne południowe akcenty. Nie zatrzymywałem się, poprawiłem na ramieniu torbę na ubrania.

Nie przestawał warczeć.

— Biali stwarzają tylko kłopoty. A czarni zadający się z białymi nie są w porządku. Dlaczego musisz wplątywać się w takie gówno?

— Darrell, teraz Reggie stanowi problem dnia.

Uderzył mnie w tył głowy.

Zignorowałem go i spytałem:

— Gdzie zaparkowałeś?

— Na zewnątrz.

— Chodźmy. Jestem zmęczony.

Prowadził zamyślony. Wyglądał na zmartwionego. Wiedziałem, że się martwi, bo drapał okrągłe znamię na swoim grubym karku. Darrell ma ciemnobrązową cerę, więc okrągła beżowa plamka jest widoczna. Zawsze próbował udawać, że jest w stanie znieść wszystko, co los mu zgotuje. Zachowywał się tak samo, kiedy żona od niego odeszła, kiedy zabrała ich dziecko i zniknęła. W prawdziwym duchu afrykańskiego wojownika starał się pozostać silny.

Ja próbowałem tylko wytrzymać upał i lepkość Memphis kiedy jechaliśmy jego tanim samochodem bez klimatyzacji— Dwie minuty z Darrellem wystarczyły, bym zatęsknił za tłumami i zasikany metrem.

Darrell jęknął:

— Straciłeś cholerny rozum.

Opuściliśmy międzynarodowe lotnisko w Memphis, nie odzywając się do siebie. Darrell wjechał na autostradę 1— 240 w iderunku zachodnim, przeklął, kiedy zdał sobie sprawę, że bak jest pusty i zaraz zjechał z autostrady. Zatrzymał się na stacji Exxon przy Bulwarze Elvisa Presleya i Brooks Road i nabrał benzyny za pięć dolarów.

Spojrzałem na restaurację Luby po drugiej stronie ulicy. Ślinka zaczęła mi lecieć, zaburczało mi w brzuchu. Byłem tak zdenerwowany, że wcześniej niczego nie zjadłem.

Darrell nie zasygnalizował, że wyjeżdża z parkingu na Bulwar Elvisa Presleya. Skreślił tak ostro, że aż rzuciło mnie na drzwi. Prowadził gorzej niż nowojorski taksówkarz z rozwolnieniem. Przemknął przez dwa skrzyżowania na czerwonym, co nigdy by się nie udało w Nowym Jorku, ponieważ tam dla drugiej strony natychmiast włączało się zielone i wszyscy ruszali z piskiem opon i pędzili jak wiatr.

— Co, myślisz sobie że po drugiej stronie trawa jest bardziej zielona?

Nie odpowiedziałem. Szukałem czegoś, czym mógłbym sobie wytrzeć pot z czoła. W schowku miał jedynie zbrazo— wiałe papierowe serwetki z KFC.

— Biała suka, co?

— Darrell. — Byłem gotowy mu przyłożyć. — Ona nazywa się Kimberly.

— Mam nadzieję, że to nic poważnego. Mam nadzieję, że odstawiasz ten sam numer co inni bracia i starasz się jakoś zarobić na czynsz.

Prawie nie wytrzymałem. To mnie wkurzyło do dziesiątej potęgi. Zacząłem kręcić młynka kciukami. Musiałem pamiętać, z kim mam do czynienia. Czarna, biała, żółta czy brązowa, wszystkie kobiety były dla niego sukami, czekającymi, by je wykorzystać. Wszystkie oprócz naszej matki. Jego ton zawsze miękł i nabierał szacunku, kiedy mówił o Lucille Greene. Kiedy mówił suka, nie brzmiało to dla niego pejoratywnie. To był dla niego po prostu synonim kobiety. Myślę, że powinienem mu być wysłać słownik synonimów na

Gwiazdkę, wściekał się na mnie, żeby zakamufłować prawdziwe problemy—
Próbował ukryć to beznadziejne uczucie, które dzieliliśmy.

Darrell mruknął:

— Jeden brat na prochach, drugi ugania się za białymi kobietami. Mama musi przewracać się w grobie.

Odchrząknąłem:

— Masz pojęcie, gdzie może być Reggie?

— Spójrz na siebie, cały taki elegancki jak cholera. Ład— nie ostrzyżony. Dziwnie wyglądasz bez wąsów. Co to za koszula?

— Polo. Wiesz, gdzie jest Reggie?

— Ubrany w koszulę z białym facetem na koniu, co?

— Nigdy się dokładnie nie przyglądałem.

— Może powinieneś otworzyć oczy.

— Uznam to za komplement.

— Nie miałem takich intencji. — Darrell w końcu powiedział: — Nie mam zielonego pojęcia, gdzie może być Reggie. Może trzeba się będzie przejechać przez jego stary rejon, popytać, czy ktoś go widział. Zadzwoiłem na policję tu i w Missisipi, i w Zachodnim Memphis, żeby się dowiedzieć, czy go nie zamknęli, potem obdzwoniłem szpitale Johna Gastona i Metodystów, żeby sprawdzić, czy jakieś niezidentyfikowane ciała nie pojawiły się od grudnia.

— I?

— I nic. Ale to nic nie znaczy. Może śpi w nieoznaczonym grobie.

— Darrell, zmień to negatywne nastawienie.

— Powiedz, że kłamię.

Nie mogłem. Ta dawka rzeczywistości bolała bardziej niż kiedykolwiek po sobie pokazywałem. Teraz nie był ani czas, ani miejsce na roztkliwienie się. Wiedziałem, że nie mogę dać się teraz wyprowadzić z równowagi.

Darrell zapalił papierosa. Kiedy położył go do popielniczki, chwyciłem go, wyrzuciłem przez okno. To była moja zemsta. Nie powinien palić ze względu na astmę; ja nie powinienem wdychać czyjegoś dymu z tego samego powodu. Mój ostatni atak śmiertelnie mnie wystraszył. Nie miałem ataku, odkąd skończyłem siedemnaście lat. Myślałem, że z nich wyrosłem. Rzęzenie, ból, który ścisnął mi klatkę piersiową, błaganie o odrobinę powietrza, nie mogłem mówić — nie chciałem, żeby mi się to powtórzyło.

Uniósł pięści i warknął:

— O co ci chodzi?

— Rzuć palenie.

— Rzuciłem. Ale usłyszałem, że sypiasz z wrogiem.

— Darrell, gównu wiesz.

Dość dużo palił. Zdałem sobie z tego sprawę, jak tylko odebrał mnie z lotniska, bo jego zęby miały żółty nalot od papierosów. Zwłaszcza ten ułamany z przodu. A samochód cuchnął tak, jakbyśmy jechali w środku samego papierosa. Starte siedzenia miały milion malutkich, okrągłych wypalonych dziur.

— Czarnuchu, nie zmuszaj mnie, bym cię zastrzelił — powiedział Darrell.

— Przestań mówić „czarnuch”.

— Czarnuch, czarnuch, czarnuch. Ktoś musi ci o tym przypomnieć.

Wyjął ostatniego papierosa, wyrzucił pustą paczkę na tylne siedzenie, wetknął go w usta. Kiedy go zapalił, rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Udałem, że przyglądam się zgrabnej siostrze w dzinsowej mini i brzoskwiniowym topie — odejmijmy jej dwa punkty za tę śmieszny fiyzurę i rozdeptane kaptcie — potem przeciągnąłem się i ziewnąłem. Kiedy opuściłem rękę, wyrwałem mu go z ust. Zanim zdążył przekląć i mnie chwycić, już wyrzuciłem go za okno. Głupi uderzył mnie w ramię, zaczął się ślinić, wyzwał wszystkimi możliwymi wyzwiskami, od wiejskiego kochanka białasek poczynając.

Potem zaczął machać głową i roześmiał się.

— Jesteś dość szybki.

Włączyłem i zaraz wyłączyłem popsute radio.

— Bo rzuciłem palenie już w szkole średniej.

— To twój problem. Głodny?

— Jak cholera. Ty stawiasz?

— Pokey, to ty jesteś forsiasty i żyjesz na całego.

Roześmieliśmy się. Dawno nie słyszałem swojego przezwiska.

— Może być, Pokey — powiedział Darrell. — Może być. Postawię ci.

Jechaliśmy Bulwarem Elvisa Presleya, dojeżdżaliśmy do Iaceland. Darrell spojrzął we wsteczne lusterko i nieprzepisowo zawrócił wprost przed białą żelazną bramą Króla z Okutymi nutami. Spojrzałem na rezydencję Przedawkowania i próbowałem odczytać graffiti na murze. Napisy zosta, wionę przez ludzi, którzy chcieli, żeby inni wiedzieli, że byli tu przed nimi. W dole w Whitehaven (które teraz przezwano Blackhaven) kolejka wiernych białych długa na dwadzieścia pięć metrów stała przed białą bramą. Słońce prażyło im gł0— wy i wiedziałem, że muszą być spoceni przez ten okropny upał i wilgotność. Było na tyle gorąco, że opuszczała się prawa garda. Odkąd Król wykorkował na swoim porcelanowym tronie, widywałem kolejki samochodów z rejestracjami od Florydy po Kanadę, od Waszyngtonu po Kalifornię. Nadal wierzący turyści bez krzty rozumu. Elvis był bardziej martwy niż Hoffa, a oni nie dostali zawiadomienia.

— To jest dopiero coś! — Darrell zassał zęby i potrzaskał głową. — Wybulić siedemnaście dolców, by zobaczyć grób grubego, martwego wieśniaka.

— Rozchmurz się, dobra?

— Aha, po tym jak okradł czarnych i powiedział, że czarnuch mógłby mu jedynie czyścić buty, jego też bronisz?

— Mam już dość twojego marudzenia.

Darrell z piskiem opon ponownie zawrócił. Kilka korpulentnych białych kobiet prezentujących jasnoniebieskie pasemka krzyknęło i chwyciło swoje dzieci. Wszyscy przed bramą podskoczyli i zmarszczyli na nas brwi. W ich oczach widać było panikę. Darrell śmiał się przez następne dwie przecznice. I ja też.

16. Jordan Greene

Nadal walczysz z prosiakiem, co?

Zjadłem kawałek jagodowych naleśników i zacząłem chrupać bekon na tyle głośno, żeby zdenerwować Darrella.

Potrząsnął głową, mówił z ustami pełnymi jajeczniczy z ostrym sosem.

— Jak białaska ma na imię? Thelma czy Louise?

— Kimberly Denise Chavers.

Pociągnął duży łyk soku pomarańczowego i skinął głową.

— Wiem, czemu nie zabrałeś jej w te strony.

— Czemu?

— JimCrow*.²⁰

Nie wiem, dlaczego uważał się za takiego mądralę. Miał już za sobą trzy nieudane małżeństwa. Nigdy nie poznałem jego dwóch ostatnich żon. Rozwiedli się, zanim ryż zdążył upaść na podłogę.

— Kimberly. Tak, zdecydowanie biała. Białe imię.

— Darrell, przestań marudzić.

— Co się stało z tą fajną Sabriną? Ta dopiero była dobra. Nigdy nie miała dosyć.

Sabrina. Jakby to imię nie brzmiało jak białe. Dzięki zerwaniu z Sabriną, po skończeniu studiów, zamiast pracować w FedExie, uciekłem z Południa i przeprowadziłem się do Nowego Jorku. Sabrina była pierwszą kobietą, z którą się spotykałem, kiedy przyjechałem z miasteczka Brownsville. Fajna siostra, prosto po ogólniaku, z talia, która uwydatniała jej ładne, południowe siedzenie. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy i wymieniliśmy uśmiechy na wieczorku zapo. znawczym dla pierwszego roku. Spotykaliśmy się od tego dnia do połowy mojego ostatniego roku studiów. Chodzili, śmy ze sobą do dnia, kiedy

²⁰ Jim Crow — potoczna nazwa zbioru przepisów ograniczających prawa obywatelskie czarnej społeczności na Południu. Np. nakaz siadania zawsze z tyłu autobusu, pierwszeństwo dla białych w środkach komunikacji miejskiej, oddzielne toalety.

wpadłem do jej mieszkania poza kampusem, otworzyłem drzwi swoim kluczem, wszedłem do sypialni i...

— Brat imieniem Bobby przydarzył się Sabrinie.

Skinał głową.

— Gdybyś się lepiej przykładał

— Zamknij się, dobrze? — urwałem.

— Pocałuj mnie w czarną dupę.

— Twój nos mi przeszkadza.

— Jesteś dupkiem.

— A ty całą dupą. Nie prawie połowicznych komplementów.

Darrell zadławił się naleśnikami przez tę wyświechtaną puentę. To co żuł, wystrzeliło mu przez nos.

— Darrell, dobrze się czujesz?

— To było dobre! — Śmiał się, wycierał oczy. — Nie prawie połowicznych komplementów. — Stary, muszę to zapamiętać.

Siedzieliśmy w IHOP*²¹ na dworze i rozmawialiśmy. Opowiedziałem mu o Kimberly. Słuchał. Bez względu na to, w jak dobrym świetle starałem się ją przedstawić, nie był przejęty. Nie dlatego, że była biała, tylko dlatego, że nie była czarna. Tak jak on, trzymałem się dzielnie i zachowywałem pozory. Darrell jest trzy lata starszy niż Reggie, prawie cztery lata starszy niż ja, a zachowywał się jak ojciec, nie jak brat. Wzięło się to z tego, że musiał zostać ojcem rodziny, której brakowało wzoru ojca. Z tego powodu byliśmy sobie tak dalecy. Był taki zadufany w sobie, a ja nienawidzę, kiedy się mną pomiata, słownie czy w inny sposób.

— Masz białą kobietę.

Powiedziałem, żeby mówił ciszej.

— Chodzę z kobietą, która, tak się złożyło, jest biała.

— Co za różnica?

— Jeśli musisz pytać, to nigdy nie będziesz wiedział.

²¹ *IHOP — International House of Pancakes — sieć restauracji serwujących wiele rodzajów naleśników.

— I tylko z tego powodu, ty płacisz za jedzenie.

— Myślałem, że ty płacisz — powiedziałem.

— I to dostajesz za myślenie — prychnął Darrell.

Dopiłem kawę i dałem mu dwadzieścia dolarów na czternastodolarowy rachunek. Darrell poszedł zapłacić i wrócił po mnie. Poprosiłem go o moją resztę; zignorował mnie i ruszył w stronę drzwi. Musiałem znów sięgnąć do kieszeni po dwa dolary na napiwek.

Zanim go dogoniłem, Darrell miał już nową paczkę papierosów i flirtował z dużą dziewczyną za kasą, próbując wydobyć jej numer telefonu. Miała ładną buzię i rumieniła się mocno, widziałem jej górny złoty ząb.

— To mój młodszy brat, Pokey. To znaczy, hm, Elijah. To znaczy, hm, Jordan.

— Pokey — powiedziałem. — Mów mi Pokey.

— Pokey, to jest Traci.

Ukloniłem się i odpowiedziałem, ale ona zbyt zajęta była oglądaniem szerokiej klaty i wielkich ramion Darrella, żeby chociaż z grzeczności na mnie zerknąć.

Zamrugła i wydobyła się z transu na tyle, by spytać z nadzieją:

— Jesteście stąd?

— Mieszkam w Południowym Memphis — powiedział Darrell.

Uśmiechnęła się.

— Naprawdę?

— Pokey mieszka aż w Nowym Jorku.

— W Nowym Jorku? Zawsze chciałam tam pojechać. — Traci starała się udawać zajętą kasą. — Więc, Darrell, naprawdę chcesz mnie zabrać do kina, czy tylko tak język strzepisz?

Darrell uśmiechnął się tak, że górna warga zakrywała jego ułamany ząb.

— W niedzielę wieczorem. Jestem poważny jak atak serca.

To byłoby zaraz po pogrzebie. Równie dobrze mógł ją przyprowadzić na nabożeństwo. Mogłaby się załapać na miejsce w pierwszym rzędzie, zjeść polanego masłem popcornu, skrzydełek, może kilka kotletów wieprzowych, wypić dużą pepsi.

Spojrzała na prawo i lewo i powiedziała:

— Nie chcą was poganiać, ale muszą wracać do pracy, za nim mój przełożony zacznie się wściekać.

— Miło było cię poznać, Traci.

— Mnie też, Pookey.

— Pokey, nie Pookey.

— Przepraszam. — Zarumieniła się. — Pokey.

Darrell mrugnął, jakby był facetem roku.

— Niedziela, piąta po południu. Będę punktualnie, bez względu na pogodę.

— Nie musisz czekać tak długo, żeby do mnie zadzwonić.

Darrell uśmiechnął się, jakby był w siódmym niebie i zapytał:

— O której kończysz?

— O czwartej. Jadę odebrać córeczkę i jestem w domu koło wpół do piątej.

— Może zadzwonię około piątej.

— Świetnie.

Zachowywał się jak alfons. Ona zarumieniła się, spodobało jej się to, co usłyszała. Byłe co go podniecało od świtu do nocy. Pożerali się wzrokiem.

Już na zewnątrz, Darrell spytał:

— Widziałeś tyłek tej dziewczyny?

— Widziałem ogromne uda, jeśli o to ci chodzi.

Klepnął mnie w tył głowy. Popchnąłem go.

Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu, potem zatrzymaliśmy się na światłach na Trzeciej Ulicy i Bełz. Centrum handlowe i bary szybkiej obsługi były przy każdym skrzyżowaniu. Znajdowaliśmy się w sercu robotniczej dzielnicy Południowego Memphis, Harlemie Południa, niecały kilometr od domu Darrella. Zapalił papierosa. Zaciągnął się i podniósł go i zaczął się w niego wpatrywać.

Potrząsnął głową i wymamrotał:

— Oto kolejny sposób, w jaki chcą nas wykończyć.

— Nie widzę, żebyś miał pistolet przystawiony do głowy.

— Ten sam, który zmusił cię do uganiania się za ich kobietami.

Cisza sprowadziła moje myśli do prawdziwego powodu mojego pobytu tutaj. Do Reggiego. Pokręciłem młynka, i chrząknąłem, zacząłem się wiercić w swojej kałuży P^otu.

Myśli z każdą sekundą stawały się coraz czarniejsze. Wilgotność i cisza potęgowały jedynie strach. Darrell ścisnął kierownicę i przygryzał wargę, powiedziałem:

— Darrell...

— Wiem. — Na jego twarzy widniał smutek i strach. — Musimy znaleźć Reggiego. Musimy znaleźć Reggiego.

Darrell pomknął Trzecią Ulicą. Jechaliśmy na północ.

17. Jordan Greene

Śniłem. Kimberly była w moich ramionach. Delikatnie gładziłem jej nagie plecy, ledwie dotykając ręką skóry. Byliśmy w ciemnym pokoju, ale jej uszczęśliwiona twarz promieniowała światłem. Przyjemne łagodne światło dochodziło z dołu i z góry zarazem i padało na łóżko jako doskonały krąg. Pościel wokół nas była pomięta. Uśmiechnęła się, roześmiała, przysunęła bliżej i spróbowałem pocałować jej spoconą szyję, ale odsunęła się i połaskotała mnie. Gdy ją złapałem i rozplątałem pościel, odgarnąłem jej rudą grzywę, by móc cieszyć się widokiem całej jej twarzy, posmakowałem jej język, obśypałem delikatnymi pocałunkami, przespacerowałem językiem do płatków uszu. Kimberly otworzyła buzię, oblizwała wargi. *Aaahhhhahhhha-aaooohhooohaaoaaaaoohaahaoaohaaa* Przysunąłem się i zacząłem obrysowywać językiem kontury jej twarzy. Posmakowałem kącika jej ust. *Mlask... mlask... cmok... mlask... cmok... mlask...* Obudziłem się. Była ciemna północ. Byłem zmieszany. Skołowany. *Mlask... cmok... cmok, cmok... mlask...* Głośne hałasy. Ktoś warczał jak silnik. Wydawało mi się, jakby ktoś próbował włamać się do mojego mieszkania. Podskoczyłem, by schwycić lampę, ale ból w boku dał o sobie znać i musiałem zwolnić kroku. Uderzyłem nogą o coś twardego. Szklana ława. *Aaaaaaaa... aa... a... aaaaaaaa... Ława się przechyliła i stos magazynów „Jet” i „Ebony” posypał się na podłogę. Wtedy upadłem. Dywan zamortyzował mój upadek. Jeszcze większy ból. Zagryzłem wargi i zgłuszyłem krzyk. Coś było nie w porządku. Ja nie miałem takiego grubego dywanu.*

Aaaaaaaaaaaaaa... aa... a... aaa... aaaaaaaaaaaa... aaaaaaaaaa... aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...

Ale nie byłem w domu. Noga bolała mnie tak mocno, jakby była rozcięta. Przyzwyczailem się do bólu, przewietrzyłem głowę, usłyszałem mamrotanie i chichot w ciemności. Ból w plecach wracał. Płytko oddychałem, schwyciłem róg sofy i wciągnąłem się na nią z powrotem. Zatrzeszczała, poprawiłem się, żeby sprężyna nie wbijała mi się w kręgosłup. Wtedy usłyszałem głos Darrella. Drzwi jego sypialni otworzyły się i miękkie światło padło na ścianę w korytarzu. Przestałem szeleścić i udałem, że śpię. Oczywiście miałem tylko odrobinę odemknięte, żeby widzieć, co się dzieje.

Chwilę później ktoś wyszedł. To była Traci, kelnerka, którą Darrell poznał wcześniej tego samego dnia. Wyszła na korytarz i światło ujawniło, że

jest spocona i kompletnie naga. Dyszała głośniej niż klimatyzacja. Odgarnęła warkocze z twarzy, powachlowała się ręką, przejechała rękami po spoconych piersiach, oblizała palce, obróciła szyję, otworzyła drzwi i weszła do szafy. Kiedy zdała sobie sprawę z pomyłki, zachichotała, wyszła z szafy i otworzyła sąsiednie drzwi do łazienki. Deska klozetowa upadła w kobiecą pozycję. Popłynęły płyny ustrojowe.

Darrell wyszedł z sypialni w znoszonych bokserkach, dopalając papierosa. Podrapał się między nogami i w tyłek, i ruszył w kierunku kuchni.

Usłyszałem spuszczaną wodę. Traci wyszła z łazienki. Zauważyła, że ją widziałem i pobiegła korytarzem do sypialni. Zamknąłem oczy. Darrell zniknął. Otworzyłem oczy. Nalewał sobie coś.

— Stary — powiedział zdyszany — ta dziewczyna jest dzika.

Zasnąłem.

— Pokey?

Z wielkim trudem otworzyłem oczy. Darrell stał nade mną ubrany w dżinsowe szorty i pogniecioną koszulkę, trzymał szklanek wody i tabletki przeciwbólowe. To znaczyło, spałem przez jakieś cztery— sześć godzin. Pisma leżały dokładnie poukładane na ławie.

Darrell usiadł na brzegu sofy i wyciągnął rękę.

— Proszę, czas wziąć dwie następne.

Zastłony były zasunięte, ale i tak było za jasno. Słońce musiało być już wysoko. Usiłowałem skupić na czymś wzrok. Traci wyszła z jego sypialni, poprawiała swój strój kelnerki i wpadła do łazienki, śpiewając melodię Chico De-Barge.

Darrell chwycił mnie za ramię. Musiałem się wysilić żeby wstać. Ból nie był taki straszny jak się spodziewałem, ale tabletki wysysały ze mnie świadomość. Zbyt gwałtownie się poruszyłem i ostry ból wrócił w krótkich spazmach. Jęk— nąłem, wydałem dźwięk jak ten, który słyszałem w nocy, ale bardziej powstrzymywany niż seksualny.

— Spokojnie, powoli, Pokey.

Wydałem dźwięk, sugerujący zgodę.

— Jesteś pewien, że nie chcesz jechać na pogotowie?

Wydałem dźwięk znaczący „nie, dzięki, jakoś wytrzymam”.

Wrzuciłem obydwie tabletki o smaku kredy do wysuszonych ust, popiłem wodą z kranu. Zimna woda raniła suche gardło, gdy przełykałem. Powoli się położyłem, powierciłem i ułożyłem wygodnie. Darrell poprawił i wytrzepał moją poduszkę i przykrył mnie. Odkryłem się. Było mi za gorąco.

— Odwożę Traci do pracy. Zaraz wracam...

Mój wzrok stracił ostrość, zrobił się mętny.

Usiłowałem sobie przypomnieć wszystko, co się wczoraj wydarzyło. Moje serce zaczęło szybciej bić przy niektórych wspomnieniach, potem się uspokoiło. Zacząłem myśleć o tym, jak znaleźć Reggiego. Męka.

18. Jordan Greene

Wczoraj Darrell zatrzymał się w pobliżu Le- Moyne Owen College, niedaleko miejsca, gdzie chowano niewolników w masowych grobach, niedaleko miejsca, gdzie, jak słyszałem, pochowano pierwszego czarnego milionera. Darrell spotkał starego przyjaciela Reggiego. Stał sobie przed monopolowym w pobliżu McLemone i Missisipi. Rejonu, który nie stanowi jednej z turystycznych atrakcji Memphis. Nie widział Reggiego od miesiący, ale podał namiary na kobietę, z którą Reggie dawniej robił interesy.

— Dokąd jedziemy?

— Reggie robił interesy z truskawą. Wandą.

— Z truskawą?

— Pieprzy za prochy.

— Wiem, co to znaczy.

Splunął.

— Miło słyszeć, że nie straciłeś kontaktu z ojczystym językiem.

— Zdefiniuj ojczysty język.

— Pieprz się. — Darrell znowu splunął. — Koleś powiedział, że Reggie z nią nie spał. Była albo jest podwójnym D...

Powiedziałem sarkastycznie:

— Podwójne D to handlarz narkotyków.*²²

— Zamknij się. Ona jedynie wiedziała, gdzie zdobyć towar.

Wytarłem twarz.

— Więc dokąd jedziemy?

— Na Poplar i Ayers.

— Cholera.

²² * W oryg. *Drug dealer*, stąd podwójne D.

Blokowisko. Kawałek miejskiej zabudowy bardziej znany jako Dixie Homes. To nie było dobre miejsce na szukanie kogokolwiek, zwłaszcza kogoś, kogo nie znałeś, nawet jeśli byłeś czarny i oni byli czarni. Jedyнным liczącym się kolorem był zielony. Zielone papiery z obrazkami zmarłych prezydentów.

Nie zrozumcie mnie źle. Też wychowaliśmy się w blokowisku. Ale te były inne. Więc można nas uznać za inne plemię. To byli moi ludzie, ale nie byli moimi ludźmi.

Część budynków przy Ayers została zamknięta, ogrodzona płotem, prawdopodobnie przeznaczona do rozbiórki. Darrell skręcił w lewo w Pauline i zajął pierwsze wolne miejsce na parkingu. Dwóch braci stało pod dającym cień drzewem i pili piwo. Obaj wyglądali na mniej niż dwadzieścia jeden lat, ubrani w stylu hip-hop, jaskrawe kolory, koszulki w paski, obwieszeni złotem. Jeden miał fryzurę Jheri-Curl do ramion, drugi czuprynę wysoką na prawie dwadzieścia centymetrów, spłaszczoną na górze. Dwa wymarłe style uczesania, w całej swej krasie, w niebie stereotypów. Ale stereotypy musiały skądś pochodzić, więc to musiało być jedno ze źródeł.

Gdy tylko otarliśmy pot z czoła i wysiedliśmy z samochodu, bracia skinęli głowami i pokazali znak pokoju. Odkłoniłem się i ruszyłem z dala od nich w stronę ceglatego trzypiętrowego domu.

Darrell zawołał:

— Pokey, zaczekaj chwilę.

Otworzył bagażnik i pogrzebał w swoich rzeczach. Kiedy go zamknął, miał na sobie pogniecioną koszulę dżinsową z długim rękawem.

— Zimno ci czy jesteś stuknięty? — spytałem.

Darrell szeroko się uśmiechnął.

— Nie. Nic z tych rzeczy.

Ruszył w stronę drzewa, powiedział: — Jak leci, chłopaki?

Ten z lokami odparł głośno i wyraźnie:

— Nic nie leci oprócz kosztów utrzymania. Nic nie rośnie oprócz czynszu.

— A co u ciebie, G? — płaski czubek spytał Darrella.

— Szukam Wandy. Wiecie, gdzie mieszka?

Kędziorek wychylił resztę piwa, beknął, splunął, i powiedział:

— Kim jesteście i co do niej macie?

— Próbuujemy odnaleźć naszego brata i chcemy się dowiedzieć, czy on u niej jest, czy może go widziała — tłumaczył Darrell.

— Jak już mówiłem, kim jesteś, G?

Kędziorek mówił półgębkiem, wydawał się zirytowany.

— Nie znamy cię przecież.

Nie wtrącałem się i pozwoliłem ignorancji porozumieć się po swojemu. Cały ten hałas mnie denerwował, ale nic po sobie nie pokazywałem.

Darrell powiedział, opanowany:

— Darrell Greene.

— A czemu sprowadzasz gliniarza od narkotyków? — spytał Kędziorek nonszalancko.

Byłem gładko ogolony, ubrany w markowe dżinsy, koszulkę Polo, ciemne okulary, modnie ostrzyżony na krótko. Szukam narkomana. Pasowałem do opisu.

Zachichotałem, wskazałem na wóz Darrella, i trochę głośniej się zaśmiałem na znak solidarności.

— Takim tanim hyundaiem?

Kędziorek i Płaski czubek roześmieli się. Darrell nie.

Kędziorek powiedział do kumpla:

— Chyba prawdziwy gliniarz nie jeździłby takim starym rozwalonym samochodem, co?

Płaski czubek podniósł pustą butelkę.

— A co wy dla nas zrobicie? To Ameryka, tu nie ma czegoś za nic, G.

Darrell sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął parę jedno— dolarówek — moich jednodolarówek — i podniósł je.

— Znacie Wandę?

Podskoczyli z ziemi jak w świąteczny poranek. Kędziorek schwycił pieniądze i przeliczył je. Kiedy Kędzior skomlał o jeszcze parę dolarów, Płaski wyrwał mu pieniądze z ręki i wskazał wschód.

— Drugi budynek, na dole, mieszkanie po lewej, to za zniszczonymi drzwiami z siatki. Jej nazwisko jest na skrzynce na listy. Parę minut temu widziałem, jak wchodziła.

— Kurczę, mogliśmy wydostać od nich trochę więcej szmalu, K.C. Gówno się znasz na negocjacjach.

Rzucili się na parking, biegli jak Batman i Robin, wskoczyli do bładoniebieskiego monte carlo z błyszczącymi obręczami. Płaski zapalił samochód; jedna z piosenek Tupaca grzmotnęła z głośników. Odjechali z piskiem, jakbyśmy nie istnieli.

Przeczytaliśmy napis na wygiętej beżowej skrzynce, żeby znaleźć mieszkanie. Nazwisko Wanda McClain napisane było na zewnątrz zielonym atramentem. Mogliśmy zaoszczędzić pieniądze. Darrell otworzył drzwi z siatki i zapukał w nieoheblowane drewniane drzwi.

Kobieta krzyknęła z wewnątrz:

— Kto tam?

— Darrell. Szukam Wandy. Jest w domu?

Nastąpiła chwila ciszy. Głos zza drzwi powiedział:

— Nie znam nikogo o imieniu Darrell.

Uniósł na mnie brwi i wzruszył ramionami. Zrobiłem to samo.

Darrell zdawał się grać na zwłokę, miał zmieszana minę, jakby brał udział w finałowej rundzie Jeopardy.

— Jesteśmy przyjaciółmi K.C. — wyrwało mi się.

— Przysuń się do wizjera — powiedziała. Kiedy tak zrobiliśmy, dodała: — Poczekajcie chwilę.

Odeszła od drzwi. Chwilę później usłyszeliśmy, jak je otwiera. Darrell uniósł kciuki w górę. Kiedy drzwi się otworzyły, zimne powietrze i smród jakby starego mięsa z hamburgera owiały mi twarz. Przed nami stała kobieta koloru cappuccino mniej więcej mojego wzrostu, w czerwonych, szerokich podartych dżinsach, i wyblakłej czarno—złoto—zielonej koszulce z wizerunkiem Malcolma X i napisem: WSZYSTKIMI DOSTĘPNYMI ŚRODKAMI. Długie kasztanowe włosy z czarnymi odrostami i śladem łupieżu za-

krywały jej twarz. Miała krosty na błyszczącym czole. Piękność z getta. Szczupła z somalijskimi cechami. Zawsze przyglądałem się czarnym ludziom, próbując skojarzyć ich jakoś z Afryką.

Jej sceptyczny wzrok zauważył moje pełne obawy spojrzenie.

Nie uśmiechnęła się, tylko chłodno spytała:

— Co słyhać?

— Szukamy Reggiego — powiedział Darrell.

— Reggiego? — zawyła. — Jakiego Reggiego?

— Reggiego Greene'a. Znasz go, nie? — spytał Darrell.

Podrapała się w głowę.

— Czy wiesz, gdzie jest Reggie? — spytał Darrell.

Rzuciła mi piorunujące spojrzenie. Potem spojrzała na Darrella. Mruknęła:

— Myślałam, że jesteście kumplami K.C.

— Właśnie z nimi rozmawialiśmy — rzekł Darrell. Jego ton był niecierpliwy.

— Powiedzieli, że możesz wiedzieć, gdzie jest Reggie.

— Mam już dość tych wszystkich drani przyłazących w poszukiwaniu Reggiego. Jego tu nie ma, nie mieszka tu, nie będzie go tu, więc powiedz swoim kumplom, żeby przestali przychodzić z tymi pierdołami, dobra?

Spróbowała zatrzasać drzwiami, ale Darrell zablokował je ręką. Głośno o nie plasnął. Wyglądało na walkę wrednego z wredną.

— Czekaj, jestem jego bratem z drugiej strony miasta — Darrell powiedział najszybciej jak mógł. To była też jego wersja przeprosin.

— Najpierw jesteś z K.C., teraz jesteś kimś zwanym bratem Reggiego.

Wanda usiłowała zaniknąć drzwiami, ale Darrell miał przewagę.

Odezwałem się:

— Nie, naprawdę, on jest naszym bratem. Czy wspominał kiedyś brata z Nowego Jorku?

Nie puściła drzwi, ale przestała je ciągnąć i spojrzała na mnie. Byłem ciekaw, co sobie myśli.

— Jesteś z wydziału narkotyków?

Obejrzała mnie od stóp do głów.

— Jestem jego bratem. Darrell też jest jego bratem — powiedziałem.

Przez ułamek sekundy zamrugła i orzekła, że nie ma w Qas na tyle podobieństwa, byśmy mogli być chociaż daleki— 1111 kuzynami. Ale ogień w jej oczach znikł, znów były normalnie brązowe.

— W porządku, chyba mogę wam zaufać — powiedziała z lekkim uśmiechem.

Poprawiłem koszulę i też się uśmiechnąłem. Zwolniła przycisk na drzwiach, ziewnęła i pokazała, żebym wszedł.

Właśnie przekraczałem próg, kiedy Darrellowi odbiło i wymamrotał coś ze słowem suka w samym środku zdania. Skrzywiłem się na znak, żeby zachował swoje głupie odzywki na później, jak już stąd wyjdziemy.

Pierwszym błędem było to, że się odwróciłem.

Trzasssssk.

Nagły ostry ból brzucha.

Baaaaach.

...i w ramię. Ktoś mnie czymś uderzył. Za chwilę poczułem, że się przewracam na drewnianą podłogę. Między jęknięciami i chrząknięciami udało mi się złapać parę łyków powietrza. Kiedy łzy spłynęły mi z oczu, uniosłem głowę. Wanda stała nade mną z usypiaczem z Louisville. Moje oczy znów napełniły się łzami; znowu wszystko zrobiło się mętne. Jęcząc i dysząc osłaniałem głowę jedną ręką, a nogami odpychałem się od nakładającego się na siebie hałasu.

Coś pękło.

Odzyskałem ostrość widzenia na tyle, by dostrzec, że Wanda trzyma jeden koniec kija baseballowego, a Darrell drugi. Potem oczy znów zasły mi łzami. Słyszałem straszną szamotaninę. Ktoś się na mnie zwałił, poczułem jakby oboje na mnie upadli. To musiała być Wanda. Była lekka, a jej zmierzwione włosy uderzyły mnie w twarz. Tył jej głowy...

Bach!...

...uderzył mnie w nos. Strasznie zabolalo i spowodowało następne łyzy. Ktoś ją szarpnął i podniósł. Wiem, bo całe jej ciało jednocześnie się uniosło i odleciało w inną stronę.

— Pokey! — krzyknął Darrell. — Wszystko w porządku, stary?

— A czy na to wyglądam?

Wytarłem łyzy rękawem. Otworzyłem oczy. Wanda miała jedno kolano na przykrytej folią jasnozielonej sofie, dyszała pod kiczowatym obrazkiem psów grających w pokera. Trzymała kij uniesiony, gotowy do akcji. Wściekła, wystraszona, z szeroko otwartymi oczami utkwionymi w Darrella. Zauważyłem dlaczego. Darrell trzymał błyszczący czarny rewolwer. Udała, że chce go uderzyć. Podniósł rewolwer. Rozważyła swój ruch. Wanda usiadła i upuściła kij na kolana, ale nie zdjęła z niego ręki. Była albo szalona, albo nie rozumiała powagi broni. Oczy zaszyły jej łzami, ale nie rozplakała się.

— Dlaczego wy wszyscy ze mną walczyacie?

— Wstawaj, Pokey — Darrell wrzasnął nad jej krzykami.

Jęknąłem spróbowałem się podnieść i upadłem.

— Czego wy wszyscy do cholery chcecie?

— Zamknij się! — ryknął Darrell.

— Weźcie co chcecie i wynocha. Nie mam pieniędzy. Nie mam prochów. Jestem czysta, zostawcie mnie w spokoju.

— Wanda, my nie chcemy żadnych pieniędzy. Szukamy tylko naszego brata — powiedziałem najlepiej jak mogłem, mimo bólu.

Wciągnąłem się w róg przy drzwiach, tak że nie odsłaniałem pleców. Moje wojownicze instynkty zbudziły się odrobinę za późno. Z trudem wyciągnąłem portfel z tylnej kieszeni, wyjąłem prawo jazdy i rzuciłem je przez pokój. Wylądowały na sofie koło Wandy. Darrell podskoczył do mnie koło drzwi, żeby sprawdzić, czy nikt nie zwrócił uwagi na całe to zamieszanie.

— Po co to? — spytała Wanda.

— Mój dokument tożsamości. Jestem Jordan Greene. Brat Reggiego Greene'a.

Spojrzała na zdjęcie. Poruszała ustami i mamrotała, kiedy czytała. Kiedy skończyła, podeszła do mnie cały czas kiwając głową, i rzuciła mi je w twarz.

— Dlaczego tak się wpychacie do mojego domu? Dlaczego wy mężczyźni zawsze musicie popychać kobiety? Popychać mnie? Raz moglibyście spróbować poprosić zamiast brać.

Darrell sięgnął do kieszeni i wyjął papierosa. Puknął nim dwa razy zanim włożył go do ust.

— Żadnego palenia.

— Co? — warknął Darrell.

— Jesteś głuchy i głupi? — Wanda odcięła się z wyższością. — Powiedziałam, nie będzie u mnie żadnego palenia. Wiem, że to niewiele, ale będziecie musieli mnie uszanować w moim domu.

Darrell spojrział na mnie, potem zmarszczył brwi. Roześmiał się jakby nic wielkiego się nie stało i rzekł:

— W porządku.

— Trzeba was trochę wychować — Wanda powiedziała to do Darrella. Odgarnęła włosy z twarzy, zrobiła parę głębokich wdechów i odetchnęła.

Darrell opuścił broń do boku, ale nie spuszczał jej z oczu.

Spojrzała mi głęboko w oczy, jakby zastanawiała się nad kolejnym atakiem. Ani krztyny szacunku. Zmieniłem pozycję, jęcząc jak starzec. Jej głos zmiękł:

— Dobrze się czujesz, gliniarzu?

— Nie.

— To dobrze, ty głupi gnoju. Dobrze ci tak — powiedziała Wanda z wykrzywioną miną.

Odwróciłem głowę, żeby na nią nie patrzeć.

— Jak Reggie ma na drugie? — spytała. Darrell skrzywił się i mruknął: — Co?

— Jak Reggie ma na drugie, pytałam.

— Michael — powiedział Darrell. — Reginald Michael Greene.

Zwróciła się w moją stronę:

— Gdzie się urodził?

— W Brownsville. Z powrotem do Darrella:

— W którym szpitalu?

— W domu — odpowiedział Darrell, tym razem pewniej. — Wszyscy urodziliśmy się w domu.

— Kiedy ma urodziny? — Znowu ja. Spojrzałem na Darrella. On spojrzał na mnie. Wzruszyłem ramionami.

— Koniec maja, początek czerwca.

— A nie w sierpniu? — wtrącił Darrell. Potrząsnęła głową i przejechała ręką po włosach.

— Piętnasty czerwca. Jest bliźniakiem. Tydzień od raka. Jego urodziny były w zeszłym miesiącu. Jesteście żalonymi braćmi. Założę się, że nigdy nie wysyłacie mu prezentu ani nie zadzwonicie. Mam rację, glino?

— A co ty masz do Reggiego? — spytał Darrell.

— Coś, czego wy nie macie. Jestem jego przyjaciółką. Ta słowna szermierka spowodowała ciszę. Spojrzałem na Darrella; a on na mnie; a potem odwróciliśmy od siebie wzrok. Spacerowała po pokoju myśląc. Potem podniosła kij,

Podeszła z nim do mnie i postawiła go za drzwiami.

Rzuciła Darrellowi piorunujące spojrzenie. Porozumiewali się w milczeniu. Miałem nadzieję, że ustalali rozejm. Siedzieliśmy cicho.

Wanda poszła do sypialni w głębi i wróciła, potrząsając dużą butelką Tylenolu500.*²³ Rzuciła nią jak piłką i uderzyła mnie w nos, dokładnie w to samo miejsce, w które mnie uderzyła, padając. Wkurzyło mnie to, ale nie dałem niczego po sobie poznać.

— Przydadzą ci się, glino — powiedziała.

Próbowałem mówić jak rozgniewany Denzel Washington.

— Tak, dzięki za uderzenie w brzuch.

— Twój szczęśliwy dzień. Celowałam w głowę.

Poszła do kuchni i wróciła z porysowanym słoikiem lodowatej wody. Wypiła połowę w kilku dużych łykach, resztę podała mnie. Wziąłem trzy ta-

²³ *Tylenol i Advil to dwa najpopularniejsze środki przeciwbólowe.

bletki i popiłem je, żeby zaczęły walczyć z bólem. Lodowata woda zraniła mi gardło i zachłysnąłem się. Zignorowała mnie. Poprawiła na sobie ubranie, wyrównała meble. Darrell chciał pomóc, ale spojrzała na niego z wyTazem mówiącym, żeby trzymał się z daleka. Znajac go wiedziałem, że i tak nie miał ochoty pomóc. Gdybyś go spytał, bez względu na to, kto nabałaganił, odparłby, że sprzątanie należy do kobiety.

Gdy Wanda skończyła, stanęła naprzeciwko Darrella. Nos w nos. Sięgała mu zaledwie do ramion.

— Macie samochód? — zapytała.

— Prowadzę, tak — powiedział Darrell.

— Schowaj ten straszak. Jedziemy na przejażdżkę.

— Dokąd jedziemy? — spytał Darrell.

— Znam kogoś, kto mógłby wiedzieć, gdzie on jest. — Zachichotała. — Pieprzona dwudziestkadwójka. Gówna warta. Zdobądź dziewiątkę.

Darrell schował pistolet pod dzinsową koszulę, wyciągnął spoconą rękę i pomógł mi wstać. Znowu jęknąłem jak starzec.

— Pokey? — spytał Darrell — boli cię?

— Tylko kiedy oddycham.

— Więc wstrzymaj oddech — powiedziała Wanda. Strasznie chłodno i buntowniczo.

19. Jordan Greene

Wanda kazała Darrellowi zatrzymać się za rogiem w pobliżu jej mieszkania. Zabrała nas do jeszcze bardziej zniszczonych domów za lombardem na Exchange Ave— nne, potem kazała nam czekać w samochodzie, gdy ona pobiegła do środka porozmawiać z kimś, kogo nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy. W międzyczasie grupa groźnie wyglądających braci siedziała w pobliżu, przyglądając się nam, jakbyśmy byli trędowaci albo jakby oni byli wkurzeni na swoje oceny maturalne.

Wpadła do samochodu, spocona pod pachami, i rzuciła:

— Dowiedziałam się, gdzie mógł się zaszyć.

Darrell i ja zapytaliśmy jednocześnie:

— Gdzie?

Otarła palcami pot z czoła, odgarnęła włosy do tyłu i powiedziała:

— Jedź.

Mruknąłem: — Mam nadzieję, że to nie żadna dziwna melina.

Skuliła się, jakby zupełnie straciła rozum, potem znowu westchnęła, oparła się wygodnie i spytała:

— A jeśli nawet, to nie pojedziesz?

Darrell wydał wkurzony dźwięk.

— Po prostu powiedz mi, dokąd jechać.

Pokręciła głową.

— Pokażę ci, gdzie jest.

Darrell obrócił się, jakby miał zamiar ją uderzyć.

Dotknąłem jego ramienia, żeby się uspokoił, jęknąłem z bólu i spytałem Wandę:

— Dlaczego musisz nam pokazać?

— Bo ci ludzie was nie wpuszczą, jeśli mnie z wami nie będzie.

— Kim są ci ludzie? Nie odpowiedziała. Wkurzyłem się.

— Czy to handlarze narkotyków?

Znowu nie odpowiedziała. Tylko tyle potrzebowałem wiedzieć.

Zmierzchało. Siedziałem sobie z tyłu cichutko. Wanda dawała wskazówki, mówiła tylko, kiedy trzeba było skręcić w prawo albo w lewo.

Ból w boku nie był już taki dokuczliwy, od kiedy znalazłem właściwą pozycję. Jechaliśmy trasą szybkiego ruchu MLK. Godzinę później zjechaliśmy z 1— 40, dwa razy skręciliśmy w prawo, raz w lewo, i pojechaliśmy autostradą 179. Jechaliśmy tą dwupasmówką w stronę Whiteville. Po obu stronach autostrady mijaliśmy przyczepy, pola bawełny, stary sprzęt rolniczy. Gdy mijaliśmy kościół Harmony Baptist, zauważyłem transparent CIEŻKA PRACA JEST MATKĄ SUKCESU. Wanda spojrzała przez okno.

— Ten samochód jest zarejestrowany?

— Tak — powiedział Darrell.

Wanda wachlowała się prawą ręką w wilgotnym powietrzu.

— Na kogo?

— Na mnie. Dlaczego? — spytał Darrell. Wanda nie przestawała się bać.

— Bo Jaś Policjant...

Wymamrotałem ze zdumieniem: — Policja?

— ...śledzi nas od jakichś dziesięciu minut. Odwróciłem się.

— Idiota! — Wanda zawarczała przez zęby. — Po cholere to zrobiłeś?

Spojrzałem, bo jej nie ufałem. Mijaliśmy Salon Kosmetyczny Virginii, Solarium i warzywniak, a dwóch z policji stanowej siedziało nam na ogonie. Jeden rozmawiał przez radio.

Wanda była opanowana.

— Gdzie twój pistolet?

Darrell patrzył prosto przed siebie.

— Schowany za pasek.

Wanda przechyliła się, udała, że całuje Darrella, wyjęła mu pistolet zza paska, upuściła go na podłogę, na moje stopy.

— Darrell, masz cuchnący oddech. Rzuć palenie. — Udawała, że skubie jego ucho. — Glino, kopnij pistolet pod siedzenie

Kopnąłem pistolet przez stare torebki z barów szybkiej obsługi, opakowania po hamburgerach i puste pudła po pa. pierosach, nogą popchnąłem go aż pod siedzenie Wandy żebym mógł wszystko zwalić na nią, jeśli będzie trzeba, nasypałem śmieci i szczelinę przykryłem kartonem po papierosach. Adrenalina płynęła jak Nil. Strach zagłuszał mój ból. Wanda zrećźnie wróciła do dawnej pozycji i dyskretnie zerknęła w lusterko.

— W każdej chwili — wymamrotała, uśmiechnęła się i udawała, że wspaniale się bawi — zostaniemy zatrzymani.

— Dlaczego? — spytałem wachlując się. — Nie przekraczamy dozwolonej prędkości.

Darrell się wkurzył.

— Bo jesteśmy czarnuchami, Pokey. Jadącymi we trójkę na tym zadupiu.

Zawarczałem nasze powiedzonko z dzieciństwa:

— Nie jestem czarnuchem, jestem Czarny. Kiedy stanę się czarnuchem, dam ci znać.

Wanda oszalała.

— Glino, dlaczego się po prostu nie zamkniesz. Idiota. Jesteś pewien, że jesteś bratem Reggiego?

Jaskrawe światła. Głośne syreny. Więcej strachu, mniej bólu.

Darrell zwolnił i zjechał na zwirowe pobocze. Powiedział:

— No więc Pokey, skoro tak ci dobrze idzie z białymi, zobaczmy, jak to załatwisz.

— Jak to dobrze mu idzie z białymi? — spytała Wanda.

— Przeniósł się do Nowego Jorku, stracił rozum i związał się z białą kobietą. Tyle tam świetnych sióstr, a on musiał załapać coś z blond włosami i niebieskimi oczami.

Powiedziałem głośniej i bardziej defensywnie, niż zamierzałem:

— Rudymi włosami i piwnymi oczami.

Darrell splunął:

— Ale i tak jest biała jak śnieg.

Wanda zmarszczyła brwi, jakby buzię miała pełną oleju ^cynowego:

— Twój brat sypia z Wilmą?

Darrell skinał głową.

— Doszło do tego, że odbiera jego telefony o każdej porze nocy.

— Jest kobietą, która, tak się składa, jest biała — powiedziałem.

— Ależ ty jesteś oryginalny — zadrwiła Wanda. — Wcale mnie to nie dziwi. Przeklęły oreo.

— Idź do diabła.

— Oreo. Dupek z malarią.

— Daj spokój mojemu bratu — wycedził Darrell bardzo powoli. — I nie próbuj żadnych sztuczek.

— A co zrobisz, wyciągniesz broń i mnie zastrzelisz? Obaj możecie mnie pocałować w...

Ostre światło z latarek zabłysnęło z obu stron jednocześnie. Policjanci wyszli z samochodu i stali już nad nami. Darrell trzymał ręce na kierownicy. Ręce Wandy były na widoku. Czuję się obolały, ale usiadłem prosto, żeby nie wyglądało, że się ukrywam. Trzymałem ręce na kolanach. Nie chcieliśmy dać żadnego pretekstu do wypadku.

To wyglądało jak pistolet, przepraszam, że tak go zabiłem. Chodźmy na paczka.

Spojrzałem z ukosa na policjanta po naszej prawej stronie. Miał odpiętą kaburę. Rozpoczął się rytuał.

— Prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę — rzucił policjant z lewej.

— Czy jest jakiś problem, panie władzo? — spytał Darrell.

— Jeszcze nie. — Ten po prawej splunął. Był mniej więcej w moim wieku i wyglądał, jakby musiał coś udowodnić.

Siedzieliśmy cicho. Nie wytarliśmy nawet spoconych ^arzy. Znaliliśmy tę rutynę. Było ciemno, a my byliśmy na zadupiu. Odzywaj się, tylko gdy o coś zapytają.

Policjant z prawej spojrział zimno na Darrella i spytał:

— Jesteś z Memphis?

. — No — odrzekł Darrell. Nigdy nie odpowiedziałby „tak jest, Panie władzo”.

— Co wy tu wszyscy robicie tak daleko za miastem?

Już miałem zapytać, czy to niezgodne z prawem, żeby czarni jeździli z punktu A do punktu B bez przepustki od wielkiego człowieka z plantacji, ale Wanda szeroko się uśmiechnęła i powiedziała:

— Wiezie mnie do domu przyjaciółki.

Policjant z prawej zapytał:

— Twoja przyjaciółka ma jakieś imię?

Wanda zastanowiła się i odrzekła:

— Veronica Giovanni.

Nie uwierzyłem jej. Z uniesionych brwi wynikało, że policjant też nie. Ich spojrzenia podwyższyły temperaturę o dwadzieścia stopni. Wilgotność się podwoiła.

Policjant z lewej podał Darrellowi dokumenty.

— Piłeś?

— Nie.

— Jesteś pewien? — Policjant po prawej wydawał się surowy. Jego twarz drgała, jakby miał zły dzień.

Darrell spokojnie odpowiedział:

— Tak.

— Masz rozszerzone źrenice. Proszę wysiąść z samochodu.

Policjant z prawej doprowadził Darrella do krawężnika.

Kazał mu dotknąć palcem nosa. Policjant z prawej poświecił latarką i przeczytał napis na koszulce Wandy. Poruszał ustami, kiedy czytał:

WSZYSTKIMI DOSTĘPNYMI ŚRODKAMI. Wypuścił powietrze przez nos. Na jego bladym czole wystąpiły zmarszczki.

Splunął, nie okazał południowej życzliwości, pokiwał głową i wyszczerzył zęby:

— Oboje pokażcie jakiś dowód tożsamości. Już.

Darrell spacerował po prostej linii jak na przesłuchaniu do czarnego cyrku. Powoli się przechyliłem, żeby wyjąć prawo jazdy z tylnej kieszeni. Kiedy się schyliłem, schwycił mnie ostry ból. Cicho jęknąłem.

— Co z tobą, bracie? — spytał policjant z prawej.

— Zraniłem się grając w baseball — powiedziałem.

Wanda zachichotała.

Jego wyraz twarzy był czymś pomiędzy obrażonym a zmieszanym. Krótko się roześmiał. Sprawdził dowód Wandy, oddał go, potem przeczytał mój. Jego oczy zabłyśły

Wydawał się podekscytowany.

— Jesteś z Nowego Jorku?

Zmiana nastawienia zbiła mnie z tropu. Byłem tak przyzwyczajony do mówienia ludziom na Północy, że jestem z Memphis, że prawie potrząsnąłem głową.

— Tak — skinąłem. — Mieszkam w Queens.

— Zawsze chciałem zabrać żonę do Nowego Jorku!

Policjant z lewej zwrócił się do tego z prawej, który rozmawiał z Darrellem, i krzyknął:

— Rick, ten facet tutaj jest z Nowego Jorku!

— Nie gadaj. — Splunął na ziemię. Nie był poruszony.

— Spójrz na jego prawo jazdy. Nawet dobrze wyszedł na zdjęciu! Wygląda dokładnie tak samo. Nasze tak dobrze nie wychodzą, co?

Andy Griffith i Barney Fife zaczęli mnie przesłuchiwać.

— *Widziałeś Statuę Wolności?*

— Tak.

— *Jaka była?*

— Fajna, duża. Można stamtąd zobaczyć całe miasto.

— *Co jeszcze widziałeś?*

— Byliśmy na Broadwayu...

— *Byłeś na tych znanych przedstawieniach?*

— Tak.

Miss Saigon. Porgy i Bess. Upiór w operze. Koty.

Pytanie. Odpowiedź. Pytanie. Odpowiedź. Śmiech. Głupie pytanie. Odpowiedź. Pytanie. Odpowiedź. Głupie pytanie. Śmiech. Wymijająca odpowiedź. Pytanie. Odpowiedź. Śmiech.

„No to, trzymajcie się, wszyscy!” i „Jedźcie ostrożnie” usłyszeliśmy, kiedy wracali do radiowozu. Zostawili Darrella na krawężniku. Zapomnieli o nim. Darrell powoli wrócił do samochodu, ze wzrokiem utkwionym w policjantów i wszedł bardzo powoli, wsunął tyłek na siedzenie, jakby miał hemoroidy.

Policjanci zawrócili, wzbudzając śmieci. Minęła minuta, a Darrell nie poruszył się, nie mrugnął.

Wanda odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Tak. Masz podejście do białych. Oreo.

— Bardziej podoba mi się *Glino*.

— Wszystko jedno.

Wanda roześmiała się szorstko. Darrell zatrzasnął drzwi, Przekreślił kluczyki, co spowodowało rżenie, bo nie wyłączył silnika. Byliśmy wolni. Nie przeszukali samochodu a tylko to się dla mnie liczyło. Darrell po prostu siedział, ścisnął oburącz kierownicę i coś mamrotał. Po kilku sekundach dało się słyszeć:

— ...Tawana Brawley, Latasha Harlins, Yusef Hawkins Rodney King, Malice Greene. Dlaczego zawsze z nami zadzierają? Sukinsyny zadzierają z nami, bo mogą. Zawsze nas popychają! Bawią się naszym życiem. Zawsze nas przy. deptują, depczą nasze marzenia, nasze rodziny, depczą nas. Zmuszają, żebym spacerował i stepował jak jakaś marionetka, pociągają za sznurki i zmuszają, bym tańczył.

Darrell otworzył drzwi, wyskoczył z samochodu i trzasnął drzwiami. Wanda spojrzała na mnie. Patrzyłem na Darrella. Maszerował drogą, jakby opętany przez demony, a po jakichś czterdziestu metrach jego głowa opadła a ramiona prawie zamiatały żwir.

— O co się wścieka? Nigdy przedtem nie był zatrzymany?

— Czy umiesz prowadzić wóz z normalną skrzynią biegów?

— No pewnie. Moja mama nie wychowała żadnych idiotów. Chyba nie zostawisz tu brata, co?

— Nie. Wskakuj za kierownicę i jedź za nim. Jedź za nim. Niech to wychodzi.

— O co tak się wścieka? — spytała znowu, przesiadając się.

Pierwsza żona Darrella, gdy miał osiemnaście lat, pracowała w drogiej restauracji w centrum Memphis, nad rzeką Missisipi. Była chyba kucharką. Tak, kucharką, bo wiedziałem od Darrella, że tylko biali mieli dobre stanowiska przy obsłudze klientów — kelnera, kelnerki, kasjera. Wszyscy Amerykanie Afrykańskiego pochodzenia — wtedy zwano nas chyba Afro- Amerykanami czy może Czarnymi — pracowali na zapleczu z dala od gości: sprzątacze, pomywacze, kucharze, przygotowując jedzenie i sprzątając po białych.

Jego żona Stephanie była bardzo ładną kobietą. Drobną i cichą. Ale sprowokowana potrafiła być wściekła. Kochał jej ogień. To jedno miałem z Darrellem wspólnego: kochaliśmy ogniste kobiety, właśnie dlatego tak pociągała mnie J'nette. Ale jeśli bawisz się ogniem za długo, sparzysz się— W każdym razie Darrell i Stephanie byli małżeństwem od nieco ponad roku, mieli piękną, rozkoszną córeczkę, Jasmine. Pewnego wieczoru, kiedy Stephanie skończyła sprzątać kuchnię, jeden z kelnerów ją zgwałcił. Zgłosiła to i potraktowali ją, jakby sama była przestępcą.

Podobało ci się?

Każdy wie, jakie łatwe i puszczałskie jesteście wy — młode kolorowe kobiety.

Proces wstrząsnął wszystkimi. Nie mogła spojrzeć w oczy Darrellowi po tym, jak ją potraktowali.

Może to była moja wina. Byłam zbyt przyjazna, podpuszczałam go... Darrell nie mógł się zebrać, by czule ją dotknąć, bo została zgwałcona. Oni zrobili to jemu. Oni ukradli jego rodzinę. Oni pogmatwali mu życie. Oni. Kelnera nigdy nie zwolniono. Za to ją tak. Wszystko w domu Darrella się popsuło.

Stephanie odeszła, zabierając Jasmine, i nigdy więcej się do niego nie odezwała.

Powiedziałem Wandzie:

— Nic. Wszystko. Po prostu jedź za nim, miej go na oku. Jeśli się zatrzyma, to ty też. Zachowaj odstęp i daj mu trochę przestrzeni.

— Nie możemy po prostu poczekać w samochodzie aż wróci?

Darrell szedł przed siebie, pozwalając, by światła z naszego samochodu oświetlały mu drogę. Wyrzałem przez okno. Zobaczyłem ciemny las. Pomyślałem o płonących krzyżach. Pomyślałem o zwrocie, którego ludzie kiedyś używali: „Dziwny owoc”. Tak nazywali braci, których znajdowano wiszących na drzewach. Dziwny owoc. Poczuję się w innej rzeczywistości, takiej, jaka przyprawiała mnie o zimny pot. Takiej, przez którą nabierałem wątpliwości co do rudej kobiety, zostawionej w Jackson Heights. Ale wątpliwości te przyćmiewało to, co było w moim sercu. Zastanawiałem się, czy to uczucie dyskomfortu odejdzie kiedykolwiek.

Wanda powtórzyła:

— Głino, czemu nie możemy poczekać aż ten głupiec wróci? Pozwólmy mu spacerować samemu.

— Nie tutaj. Inne plemiona — powiedziałem.

— O czym ty znowu gadasz?

— O niczym.

Wanda pokręciła głową.

Następne trzy kilometry ciągle jechaliśmy w ślimaczym tempie. Moje myśli błądziły między tym, co dobre, a tym, co złe. Jeśli nie mogliśmy ufać białym i nie ufaliśmy czarnym to komu ufaliśmy? Zawsze tak blisko śmierci po obu stronach płotu.

Minął nas samochód z jaskrawymi światłami, przerywając moje sny na jawie. Potem ciemno. Upał wciąż nam doskwierał. A do tego sprowadził swoją panią — Wilgotność. Wanda uderzyła się w lewe ramię, zabijając komara. Oboje się pociliśmy. Ja jeszcze bardziej, z powodu bólu. Widziałem, że ma już dość Darrella, bo co jakiś czas zaczynała mruzczyć, że ma po uszy jego dziecięcego zachowania. Miała rację, do pewnego stopnia. Darrell zaczął działać mi na nerwy.

Ktoś nieprzyjemnie pachniał, prawdopodobnie ja. Mój dwunastogodzinny dezodorant był bardziej martwy niż komar, którego walnęła Wanda.

Łyknąłem dwie suche tabletki, bo kiedy podniecenie opadło, mój nowy przyjaciel, Pan Ból, powrócił ze zdwojoną siłą. Było za cicho. Cisza działała mi na nerwy, więc postanowiłem zagaić rozmowę. Musiałem być opanowany. Jedyne, co miałem z Wandą wspólnego, to fakt, że znaleźliśmy Reggiego. I to, że Darrell działał nam na nerwy.

— Mam nadzieję, że Darrellowi przejdzie, zanim dotrzemy do Reggiego.

— Jak to? — spytała.

— Myślę, że nie jestem w stanie dać rady humorkowi Darrella i żalowi Reggiego jednocześnie.

Wanda gapiła się na mnie we wsteczne lustro. Jedna jej brew uniosła się, powoli i spokojnie. Twarz się skrzywiła, jakby się nad czymś zastanawiała. Spytała:

— Dlaczego Reggie miałby być pogrążony w żalu?

Byłem na tym zadupiu, pocąc się jak mysz, na tylnym siedzeniu starego hyundaya, pulsowałem z bólu, łykałem Tyle— nol, jakby właśnie wychodził z mody. A wiem, że te głupie tabletki powodują zatwardzenie.

— Tata Reggiego zmarł — powiedziałem.

— Zmarł?

— Tak. Musimy sprowadzić Reggiego na pogrzeb.

— Kiedy odszedł?

— Na początku tego tygodnia.

Samochód gwałtownie stanął. Wanda sięgnęła do tyłu i obrzuciła mnie chmarą ciosów. Zaciśniętymi pięściami. Była prawie na tylnym siedzeniu, leżąc na mnie, wrzeszcząc coś, że Darrell i ja nie jesteśmy nic warci. Nie słyszałem, co wrzeszczała, bo trzasnęła mnie w policzek i dzwoniło mi w uszach. To naprawdę przypomniało mi Mamę. Usiłowałem się wykręcić, ale złapał mnie ból w boku, byłem w pułapce, przestała mnie bić i odwróciła się. Mamrotała. Podniosłem zaciśnięte pięści i chciałem ją uderzyć, przywalić w jej wredny tyłek tak, że ją przekreśli, ale dałem spokój, bo mogłaby mi oddać.

— Co z tobą? — wrzasnąłem.

Wyskoczyła z samochodu i pobiegła w stronę Darrella, całą drogę wykrzykując przekleństwa. Darrell machnął tylko ręką, szedł dalej, jakby była powietrzem. Uderzyła go w szczękę zaciśniętą pięścią.

Wtedy wydusiłem:

— Kurwa mać.

Obserwowali się, ale nikt nie uderzył. To musiał być ten upał. To był koszmar. Wszystko się sypało, wariowało w upale. To przez ten upał.

Darrell wycofał się, uniósł ręce na znak zawieszenia broni, podszedł do niej i zaczął coś mówić. Zanim skończył zdanie, kopnęła go w brzuch tak mocno, że aż mnie zabolalo.

Zmarszczyłem brwi i jęknąłem:

— Ałłłaaalł.

Schylił się, jakby miał jakieś inne wyjście, a Wanda wskoczyła na niego bijąc go zaciśniętymi pięściami, zanim zdążył upaść na ziemię. Biła się tak, jakby wychowała się w poprawczaku. Usiłowałem wydostać się z samochodu, robiłem co w mojej mocy, ale nie mogłem znaleźć cholernego Przycisku, który podnosi przedni fotel. Kiedy wreszcie mi się udało, Darrell kulał z grymasem na twarzy, idąc za Wandą do samochodu. Wanda rzucała ramionami i krzyczała na nikogo i wszystkich jednocześnie. Kiedy doszła do strony kierowcy, Darrell był dwa i pół metra za nią. Zaczęła kręcić szyją i papleć jak jadowita żmija, od czego przechodziły mnie ciarki. I wściekle wskazywała na Darrella. Bałem się jej bardziej niż policji. A oni mieli broń. Niech to, ja miałem broń u swoich stóp, a byłem zbyt przestraszony, by ją podnieść.

Wanda wrzeszczała:

— Nic mnie nie obchodzisz, ani ty ani twoje problemy. To nie żaden biały facet! Rodzina powinna być najważniejsza. Zmarł tata twojego brata, to jest najważniejsze, ale ty spacerujesz sobie myśląc o własnych kłopotach. Tu chodzi o Reggiego. Twoją rodzinę. Jakikolwiek masz problem, wsadź go sobie w dupę i przestań szaleć. Rozumiesz?

Darrell otarł się, splunął, podszedł do strony pasażera i wsiadł do środka. Wanda wsiadła po stronie kierowcy i zatrzasnęła drzwi tak mocno, że wystraszyła ptaki siedzące na drucie telefonicznym. Płakała.

— Nigdy więcej mnie nie bij — rzucił Darrell.

— Nigdy więcej nie daj mi powodu — odpowiedziała Wanda tym samym tonem.

Wanda zapaliła samochód.

Darrell sięgnął po papierosa.

Wanda spojrzała na Darrella.

— Żadnego palenia.

— To mój wóz.

— Ja prowadzę.

Darrell i tak zapalił papierosa, oparł się wygodnie i splunął przez okno.

— Jak już mówiłem, to mój pieprzony wóz.

Wanda zapięła pas, ruszyła z piskiem, popędziła z jakieś trzydzieści metrów, potem nacisnęła hamulce. Darrell wpadł na deskę rozdzielczą, zakaszłał, i wypluł papierosa sobie na kolana. Nagłe szarpnięcie rzuciło mnie na fotel Darrella, bok zabolął mnie tak mocno, że prawie zsikałem się w spodnie.

Wanda znów miała wrogie spojrzenie.

— Jak mówiłam, nie będzie żadnego palenia.

— Szalona suka! — wrzasnął Darrell. Wiercił się próbując znaleźć papieros, który palił mu kolana.

— Jeszcze raz nazwij mnie suką, a pożałujesz.

— Pieprz się, suko!

— Darrell, zostaw ją w spokoju.

— Nie potrzebuję twojej pomocy, głupi Glino.

— Przykop jej, Darrell.

— Zamknij się, Pokey.

— Pieprz się, Darrell.

Przez następne dziesięć minut jechaliśmy w milczeniu. Pot przykleił mi koszulę do pleców. Siedziałem w lepszej pozycji i nie bolało mnie już tak mocno. Spokojnie. Tym razem nauczyłem się doceniać ciszę. Słyszałem jedynie opony topiące się na rozżarzonej jezdni i co jakiś czas dźwięk szarańczy śpiewającej pieśni miłosne na drzewach. Kilka świerszczy.

Wanda zwolniła i skręciła w lewo w osłoniętą drzewami polną drogę. Droga pojawiła się tak nagle, że gdybyśmy jechali sami z Darrellem, przeje-

chalibyśmy ją, nawet jej nie zauważywszy. Kamienie i ziemia trzeszczały pod kołami. Wzbijaliśmy za sobą tuman kurzu. Polna droga przypomniła mi o miejscu, gdzie dorastałem, o naszej Mamie, która odeszła do lepszego świata. Nie było jej już prawie jedenaście lat. Jedenaście lat, które minęły zbyt szybko.

— Darrell! Reggie! Pokey! Czas na kolację!

— Dobrze, Mamo!

— Już idziemy!

— Tak jest!

Przy drugim wjeździe Wanda wjechała na podjazd dużego wiejskiego domu. Przestronnego miejsca. Akrów, które niosły zapach bydła. I aromat drzew owocowych, chyba śliw i figowców. Robaczek świętojański przeleciał obok nas i popełnił samobójstwo na przedniej szybie. Więcej bólu i śmierci.

Pomyślałem sobie wtedy, kim do cholery jest Wanda, żeby nas gdziekolwiek zabierać. Trudno było ją zrozumieć, nawet z punktu widzenia szaleńca. A co, jeśli nas wrabiała? Dairell powiedział, że jest truskawą. A taka zrobiła by wszystko, by Posmakować pieniędzy. Wszystko. I zatrzymała nas w groźnie wyglądającym miejscu, sprowadziła nas na tę ziemię niczyją. Zmusiła, żebyśmy zaczekali w samochodzie. Mogła wtedy zadzwonić i w coś nas wrobić. Może Reggie zrobił coś mnego od ostatniego razu. Może ukradł towar od niewłaściwych ludzi, okradł jakichś szaleńców, bardziej szalonych niż Wanda, a dzisiejszej nocy ta zasadzka w lesie była zemstą. . Nerwy mi puszczały. Darrell był tak wściekły, że siedział cicho. Byliśmy wszyscy w samochodzie i nie mogłem nic mu powiedzieć, żeby nie usłyszała tego Wanda. Chrząknąłem parę razy; nie odwrócił się. Wanda spojrzała na mnie,

Przewróciła oczami.

To nie było w porządku. Byłem w pułapce na tylnym siedzeniu. Obolały. Niewiele mógłbym zrobić, gdyby coś zaczęło się dziać.

— Wanda, powiedz prawdę — odezwałem się. Odetchnęła i gorzko mruknęła:

— Co?

— Kim właściwie jesteś dla Reggiego? Odchrząknęła, wytarła łzy i pot z twarzy.

— Jestem jego żoną.

TLR

20. Jordan Greene

Wanda zaparkowała na środku okrągłego podjazdu. Darrell nadal się nie odzywał, ale pomógł mi wysiąść z samochodu. Szliśmy powoli, bo na tyle tylko było mnie stać. Oddech miałem płytki i szybki.

Drzwi frontowe przypominały te ogromne podwójne drzwi z serialu „Dallas”. Śnieżnobiałe, wykonane z dobrego drewna. Nie wiem, jakiego były gatunku, bo zupełnie nie znam się na drewnie.

Wanda nacisnęła domofon. Nie spojrzała na nas od chwili, gdy powiedziała, że jest żoną mojego brata.

— Kto tam? — spytał kobiecy głos. Odchrząknęła.

— Wanda Greene.

Darrell i ja spojrzeliśmy na siebie, gdy to mówiła. Darrell zapytał:

— Dlaczego na twojej skrzynce jest napisane McClain? Wanda wzruszyła ramionami.

— Jeszcze jej nie zmieniłam.

Minutę później otworzyły się drzwi i drobna czarna kobieta koło trzydziestki stanęła tam z szerokim uśmiechem na twarzy. Chudy jasny brat z lekko kręconymi włosami stał za nią.

— Veronica! — uśmiechnęła się Wanda. — Co słychać?

— Wanda! — Veronica szeroko się uśmiechnęła. Wydały Parę piskliwych okrzyków i przywitały się jak dziewczyny. Wanda przyciągnęła Veronicę bliżej do nas.

— Veronica, to są bracia Reginalda. Ten tutaj to Jordan. Przyleciał aż z Nowego Jorku, żeby go odwiedzić, wyobrażasz sobie, kobieto?! Jordan, to jest doktor Veronica Giovanni.

Wanda się zmieniła. Nazwała mnie po imieniu i dziwnie to brzmiało, kiedy wyszło z jej wiejskich ust.

Wanda wskazała na Darrella.

— A ten duży to Darrell.

Uśmiechnął się.

— Dobry wieczór, miło mi cię poznać, siostró Giovanni.

— Proszę, mów mi Veronica.

Przyciągnęła do siebie faceta, który stał za nią.

— To mój narzeczony, Terry Wallace. Terry, to jest rodzina Reggiego. Jego żonę już znasz, a to są jego bracia.

Wszyscy wymienili się powitaniem. Veronica przełożyła swoje ramię przez ramię Terry'ego i uściśnęła go.

— Czy możemy odwiedzić Reggiego? — Wanda zagryzła wargę. — Jego brat przyjechał z Nowego Jorku i nie miałam jak wcześniej zadzwonić.

Veronica machnęła ręką.

— W porządku. Jeśli ktoś będzie pytał, powiem, że wcześniej dzwoniłaś. Tym razem.

Wanda uśmiechnęła się.

— To się więcej nie powtórzy.

— Jestem tego pewna. Pracuje z tyłu, w ogrodzie.

— Dobrze. — Wanda szeroko się uśmiechnęła. — Dzięki, Veronica.

Terry i Veronica poszli na górę kręconymi schodami. Darrell odwrócił się i otwarcie rzucił to swoje spojrzenie, mówiące „szkoda, że nie jest moja”, patrząc na tyłek Veroniki, kiedy wchodziła po schodach. Potrząsnął głową i przejechał ręką po kroczu.

Wanda zaprowadziła nas długim korytarzem do kuchni. Znalazłem chód, który minimalizował ból i maksymalnie przyspieszał tempo. Ponieważ nie byłem w Nowym Jorku, nie musiałem biec na złamanie karku, odprężyłem się i po woli gapiłem na wszystko. Mebli było niewiele, a te, które mieli, były skromne. Na ścianach wisiały nagrody, tabliczki i zdjęcia grupowe. Miejsce było bardzo zorganizowane. Para ludzi mniej więcej w moim wieku, czytała „*Wall Street Journal*”. Dwie osoby w średnim wieku grały w domino. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś grał w to bez wrogości. Trzech na stolatków siedzących w pokoju, przez który przechodziśmy, oglądało film *U.S. Marshals*. Usłyszałem głos Wesley Snipes proszącego o coś Tommy Lee Jonesa.

W kuchni urocza czarna kobieta w średnim wieku gotowała, a zadziorna biała nastolatka kroїła warzywa i układała je obok obranej kukurydzy. Prze-

chodząc ukradłem krążek marchewki. Uśmiechnęły się do mnie. Młoda dziewczyna roześmiała się i rzuciła mi jeszcze jeden krążek. Złapałem go i ukloniłem się.

Było tu trochę ludzi i nikt nie wyglądał na spokrewnionego z innym. Nie było głośno. Pod kontrolą.

Wtedy zdałem sobie sprawę, gdzie jesteśmy: w ośrodku odwykowym.

Kurczaki przebiegły obok nas, kiedy szliśmy ścieżką szeroką na tyle, by dwie osoby mogły iść obok siebie. Wanda była z przodu; ja szedłem przed Darrellem. Minęliśmy stajnię, w której stały dwa konie i kucyk szetlandzki. Jeden z koni srał idąc. Co za talent.

Doszliśmy do małego ogrodu z kilkoma rzędami warzyw w pełnym rozkwicie. Małe tabliczki na malutkich patyczkach oznaczały, co gdzie rosło. Seria dwuipółmetrowych palików podtrzymywała oświetlenie.

Ktoś był przy końcu grządki, kucał przy ziemi, pracował w ziemi gołymi rękami. Wiklinowy koszyk do połowy wypełniony dojrzałymi pomidorami stał u jego boku.

Wanda uśmiechnęła się i rzuciła się biegiem, krzycząc:

— Kochanie! Hej, kochanieeee!

Podskoczył przestraszony. To był Reggie. Wanda przebiegła resztę odcinka, mocno go objęła i pocałowała jego brudną buzię.

Wanda podskakiwała w górę i w dół.

— Hej, kochanie!

— Kobieto, śmiertelnie mnie wystraszyłaś!

Odwzajemnił uściski i pocałunki. Ręce Reggiego ześlizgnęły się po jej plecach i ścisnęły jej małe pośladki. Przy następnym uderzeniu serca podniósł ją i obrócił dookoła.

Zauważali nas. Reggie wyglądał inaczej. Był chudszy. Zjechał z ponad stu kilogramów do mniej więcej mojego rozmiaru i wagi, około osiemdziesięciu pięciu. Kiedy go ostatnio widziałem, miał dużą brodę i afro i wyglądał jak Linc z serialu „The Mod Squad”. Teraz miał rozprostowane włosy uczesane w kitkę. Wyglądał sztywnie, jak modny wiejski chłopak ubrany w ogrodniczki. Jego pot, błyszczący w sztucznym świetle, sprawiał, że wyglądał jak świe-

ży, polany czekoladą pączek. Przeszali się śmiać i obracać, kiedy Wanda stała z nami twarzą w twarz.

Reggie roześmiał się szczęśliwym barytonem.

— Jak się tu dostałaś? Myślałem, że nasz samochód jest popsuty.

Wyraz twarzy Wandy się zmienił. Jakby przypomniała sobie, z kim przyjechała i dlaczego tu byliśmy. Rozejrzała się wokół Reggiego. Wskazała palcem. Reggie odwrócił się. Wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w moje oczy.

— Elijah? — zapytał.

Milcząco przyglądałem mu się, wreszcie powiedziałem:

— Cześć, Fathead.

Jego wzrok przeszedł na Darrella. Zmrużył oczy. Jego śmiech zamarł, kiedy mnie zobaczył. Teraz nawet uśmiech znikł z jego twarzy.

— Darrell?

— Jak leci, czarnuchu?

Reggie podbiegł i objął mnie. Zabolały mnie żebra, ale nie dałem nic po sobie poznać. Zrobił to samo z Darrellem. Nigdy się nie obejmowaliśmy. Nigdy nie dotykaliśmy się otwartymi dłońmi.

Reggie przyciągnął Wandę bliżej do swego prawego boku. Przy nim była potulna. Zmieniła się z tygrysy w kotkę. Wanda kołysała się na prawej pięcie. Reggie odetchnął głęboko, potem spojrzał na mnie, na Wandę i na Darrella.

Odchrząknął.

— Kto umarł?

Reggie dzielił pokój z mężczyznami, którzy na dole grah w domino. Usiadłem na łóżku, nad którym na ścianie wisiał azjatycki kalendarz. Reggie siedział na brzegu swojego łóżka, a Wanda klęczała za nim i masowała mu ramiona. Darell stał przy oknie, ciągle zmieniając pozycję. Nadal był wściekły za ten kopniak w brzuch. Nie odzywał się, odkąd weszliśmy na górę. Życie było lepsze, kiedy był cicho.

Reggie wydawał się zawstydzony, uszczęśliwiony i pełen ulgi, kiedy mówił.

— Jestem tu w Whiteville od jakichś pięciu miesięcy. Spadłem na samo dno. Budziłem się i nie miałem pojęcia, gdzie jestem, jak się tu znalazłem i dokąd zmierzam. Wanda właśnie stąd wyszła. Uczestniczyła w programie doktor Giovanni przez jakieś siedem miesięcy...

— Osiem — poprawiła Wanda.

— Właśnie, osiem. Wyszedłem kupić trochę towaru, a ona zaczęła mi tłumaczyć, jakie złe jest to, co robię. Powiedziała, że przyczyniam się do, wiecie, masowego ludobójstwa naszych ludzi, wszystkich ludzi, co było ostatnią rzeczą, jaką chciałem od niej usłyszeć. Powiedziała, że się nie szanuję, więc ją przekląłem i wyszedłem. Cały czas myślałem o tym, co mi powiedziała. Zacząłem o tym śnić. Chodzi o to, że byłem nieszczęśliwy. Czułem się nieszczęśliwy od śmierci mamy.

— Tak — powiedziałem. — Czułem to samo. — Moje własne wyznanie zaskoczyło mnie.

— Chodzi o ty, że wy dwaj, jeśli mogę tak powiedzieć, mama zawsze wiązała z wami wielkie plany. Zwłaszcza z tobą, Jordan.

Potrząsałem głową.

— Kochała nas wszystkich tak samo, przecież wiesz.

— Kochała nas wszystkich, ale nie tak samo. Od ciebie spodziewała się czegoś więcej. Nie jestem zazdrosny, stwierdzam tylko fakt. — Kaszlnął i potarł oczy wierzchem dłoni. — Wróciłem do Wandy. Przeprosiłem...

— *Nigdy* nie przeprosiłeś. — Wanda popchnęła go z tyłu głowy, a potem pocałowała go w to samo miejsce.

Reggie szeroko się uśmiechnął.

— Przepraszam. Przyjmujesz moje przeprosiny?

Wanda z równie uszczęśliwioną miną powiedziała: — Tak.

— Dlaczego do nikogo nie zadzwoniłeś, czarnuchu? — gwałtownie spytał Darrell. Pytanie pojawiło się znienacka, jakby je oszczędzał na właściwą chwilę. — Doprowadziłeś do tego, że musimy szukać cię po całym mieście.

Reggie odchrząknął i wstał. Powiedział powoli, z rozmysłem:

— Po pierwsze, nie jestem czarnuchem, Darrell, jestem twoim bratem. Jeśli *czarnuch* to stan ducha, to ja żyję w innym państwie. I myślę, że już czas, żebyś ty też się przeprowadził.

Reggie usiadł. Powoli, z rozmysłem.

Darrell się skrzywił. Był szczerze zdumiony. Spojrzał na mnie. Prawie się roześmiałem. On jeden został w Niggerville.

Reggie mówił tak cicho, że musieliśmy się wysilać, żeby go usłyszeć.

— Nie dzwoniłem, bo sam muszę sobie z tym poradzić. Całe życie byłem nieudacznikiem. Gdybym to zaczął i nie wytrwał, nikt by o tym nie wiedział.

— Ja bym wiedziała — powiedziała Wanda — i na pewno nie zrezygnujesz. Jesteś moim mężem i zrobimy wszystko, co trzeba. Mnie się udało i tobie też się uda.

— A co z pogrzebem twojego taty? — spytał Darrell.

— Nie mogę jechać. Nie chcę się wydać nieczuły, ale jestem zobowiązany zostać tu przez cały program. Bez względu na to, co się dzieje na zewnątrz, ja zostaję tu. Nie nawiążę kontaktu ze światem zewnętrznym, aż będę czysty. Poproś ich, żeby zrozumieli albo przynajmniej postarali się zrozumieć, co? Dla umarłych nic już nie można zrobić.

— Masz tylko jednego tatę, kochanie — powiedziała Wanda. — Zastanów się, bo nie chcę, żebyś później żałował.

— On był ojcem, nie tatą — gorzko powiedział Reggie. — Kiedy go ostatni raz widziałem, wyrzucił mnie ze swego domu. Powiedział, że mnie wydziedzicza. Poszedłem do niego...

Reggie zaczął się trząść. Nagłość tego sprawiła, że poczułem się nieswojo. Przejechał ręką po głowie i prawie rozwiązał sobie kitkę. Wanda pogładziła go po plecach. Już miała się rozplakać. Reggie wziął się w garść. Wanda zrobiła to samo. Wyglądało na to, że cokolwiek by zrobił, ona robiła to samo.

— Poszedłem do niego po pomoc. Powiedziałem, że potrzebuję jego pomocy, wiecie, żeby wygrzebać się z tego bagna. Wyklął mnie i kazał mi się wynosić do diabła. Wychodziłem. Naprawdę. Nie byłem wściekły. Bolało mnie to, ale wiem, że skrzywdziłem wielu ludzi, że to moja wina. Więc nie byłem na niego zły. Nie miałem nawet zamiaru się tym przejmować, więcej. Rozumiałem, bo sam to na siebie ściągnąłem. Chciałem już sobie pójść. Wtedy powiedział, że nie jest nawet pewny, czy jestem jego dzieckiem. „Ta dziwka pieprzyła się ze wszystkimi”.

Wydaliśmy z Darrellem westchnienia pełne oburzenia, spojrzeliśmy na siebie, a potem na Reggiego. Skinął głową.

— Właśnie to powiedział. Stale to powtarzał.

Reggie i jego tata wyglądali identycznie. Ten sam wzrost, odcień czerni, oczy, rodzaj włosów. Reggie mówił dalej:

— Pamiętam tylko, że go chwyciłem i zacząłem go bić. Wiecie, chciałem go porządnie pobić. Mogłem go zabić. Chciałem. Wiecie, że nie pozwolimy, żeby ktokolwiek, kobieta czy mężczyzna, powiedział złe słowo o Mamie. Po tym wszystkim, co dla nas zrobiła.

— Daj temu spokój, kochanie — Wanda płakała. — Proszę. Kochanie... dobrze?

Wszyscy przycichli. Wszyscy czuliśmy się niezręcznie. Darrell był wściekły i zaraz sięgnął po papierosa. Ale spojrzął na Wandę i schował do kieszeni koszuli. Przez moment poczułem, że sam muszę zapalić. Przez chwilę. W końcu Reggie podniósł głowę.

— Wniósł oskarżenie, napaść i pobicie, tak mi się wydaje.

— I policja przychodziła go szukać — dodała Wanda. — Powiedziałam im, że mnie zostawił i że nie wiem, gdzie teraz jest. Oto prawdziwy powód, dla którego nie zmieniałam napisu na skrzynce pocztowej.

— Zajmę się tym, jak stąd wyjdę. — Reggie wstał. — Ale najpierw muszę zrobić to, co dla mnie najważniejsze.

Wanda usiadła i przyglądała się Reggie'emu w sposób, w jaki matka obserwuje zmartwione dziecko. Spojrzął na nią i uśmiechnął się. Wtedy i ona się uśmiechnęła. Mrugnęli do siebie.

Reggie spojrzął na zegar nad łóżkiem współlokatora i uśmiechnął się.

— Nie chcę was poganiać, ale o dziesiątej mamy ciszę nocną. Regulamin ośrodka. Jest trochę po dziewiątej, a ja jeszcze muszę skończyć swoje obowiązki, zanim pójdę wziąć prysznic.

— Może wstąpię jeszcze przed powrotem do Nowego Jorku.

— Nie. Spotkajmy się, kiedy stąd wyjdę. Nie zrozum mnie źle, dobra?

— Rozumiem.

— Może przyjadę w odwiedziny, zobaczyć jak mieszkasz. Jak ci się świetnie wiedzie.

— Dobra — naśladowałem ton Reggiego. Reggie roześmiał się, potem podszedł do Darrella i uściskał go.

Darrell wypalił w środku miłej rozmowy:

— A, tak przy okazji. Wiedziałaś, że twój młodszy brat ma białą kobietę?

Znowu wszyscy zamilkli. Odetchnąłem głęboko.

Twarz Reggiego niczego konkretnego nie wyrażała. Spytał:

— Jesteś szczęśliwy, Elijah?

Moja twarz też niczego nie wyrażała. Chciałem, żeby to zabrzmiało bardziej entuzjastycznie, że przy niej czuję się wspaniale, ale powiedziałem tylko spokojnie:

— Tak.

— W porządku — uśmiechnął się Reggie. — Tylko to się liczy. Ale mimo wszystko, bądź ostrożny, dobra? Nie zapominaj.

— Nie zapomnę. Nie mogę.

Używana Biblia leżała na szafce Reggiego. Zakładka była w połowie. Obok niej było małe zdjęcie naszej matki, włożone za róg oprawionego w ramkę zdjęcia. Było to zdjęcie jego na tle wieloetnicznej grupy, którą widziałem na dole.

— To dopiero coś — powiedział Darrell. — Mama na pewno w grobie się przewraca, słuchając tego gówna.

Reggie popchnął Darrella.

— Kocham cię, bracie. Musisz się trochę rozchmurzyć.

Darrell przeklął Reggiego, roześmiał się i popchnął go.

Darrell śmiał się, ale jego ton był poważny jak atak serca.

— Jesteś mi dłużny. Gdzie jest mój płaszcz? Mój przeklęty telewizor? Po to tu przyjechałem.

— Z wszystkimi się rozliczę, kiedy stanę na nogi. — popchnął Darrella jak kiedyś, gdy dorastaliśmy, dla zabawy. — I przestań tyle przeklinać. Wanda i ja nie przeklinamy.

Spojrzelśmy na siebie z Darrellem, potem zmarszczyliśmy brwi na Wandę, potem wymieniliśmy spojrzenia z Reggiem. Reggie spojrzał na Wandę. Spuściła wzrok ku ziemi i zrobiła zmieszana minę.

Reggie zapytał:

— Wanda?

— Tylko odrobinę, kochanieeee. — Pokazała palcami poziom swojej wulgarności.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, łącznie z Darrellem. Straszny ból przeszył mi żebra, aż jęknąłem:

— Mhmmm.

Powiedzieliśmy Reggieму, co zaszło. Jak uderzyła mnie kijem i kopnęła Darrella mocno w krocze.

— Twoja kobieta jest wredna — powiedział Darrell z poważną miną. Masował obolałe miejsce. — Jeśli to twoja żona, panuj nad nią.

Reggie potrząsnął głową.

— Nie jest taka wredna jak była.

Wszyscy prócz Darrella roześmieli się. Mówił o Wandzie, ale nowy gniew miał wyryty na twarzy, tak że aż żyła wystąpiła mu na czoło. Podobna żyła pulsowała w mojej szyi.

Reggie podszedł do szafki z wiśniowego drewna, wysunął dolną szufladę i wyjął małą buteleczkę i rzucił mi ją.

— Co to? — spytałem.

— Roboxin — łagodzi bóle mięśni. Jednak możesz się po nich poczuć trochę senny. Mnie zupełnie zbiły z nóg. Uszkodziłem sobie kręgosłup, bawiąc się z jednym z tych fajnych koni parę miesięcy temu i dostałem to od doktor Giovanni.

Ruszyliśmy do samochodu. Z dłonią na ramieniu Reggiego, Darrell zapytał:

— Jesteś pewien co do pogrzebu?

Reggie odpowiedział zdecydowanie:

— Tak. Na sto procent. Umarli nie mogą nic zrobić dla żywych, a żywi nie mogą nic zrobić dla umarłych.

Wanda wśliznęła się między nich i objęła Reggiego. Czule go pocałowała. Ruszyłem z Darrellem do samochodu, by mieli trochę prywatności. Przy samochodzie Darrell stracił hum^or. Ja też. Darrell otwierał i zaciskał dłonie.

Miał krople potu na czubku nosa. Ja zachowywałem się tak samo i pocilem się tak samo.

— Dobrze, że tata Reggiego umarł — powiedział Darrell szorstkim szeptem. — Cholernie dobrze się stało.

— Dlaczego?

— Bo inaczej musiałbym go zabić. Bóg jeden wie, że musiałbym zabić tego sukinsyna.

— Tylko gdybym nie dotarł do niego pierwszy.

TLR

21. Jordan Greene

Obudziłem się i spojrzałem na zegar. Prawie jedenasta przed południem. Trochę spocona szyja. Niewielki ból w boku. Zasnąłem znów i nic mi się nie śniło. Spokojne nic.

Spałem do pierwszej. Kiedy się wreszcie obudziłem, byłem zlany potem, bo Darrell miał ustawioną klimatyzację na około 23 stopnie, co przy tym upale nie dawało spodziewanego komfortu. Bok nie bolał mnie za mocno, ból został zredukowany do tępego, znośnego wyizolowanego pulsowania, ale czułem się zeszywniały. Bolała mnie noga i przez chwilę nie mogłem przypomnieć sobie dlaczego, zanim zobaczyłem ławę. Przeciągnąłem się i ziewnąłem, przeszedłem po pokoju i zmniejszyłem ustawienie na około 16 stopni, wziąłem chłodny prysznic i ubrałem się w dżinsowe szorty i koszulkę.

Zadzwoiłem do Kimberly. Nie było jej w domu, więc zostawiłem flirtującą wiadomość, żeby wiedziała, że wszystko jest w porządku i żeby do mnie oddzwoniła, jeśli nie jest zbyt zajęta pracą i jeżdżeniem na Manhattan.

Solomona też nie było w domu, ale zostawiłem mu kumplowską wiadomość. Nie widziałem go, ani z nim nie rozmawiałem, od kiedy jechaliśmy razem do tego sklepu jubilerskiego na Times Square. Oglądałem pierścionki zaręczynowe i myślałem o Kimberly. Był tam pierścionek, na który spojrzała. Powiedziała, że jej się nie podoba. Jej mina nie zdołała ukryć prawdy, która widniała w jej oczach na widok pierścionka. Chciałem pogadać z Solomonem o moich możliwych zaręczynach, ale nie potrzebowałem jego opinii.

Mieszkanie Darrella nie było brudne. I chociaż męska czarno—szara kolorystyka dobrze tu pasowała, wszystkie jego meble były zniszczone albo używane, poobijane, więc bez względu na to, jak czyste było to mieszkanie, nie wyglądało przez to dużo lepiej. W odróżnieniu ode mnie, nie przywiązywał wielkiej wagi do przedmiotów. Podejrzewam, że częśćka mnie wynagradzała sobie w ten sposób biedne dzieciństwo. Próbowałem nadrobić. Odkuć się po latach poobijanych mebli, użyczonych przez innych. Teraz miałem szafę garniturów, których nie nosiłem. Prenumerowałem modne pisma, których nie czytałem. Zmieniałem meble w mieszkaniu tak, bez powodu. Parę razy z tej samej przyczyny się przeprowadzałem.

Mimo mocnych korzeni, które Mama nam dała, czasami czułem się niepewny, pozbawiony fundamentów. Może dlatego, że chociaż w domu była

kochająca, troskliwa, opiekuńcza matka, brakowało nam stałego wzorca ojca. Chciałbym myśleć, że to mi nie przeszkadzało albo że nie miało na mnie żadnego wpływu, ale w rzeczywistości zostawiło to próżnię, przestrzeń, pragnienie, którego nic nie mogło ani nie potrafiło wypełnić. Przynajmniej nikt czy nic, czego byłem świadomy.

Czułem jakąś pustkę niewiedzy, uczucie, że kiedy patrzę na drzewo rodziny, tylko jedna strona jest owocna, druga jest podcięta. Pozbawione równowagi drzewo owocowe, chwiejące się, niestabilne przy najlżejszej zmianie kierunku wiatru. Wydawać by się mogło, że świadomość i akceptacja sprawi, że łatwiej będzie to znieść. Ale tak nie było. Nosileś to, ale nigdy nie stało się to eleganckie. Przyzwyczajałeś się jedynie do bólu. Ignorowałeś nieustanne cierpienie.

TLR

22. Jordan Greene

Kiedy przyjechaliśmy po Wandę, miała już włosy zaplecione w warkocze i przebrała się w dżinsowe szorty nad kolana i dużą koszulkę z wizerunkiem Martina Luthera Kinga. Wcisnąłem się na tylne siedzenie i pojechaliśmy autostradą 1— 40 na wschód do autostrady 59. Odbyliśmy godzinną przejażdżkę do Brownsville, by zawieźć kwiaty na grób mamy. Kiedy jechaliśmy, odbywał się pogrzeb ojca Reggiego, naszego ojczyma. Parę minut później jego szczątki zostaną złożone na miejsce wiecznego spoczynku. Wszyscy unikaliśmy rozmowy o incydencie Reggiego z ojcem. To też pochowaliśmy.

— Czym się zajmujesz? — spytałem Wandę.

— Teraz szukam pracy.

Zwróciła się do Darrella:

— Jak długo pracujesz w FedExie?

Uśmiechnął się.

— Od jakiegoś czasu.

— Czy mógłbyś poprosić Freda Smitha, żeby oddał moje podanie?

— Jaką chcesz pracę?

— Mogę wycierać brudne podłogi, szorować i woskować samoloty. Niech tam, będę wozić paczki do Nasłville i z Powrotem na skrzydłach Tweety Birda i sama jeździć nago na głowie Road Runnera. Bez różnicy. Pieniądz to pieniądz.

Sortowałem w centrali, kiedy jeszcze byłem na studiach. na ostatnim roku. Spytałem Darrella, czy mają wolne któreś z tych stanowisk.

—Sortowanie? — skrzywiła się Wanda. — Co to? Pralnia?

—Nie, poczta — roześmiał się Darrell. — Pudła i paczki. JEJ twarz nabrała miękkiego wyrazu.

— Chcę móc pójść do sklepu spożywczego i zapłacić za jedzenie nie używając talonów na żywność.

Samochód Darrella wyposażony był w staromodną klimatyzację 4— 90. Opuść cztery okna, jedź dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Potworny, parny upał uderzał nas po twarzach z każdą minutą jazdy.

Wyjechaliśmy prosto na wschodnią 1— 40, w kierunku Wolfchase Galleria, Lakeland i rzeki Loosahatchie. Powoli, ale pewnie jechaliśmy do miejsca, które kiedyś zwaliśmy słodkim domem, wachlując się, kiedy okropna bryza robiła się nie do zniesienia. Po pobycie na północy w głośnym i dzikim mieście, do którego moi ludzie uciekali w poszukiwaniu wolności, po Nowym Jorku, miejsce mojego dzieciństwa wydawało się bardzo małe. Szaleństwo Times Square sprawiało, że te drogi wydawały się takie wąskie, oswojone i nieuczęszczane.

Mijając Somerville i czterdzieści kilometrów wiejskich dróg prowadziliśmy leniwą pogawędkę. McDonald's, KFC i Dairy Queen pojawiły się przy wyjeździe z Brownsville. Kimberly mówiła, że pracowała kiedyś w Dairy Queen w San Antonio. Kiedyś myślałem, że jedzenie tam było niebem na ziemi. Kiedy dorastałem, jedzenie poza domem wydawało mi się ucztą niebiańską.

— Zjemy coś? — spytała Wanda.

— Mnie też burczy w brzuchu — powiedziałem.

Darrell stwierdził:

— Mój brzuch też to robi, zamyka się i ryczy jak niedźwiedź za każdym razem, kiedy myślę, jak kochasz się z tą białą kobietą.

Wanda powiedziała:

— Daj spokój. Cholera. Jesteś gorszy niż baba. Z tym twoim podejściem, to chyba żadnej nigdy nie zdobędziesz.

— Zamknij się — warknął Darrell.

Wanda się roześmiała.

— Jestem rodziną, szwagrze. Nie możesz mnie zamknąć—

— Dzieci, uspokójcie się — wtrąciłem.

Wanda mówiła dalej: — 1 ja nie mam pieniędzy, więc, Glino...

— Postawię ci — powiedziałem.

— Dzięki. Znajdź prosiaczka, to może dostanę napój, czy coś.

— Zjemy coś, kiedy dojedziemy do miasta — powiedział Darrell.

Mój starszy brat prowadził swój wóz prosto po Anderson. Wprowadził mnie w samo serce deja vu. Cudownego deja vu. Nie było żadnego Apollo, ani billboardów zaśmiecających i zasłaniających horyzont, żadnych popycha-

jących się tłumów, ani morza żółtych taksówek, ani wejść do metra po drodze. Jednorodzinne domy. Drewniane huśtawki kołyszące się lekko. Przyjemnie ciepły wiatr. I ogromne podwórka. Kingdom Hall i kilka kościołów baptyistów głośniło, że to religijne terytorium.

Darrell zwolnił i zjechał do krawężnika.

— Dlaczego się zatrzymujemy? — spytałem.

— Musimy — odparła Wanda.

Trochę podskoczyłem, poczułem skurcz w boku, kiedy się odwróciłem i spytałem:

— To chyba nie znowu policja, co?

— Nie, głupcze. Przechodzi kondukt pogrzebowy. Prosto przed tobą — powiedział Darrell.

Wanda dodała:

— Jak można nie zauważyć takiego długiego sznura samochodów na dwupasmówce, glino?

Odprężyłem się, zachichotałem i powiedziałem:

— I tak musimy się zatrzymać, nieprawda?

Darrell spojrział na mnie przez wsteczne lusterko i zapytał:

— Tam, gdzie teraz mieszkasz, nie zjeżdżają na bok, by oddać część zmarłemu?

— Raczej nie — potrząsnąłem głową.

— Kłamiesz — powiedziała Wanda.

Dodałem:

— Zazwyczaj nie szanują żywych, a co dopiero umarłych. Tam na Północy ludzie mają taką wartość jak przyciski do Papieru.

Wanda prychnęła, zmieniła pozycję i powiedziała:

— Nie sądzę, żebym chciała odwiedzić takie miejsce.

W obu kierunkach każdy samochód zatrzymał się po pra— stronie jezdni. Kilku mężczyzn pracowało w warsztacie, w upale, naprawiając samochody, ale kiedy zobaczyli światła samochodów z konduktu, urwali rozmowę w pół zdania, wszyscy stanęli prosto, zdjęli swoje zatłuszczone baseballówki i

obserwowali tego, który jechał karawanem w swoją ostatnią podróż przez miasto.

Zrobiło się cicho, że słychać było, jak trawa zgina się na wietrze.

W porównaniu ze spokojnym miejscem, które odwiedzałem, Nowy Jork był jak budzik, który nigdy nie przestawał dzwonić.

Gdy ostatni samochód z procesji przejechał, ruszyliśmy dalej.

Brakowało mi Kimberly. I to bardzo. Tęskniłem do jej zapachu, głosu, smaku jej języka, dźwięku jej śmiechu.

Po obu stronach pasły się krowy i konie na naturalnych przekąskach na łące. Następne pola bawełny.

— Zbierałaś kiedyś bawełnę? — zagadnąłem Wandę.

— Nie. Ale myślę, że moja mama chyba tak.

Minęła chwila. Spytałem:

— Gdzie ona jest?

— Kto? — wtrącił się Darrell.

— Mówiłem do Wandy — powiedziałem.

— Kto? — spytała.

— Twoja mama — odparłem.

— Umarła dawno temu. — Jej głos złagodniał. — Kiedy byłem w podstawówce.

Minęła kolejna parna chwila. Spytałem Wandę:

— Masz tu jeszcze jakąś rodzinę?

Poruszyła się, ale nie odpowiedziała.

Wiejskie domy i stodoły stały po obu stronach autostrady. Noszące ślady wieloletniego zaniedbania i nadające się do rozbiórki, ale każda z tych ścian mogłaby opowiedzieć z milion historii. Mogła opowiedzieć o ludziach. Dać nam poznać, jak daleko zaszliśmy i przypomnieć nam, jak daleko musieliśmy dojść.

— Glino, dlaczego tak nagle ucichłeś? — spytała Wanda.

Uśmiechnąłem się.

— Myślę.

Darrell powiedział:

— Ja też. Wiem co czujesz, Pokey.

Skinąłem głową.

— Ja też wiem, co ty czujesz, starszy bracie.

Darrell dojechał autostradą do głównej ulicy i spokojnie skręcił w lewo.

Wanda zarechotała i krzyknęła:

— O, patrzcie, patrzcie, patrzcie.

— Co jest? — spytał Darrell.

Powachlowała się i roześmiała.

— Macie tu sklepy z ubraniami i kino. A niech mnie. Mały supermarket, bibliotekę, salon kosmetyczny i kwaciarnię, i małą księgarnię.

— Przestań — powiedziałem.

Mijaliśmy więzienie hrabstwa, a Wanda nie przestawała naśmiewać się z miejsca mojego urodzenia.

— Proszę państwa! Zbliżamy się do Brownsville. Jeśli zrobi się jeszcze ciekawiej, to może będzie Mayberry RFD.*²⁴

Wszystkich nas rozśmieszył jej sarkazm. Trochę rozładował napięcie.

— Słuchajcie, jestem głodna. Głowa zaczyna mnie boleć. Nakarmcie mnie, zanim zacznę szaleć i kogoś zranię — powiedziała Wanda.

Dom był nadal zielony jak kiedyś. Więcej ludzi budowało swoje wiejskie zamki z cegły. Mieszkając w Nowym Jorku, gdzie kamienice ciasno do siebie przylegają, zapomniałem, jak dużo przestrzeni może być wokół domu. Wiele się zmieniło. Stare budynki rozebrano, w ich miejsce nic nie pobudowano, zostawiając puste miejsca, które wyglądały jak usta z kilku powyrywanych zębami. W innych częściach miasta stawiano budynki. Na dawnych otwartych pastwiskach powstawały supermarkety. Punkty usługowe. Stacje benzynowe. Minimarkety.

²⁴ * Fikcyjne miasteczko z serialu popularnego w latach siedemdziesiątych.

Kiedyś znałem wszystkich w miasteczku, teraz nie rozpoznawałem nikogo. Ale każdy mijany przechodzień patrzył na nas i machał ręką, i mówił uprzejme „Dzień dobry”.

Nie było niecierpliwych kierowców trąbiących i robiących nieprzyzwoite gesty. Każdy jechał kilka kilometrów Poniżej dozwolonej maksymalnej prędkości. Nikt obok nas nie przemknął. Musiałem przestawić swój wewnętrzny barometr. Przez chwilę nie musiałem się martwić oprychami złodziejami samochodów czy terrorystami.

Zatrzymaliśmy się przy rodzinnym targu rybnym. Darrell i ja przekąsiliśmy żabie udka i kraby. Wanda zjadła suma i spaghetti. Przyłożyliśmy lodowate puszki z piciem do czoł i piersi. Siedzieliśmy przy pełnym drzazg stole piknikowym, pod ogromnym, dającym cień drzewem, na którym pełno było pustych gniazd szarańczy, zajadając i tocząc z góiy przegraną walkę z zachłannymi komarami. Jeden komar był tak gruby, że ledwie leciał. Za ciężki, by wystartować. Wanda zdeptała chciwego drania.

— Skąd jesteś? — spytał Darrell.

— Z Memphis — powiedziała Wanda. — Urodziłam się w szpitalu Johna Gastona, jak większość czarnych.

— Przynajmniej było cię stać, by się urodzić w szpitalu — zażartował Darrell. — My chyba tak po prostu wyskoczyliśmy.

Dwóch starszych mężczyzn przeszło obok, idąc powoli polną drogą po drugiej stronie skrzyżowania. Jeden podpierał się drewnianą laską. Był pochylony, ale szedł pewnie. Drugi był w kombinezonie i miał coś, co wyglądało jak niebieskawa chusteczka, czym wycierał twarz i łysą głowę, gdy szedł. Obaj zatrzymali się jednocześnie, unieśli ręce i zamachali. Rozejrzałem się dookoła. Nikogo innego tu nie było. Wstałem i pomachałem im. Uśmiechnęli się, przestali machać i ruszyli dalej. Czarni mężczyźni rozdający pokój następnemu pokoleniu.

Fala szczęścia przepłynęła przez moje ciało. Byłem znów w miejscu, gdzie tworzył się mój fundament. Nowy Jork nie istniał dla mnie teraz. W moim życiu. Nie było pracy. Biegu do metra. Mieszkania w Jackson Heights na White Oak. Nie było Kimberly czekającej na mnie z otwartymi ramionami.

Jedynie jej mi brakowało.

— Nigdy tutaj nie byłam. — Wanda sączyła swój napój. — Najdalej byłam na torach wyścigowych, a to jest zaraz za mostem Zachodnie Memphis—Arkansas.

— Nie powiesz mi, że nigdy nie wybrałaś się na rzeczny statek, żeby pograć trochę w karty — powiedział Darrell.

Wanda potrząsnęła głową.

— Nie mam jak dojechać do Tunica. A nawet jakbym miała, to głupota. Nie zamierzam chodzić po kasynach i stracić tych drobnych, których nie mam.

— Co ludzie robią w Memphis? — spytałem

Wanda znowu wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Niektórzy chodzą na Pierwsze Piątki do klubów Peabo— dy, albo the Crown, kiedy mogą. Mnie to nie bawi. Ja chciałabym pójść do Pink Pałace i zobaczyć ten statek niewolników, który tam mają. Zacząć chodzić do Orpheum i na przedstawienia. Pewnego dnia tak będzie. Będziemy z Reg—giem wszystko to robić.

— Nie byłaś w Orpheum? — spytałem.

Pokręciła głową, potem w kącikach jej ust pojawił się nieśmiały uśmiech.

— Mama zabierała mnie tam do kina, kiedy jeszcze nazywał się Malco. Bardzo, bardzo dawno temu. Kiedy byłam w podstawówce. Nadal pamiętam, że kupowała mi popcorn. Ale nie, nie byłam tam, odkąd przerobili go na teatr i wystawiają sztuki i różne takie.

— Dlaczego nigdzie nie byłaś? — spytałem.

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Po pierwsze, nie stać mnie. A nawet gdyby, to nie chcę nigdzie chodzić sama, to po drugie. Może dlatego, że nikogo innego nigdzie nie znam. Wszyscy, których znam, mieszkają w pobliżu. Wszyscy, których znam, są albo na prochach, albo próbują je rzucić. Unikam tych, co są na prochach i nie chcą zerwać, i jednocześnie nie ufam tym, którzy próbują zerwać, bo myślą, że są tacy sprytni. Ale przeszłam przez to i mogę ich rozszyfrować na wylot.

Na Historycznym Cmentarzu Oakwood wokół pochylonego nagrobka mamy było pełno zielska. Wyrwaliśmy to, co się dało wyrwać ręką. Wanda miała w torbie nożyce krawieckie i użyła ich. Ja miałem mydło, wodę w wiaderku i kilka gąbeczek do szorowania i próbowałem wyszorować narosły na płycie nalot.

— Jaka ona była? — spytała cicho Wanda. Przejechała palcami po napisie. — Reggie kochał ją całym sercem.

— Była drobną damą z ogromnym sercem i silnym duchem, która ponad wszystko pragnęła, by jej rodzina trzyma się razem — odpowiedziałem bez wahania. — Miała trzech wspaniałych chłopców.

— Dobrze byśmy się rozumiały — uśmiechnęła się Wanda.

Pokręciłem głową.

— Ostatnie, czego potrzebujemy, to mieć was obydwie pod tym samym dachem w tym samym czasie.

— Kochała swoich kudłatych chłopców — powiedział Darrell. — Pilnowała, żebyśmy mieli wszystko, co potrzeba. Była dobra. Zawsze przy nas.

— Dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu — powiedziała Wanda.

— Wyrośliśmy na północ stąd. North McClemore Avenue i Thomas Street — dorzucił Darrell.

Wtedy Wanda zaczęła płakać, wystraszyło mnie to. To nie był narastający płacz. Tama pękła. Szloch, który zaczął się tak nagle, że nie wiedziałem, co zrobić. Wanda upuściła torebkę i poszła z powrotem do samochodu. Poszedłem za nią. Darrell już się podnosił, ale pomachałem, żeby poczekał i pozwolił mi pójść samemu.

Kiedy doszedłem do samochodu, objąłem chude ciało Wandy. Ścisnęła mnie naprawdę mocno i usilnie starała się opanować.

— Przyrzekłem sobie, że nie będę płakać.

— To nic — powiedziałem. — Co się stało?

Wanda wytarła twarz.

— W zeszłym roku straciłam dziecko.

— Straciłaś?

— Zabrali moje dziecko.

— Nie wiedziałem, że miałaś dziecko.

— Mam córeczkę. Niara Amiri. — Wytarła twarz w Martina Luthera Kinga i uśmiechnęła się. — Zabrali mi ją, bo byłam, no wiesz, naszprycowana. Wysłali tę bezczelną piekę — gniarę i tego białego faceta do mojego do-

mu, bo podobno jeden z sąsiadów doniósł na mnie, że zaniedbuję dziecko. Zanim się obejrzałam, sąd odebrał mi ją i dał ją jej kłamliwemu tacie. On miał prawnika, a ja nie, więc w sądzie mnie wykiwali. Dali mu wyłączne prawa rodzicielskie, a mnie odebrali prawo do wizyt. Potem on przeprowadził się gdzieś do Teksasu. Myślę, że są w Dallas. Nie chcą mi powiedzieć, gdzie ona jest, ani pozwolić z nią porozmawiać, ani nic. Jestem już czysta, ale ich to nie obchodzi. Robię wszystko, by ją odzyskać. Nie poddaję się, ale to działa tak wolno, jest takie trudne, a ja czuję się taka samotna i nienawidzę myśli, że dorasta nazywając mamą jakąś obcą kobietę. Dorasta beze mnie. Dwa tygodnie temu były jej urodziny. Najbardziej boli w nocy, bo jest tak cicho. Za cicho. I nie biega po domu, wiesz, nie ściąga rzeczy z szafek, wiesz, nie robi tych wszystkich dziecięcych rzeczy. Brakuje mi jej. Brakuje mi ubierania i czesania jej. Już na pewno mówi, a ja nie znam brzmienia jej głosu.

— Nie wiedziałem. Przykro mi.

Wanda wytarła twarz w moją koszulkę.

— A Reggiego nie będzie jeszcze przez następne dwa albo trzy tygodnie. Może nawet dłużej. Głupi samochód się popsuł, a mnie nie stać teraz na naprawę, więc nigdzie nie mogę pojechać. Potrzebuję dobrego samochodu, żeby móc szukać pracy. A jeśli, to znaczy, kiedy dostanę pracę, muszę jakoś do niej dojechać. Paragraf 22. Mam za dużo czasu na myślenie, co jest ze mną nie w porządku. Próbuje nie być zła, ale jestem. Usiłuję nie płakać, ale płaczę.

— Należysz do rodziny — uściśnięłam ją. — Pomożemy ci. — Zdałem sobie sprawę, że mój rodzinny dialekt powoli wraca.

Powiedziała nieśmiało „przepraszam”.

Poszliśmy z powrotem do nagrobka. Darrell odszedł parę metrów i palił papierosa. Zobaczył nas, rzucił go w puste miejsce i zdeptał.

— Co się dzieje? — spytał.

— Nic, tylko czynsz rośnie — krzyknęła Wanda. Chwyła szczotkę i zaczęła szorować nagrobek. — Nic tylko czynsz.

Zamilkliśmy i zajęliśmy się wyrywaniem chwastów i szorowaniem. Parę minut później Darrell odszedł w stronę torów kolejowych na tyłach cmentarza, zapalił kolejnego papierosa i szukał grobów dziadków ze strony mamy.

— Dzięki — szepnęła Wanda. — Jesteś w porządku jak na gliniarza.

— Proszę bardzo, staram się.

Kiedy skończyliśmy, pomodliliśmy się krótko, potem zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, żeby umyć ręce i zatankować.

Wróciliśmy do Memphis, przejechaliśmy Beale Street, zaparkowaliśmy i poszliśmy na spacer. Obserwowałem nowości, które tylko dla mnie były widoczne. Nie byłem tu, odkąd ulica została odrestaurowana. Kiedy skończyłem Uniwersytet w Memphis i wsiadłem w samolot do Nowego Jorku, myślałem, że nigdy już tu nie wrócę. Nie dlatego, że nie chciałem, myślałem po prostu, że nie będę miał możliwości. Ulice były wybrukowane kocimi łbami. Artystyczne neony przed budynkami nadawały ulicy atmosferę Nowego Orleanu, Bourbon Street i Mardi Gras. Słońce zachodziło. Przyjemnie było, że nie paliło już tak ostro. Musieliśmy radzić sobie jedynie z wieczną wilgotnością. Było za wcześnie na jakąkolwiek rozrywkę, ale nie za wcześnie na zwiedzanie.

— Jeśli będzie możliwość, idźcie do Joyce Cobb's — powiedziała Wanda i zerknęła przez okno — albo do klubu BB po drugiej stronie ulicy. W weekend będzie tam tłoczno. Widziałam Wendy Moten w Joyce Cobb's. Siostra ma to, co trzeba. Jest świetna.

Stale myślałem o tym, ile Wanda wiedziała i jak umiała korzystać z najprostszych przyjemności życia, a nigdzie nie była. W sensie geograficznym. Można kupić wykształcenie, ale nie można kupić zdrowego rozsądku. A ona miała go mnóstwo. Wanda zapłaciła wysoką cenę za swoją magisterkę na ulicy. Nie było stypendium, które finansowałoby jej szkołę przetrwania.

Byliśmy tak różni, a jednak jak dwie strony tej samej monety. Dwa odcienie czerni. Może ten sam odcień. Zbyt dawno nie było mnie w miejscu, z którego pochodzę. Ona musiała się wyrwać, żeby to jej nie pochłonęło. Myślę, że zacząłem zapominać, skąd pochodzę; ona nie była w stanie zapomnieć.

Część czwarta

Tajemnice

TLR

23. Kimberly Chavers

„Kimberly, tu Peter. Jestem jeszcze w New Jersey. Zanim wpadnę do twojego adwokata, chciałbym spotkać się z tobą i porozmawiać o rozwodzie. Chciałbym skorzystać z okazji, by zobaczyć twoją twarz. Jeśli chcesz przestać uciekać. Zostawiłem już dwie wiadomości, ta jest ostatnia. Chciałbym, żebyś przestała grać w tę swoją grę”.

Na przekór zdrowemu rozsądkowi, po tym ostatnim irytującym telefonie postanowiłam zadzwonić do Petera. Ale najpierw musiałam zadzwonić do Tony'ego i zasięgnąć profesjonalnej porady. Zdziwiło mnie, że jest w biurze o dziesiątej rano. Z charakterystycznym dla siebie spokojem powiedział, że to zależy ode mnie. Jeśli niczego nie podpiszę, nie zaszkodzi mi dowiedzieć się, co naprawdę kombinuje Peter. Biorąc to pod uwagę, niechętnie zadzwoniłam do Petera i umówiłam się w Starbuck's, które jest bardzo publicznym miejscem na Astor Place w Village. Nie mogłam uwierzyć, że znów z tym głupkiem rozmawiam, a co dopiero idę się z nim spotkać.

Jęknęłam ze złości. Miałam wrażenie, jakby moja przeszłość popędziła i dogoniła mnie, i stała się stresującą terażniejszością. Sprawy, o których z takim trudem usiłowałam Upomnieć, sprawy, które odłożyłam na bok i za siebie, nagle stały się bliskie i bolesne jak kiedyś.

Zanim zdążyłam się ubrać, włożyć koszulkę, telefon znów zadzwonił. Moja matka. Kochałam ją na zabój i podziwiałam po końcówki pięknych rudych włosów, ale rozmowy podwyższały mi ciśnienie. Zawsze miała jakiś ukryty cel do którego ostatecznie dochodziła. Ostatnia rzecz, której mi teraz było trzeba.

Daczego miałam wrażenie, że wszyscy są przeciwko mnie, wszyscy ci, którzy mnie nie rozumieli ani mnie nie słuchali, pojawiali się jeden po drugim?

Otworzyłam lustrzane drzwi szafy, by poszukać kostiumu, i wymusiłam słodkie:

— Cześć, Mamusiu.

Miała ten swój zwykły zmartwiony ton głosu. Smutny od zamartwiania się mną.

— Jak się czujesz, Kim— Kim?

— Co się znowu stało?

— Nic się nie stało — powiedziała i trochę rozweseliła swój głos. Mamusia zawsze wydawała się taka nieśmiała. — Po prostu nie mieliśmy żadnej wiadomości od ciebie od Gwiazdki. Rozmawiasz przez bezprzewodowy telefon?

— Dzwoniłam parę razy.

— Nie dostaliśmy wiadomości.

— Nie zostawiłam żadnej.

Znów spytała:

— Rozmawiasz przez bezprzewodowy?

— Tak. — Wyciągnęłam antenę na pełną długość, żeby trochę poprawić odbiór. Nie bardzo pomogło, więc przycisnęłam przycisk na słuchawce i przełączyłam rozmowę na inną linię, dla lepszego odbioru. — Mamusiu, lepiej?

— O wiele.

Po brzęku garnków i patelni, talerzy i szumie płynącej wody poznałam, że stoi nad zlewem i zmywa. Prawdopodobnie wygląda na Puget Sound, słuchając muzyki klasycznej. Włączyła mnie na głośnik, co znaczyło, że taty nie ma w domu. Spytałam:

— Czy ty i tata otworzyliście prezenty gwiazdkowe, które wam przysłałam?

— Tak. Przecież wiesz, że tak. Jedwabna bluzka jest śliczna. Spodnie też. Następnym razem kup rozmiar 12. Schudłam już z czternastki.

— Odchudzasz się?

— Tak. I chodzę na aerobik wodny do klubu. We wtorki i czwartki.

— To dobrze. — Urwałam. Spróbowałam powiedzieć spokojnym, nieobrażonym głosem: — Tacie podobał się jego prezent?

— Był ładny. — Mamusia też zamilkła. — Stale używa tego aparatu.

— Czy to ty otworzyłaś nikona czy on?

— Ja go otworzyłam.

Zamilkłam.

— Powiedziałaś mu, że to ode mnie?

— Tak — wydusiła. — Kim— Kim, nie zaczynaj.

— Dlaczego tata nigdy nie otwiera tego, co mu wysyłam? Dlaczego nigdy nie zadzwoni, żeby powiedzieć, czy mu się podoba, czy nie?

— Podoba mu się. Bardzo mu się podoba.

— Więc czemu nie zadzwoni?

— Dlatego, że wy dwoje jesteście tacy sami. Uparci jak osły. Jesteście zbyt do siebie podobni. Dlatego się wam nie układa.

— To dlatego, że on jest — zaczęłam, wydałam miękki warczący dźwięk i zamknęłam oczy. — Wiesz, jaki on jest.

— Dlaczego nigdy nie próbujesz z nim porozmawiać?

— Kiedy próbowałam, nie słuchał. Komunikacja to ulica dwukierunkowa. Kiedy tylko usiłowałam powiedzieć mu, co mnie trapi, albo co nie gra, on nigdy...

— Kim— Kim — powiedziała matczynym tonem, tym, którym odsyłała mnie do mojego pokoju, albo zasądzała karę na okres, który wtedy wydawał mi się wiecznością. I wiedziałam, że właśnie po to jest ten telefon. Tak było z ostatnim i poprzednim. Chodziło o złe stosunki z tatą. O to, że nie układa mi się z mężem mojej mamy. On mnie nie rozumie, a ja nie widzę rzeczy tak jak on. Nie czujemy potrzeby wykańczania się w kłótniach, więc nie rozmawiamy. Jego umysł nadal tykał w erze „Ojciec wie najlepiej” i uważał, że mężczyzna powinien rządzić, a kobieta znać swoje miejsce. Zachowywał się, jakbym była jakąś rebeliantką tylko dlatego, że nie gryzłam się w język albo nie zamykałam w sobie, kiedy mnie wkurzał. Powiedziałam mu prosto z mostu, że me jestem w wojsku, więc nie przewyższa mnie rangą. Kiedy do niego dzwoniłam, bez względu na moje zdanie, na moje poglądy, wydawało się zawsze, jakby stał po stronie Przeciwnej. On nie słucha, tylko wydaje swoje wykute w kamieniu opinie, jakby dawał rozkazy jednostce wojskowej, ale Mamusia zawsze bawiła się w rozjemcę i wtrącała się, próbując nas do siebie zbliżyć.

— Ty mogłaś do niego zadzwonić. On za tobą tęskni.

— Więc dlaczego mi tego nie powie? Kiedy dzwonię, on tylko oddaje ci słuchawkę. To mnie drażni. Cholera. Dlaczego on to robi?

— Będiesz musiała go o to zapytać. Może przyjechałabyś do Seattle na jakiś czas?

— Nienawidzę Seattle. Nienawidzę wstrętnej pogody i nienawidzę ludzi.

— Masz tu krewnych.

Mamusia mówiła o swojej stronie rodziny.

— Są jeszcze gorsi niż pogoda.

— Kimberly, nie zaczynaj. Chciałam tylko usłyszeć głos mojej ulubionej artystki. — Znowu urwała. — Dlaczego nie zadzwonisz do ojca?

— Bo zawsze kłócimy się o to samo. Zawsze uda mu się wspomnieć o tym, że nie układa mi się z jego stroną rodziny.

— Z nikim ci się nie układa.

— Cicho bądź.

Roześmiałyśmy się. To zmniejszyło napięcie o parę stopni.

Potałam ramię ręką, dotknęłam paru rudawych piegów i powiedziałam:

— Nikt z nich mnie nie lubi. Wiesz, jak mnie traktowali. Jakbym była na coś chora, czy coś. Jakbym była trędowata.

— Nie chcę się z tobą kłócić. Jak twoje finanse?

— Świetnie.

— Jeśli potrzebujesz trochę pieniędzy...

— Nie, wszystko w porządku. Jeśli znów zrobi się krucho, dam ci znać. I oddam ci to, co pożyczyłam w zeszłym roku.

— Nie. Te pieniądze to prezent. Dlaczego nie wynajmiesz mniejszego mieszkania?

— Mam za dużo rzeczy.

— Oddaj je do przechowalni.

— W Nowym Jorku? Nie ma mowy.

Zmieniłyśmy temat rozmowy ze spraw rodzinnych na opery mydlane. Naszym głównym tematem było pragnienie, by stary Bo wrócił do „One Life to Live”. Nadawałyśmy i chichotałyśmy jak dwie koleżanki, które się za sobą stęskniły. Uwielbiałam tak pogadać. Tak bardzo kochałam Mamusię. Tatę też kochałam, ale nie w taki sam sposób. Może dlatego, że nigdy nie otworzyliśmy się i uczciwie nie porozmawialiśmy. Gdy tylko otwierał usta, zawsze spodziewałam się najgorszego i przyjmowałam pozycję obronną.

Opowiedziałam Mamusi o pismach, dla których przygotowywałam prace, o tym, że idzie mi dużo lepiej, sprzedaję więcej i za wyższe stawki w galerii Claire.

— Claire? Czy to nie siostra twojego chłopaka?

— Eric i ja zerwaliśmy w zeszłym roku. A Claire jest jego przyrodnią siostrą. Nie układa im się.

— Dobrze. Nie lubiłam jego głosu. Bez charakteru. Nie zrobił na mnie dobrego wrażenia.

— I teraz mi to mówisz? To taka z ciebie matka!

— Mówiłam ci.

— Kiedy?

— Pamiętasz, kiedy powiedziałam ci, że jeśli przyjedziesz z nim do domu, umieszczę was w oddzielnych pokojach?

Roześmiałyśmy się. Powiedziałam jej, że Jordan i ja wybieramy się na Wyspy Bahama, i że parę tygodni temu byliśmy z Jordanem w Planet Hollywood na premierze 45—minutowego teledysku Bon Jovi, że poznaliśmy Bruce'a Willisa, Demi Moore i włoską aktorkę Annabelle Jak—jej—tam. Nie mogłam sobie przypomnieć jej nazwiska i Mamusia usiłowała je sobie przypomnieć. Była prawdziwą kinomanką.

— W jakim filmie grała Annabella? — spytała.

— *Jungle Fever* — odrzekłam. Co w tym śmiesznego?

— *Jungle Fever*. Ty mogłabyś w nim zagrać.

Roześmiałyśmy się.

Pozwoliłam, by śmiech ucichł, zanim zaczęłam:

— Wiesz, co?

Powiedziałam, że wreszcie skontaktowałam się z Peterem. Jak go znalazłam, gdzie mieszka. Powiedziałam, że spotykam się z nim, by pogadać, może podpisać papiery i ruszyć z postępowaniem rozwodowym. Mamusia mówiła o tym, jak rozwiodła się ze swoim pierwszym mężem i jak poznała tatę w wieczór, kiedy świętowała zakończenie sprawy rozwodowej. Osiem miesięcy później znów wzięła ślub. Rozmawiałyśmy o tym przez chwilę. Znów mówiła tonem nadopiekuńczej matki.

— Dlaczego Peter musi aż tu przyjeżdżać? — spytała.

— I tak miał tu być. To szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Szczęśliwy? Dziwny, tak. Ale nie powiedziałabym, że Szczęśliwy. Bądź ostrożna.

— Dobrze, Mamusiu.

Zanim odłożyła słuchawkę, poprosiła cichym troskliwym głosem:

— Zadzwoń do ojca. Jutro wraca do domu z Kanady.

Też zmięklam.

— Wyprawa na ryby? — spytałam.

— Tak. — Słysząc było, że się uśmiechnęła. Potem zaśpiewała: — Wiesz, nie robimy się coraz młodszy.

Zawsze to mówiła, żebym poczuła się źle. Skutkowało. Jednym słowem potrafiła sprawić, że poczuję się dobrze lub źle, zamilknę albo zacznę paplać. Powiedziałam jak dziecko:

— Dobrze, Mamusiu.

Złapałam taksówkę do metra, pojechałam pociągiem linii E do przystanku Lexington Avenue, przesiadłam się na 6, i wysiadłam na Union Square. Miałam się spotkać na następnym przystanku, na Astor Place, ale musiałam się upewnić, czy ten zbieg okoliczności nie jest jakąś pułapką. Przeszłam się resztę drogi. Chciałam zobaczyć go, zanim on zauważy mnie. Poza tym musiałam wstąpić do księgarni Barnes & Noble, by spotkać się z moim obrońcą. Po rozmowie z Mamusią postanowiłam, że najlepiej będzie, jak Kinikki przyjedzie ze swojego domu na Upper West Side, spotka się ze mną w księgarni i pójdziemy dalej razem. Miałam złe przeczucie i nie chciałam wybierać się tam sama.

Kinikki spóźniła się ponad pół godziny. Miałam nadzieję, że zanim dostrzemy do Starbuck's, Peter da za wygraną, opuści Manhattan i ruszy na jakiekolwiek lotnisko. Byłam spóźniona i wcale się tym nie przejmowałam.

Mimo że miejsce było na wpół pełne klientów — połowa z nich to pary w wieku studentów, które dotykały się i pieściły stojąc w kolejce, i kilka par tej samej płci robiących to samo — mój już — wkrótce — były mąż był pierwszą osobą, którą zobaczyłam przez kolorową szybę. Siedział przy drewnianym stole naprzeciwko okna. Nic nie poczułam, kiedy go zobaczyłam. Spojrzałam przez własne odbicie prosto w jego twarz i prawie go nie rozpoznałam z rzednącymi włosami i brodą. Wyglądał jak inna wersja samego. Z wiekiem wyglądał ładniej, lepiej, ale nie pozwoliłam, żeby wyraz moich

oczu zdradził, że to zauważyłam. Każda pozytywna myśl byłaby słabością. Poza tym wiedziałam, jaki jest. Utrzymałam poważne, oficjalne spojrzenie. Zerknął na zegarek, potem rzucił „Village Voice”, który czytał, i poprawił okulary z metalową oprawką, kiedy drzwi się otworzyły. Siedział ze skrzyżowanymi nogami przy stoliku pod wiatrakiem i miał przed sobą filiżankę kawy i resztę czegoś, co wyglądało najagodziankę. Dżinsy. Sandały. Okropna hawajska koszula, której ludzie na Hawajach nigdy by nie nosili. Nie wysmarkałabym się nawet w tę ohydną koszulę. Ludzie w Nowym Jorku nosili prawie wszystko, ale on przekraczał granice pomysłowości. Wiem, że nie rozpoznał mnie z początku, bo teraz ważę jakieś piętnaście kilogramów mniej niż wtedy. Nie chodzę już ze wzrokiem wbitym w ziemię. Dzięki dermatologowi moja cera się poprawiła. Poza tym, kiedy mnie ostatnio widział, moje włosy pofarbowane były na okropny czarny jak sadza kolor i uczesane na pazia. Fryzura, którą dla mnie wybrał. W tamtych czasach rzadko bywałam w sklepach kosmetycznych, ubierałam się brzydko, prowadziłam bardzo domatorski tryb życia. Teraz czułam się modna. Nie byłam w najlepszym nastroju, więc ubrałam się w za duże podarte dżinsy, za dużą koszulkę z rysunkiem Królika Bugsa i Diabła Tasmańskiego z przodu i z tyłu. Miałam rozwiązane tenisówki. Kinikki ubrana była w czerwono—biały dres Nike z kurtką zawiązaną w pasie.

Na zewnątrz kawiarni trwała jakaś przebudowa i szerokie na pięć metrów rusztowanie stało nad naszymi głowami osłaniając nas, ale Peter drgnął, kiedy mnie rozpoznał. Zagotowało się we mnie. Gapił się na moje warkoczki. Wstał. Zdjęłam okulary przeciwsłoneczne i schowałam je do torebki. Miał czelność uśmiechnąć się, jakby cieszył się, że mnie widzi.

— Kimberly.

— Peter — powiedziałam tak prosto jak mogłam.

To było nieprzyjemne *deja vu*. Kinikki przeszła bez słowa obok lady i podeszła do jedyne go wolnego stolika po drugiej stronie sali. Omówiłyśmy wcześniej, co ma robić. Chciałam, żeby była w pomieszczeniu, ale nie chciałam, żeby była za blisko i usłyszała o moich sprawach, jeśli staną się zbyt nieprzyjemne. Albo zbyt szczegółowe.

Ta kawiarnia była spokojna. Ludzie nie zachowywali się głośno, a akustyka pozwalała na prowadzenie rozmów. Nie grał żaden zespół, który zagłuszałby nasze słowa. Poprosiłabym go, żebyśmy wyszli na zewnątrz i porozmawiali przy wejściu do metra, ale było zbyt pamo. Powietrze było jak oddech smoka. A przy tych wszystkich spalinach równie trujące. Chciałam poczuć chłodny powiew na spoconym czole. A poza tym nie chciałam, żeby ja-

cyś ciekawscy znajomi nas minęli i zobaczyli mnie z nim, może nawet zatrzymali się po drodze do metra, aby dokonać zaskakującej prezentacji.

Jego piegowata twarz wyrażała ogromne zdziwienie tą inną wersją mnie, którą zobaczył.

— Chcesz tu porozmawiać, czy pójść gdzieś indziej? — spytał.

— Tu jest dobrze — powiedziałam i otworzyłam torebkę, żeby wyjąć portfel. Mocny aromat ciastek sprawił, że zaburczało mi w brzuchu. Nie jadłam nic od śniadania i już głowa zaczynała mnie boleć z głodu. — Dlaczego chciałeś najpierw się ze mną spotkać?

— Chcesz coś do picia albo ciastko?

— Stać mnie na to.

Wodził po mnie wzrokiem. Czulałam to na swojej skórze, gdy szłam do lady kupić dwie podgrzewane jagodzianki. Z początku pomyślałam, że niepotrzebnie się martwię, ale kiedy się odwróciłam, gapił się na mnie. Bez uśmiechu, tylko się gapił i kiwał głową. Zignorowałam go.

Położyłam kostkę masła na każdym spodeczku i zaniiosłam jeden Kinikki, tylko po to, by pokazać Peterowi, że nie jestem sama.

Kiedy usiadłam, przestał marszczyć brwi na Kinikki na tyle, by zdążyć zapytać:

— Kim jest twoja przyjaciółka?

— Przyjaciółką. — Dziubałam swoją jagodziankę, spokojnym tempem dając mu do zrozumienia, jaki jest mało ważny. — Co za głupot naopowiadałeś mojemu adwokatowi? Myślisz, że jestem ci winna pieniądze za twoją inwestycję w moją karierę?

— Nie zachowuj się, jakbyś nie wiedziała o co chodzi.

— Nie zachowuj się, jakbym wiedziała.

— Kiedy uciekłaś, zabrałaś pieniądze z naszego konta i wykorzystałaś je do rozpoczęcia tego, czymkolwiek się teraz zajmujesz.

— Czy masz na myśli moją karierę?

— Dobra. Karierę.

— Wypłaciłam mniej niż połowę pieniędzy. Nawet nie jedną trzecią.

— Sześć tysięcy dolarów.

— Zarobiłam je. Zmusiłeś mnie, żebym zrezygnowała z pracy w Dairy Queen. Nie pozwalałeś mi pracować, a ja nie zamierzałam zostać w pułapce — czekać. Nie będę się teraz o to kłócić.

Peter założył nogę na nogę i zmienił pozycję tak, by mógł się pochylić bliżej. Odchyliłam się i ugryzłam jago — dziankę. Jagodzianki tutaj były pyszne. Ze świeżych jagód i były bajeczne, zwłaszcza z masłem. Ale nawet nie poczułam jej smaku. Byłam tak zdenerwowana, że zachowywałam się jak robot. Spojrzałam na jego lewą rękę. Przynajmniej nieuleczalny drań nie nosił już obrączki, którą sam sobie kupił.

— Jak było w Afryce? — zapytał z szerokim uśmiechem. Dyskretnie spojrzałam na Kinikki. Obserwowała mnie

i skubała jagodziankę. Z ruchu jej warg wyczytałam pytanie „czy wszystko w porządku”; przejechałam paznokciami po warkoczach i szybko skinęłam głową. Tym razem głośno się roześmiała.

— Jak było w Afryce?

— Kto ci powiedział, że byłam w Afryce?

— Poczta pantoflowa. To tajemnica?

— Nie o to chodzi. To było po skończeniu studiów. Skąd to wiesz? Kontaktowałeś się z moją rodziną?

— Nie. Wpadłem na twojego kuzyna w San Francisco. — Kogo?

— Marka. Przestałam żuć.

— Marka Chaversa?

— Tak. Powiedział mi, że po skończeniu studiów w jakimś koledżu w Seattle, sprzedawałaś wszystko, spakowałaś się

1 uciekłaś do Afryki. — Nie uciekłam. Pojechałam na wycieczkę.

— Słyszałem, że byłaś jakiś czas w Etiopii. Znalazłaś to, czego szukałaś? — spytał Peter. — Jak cię traktowali? Najwyraźniej mieli na ciebie jakiś wpływ.

— Jaki wpływ? O co ci chodzi?

— Twoja fizyza, twoje ciuchy, twój wybór przyjaciół. Wygląda na to, że przechodzisz jakiś kryzys osobowości.

Zdenerwowałam się, ale nie podniosłam głosu.

— Zamierzasz podpisać pieprzone papiery, czy nie?

Roześmiał się.

— Zapłaciłam za swoje wykształcenie — powiedziałam.

— Pieniędzmi, które ukradłaś... Jesteś mi dłużna. Chcę z powrotem swoje pieniądze.

— To było wspólne konto. Byliśmy małżeństwem.

— Byliśmy? — Pomachał pustym serdecznym palcem. Potarł go, jakby te minikajdany, które ludzie nazywają obrączką, jeszcze tam były. — Z prawnego punktu widzenia, nadal jesteście.

— Fizycznie byliśmy. Psychicznie nigdy nie.

Myślę, że prawie się obruszył. Rozstawił nogi, znów je skrzyżował i popił kawy. Próbował udawać opanowanego. Ale rozumiałam mężczyzn; zawsze próbowali utrzymać pozory twardszych niż stal, silniejszych niż kamień, choć są delikatniejsi niż róża.

Powiedział sztywno:

— Porzuciłaś męża i zdefraudowałaś pieniądze.

— A więc o to cała ta bzdura.

— To nie żadna bzdura. Okradłaś mnie.

Pokręciłam głową.

— Powinieneś być porozmawiać z lepszym adwokatem. Nic ci się ode mnie nie należy.

— Cóż, jeśli to wszystko wiedziałaś, dlaczego się ze mną spotkałaś?

— Bo chcę to jak najszybciej mieć za sobą i żyć dalej. Peter, podpisz te przeklęte papiery.

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Pójdiesz ze mną na kolację.

— Co?

— Pójdiesz ze mną na kolację. Jutro. Ja. Ty. I żadnych twoich przyjaciółek zagląających mi przez ramię. :

— Dlaczego się w to bawisz?

Popił kawy.

— Obiad i będziemy kwita.

Włączył się mój pager i powstrzymał od wyrzucenia serii czteroliterowych słów. Pomyślałam, że to może z biura To— ny'ego z wiadomością, jak im idzie. Na początku pomyślałam, że to kierunkowy 911 jak numer pogotowia, ale to był numer 901. Kierunkowy do Memphis. I ten sam numer 946, który Jordan zostawił na sekretarce. Nie rozmawiałam z nim jeszcze, odkąd wyjechał, i nie mogłam teraz do niego zadzwonić. Jego telefon sprawił, że zrozumiałam, jak pilne jest załatwienie tej sprawy.

Zaczęłam łykać powietrze, czułam się, jakbym miała się udusić całą miłością, jaką miałam dla człowieka, którego zwałam EXtra, i pozwoliłam, żeby to uczucie było moją opoką i tarczą. Wreszcie wypaliłam:

— Coś ci powiem, podpiszesz wstępne papiery, wtedy pójde z tobą na kolację.

— Jeśli podpiszę papiery, to jaką mam pewność, że pójdziesz?

— Jeśli najpierw pójde na kolację, to skąd mam wiedzieć, że podpiszesz?

Roześmiał się.

Podniosłam moją torebkę— plecaczek, odsunęłam krzesło z prostym oparciem, głośno rysując nim po glazurowej podłodze i wstałam. Ludzie spojrzeli. On pił swój napój. Kinikki zebrała swoje rzeczy i też wstała.

— Tak szybko wychodzisz? — Popukał w swój zegarek. — Jesteś tu dopiero dziesięć minut. Mamy wiele do nadrobienia.

— Podpisz papiery. Poproś, żeby Tony zadzwonił do mnie z potwierdzeniem. Wtedy spotkamy się na obiad w interesach. W przeciwnym razie, miłego życia.

Odeszłam.

— Kimberly. — To Kinikki mnie wołała. Dogoniła mnie. — Zwolnij, zanim się o coś potkniesz.

— Czy on mnie obserwuje?

Kinikki zerknęła za siebie i powiedziała:

— Pewnie. Gapi się jak zauroczony.

— Drań. Widzę jego cień wpatrujący się we mnie.

Nie zeszłam na dół do metra, bo nie chciałam ryzykować kolejnego spotkania. Przywołałam taksówkę i zdecydowałam, że pojedą parę przecznic i wsiądę do pociągu gdzie indziej. W taksówce Kinikki miała zdziwioną minę. Wiedziałam, co ma na myśli, ale nie zapytałam i ona tego nie powiedziała. Kiedy wreszcie otworzyła usta i zaczęła mówić przerwałam:

— Dzięki, że ze mną poszłaś.

— Dobra. — Kinikki rozwiązała bluzę z talii i położyła ją na kolanach.

— To był twój mąż z dawnych lat, co?

— Tak.

— Ciekawe.

— Takie było.

— Mężatka.

— Niestety.

— Kiedy już myślę, że cię znam — pokiwała głową — dowiaduję się o tobie czegoś nowego. Jesteś bardziej skomplikowana, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić. Bardziej barwna niż wszystkie twoje płótna razem wzięte. Nigdy nie widziałam, żebyś się tak okropnie zachowywała.

— Wybacz mi.

— Wybaczam.

— I zachowaj to dla siebie. Kurczę, ten sukinsyn mnie wkurza.

— Uważaj, jak się wyrażasz. Dziewczyno, uważaj jak się wyrażasz i hamuj swój gniew. — Kinikki położyła dłoń na mojej. — Uspokój się, zanim wybuchniesz.

Kinikki wyskoczyła przy przystanku metra. Chciała wrócić do domu na czas, by zjeść z mężem lunch. Ona chciała spotkać się ze swoim mężem, ja próbowałam mojego wykreślić.

— Wysiadasz? — spytała.

Uśmiechnęłam się lekko.

— Nie, ale dzięki, że przyjechałaś.

Mrugnęła.

— Od tego są przyjaciele. Nie przejmuj się i zadzwoń, gdy będziesz chciała porozmawiać.

— Dobrze.

— Zadzwoń, nawet jeśli nie będziesz chciała rozmawiać.

Roześmiałyśmy się. Ja nerwowo, ona zmartwiona. Pocałowała mnie w policzek i wytarła ślad od szminki. Jej głos emanował przyjaźnią, gdy zapewniała, że wszystko będzie dobrze. Łatwo mówić, jej sprawy domowe zawsze były uporządkowane. Moje nie były poprawne od lat.

Nie byłam gotowa na powrót do pustego mieszkania, więc pojechałam na Park Avenue i wysiadłam na 46. Ulicy. Weszłam do Banku Nowego Jorku i zrealizowałam czek; wypłaciłam parę dolarów, żeby nie zostać zupełnie bez grosza. Potem spacerowałam, mijałam ciężarówki i samochody, wdychając spaliny i dusząc się spalinami kolejnych autobusów. Męczył mnie ten sam nowojorski upał, który w letnie miesiące zwiększał poziom morderstw. Męczył moje spocone, podlegające napięciu przedmiesiączkowemu ciało. Salon firmowy Mercedesa był naprzeciwko sześciopasmowej szalonej Wschodniej 56.1 pomyślałam sobie, że chciałabym, by było mnie stać na model klasy C z klimatyzacją. Chciałabym, by było mnie stać na parkowanie. I byłam głodna. Ale nie chciałam się nigdzie zatrzymywać, więc kupiłam hot doga u ulicznego sprzedawcy i szłam dalej zamyślona.

Poczułam skurcz w żołądku w Raspberry Sport, oglądając buty. Przeszłam całą drogę do 57. Ulicy i Lexington. Po tym jak przez godzinę przymierzałam buty i niczego nie kupiłam, wyszłam z powrotem na ulicę i szłam dalej. Próbowалам wypocić to, przez co przechodziłam. Mój niepokój i ja minęliśmy nastolatków stojących przed 59. podstawówką i doszliśmy prawie do Mostu Queensboro, zanim zamachałam na następną taksówkę.

Powiedziałam taksówkarzowi, żeby zabrał mnie z powrotem w kierunku Times Square. Zrobię zakupy, obejrzę film, cokolwiek, byleby nie wracać do domu.

Obejrzałam trzy filmy i zjadłam obiad w „Sbarro's", zanim ruszyłam do domu w ciemności. Wszystko było niewy— razne, bo za dużo myślałam o niczym. Wdrapałam się na trzecie piętro do ciepłego mieszkania, chwyciłam zimną butelkę wody mineralnej Evian, otworzyłam ostatnią paczkę „Ms” i sprawdziłam wiadomości na sekretarce. Były dwie wiadomości od Petera. Drań. I żeby tego było mało, zadzwonił Eric. Śmieć. Powiedział, że widział, jak wsiadałyby z Kinikki do taksówki i chciał wiedzieć, czy nie poszłabym z

nim na drinka. Zanim zdążyłam odpiąć górny guzik spoconych dzinsów, znowu zadzwonił telefon. To mnie wkurzyło.

— Czego? — rzuciłam.

— Jak leci? Rozmawiasz z kimś?

— Jordan? Czy to ty, EXtra?

— Tak, to ja. Dostałaś moją wiadomość na pager dziś po południu?

— Zostawiłam pager w domu i właśnie teraz weszłam — skłamałam bez wahania i poczułam jak piramida kłamstw staje się coraz wyższa, jak jedno kłamstwo łąduje na drugim jak na wielbłądzim garbie. — Która jest godzina?

— Prawie dziesiąta.

Na moim zegarze też była dziesiąta wieczorem. A wiedziałam, że Memphis jest w innej strefie czasowej. Z tego, co Jordan opowiadał o Brownsville, równie dobrze mógł być w innym czasie.

— Gdzie jesteś? — spytałam.

— W Nowym Jorku, kochanie.

Ścisnęło mnie w piersiach i poczułam jakby nagle ktoś wyssał z pokoju cały tlen.

— Jesteś w domu?

— Tak. Wysłałam ci wiadomość na pager w drodze na lotnisko w Memphis. Jestem tu. Potrzebujesz towarzystwa?

Mrugnęłam, zawahałam się. Odetchnęłam. Miałam palpacje serca jak nigdy wcześniej. Tak, od czasu kiedy dostałam wiadomość, minęło dziewięć godzin. Chciałam się z nim spotkać, bardzo pragnęłam być pieszczona, rozpieszczana, lizana po całym ciele. Bardzo pragnęłam grać z nim w zwodnicze gry miłosne, póki nie byłby w stanie dłużej ich znieść, ale zbyt dużo działało się teraz w mojej głowie. I nie chciałam, żeby Peter zadzwonił, kiedy będzie tu Jordan. Dopiero jak znajdę jakiś sposób, by mu powiedzieć o swojej sytuacji. Z drugiej strony, nie wiedziałam, czy powinnam mu powiedzieć, bo nie wiedziałam, jak rozwinie się nasz związek.

Pociągnęłam jeden z warkoczyków i zagryzłam wargę.

— Czy mogę przyjść do ciebie jutro? Muszę skończyć to, nad czym teraz pracuję.

— Pewnie — powiedział po namyśle.

Wielkie rozczarowanie odbijało się echem przez telefon zanim odłożyliśmy słuchawki. To bolało. Moje ciało bardzo pragnęło uczucia, zwłaszcza że wiedziałam, że Jordan jest tak blisko, ale mój umysł nie chciał się z nikim zadawać, bez względu na osobę.

Włączyłam klimatyzację i ustawiłam na duże chłodzenie, rozebrałam się do majtek i wrzuciłam stanik w róg na stos trzech czy czterech innych. Nie sprzątałam tu od dawna, bo byłam zdenerwowana tym ciągłym jeżdżeniem na Manhattan i z powrotem. Poza tym spędzałam tyle czasu u Jordana, że nie bywałam u siebie dostatecznie długo, by wystawić szczotkę i mopa. Na podłogach zaczynało być widać brud. Na wszystkim osiadł kurz. Odciski palców były na prawie wszystkich szklankach. Kwiaty potrzebowały wody, zanim zwiędną i uschną. Ale zajmę się tym wszystkim jutro. Może.

Nie, zrobię to teraz. Właśnie teraz. Będę sprzątać i myśleć.

Telefon znów zadzwonił. To był Peter.

Usiadłam i wściekle spytałam:

— Czego chcesz?

— Idziemy na kolację?

— To jest szantaż.

— To tylko obiad starych przyjaciół.

— Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

— Czy mogę po ciebie wpaść?

— Nie.

— Jak to załatwimy, pani Stenson?

— Chavers.

— Skoro tak mówisz.

Chciałam wydrapać sobie oczy, żeby się ukarać. Powiedziałam:

— Spotkaj się ze mną.

— Gdzie?

— Dam ci znać rano.

Odłożyłam słuchawkę bez pożegnania. Nawet nie wiedziałam, dlaczego to robię. Chodzi o to, że spotykałam się z Jordanem i z tego, co rozumiałam,

tylko tak mogłam to nazwać. Randkowanie. Nigdy nie powiedzieliśmy sobie, że się kochamy. Ale pod niektórymi względami tak się zachowywaliśmy. Więc jeśli słowa były głośniejsze niż czyny, to wykrzykiwały to za każdym razem, gdy mnie zobaczył, wyjąc z namiętności za każdym razem, kiedy go widziałam. Gdy na niego patrzyłam, czułam jak moje uczucia kiszą się na dnie żołądka i rozgrzewają mnie od wewnątrz. Pragnęłam miłości, ale nie byłam pewna, czy pasowałyby teraz do mojego życia.

Jak powiedziała Kinikki, oglądanie pierścionków to tylko *ogłądanie* pierścionków. Oglądanie i kupowanie to dwie różne rzeczy.

Telefon znowu zadzwonił.

Wyrwałam go ze stojaka i powiedziałam najspokojniej w świecie:

— Po co znowu dzwonisz, Peter?

— Wszystko w porządku?

— Jordan?

— Tak. Kim jest Peter?

— Malarz, znajomy mój i Kinikki. Co porabiasz?

— Masz czas na obiad jutro?

— Jutro musimy załatwić z Kinikki pewną sprawę w Vil— lage.

— Tylko sprawdzam. — Umilkł, potem usłyszałam rozczarowanie w jego głosie, gdy powiedział: — Zadzwoń, gdy znajdziesz chwilę.

— Pewnie.

Odłożyliśmy słuchawki. Podniosłam miotłę i spojrzałam na podłogi. Cholera. Mam to w dupie. Rzuciłam miotłę, podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Jordana.

— Czy mogę przyjechać? — spytałam.

Roześmiał się, ale tak jakoś zmieszany i zdziwiony.

Zanim się spostrzegłam, już wysiadałam z taksówki. Kiedy otworzył drzwi, nim doszedł do mnie chłód klimatyzacji i mieszanina zapachów jego mieszkania, objął mnie mocno. Pocałował, jakby bardzo się za mną stęsknił.

— Śniłaś mi się — powiedział.

Uśmiechnęłam się i upuściłam torbę na podłogę.

Zakrył mi oczy. Kiedy je otworzyłam, stał przede mną, trzymając kolorową torbę na zakupy z rysunkiem Piramid z Memphis po obu stronach. Miał siatkę prezentów. Piękny miękki jasnoniebiesko— szary dres z Uniwersytetu w Memphis. Kubek i dwie koszulki z Beale Street. Dżinsową koszulkę z klubu bluesowego B.B. Kinga. Kartkę z rysunkiem kreskówki całującej się pary. Na dole napisał: „Dla Kimberly, tak po prostu”.

Wewnątrz zaczęłam płakać. Tama pękła. Poczucie winy dobijało i tak już zmęczone zmianami nastroju ciało. Jordan próbował się dowiedzieć, co się stało, kiedy przebiegłam obok niego do łazienki i zamknęłam drzwi. Oparłam się plecami o ścianę i ukryłam twarz w dłoniach. Miałam zapchany nos, zapchany brudem smutku i złości, czułam się tak głupio.

— Co się stało? — spytał z drugiej strony drzwi.

Moje uczucia były silniejsze niż odporność, wypchnęły myśli przez gardło i powiedziałam:

— Kocham cię.

Bez wahania odrzekł ciepło:

— Ja też cię kocham.

To świetnie. Cholera. Strasznie mi się nie podobało, że to powiedział. Kiedy wymówi się te słowa, trzeba żyć z takim poczuciem odpowiedzialności. Miałam za dużo na głowie. Powinnam siedzieć w domu i pracować i powinnam próbować wyjaśnić sprawę pomiędzy tatą i mną, i powinnam zadzwonić do Petera i go skłąć, i powinnam przekonać Erica, żeby przestał wykręcać mój numer albo zabiorę swoje prace z ich galerii, i powinnam kochać się z Jordanem przez całą noc.

— Czy przytulisz mnie teraz? — spytałam.

— A chcesz tego?

Nie pytajcie dlaczego, ale nie spodobała mi się jego odpowiedź. Miałam właśnie skorzystać z toalety, ale spojrzałam na deskę klozetową. Była podniesiona. To mnie drażniło. Tyle razy go prosiłam, żeby myślał też o mnie, i jest nadal podniesiona już tak od grudnia. Jak mógł mnie kochać, skoro nie pamiętał, że ma opuszczać deskę? To była cholerna śmiertelna pułapka. Wiem, że to jego mieszkanie i że nie mieszkamy razem, ale nie w tym rzecz. Nie spodobało mi Słę, że prawie tam wpadłam i się utopiłam. I ile razy muszę coś prosić, żeby przestał kupować kolorowy papier toaletowy? Już go grzecznie prosiłam, żeby kupił zwykły biały papier albo jakikolwiek inny papier bez trujących barwników. Na domiar wszystkiego miał tani, cienki, jednowarstwowy

Papier, który w dotyku przypominał doskonały papier ścierny. Tektura była miękka niż to, co kupił. Poza tym nigdy nie zakładał dobrze rolki, zawsze odwrotnie. Papier toaletowy powinien odrywać się od góry.

Wzięłam się w garść, ale moje uczucia pędziły na najwyższym biegu i wypadłam z łazienki, minęłam jego i jego zmartwioną minę, podniosłam torbę i ruszyłam do drzwi.

Jordan wyglądał na tak skołowanego, jak ja się czułam.

— Jordan, zadzwonię do ciebie, dobrze?

Wyszłam, zanim zdążył odpowiedzieć.

TLR

24. Jordan Greene

Kimberly była świetna, ale J'nette też była świetna, kiedy ją poznałem. Wszystkie były. To sobie myślałem, kiedy szedłem wcześniej rano na przystanek metra. Myśli te zagłuszały hałas pociągu. Do pracy miałem wrócić dopiero za dwa dni, ale po nieprzespanej nocy zdecydowałem wrócić wcześniej w poszukiwaniu chwili spokoju.

Odrobinę przed wpół do ósmej znalazłem swojego kumpla Solomona siedzącego samotnie w stołówce, ziewającego i jedzącego bagietkę. Sam wziąłem kubek kawy i pączka z czekoladą. Chociaż zapach jajek i bekonu przepełniał wnętrze, budynek pachniał jak wczorajsze powietrze. Wentylacja źle działała. Klimatyzacja była schrzaniiona, więc na niektórych piętrach było za zimno, na innych za gorąco. W stołówce było bardzo zimno, ale otworzyli boczne drzwi, żeby ciepłe powietrze z zewnątrz dochodziło do środka.

Jak na razie nikt nie wiedział, że wróciłem wcześniej. Nie miałem żadnej papierkowej roboty do zrobienia. Żadnych spotkań, w których musiałbym uczestniczyć. Nic do roboty, tylko siedzieć z kumplem i kisić się w moich myślach o Kimberly.

Sącząc kawę opowiadałem Solomonowi o tym wszystkim, co wydarzyło się w Memphis — o Wandzie, Darrellu i Reggie.

Solomon trochę się roześmiał.

— Prześwietliłeś sobie bok?

— Nie boli. Największe uderzenie przyjął mój żołądek. — Uszczypnąłem się. — Robię się coraz twardszy, ale jeszcze trochę mi brakuje.

Do stołówki napływali pracownicy fizyczni i umysłowi, Przepychając kołowrotki, chwyтали grube styropianowe kubki z kawą i bardzo słodkie pączki. Inni siedzieli na zewnątrz na patio, paląc jednego papierosa po drugim. Kofeina, nikotyna i cukier. Większość urwałaby ci głowę, gdyby nie dostała dawki tych trzech używek. Wszyscy wyglądaliśmy jak narkomani legalnie aplikujący sobie działkę. Zastanawiałem się czasami, jaka jest różnica pomiędzy naszym zalegalizowanym uzależnieniem a nielegalnym uzależnieniem Reggiego.

Najpierw chciałem opowiedzieć o Kimberly Solomonowi, bo o wiele lepiej umiał obchodzić się z kobietami i wydawało się, że lepiej je rozumie niż ja kiedykolwiek będę w stanie, dzięki czemu nigdy nie miał z nimi problemu. Wczorajszy wieczór sprawił, że poczułem się niepewnie po tym, jak nie wydawała się ucieszona słysząc mój głos, a potem jeszcze nazwała mnie Peter.

Nasze marynarki wisiały na dwóch pustych krzesłach. Solomon przewiesił sobie swój ciemnoniebieski krawat przez ramię; ja zrobiłem to samo.

Po tym jak opowiedziałem o Memphis, pomyślałem, że zmienię temat i zapytam co u niego, a potem skieruję rozmowę na mnie i Kimberly. Spytałem:

— Czy ty i Zoe ustaliliście już datę?

— Nie — westchnął, odchylił się do tyłu i przejechał językiem po podniebieniu. Potarł oczy. Entuzjizm z powodu Tej Jedynej gdzieś zniknął. Otworzył aktówkę, wyjął plastikową butelkę z małymi czerwonymi tabletkami. Szczyt sezonu na alergię.

— Na co ona czeka? — spytałem.

— Nie wiem. Wspomina coś o wiosennym ślubie, ale nie wysiliła się, żeby cokolwiek robić.

Włożył do ust dwie tabletki, popił je kawą.

— Umówiła się z przyjaciółką i pojechały na weekend do Waszyngtonu.

— Po co?

— Ona i Toni pojechały odwiedzić J'nette.

Nie odezwałem się, czekałem aż będzie kontynuował, ale tego nie zrobił. Powiedziałem:

— Dawno nie słyszałem jej imienia.

— Zacznij się przyzwyczajać. J'nette może tu wrócić.

Nie miałem wiadomości o J'nette od naszej wspólnej jazdy z kliniki aborcyjnej. Odkąd przeszła przez odplanowanie rodziny. Odkąd wszystkie kobiety wiedziały o Kimberly, żadna nie była mi życzliwa. Uprzejme i gwałtowne czasami, ale nie przyjaźnie usposobione. Trzymały się swojego babskiego planu, że skoro J'nette była na mnie wściekła, one wszystkie miały te same wkurzone miny.

— Przeprowadzka czy odwiedziny?

— Przeprowadza się do Toni. Ale może zatrzymać się u Zoe, do czasu, aż Toni znajdzie większe mieszkanie.

Edna Riordan o usianej zmarszczkami twarzy i w kwiecistej sukni weszła niepewnie.

Gdy tylko mnie zauważyła, piychnęła, odwróciła się i wyszła ze stołówki. W styczniu, pierwszego dnia pracy po przerwie świątecznej, przedstawiciele Komisji Etycznej wezwali mnie do siebie na drugie piętro na zaskakujące spotkanie. Czarna kobieta i biały facet mieli mnie „przesłuchiwać” w celu wyjaśnienia „spraw, które przykuły naszą uwagę”. Podejrzewam, że pomyśleli, że siostrze lepiej ze mną pójdzie i uda jej się więcej ode mnie wyciągnąć. Pozwolili jej mówić, a biały siedział i w milczeniu robił notatki, co było bezcelowe i okazało się stratą dobrej półtorej godziny, ponieważ bez żadnego świadka ani zdjęć okazało się, że mają moje słowo honoru przeciwko bezczelnym kłamstwom Edny. Zupełnie jak skandal Michaela Jacksona, tyle że bez odszkodowania.

Wmieszaliśmy się w tłum, ruszyliśmy w stronę windy. Salomon był nieobecny myślami.

Stale dotykał swojej twarzy, wąsów. Żyła pulsowała mu na czole.

Traciłem go.

— Wszystko dobrze między tobą a Zoe?

— Wszystko jasne jak słońce.

— To skąd ta smutna mina?

Uśmiechnął się szeroko.

— Zmęczenie. Alergie mi dokuczają.

Solomon poprawił marynarkę i jeszcze szerzej się uśmiechnął. Nadal się wiercił, stukał aktówką o nogę i pukał Palcami w drugą. Dręczyło go coś poważniejszego niż to, co było na powierzchni. Kobiety umiały zrobić to facetowi. Miały talent do łamania ducha.

Kimberly na pewno wściekła się, że nie zabrałem jej do Memphis. Zaproponowałem, odmówiła, ale może chciała, żebym nalegał, pokazał, że jest częścią mojego życia.

Rodger wszedł, zanim zdążyłem przejrzeć wiadomości, które uzbierały się na biurku, kiedy mnie nie było.

— Greene. — Uśmiechnął się i uściśnął mi rękę. — Wcześniej wróciłeś.

— Wróciłem wczoraj.

Uśmiechnął się, ale nie był w wesołym nastroju.

— Czy dom pogrzebowy dostał kwiaty, które wysłaliśmy? — spytał.

Skinął głową.

— Były piękne.

Wskazał w stronę swojego biura i powiedział: — Greene.

Poszedłem za nim do biura. Pomyślałem, że powie, że wie, że nie byłem na pogrzebie i że moja nieobecność na pogrzebie jest kolejnym pogwałceniem regulaminu firmy. Kiedy zamknęliśmy drzwi, usiadł w fotelu i zaczął obracać chińskie kulki w rękach. Cicho powiedział mi, że CompSci straciła ostatni kontrakt. Kiedy pokonał nas Boeing, kierownictwo wpadło w histerię i zaczęło przerzucać personel, aby zaoszczędzić aktywa do czasu, aż sytuacja się przejaśni.

Ale w nocy zawsze było ciemno.

Rodger podsunął mi planszę, diagram struktury organizacyjnej z wczorajszą datą wpisaną atramentem u dołu. W prawym górnym rogu widniał stempel POUFNE. Ktoś podesłał mu tę planszę jako przysługę. Ten projekt był rezultatem wielu nieprzespanych nocy i oznaczał rozwiązanie tymczasowe.

Moje stanowisko i obowiązki zostały przeniesione do innego wydziału. I będę musiał wrzucić swój czas w koszty ogólne. Konto buforowe za brak aktywności w czasie zatrudnienia.

Co nie miało takiego znaczenia. Powiedział, że wyleją mnie za parę dni. Stanowisko Rodgera zostanie zlikwidowane w przeciągu miesiąca. Ktoś z góry przechodził do naszego wydziału i wyrzucał Rodgera na bruk.

Siedzieliśmy w milczeniu. Patrzyliśmy na miasto.

— Dzięki, Rodger.

Skinął głową. Nie miał mi co powiedzieć.

Już we własnym biurze rozejrzałem się po moim terytorium. Uśmiech Malcolma „a nie mówiłem”, Martin w swojej celi i wszystko inne będzie musiało spaść ze ścian. Poczułem smutek z powodu nieuchronności tej sytuacji, ale hej, to moja wina, że za wygodnie się tu poczułem. I tak potrzebowałem zmiany tempa i miejsca.

Zadzwońłem do Kimberly. Brak odpowiedzi. Sprawdziłem swoją sekretarkę. Żadnych wiadomości. Zadzwońłem do Solomona, powiedziałem mu, co się szykuje. Jego wydział przeszedł przez ten kryzys bez szwanku. Po kilku minutach narzekania, i przerobieniu swojego życiorysu, poszedłem na korytarz, wziąłem „Post” i „Timesa” i zacząłem przeglądać ogłoszenia. Zadzwońłem do paru agencji w Nowym Jorku, New Jersey i w Chicago, by sprawdzić, czy ryba bierze. Dzisiaj nic. Ale to nie zniechęciło mnie od faksowania swojego życiorysu i przesłania swoich referencji w internecie.

W ciepły wieczór wyszedłem z budynku, podążając za tłumem przemyskających pracowników. Salomon wychodził o tej samej porze.

— Jesteś głodny? — spytałem.

— Tak. Chodźmy coś zjeść. Ja stawiam.

Kupiliśmy garść żetonów na metro, żeby starczyło nam na jakiś czas, przejechaliśmy kilka przystanków, wysiedliśmy, przeszliśmy się ulicą ze sklepami metalowymi, miejscami, gdzie można dostać gorące bajgle, grupą Azjatów rysujących turystów za dwadzieścia dolarów. Solomon milczał, kiedy mijaliśmy szkołę średnią stosunków międzynarodowych imienia Jacqueline Kennedy Onassis. Zatrzymaliśmy się przy chińskiej restauracji „Daleko i Blisko”. Mieliśmy zamiar iść do „Pig'n'Whistle”, ale tam był za duży tłok, a ja umierałem z głodu. Niepokój tak działa na faceta. Połknąłem smażony ryż z krewetkami; Solomon wziął talerz z różnymi Potrawami i przez cały czas w nich dłubał. Na kogoś, komu się buzia nie zamyka, był cholernie cichy. Nie powiedział dwóch entuzjastycznych słów, odkąd wyszliśmy z pracy. Chyba nie wiedział, co powiedzieć. Nawet zmieniłem temat rozmowy na ogólne tematy, mówiłem o tym, że dziwne jest, że stawiają szkoły wyższe w takich miejscach jak to, gdzie byliśmy, w samym środku Times Square i na Park Avenue. Nawet nie skinął głową. Spoglądał przez okno na turystów w Wycieczkowym autobusie firmy Premium Outlet Shopping.

Solomon wybiegł około szóstej, powiedział, że musi pędzić do domu, by spotkać się z Zoe, bo obiecał, że zabierze ją do kina.

Wskoczył do pociągu i pojechał w stronę Harlemu; ja wróciłem na ulicę, żeby się przejść. Spacerowałem, wmieszany w tłum, byłem jednym z nich. Od kiedy burmistrzowi udało się sprowadzić jeden ze sklepów Disneya na Times Square, miasto dużo zyskało, bo miejsce kin porno zajęły Piwiarnia i milion innych ekskluzywnych sklepów. Było na tym odcinków parę punktów ze strip—teasem, ale nie tyle, ile dziesięć lat temu. Nie, dzisiejszy Nowy Jork był przyjemnym doświadczeniem. Zwłaszcza że mróz nie dokuczał już moim

palcom. Po tym, jak znowu zadzwoniłem do Kimberly bez rezultatu, zama-
chałem na taksówkę, żeby sprawdzić, czy kierowca się zatrzyma. Podjechał,
nim zdążyłem wyciągnąć rękę na pełną długość. Zachichotałem i machnąłem,
żeby sobie odjechała. Zrobiłem tę sztuczkę ze trzy albo cztery razy, zanim
wszedłem do Virgin Megastore, dla zabicia czasu, i kupiłem najnowszą płytę
En Vogue. Kiedyś w zespole były cztery soulowe siostry, a teraz tylko trzy.
Wygląda na to, że je też zredukowano. Przekłęte cięcia budżetowe są wszę-
dzie. Roześmiałem się głośno jak cholera.

Po tym jak kupiłem płyty En Vogue, Wu Tang i The Best of John Coltra-
ne, wróciłem pociągiem linii E do Jackson Heights. Znalazłem miejsce na
twardym pomarańczowym siedzeniu w przedziale pełnym ludzi, którzy się do
siebie nie odzywali ani nie nawiązywali kontaktu wzrokowego. Szarpnęło
mną, gdy pociąg ruszał, szarpnęło na tyle mocno, że zderzyłem się ramionami
z innymi ludźmi. Pociąg brzęczał i chrzęszcza! po szynach. Pomyślałem o
tych starszych mężczyznach z Brownsville, którzy zatrzymali się i nas po-
zdrowili.

Odezwałem się do kilku osób. Nie odpowiedzieli. Nie zależało mi. Zrobi-
łem swoje.

Gdy tylko wszedłem do domu, zadzwonił telefon. Tak bardzo chciało mi
się siku, że zaczynałem tańczyć, ale najpierw odebrałem telefon, mając na-
dzieję, że to Kimberly. Dzwon" Zoe. Wszędzie szukała Solomona. Pomyślała,
że jest ze mną więc nie wyprowadzałem jej z błędu. Po prostu go kryłem—

— Czy Solomon już tam jest? — spytała.— Jego alergie się nasiliły. Za-
trzymał się, by kupić lekarstwo.

Sprawiła wrażenie zmartwionej:

— Powiedz mu, żeby spróbował tego Dime –a -stuff.

— W porządku.

— Powiedział mi podczas lunchu, że spotykacie się po pracy.

Zamilkła. Nastąpiła nieprzyjemna cisza. Wystarczająca, bym zaczął się du-
sić. Wreszcie odezwała się:

— Mówił, że wraca do domu z tobą.

— Jeszcze go tu nie ma.

Urwała i po chwili powiedziała:

— Cóż, przekaż mi, żeby do mnie zadzwonił.

— Dobrze. — Dręczyło mnie coś innego. — Solomon mówił, że byłeś w Waszyngtonie podczas weekendu.

— Tak. Przywiozłyśmy J'nette z powrotem. Solomon ci nie mówił?

— Wspomniał, że pojechałaś do Waszyngtonu. — Tym razem ja stworzyłem nieprzyjemną ciszę. — Jak się czuje?

— Rozmawiałeś z nią odkąd wyjechała z Jersey?

— Nie.

— Prawdopodobnie dziś wieczorem do ciebie zadzwoni.

— Nie chciałem, żeby dzwoniła. Tylko pytałem.

— W porządku — powiedziała. W jej tonie słyhać było wrogość. Nie wiedziałem, czy było to wymierzone we mnie, czy rezerwowała to dla Solomona. Może nie chciała, żebym grzebał w sprawach J'nette. Zoe świetnie udawało się utrzymywać naszą znajomość na bezpieczną odległość. Kontynuowała: — Powiedz Solomonowi, żeby zadzwonił do swojej narzeczonej jak tylko przestąpi próg twojego domu.

Kiedy Zoe odłożyła słuchawkę, wykręciłem domowy numer Solomona. Włączyła się sekretarka, bip, i zostawiłem wiadomość: — Jak leci? Stary, Zoe właśnie do mnie dzwoniła szukając cię. Kryłem cię, jak należy. Zadzwoni do mnie jak tylko...

Sekretarka się wyłączyła. Ktoś podniósł słuchawkę. To była Zoe. Kurczę, kurczę, kurczę. Dzwoniła do mnie z jego domu i stała nad automatyczną sekretarką, gdy odtwarzała wiadomość.

Zoe spytała:

— Dlaczego musisz kryć go jak należy?

25. Kimberly Chavers

Koło południa spotkałam się z Peterem w biurze Tony'ego na Manhattanie i podpisałam papiery. Kiedy podpisałam kolejny dokument, stwierdzający, że to ja zapłacę za rozwód, co teraz było najmniejszym wydatkiem, nie naprzykrzał mi się. Wręcz przeciwnie, kiedy byliśmy w biurze Tony'ego, Peter był oficjalny i uprzejmy. Teraz zaczęła się sześciomiesięczna próba mojego zdrowia psychicznego. Dziś wieczorem mogę porozmawiać z Jordanem i powiedzieć mu, że właśnie załatwiam rozwód, co na pewno brzmiało o wiele lepiej niż to, że nadal jestem mężatką w separacji.

Peter zmienił swoje nastawienie zanim atrament wysechł. Przeszedł na przyjacielską stopę, położył mi rękę na ramieniu, poczuł się zobowiązany przypomnieć mi, że obiecałam spotkać się na kolacji. Poruszyłam się, odpchnęłam jego rękę, potem powiedziałam, że spotkamy się na 34. Ulicy przed „Macy's”. O ósmej wieczorem. Punktualnie. Dałam mu do zrozumienia, że poczekam do 8.01, a potem odjadę samolotem, pociągiem czy samochodem.

Przed biurem Toniego na Szóstej Alei, zanim zdążyłam zatrzymać taksówkę i zostawić go na chodniku w tym upale, zawołał mnie po imieniu:

— Kim.

Zaszczękałam zębami i rzuciłam mu spojrzenie z ukosa.

Drwiąco powiedział:

— To znaczy, Kimberly.

Odetchnęłam zniecierpliwiona:

— Co?

— Ładnie wyglądasz.

— Co proszę?

— I zostaw ten humor w domu.

— Co proszę?

Powtórzył to, co powiedział. Zignorowałam jego mrugnięcie i uśmiech, machnęłam ręką, odeszłam od niego i wsiadłam do taksówki.

Kiedy dotarłam do domu i trochę się nad tym zastanowiłam, zwłaszcza że idąc nic bym nie zyskała, kusiło mnie, żeby wystawić Petera. Ale miałam zły nawyk dotrzymywania obietnic, bez względu na okoliczności. Myślę, że odziedziczyłam to po moim wojskowym ojcu. Poczucie dyscypliny i obowiązku. Poza tym to może być bolesne, niestosowne, bardzo nieprzyjemne, ale mnie nie zabije.

Wzięłam prysznic, skropiłam się Peny Ellis, ubrałam się w dopasowany ciemnoczerwony kostium, żeby nie pokazać ani centymetra odkrytego ciała, i białą bawełnianą bluzkę bez rękawów od Gapa. Umyłam włosy i wsmarowałam trochę Frizz Ease, żeby się kręciły. Kostium był cienki, więc nie powinno mi być gorąco. Chciałam wyglądać tak świetnie, emanować taką dojrzałością, kobiecością i splendorem, żeby Peter siedząc naprzeciwko cierpiał na wspomnienie tych wszystkich minionych lat. Zresztą, zaraz po obiedzie, miałam pojechać taksówką do Jordana, żeby spróbować poukładać sobie resztę życia. To dla niego się ubierałam. To dla niego będę się rozbierać do końca życia.

Chwyciłam torebkę, wrzuciłam spray pieprzowy na wypadek gdyby wędrujący wzrok Petera zmienił się w buszujące palce. Żałowałam, że nie mam pistoletu albo harpuna, czy czegoś takiego.

Zanim ruszyłam na tę ostatnią wieczerzę, odtworzyłam wiadomości na sekretarce. Dzwonił Jordan.

26. Kimberly Chavers

Minęły godziny. Kimberly została pobita do nieprzytomności. Jej rozgrzane ciało nosiło ślady siniaków na twarzy, gdzie została uderzona i rzucona na żwirowaty asfalt. Z początku dziwna cisza wydawała jej się spokojna. Potem hałas powrócił. Słyszała krzyki w głowie. Nieprzerwane. Pełne wściekłości. Jej umysł wirował jak monsun.

Dźwięki zewnętrznego świata kłuły ją w uszy, krążyły wokół głowy i mieszały się z jej snem. Klakson samochodu. Głosy przechodzących ludzi. Ktoś rozmawiał i śmiał się z kimś, kto śmiał się i rozmawiał. Twarde kroki minęły w szybkim tempie — stuk, puk, stuk, puk.

Syrena zawyła gdzieś w oddali, zrobiła się głośniejsza kiedy się przybliżyła i zbladła oddalając się. Wtedy to, co przerażało Kimberly, powróciło. Bolesny jęk wydobywający się z jej wnętrza. Poczowała czyjeś ręce na gardle. W półśnie wydawało jej się, że widzi cień, z wyciągniętymi chudymi ramionami, rękami mocno zaciśniętymi na tchawicy, zaciskającymi jej gardło. Próbowwała podrapać paznokciami twarz cienia. Nie mogła dosięgnąć. Włosy cienia zafalowały. Jej oczy się rozszerzyły; miała serce w gardle. Cień ją dusił.

Powoli to, co wyglądało na chłodną śmierć, zmieniło się w nieprzyjemne ciepło i przypomniało jej o frustrującym życiu. Odrętwienie przeszło w nieprzyjemne zeszywnienie i ostry ból. Obudziła się kaszląc. Straszne konwulsje wstrząsały jej ciałem, gdy leżała na twardej, mokrej od sików ulicy, leżała na plecach dusząc się własną śliną. Sama się dobijała.

Zakrztusiła się, jęknęła, przewróciła na brzuch i wcisnęła obolałe ręce pod brodę. Po dłuższej chwili duszenia się i wymiotowania fluidów, które nie przestawały rozbryzgiwać jej się po twarzy i włosach, Kimberly odzyskała oddech, odgarnęła zmierzwiłone włosy ze zlanej potem twarzy. Pod księżycem w nowiu i nieruchomymi gwiazdami, pod Wielką Niedźwiedzicą i Orionem, czuła na ciele wgniecenia od gruzu. Małe kawałki wbiły się jej głęboko w skórę. Czuła, że ma coś porozcinane w ustach. Oderwane kawałki bolały i smakowały, jakby coś wulgarnego dostało się do środka, kopulowało i porozklejało swoje pociechy na ściankach podniebienia.

Warga wydawała się przecięta, pulsowała i bolała, kiedy oblizywała kąciki ust. Bez lusterka mogła powiedzieć, że napuchła. Przejechała językiem

po zębach i wewnątrz ust. Smakowało okropnie, jak miedź. Krew. Spróbowała spluć, ale krew, ślina i pot zmieszały się w coś gęstego i wstrętnego.

Nasłuchiwała hałasu, jakiegokolwiek dźwięku, który dałby jej poznać, czy jest sama, czy nadal czyha nad nią jakiś sęp. Usłyszała brzęczenie, skuliła się i zdała sobie sprawę, że to bransoletki na jej ręce wydają taki dźwięk. Nie była w stanie wyrównać oddechu i trzęsły się jej nogi.

Kimberly zdołała wciągnąć bose stopy pod siebie. Podciągnęła się do ceglanego murku i próbowała się podnieść. Jej wzrok usiłował przyzwyczaić się do ciemności, do ciemnego światła wieżowców w oddali. Próbowała się pozbierać, poprawić podartą bluzkę. W głowie filtrowała rozbiegane myśli.

Oszołomiona. Zdezorientowana. Próbowała sobie przypomnieć, kim jest i mamrotała *Kimberly, Kimberly, Kimberly*, jak gdyby usiłowała siebie przekonać, że Kimberly to właśnie ona.

Obrazy Oakland, San Antonio, Niemiec, San Bernardino i Etiopii migają jej przed oczami. Ale wiedziała, że jest w Nowym Jorku. Ale czy była na Górnym Manhattanie? Dolnym? W Village? W Jackson Heights?

Głowa pulsowała, kiedy ją uniosła; dotknęła miejsca z tyłu, gdzie bolało najbardziej. Tam jej włosy zbiły się i przykleiły do wilgotnego miejsca. Potem przypomniawszy sobie, że została uderzona w głowę. Upadek. Zastanawiała się, ile mogło upłynąć czasu, jak długo tak leżała, nieprzytomna i bezbronna.

Nadciągnął ciepły wiatr. Uderzył ją nagły podmuch powietrza, nadał jej bluzkę. Umysł podpowiadał jej, że jest naga od pasa w dół. Wtedy nagła fala, nowy strach, że być może została zgwałcona, owładnął jej przytępione zmysły i przeraził dość mocno, by całkiem się obudziła. Jej oczy rozszerzyły się; rozejrzała się dookoła; wydawało jej się, że słyszała coś w pobliżu; wydała krótki okrzyk; spanikowała, gdy ręka przygniotła jej usta. Bezbronna. Pieprzowy spray miała w torebce, ale gdzie torebka? Wolną ręką próbowała dosięgnąć i podrapać rękę przygniatającą jej usta. Kiedy ją podrapała, zabolęło. Ręka zaciśnięta na jej ustach była jej własną.

Upadła na kolana i macając ręką po ziemi próbowała znaleźć majtki, ale miała je na sobie. Podarte, jednak nie zerwane i nie w strzępach, jak się obawiała. Kimberly oparła się o ścianę i przesunęła ręką między nogami. Majtki miała na sobie. Nie czuła niczego, co mogłoby świadczyć, że coś się w nią wepchnęło. Przez moment poczuła pewien rodzaj ulgi. Przez moment. Ból i niepokój przypomniały jej, że nie było żadnej ulgi.

Po kolejnej chwili sprawdzania zdała sobie sprawę z tego, że jedna z jej piersi wypadła z satynowego stanika. Pomyślała, że stało się to w czasie sza-

motaniny z Peterem. Pamiętała, że się uśmiechał, wkurzał ją, próbował jej dotknąć, chciał ją pocałować, i że po tym uderzyła go w twarz z całej siły. Pamięta, że odeszła, zostawiła go siedzącego w restauracji, i że pogonił za nią ulicami. Tą uliczką.

Słyszała w oddali odgłosy nocnego ruchu ulicznego, echo samochodów przejeżdżających po pokrywach studzienek, chamstwo klaksonów. Wiedziała, że dla bezpieczeństwa musi się jak najszybciej wydostać z tego miejsca odosobnienia w otwartą brutalność.

Przechodzili ludzie. Nikt nie patrzył w jamę ciemności. Słabe światło maskowało twarze i sylwetki dwóch przechodzących osób. Wydawało jej się, że widzi koronę Statuy Wolności mrugającą na wysokości jej oczu. Bez względu na to, ile razy traciła i zyskiwała ostrość widzenia, szczyt Statuy Wolności widziała twarzą w twarz. To przyprawiało ją o dreszcze, wodziła ręką po ziemi. Miała nadzieję, że nie jest tak wysoko, i spaceruje po krawędzi budynku. *Czy jestem na Ellis Island?* Wrócił jej słuch i znowu wyraźnie usłyszała dźwięki ulicy. Ulic, które wydawały się tak odległe. Parę metrów od niej mignęły światła, nie zatrzymywały się. Kimberly usłyszała twarde kroki... stuk, puk, stuk, puk... ktoś musiał być w kowbojskich butach, usłyszała przytłumioną rozmowę po hiszpańsku. Potem śmiech. Głosy dziewcząt. Młodych kobiet. Wydawało jej się, że można im zaufać. Rozum podpowiadał jej, że nie ma wyboru. Kimberly zawołała, urywanym, jęklwym krzykiem o pomoc. Sam dźwięk ją zaskoczył, bo zabrzmiała jak zachrypnięty obcokrajowiec. Nigdy nie słyszała swojego głosu tak wysokiego — żalostnego i bezradnego, bez siły.

Odnalazła głos, próbowała zawołać raz jeszcze. Postacie zwolniły, urwały rozmowę, i przyspieszyły bez słowa. Oczywiście. Żaden zdrowy obywatel nie podążyłby za dziwnym krzykiem w ciemność. Na terenie naciągaczy i oszustów byłaby to głupota.

Kimberly zdobyła się na kolejny krok, minęła ceglana ścianę magazynu, odeszła od mieszkań w stronę światła i dźwięków ulicy. Zobaczyła schody przeciwpożarowe przylegające do ściany prawie każdego budynku, i znowu, gdy spojrzała prosto przed siebie, ujrzała koronę Statuy Wolności, nadal tam, widoczną pomiędzy dwoma ceglanymi domami, wznoszącymi się z betonu. Ruszyła w stronę zatopionej Pani Wolności, podjęła niepewną i paniczną wyprawę w poszukiwaniu wolności, wtedy potknęła się o coś i upadła. Upadła zbyt szybko, by się złapać. Wylądowała na zwirowatym asfalcie, zadrapała ramię. Głowa bardziej ją zabolowała. Zmrużonymi oczami spojrzała, na co upadła. Z początku myślała, że to jeden z worków na śmieci ustawionych wzdłuż ulicy.

To nie był worek.

To był Peter.

Zacisnęła dłonie na ustach, stłumiła krzyk.

Strach pozwolił jej się skupić.

To był Peter.

Jasne światła pojawiły się znikąd, zaświeciły jej prosto w oczy i oślepiły ją.

Odsunęła dłonie i pozwoliła krzykowi ożyć.

Czerwone i niebieskie światła kręciły się, gdy ludzie z odznakami przechodzili w tę i z powrotem na teren ograniczony żółtą policyjną taśmą. Robili zdjęcia i zadawali pytania. Varick Sreet została opleciona taśmą; ruch zmieniono. Odgłosy kroków przybliżały się i oddalały; mamrotanie wypełniało ciszą przed paru minut.

Przyjechały dwie karetki.

Jedna podjechała do Petera.

Któryś z pielęgniarzy wziął Kimberly za rękę. Wyszła z ciemności i usiadła w świetle ulicy, owinięta grubym policyjnym kocem. Sprawdzili jej obrażenia. Łagodne wstrząśnienie mózgu. Głównie siniaki i zadrapania.

Miała małego guza z tyłu głowy. Spuchniętą wargę. Jej brylantowe kolczyki zniknęły. Zajrzeli jej do ust i powiedzieli, że zęby są w porządku. Dzięki Bogu, pomyślała. Kiedy posadzili ją na nosze, zobaczyła Petera. Położyli go na innych noszach i druga karetka natychmiast odjechała. Wydawało jej się, że zauważyła jak Peter na nią patrzy.

Zastanawiał ją cały ten bałagan. Co powie Jordanowi? To, co zaczęło się jak prosty problem, nawarstwiło się. Peter był ranny. Ona została pobita. Będzie musiała zadzwonić do Jordana, a kiedy on przyjdzie do szpitala, wyjaśnić mu, usprawiedliwić kolację z mężem, o którym nikt nie wiedział.

Kiedy wieźli ją z parkingu pogotowia przez podwójne drzwi, światła z sufitu paliły ją w oczy. Przejście z ciemnej nocy do takiej jasności było zbyt gwałtowne. Nie była na nie przygotowana. Zauważyła telefon, ale zanim zdołała wymamrotać swoją prośbę, została przewieziona korytarzem pełnym cho-

rych ludzi. Jakaś gruba kobieta leżała na wąskich noszach — posiniaczona twarz z nieruszającymi się oczami.

Ponad dwieście osób. Zgiełk i zamieszanie dochodziło ze wszystkich stron i mieszało się z wezwaniami różnych lekarzy, ludzi potrzebnych tu czy tam. Głosów w różnych językach. Dziecko wrzeszczało wniebogłosy. Stary człowiek z krwawiącą stopą przeklinał, wieziony na wózku.

Ktoś chrząknął:

— Przepraszam.

Ktoś inny rzucił:

— Co ci się do cholery stało?

— Blokujesz korytarz.

— Czyje to przekłete dziecko?

Ktoś w białym kitlu, z plastikową odznaką, z szerokim uśmiechem zapytał o ubezpieczenie. Kimberly powiedziała że obejmuje ją ubezpieczenie rodziców — to z pełnym odszkodowaniem od wypadków i ran — wtedy uśmiechy stały się częstsze, obsługa lepsza, pytań padało mniej.

Kiedy spytano, czy chce zadzwonić do rodziny, chciała skontaktować się z Jordanem, ale przełknęła tęsknotę i podała numer Kinikki.

Zadzwonili do Kinikki.

Kinikki zadzwoniła do Sharon.

Próbowała się odprężyć w długim białym korytarzu z igłą od kroplówki w ramieniu. Minęło sporo czasu i zanim się obejrzała, leżała już na innym łóżku, przykryta szpitalnym kocem, a głowę miała zabandażowaną. Poznała, że to inne łóżko tylko po tym, że było bardziej miękkie i jedno z kółek skrzypiało przy najmniejszym poruszeniu. Bolała ją głowa. Napięcie rozrosło się jak dzikie chwasty, ale i tak była już dużo spokojniejsza.

Nie wiedziała kiedy, bo jej wewnętrzny zegar został rozregulowany, ale jej przyjaciółki pojawiły się znikąd. Kinikki ubrana w dżinsy i koszulkę z festiwalu Reggae. Trzymała prawą dłoń Kimberly, gdy Sharon stała blisko niej z dłonią na lewym udzie Kimberly. Kinikki cicho płakała i uśmiechnęła się, gdy Kimberly otworzyła oczy. Sharon włożyła okulary, kiedy przestała płakać. Kimberly była zbyt zmęczona, obolała, zawstydzona i zupełnie wypłakana. Poza tym, nawet teraz, nie chciała zacząć paplać przed przyjaciółkami i salą pełną chorych i umierających obcych ludzi.

— Dobrze się czujesz? — spytała Sharon i otarła oczy. — To znaczy, jak się czujesz?

— Nie zmuszaj jej do rozmowy — powiedziała Kinikki. — Daj jej odpocząć. Dużo przeszła.

Kiedy Kimberly odchrząknęła i otworzyła usta, by coś powiedzieć, Kinikki powiedziała cicho:

— Oszczędzaj siły i nie denerwuj się. To musisz robić. Potem będzie mnóstwo czasu na rozmowy.

Młody policjant, który przyjechał na parking i znalazł oboje, przyszedł, by zobaczyć, jak Kimberly się czuje. Skinęła głową, jęknęła, że wszystko w porządku. Nastoletnie Portorykanki, które ją minęły, przestraszone krzykami Kimberly zatrzymały policjanta i powiedziały, że ktoś przy bankomacie wzywa pomocy. Nie wiedziały, czy ktoś został napadnięty, czy może jakiś gwałciciel próbuje je zwabić. Stały w korytarzu na czele ciekawskiego i nonszlanckiego tłumu szpitala, obok mężów Kinikki i Sharon, Jamala i Todda obie dziewczyny obgryzały paznokcie i spoglądały na Kimberly. Pomachały do niej. Kimberly uśmiechnęła się dziękczynnie do swych młodych wybawczyń, najlepiej jak mogła.

Potem wyszły. Zniknęły jak anioły w nocnych ciemnościach.

Kiedy policjant do niej podszedł, chciał najpierw wiedzieć, czy wszystko w porządku. Jego pytanie wydawało się bardziej proceduralne, na przełamanie lodów, niż wypływające ze szczerzej troski. Skinęła i jęknęła. Bolało, kiedy poruszała głowę. Kinikki i Sharon odsunęły się, a potem wycofały do swoich mężów. Kimberly zamknęła oczy. Policjant mówił. Miękkim śledczym tonem, podał swoje nazwisko i zadawał kolejne pytania, równocześnie notując. Mimo że wydawało jej się, że już to mówiła, policjant jeszcze raz spytał ją o nazwisko. Wtedy zdała sobie sprawę, że to inny policjant ze standardowymi policyjnymi wąsami.

Powiedziała: *Kimberly Denise Chavers*.

Kimberly Chavers, ta malarka?

Ach, tak. Tak, to ja. Jestem Kimberly.

Widziałem pani prace w Village.

Och.

Czy znała pani mężczyznę przy bankomacie?

Tak.

Czy to on panią napadł, pani Chavers?

To mój mąż.

Och. Na podstawie tego, co powiedziały nam dziewczyny, wyciągnęliśmy mylne wnioski. Więc jest pani panią Chavers?

Nie. Pani Kimberly Chavers. Używam panińskiego nazwiska. Jesteśmy w separacji. Od jakiegoś czasu jesteśmy w separacji. Od lat.

Aha, rozumiem. Jak on się nazywał?

Peter Stenson. Jak on się czuje?

Przykro mi. Myślałem, że panią poinformowano. Z przykrością muszę powiedzieć, że pan Stenson zmarł dwie godziny temu. Został przywieziony martwy.

27. Kimberly Chavers

Słyszałam głos policjanta mówiącego *Pan Stenson nie żyje. Pan Stenson nie żyje*. Grało to ciągle jak porysowana płyta.

Jak do tego wszystkiego doszło? Ostatnie, co pamiętam z pewną jasnością, pewnością, to że niechętnie, powoli się ubierałam, potem siadłam na krawędzi łóżka i odtworzyłam wiadomości na sekretarce i słuchałam wiadomości Jordana. Wydawał się przygnębiony, trochę sfrustrowany.

„Co słyszać, Kimberly? Nie chcę ciągle do ciebie wydzwaniać, ale nie odezwałaś się, odkąd stąd wybiegłaś. I martwię się. Zadzwoń, żebym wiedział, że wszystko w porządku, dobrze? Czy mogłabyś to dla mnie zrobić, za nim zgłoszę na policji zaginięcie?”

Szeroki uśmiech pojawił się na mojej twarzy. Puściłam wiadomość dwa razy i wsłuchiwałam się w jego głos. Ubrałam się, podeszłam do drzwi, wyszłam, żeby zdążyć na 34. Ulicę przed ósmą, ale gdy tylko zachodzące słońce uderzyło mnie w twarz, moje priorytety stały się jasne. Wbiegłam z powrotem po schodach, weszłam do środka, prosto do telefonu. Zanim wyszłam na spotkanie z nieważnym Peterem, oddzwoniłam do mojego ważnego Jordana. Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale musiałam z nim porozmawiać przed wyjściem. Może przygotować go na rozmowę, którą chciałam przeprowadzić z nim później.

Powiedziałam, że właśnie wychodzę na spotkanie w interesach. Spytał, czy mógłby mi towarzyszyć, mówił, że może być fajnie. Ścisnęło mnie od tego w gardle. Moje kłamstwo zapędziło mnie w kozi róg.

— Nie, nie ma potrzeby — zachichotałam i spojrzałam na pomalowane paznokcie.

— Chciałam przeprosić za wczorajszy wieczór. Denerwuję się paroma sprawami.

— Jakimi?

— Jordan — zaczęłam. — Powiedziałeś, że mnie kochasz.

— Wiem. Ty też powiedziałeś, że mnie kochasz.

— Powiedziałam i Kocham.

— Tuż przed tym, jak ode mnie uciekłaś. Co to za miłość, którą obdarzasz faceta?

— Nie wkurzaj się na mnie — odgryzłam mu się, bo wydawało mi się, że jest wściekły.

— Kochasz mnie?

— Tak. — Uczucie bezbronności pobrzmiwało w jego słowach. — Czy to stanowi jakiś problem? Mam się odsunąć i dać sobie spokój?

Roześmiałam się.

— Nie.

— Wiesz, co to znaczy, prawda?

— Co?

— Jesteśmy zakochani.

— Cha, cha — powiedziałam i oboje roześmieliśmy się. Pomyślałam, że może wyolbrzymiam sobie wszystkie swoje problemy. Ale byłam tak... cóż, jak by to ująć? Nie dzieliłam się całą sobą z każdym. Trochę oszczędzałam dla Kimberly. Zwłaszcza części, które mogłyby podlegać analizie. Westchnęłam. — Musimy porozmawiać.

— O?

— O mnie i o tobie. Zwłaszcza o mnie.

— Co z tobą?

— Jest kilka spraw, o których nie wiesz.

— Takich jak?

— Spędzamy ze sobą dużo czasu i sam wiesz. Jestem w tobie zakochana. Kurczę, stale to powtarzam. Czuję się taka bezbronna, gdy to mówię.

Jordan roześmiał się.

— Brzmi tak, jakbyś mnie nienawidziła.

— Przestań się droczyć. — Odchrząknęłam. — Musimy P0' rozmawiać.

— Dobrze. Ja też chciałem z tobą porozmawiać o kilku rzeczach.

— Twoi bracia w porządku?

— Nie chodzi o nich.

— Mogę przyjść po spotkaniu. — Poczułam, jak się uśmiecham. — Jeśli będzie późno, obudzę cię.

— Mocno stukaj.

— Dobrze.

Przyjechałam na 34. Ulicę czterdzieści minut spóźniona. Peter jeszcze tam stał, z boku przepychającego się tłumu, czekał przed wejściem do „Macy's”. Był w jasnozielonym garniturze i krawacie. Drobną, krótko ostrzyżoną Afro — — Amerykanka w dżinsach i pięknej bluzce w pomarańczowe wzory uśmiechała się i flirtowała z nim.

Kiedy się obok nich zatrzymałam, zmarszczyła na mnie brwi. Skrzywiła się na Petera i kiedy jego uśmiech powiedział jej, że czeka właśnie na mnie, potrząsnęła głową, syknęła i powiedziała:

— Och, teraz rozumiem.

— Co rozumiesz? — spytał Peter.

— Jesteś jednym z tych braci.

Znów, mimo że nie byłam z Peterem w tym sensie, byłam zdumiona. Nawet mnie nie znała, a gadała o mnie, jakbym była mniej niż zerem. I oczywiście było, że dopiero co ją poznał czekając na mnie.

— Chociaż jej się tak wydaje — powiedział Peter z uśmiechem wyższości i przejechał ręką po falistych włosach — nie jest biała. Jest siostrą zupełnie jak ty.

— Peter, nie zaczynaj znowu z tymi głupstwami — powiedziałam.

— Dlaczego wy czarni zawsze musicie uganiać się za białymi dziewczynami?

— Mówię poważnie. Ona nie jest biała. — Peter mrugnął na mnie. — Jest czarna jak ty i ja.

Zanim się spostrzegłam, niepokój i gniew zmieszały się i doprowadziły do tego, że krzyknęłam:

— Pieprz się.

Peter roześmiał się.

— Widzisz? Mówiłem ci. Ona tylko wygląda jak biała. Ale mała Afrykańska Królowa usiłuje wydostać się z jej Wnętrza.

— Pieprz się. — Nie wiedziałam, kogo obrzucam przekleństwami, ale nie miało to znaczenia, bo zanim zupełnie straciłam panowanie, udało mi się odzyskać spokój. Postanowiłam sobie odpuścić, nim ta sytuacja wymknie się spod kontroli, zanim wdamy się w jedną z tych głupich nowojorskich ulicznych kłótni o nic. Zła kobieta rzuciła jeszcze kilka głupich uwag, nic przyjemnego, same oszczerstwa, nic, czego moje uszy nie słyszały przez te wszystkie lata. Nic, co byłoby w stanie jeszcze bardziej mnie obrazić.

Odbiegłam od nich i spróbowałam złapać taksówkę. Kiedy jedną zatrzymałam, zanim zdążyłam zamknąć drzwi, wszedł do niej Peter. Zanim taksówkarz zdążył powiedzieć słowo, wyskoczyłam po drugiej stronie, od strony ruchu ulicznego, przez co kilka samochodów musiało się z piskiem opon zatrzymać. Peter wyskoczył za mną i gonił mnie. Przebiegałam przez ulicę, pokonując sznury samochodów. Taksówkarz wyskoczył i zaczął obrzucać nas przekleństwami. Ale poruszałam się jak gazela i mijałam korki.

Kierowcy trąbili i przeklinali, i robili ordynarne gesty, kiedy ja przemykałam obok nich, odwzajemniając przekleństwa i wulgarność. Na tych przeklętych obcasach nie dało się szybko iść ani manewrować jak chciałam, nie narażając się na zwichnięcie kostki. Przyciągaliśmy zbyt dużą uwagę. Kiedy weszłam na chodnik i przeszłam na paluszkach po kratce kanalizacyjnej, żeby nie zahaczył mi się tam obcas, Peter już deptał mi po piętach.

— Zjeżdżaj! — rzuciłam i machnęłam na niego ręką. — Odejdź.

— Jesteśmy umówieni na obiad.

— Po co naopowiadałeś jej tych głupot, co?

— Co?

— Wiesz, co. Nie udawaj głupiego.

— Kimberly, jesteś czarna.

— Nie będę teraz o tym rozmawiać.

— Twój ojciec jest czarny.

— Moja matka jest na wpół Irlandką, na wpół Niemką.

— A to i tak czyni cię czarną.

Wiedziałam, że wspomni o tym przed wyjazdem. Jak mój ojciec, Peter nigdy nie próbował zrozumieć mnie ani tego, co czuję. Nawet z ojcem Mula-tem, kiedy zaczęliśmy przenosić się z bazy do bazy, wychowywałam się w

białej kulturze. Taty nie było przy moich narodzinach i chociaż Mamusia powiedziała lekarzom, wpisali w mojej karcie, że jestem biała.

Zaprzeczają temu, ale rodzina mojego ojca była wobec mnie okrutna. Dla siebie byli dobrzy, ale ja nie pasowałam. Przez trzy lata, od trzeciej klasy, musiałam znosić ich odwrotny rasizm i tortury, przetrwać ich zepsuty system wartości i nurzać się w szambie ich pogwałconego poczucia własnej wartości. Uwielbiali mnie bić, bo na rękach robiły mi się siniaki. Wydaje mi się, że każdą drogę ze szkoły musiałam się bić. Ktoś zawsze próbował odebrać mi lunch albo rower, albo coś innego, czego jeszcze nie zdołali mi odebrać. No i były te przezwiska, których nigdy nie zapomnę — Żółty Banan, Albinoski Czarnuch, Czarny Cień, Czarny Białas, Błada Twarz, Biały Murzyn. Dręczenie to jedno, ale to były bezpośrednie ataki, bo wyglądałam trochę „inaczej”. Kiedy wychodziło to od obcych, to jedno. Bolało. Ale piekło do żywego, gdy wyzwiska pochodziły od twojej własnej rodziny, kiedy siedziałas przy wigilijnym stole przy twojej własnej choince. Rzucali swoje małe żarciki, udawali, że to nic wielkiego, a kiedy robiłam się czerwona jak burak i okazywałam swoją złość, zaczęli się śmiać i mówili, że przesadzam.

Tak się denerwowałam w ich towarzystwie, że się moczyłam. A dorośli myśleli, że to zabawne. Z zażenowania chciało mi się wymiotować. Kiedy dorośli odchodzili, otaczali mnie moi własni kuzyni, pukali mnie palcem w czoło i szeptali tak, żeby nikt inny nie słyszał: „Brakuje ci koloru. Jutro cię złapiemy i pomalujemy, żebyś wyglądała właściwie”.

To mnie przerażało. Bolało bardziej, niż ktokolwiek był sobie w stanie wyobrazić. Dniem i nocą atakowali moje poczucie własnej wartości. Mamusia pilnowała, żebym mówiła poprawnie po angielsku, więc wszyscy ze mnie kpiłi i mówili, że dziwnie mówię. Więc żeby zapobiec ciągłym Wyzwiskom, mało się odzywałam.

A mój ojciec nigdy się za mną nie wstawił i nigdy nie zmusił ich, żeby przestali. Nigdy. Kiedy przychodziłam do niego z płaczem, mówił: „To tylko dzieci”.

Nigdy nie zrobił niczego, co złagodziłoby mój ból, ani nie powiedział czegoś, co poprawiłoby moje poczucie własnej wartości. Skoro jego biały ojciec porzucił jego czarną matkę, nie wydaje mi się, by czuł się zobowiązany, by mnie bronić. Tak jakby chciał, żeby pogarda zmieniła mój kolor skóry, uczyniła bardziej podobną do nich. Straciłam nadzieję na nawiązanie z nim jakiegokolwiek więzi. Nigdy nie zwrócił nikomu uwagi, zostawiał mnie i moje łzy Mamusi. Tata nic nie zrobił. Nawet wtedy, gdy powiedziałam mu, że jego matka, moja babcia, opowiadała o mnie głupie dowcipy. Przed wszystkimi nazywała mnie Groszkiem. Zebra. Piegiem. Babcia Lorna nazywała mnie ru-

dą Kim. Oni wszyscy nazywali mnie rudą Kim. Kiedy jest się dzieckiem, to boli. Wytrzymujesz to, nienawidząc tego, ale oni nadal to robią, ponieważ wiedzą, że ty tego nienawidzisz. To zostaje w twoim umyśle, bo twój umysł zostaje z tobą. Właśnie dlatego wysłałam jedynie kwiaty na pogrzeb babci i wymówiłam się byle czym, żeby nie iść. Jej Zebra nie chciała jej oglądać, a ja nie potrzebowałam oglądać ich wszystkich.

Z boku, to może źle zabrzmieć. Ale aby zrozumieć, co to jest dla danej osoby, musiałabyś być mną. Nie da się wytłumaczyć bólu. I nie zapomina się słów. Spojrzeń. Kaśliwych uwag. Nigdy nie zapomina się poczucia odrzucenia. Bolał sposób, w jaki to mówili. Jak odzywali się do mnie z wyższością. Jak mnie obgadywali. Doprowadzali mnie do łez i nienawidziłam się z nimi spotykać. A ponieważ nie wyglądałam tak jak chcieli, tak jak myśleli, że ludzie w ich rodzinie powinni wyglądać, byłam czarną owcą. Byłam źle traktowana, bo mój poziom melaniny był nieakceptowany. Czytałam, że z powodu miłości międzyrasowych istnieje co najmniej pięćdziesiąt odcieni czerni. Zdaje się, że wylądowałam na niewłaściwym końcu tego spektrum.

Zagłębiłam się w siebie i próbowałam odnaleźć coś pozytywnego. Wtedy zaczęłam stawać się Kimberly artystką. Zamykałam się w sobie i tworzyłam piękne rzeczy. Moja praca była moim przyjacielem. Moja zemsta — moim sukcesem.

Najgorszy był Mark, mój starszy kuzyn, z nas wszystkich najciemniejszy. Próbował mnie molestować i podejść mówiąc: „Jeśli mi pozwolisz go sobie włożyć, zrobisz się czarna”.

Tak bardzo pragnęłam akceptacji, pragnęłam być taka jak oni, że dałam się na to namówić. I przez całą noc przyglądałam się sobie w lustrze, sprawdzając, czy się zmieniłam. Nic, absolutnie nic się nie stało. Nic, poza tym, że Mark opowiedział o tym wszystkim swoim wstrętnym małym kumplom i zaczęli wystawać przed domem jak psy. Powtarzając te same kłamstwa. „Musisz natrafić na tego właściwego”.

Ponieważ byłam taką „białą dziewczynką” i tak różną, wszyscy chcieli podkraść się i uszczknąć trochę tej „różowości”. Wszyscy chcieli mnie uszczypnąć. Powiedziałam Mamusi, co zrobił Mark i na co chciał, żebym pozwoliła jego przyjacielom. Zdenerwowała się. Po rozmowie Mamusi z jego matką, Mark trzymał się ode mnie z daleka.

Nie rozumieli, dlaczego już ich nie odwiedzam. Ale kiedy nie jest się stroną atakowaną, nie pamięta się. Tyrani nigdy nie pamiętają swoich ofiar.

Był pewien okres, tuż zanim wyszłam za Petera, kiedy mówiłam wszystkim, że jestem czarna. W końcu istnieje zasada , jednej kropli”. Czy plotka.

Czy coś. Kiedy usłyszałam o tej zasadzie, siadałam z dzbankami kawy i galonami mleka. Czasem nalewałam do mleka tyle kawy, że mleko zanikało. Innym razem dolewałam mleka do kawy, aż kawa zniknęła. Nalewałam trzy czwarte mleka i jedną czwartą kawy i próbowałam dojść, czy smakuje jak mleko zmieszane z kawą, czy jak kawa zmieszana z mlekiem. Ale w każdym wypadku, kiedy dolewałam jedną kroplę więcej, nic się nie zmieniało. Jedna kropla mleka w kawie i to nadal była kawa. Jedna kropla kawy w mleku i to nadal było mleko.

Tak, miałam strasznie namieszane w głowie. Bardzo łatwo było mnie zranić.

Poznałam Petera w trakcie całego tego zamieszania. W okresie, kiedy ponad wszystko potrzebowałam zrozumienia. A ponieważ był Mulatem, sprawiał wrażenie, jakby rozumiał, przez co przechodzę. No właśnie, sprawiał wrażenie. Nie był szczery. Mówił i robił to, co trzeba, żebym zgodziła się oddać swoje dziewictwo. Tak czy inaczej, to, co z niego zostało. I za każdym razem, kiedy Peter przedstawiał mnie innym czarnym, swoim przyjacielom czy rodzinie, czuł się zobowiązany zgasić płomień w ich oczach szybkim wyjaśnieniem, że mój ojciec jest Mulatem. Z początku mówił *Mulatem*, później, mówił po prostu: „Jej ojciec jest *naszym bratem*”.

Jego głupota była jednym z powodów, dla których chciał zatrzymać mnie w domu z dala od ludzi.

Kiedy miałam już dość zaniedbywania i znęcania się; zostawiłam go i spróbowałam poradzić sobie sama. Gdy wypełniałam kwestionariusz podania o pracę albo cokolwiek, i musiałam podać swój kolor, rasę czy pochodzenie etniczne, kiedy zaznaczałam *czarny*, zawsze to zmieniali albo na *wybielona* — wyraz, który sam w sobie był żartem — albo wycierali moją odpowiedź i wpisywali białą bez pytania. Zakładali z góry. Byłam zmęczona ciągłym tłumaczeniem, potrzebowałam własnych pieniędzy, nie czułam potrzeby wyjaśniania kim albo czym byłam. A sposób, w jaki się we mnie wpatrywali, świadczył, że zawsze byłam *czym*, nigdy *kim*.

Kiedy pojechałam do Afryki, niczego nie szukałam. Nie musiałam badać tego, co już wiedziałam. Bez wątpienia, mam w żyłach czarną krew, więc chciałam zobaczyć drugą stronę mojego drzewa rodzinnego. Sama. Siadałam i obserwowałam Etiopczyków i pięknych ludzi z Wybrzeża Kości Słoniowej. Potem przyglądałam się sobie. Chociaż miałam pewne rysy, które mogłyby zostać uznane za czarne, głównie w Ameryce, nie wystarczały, by zatrzeć resztę, zabić tę drugą stronę. Nie dość kawy, by przytłumić mleko. Ludzie w Afryce myśleli, że jestem Włoszką, Szkotką, Irlandką. Ani razu nie zostałam spytana, czy jestem czarną Amerykanką. Ani razu.

Usiadłam spokojnie i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego muszę wybierać jedno środowisko. Najprawdopodobniej miałam przodków i na statku „Mayflower”, i na statkach niewolników. Właściciele niewolników i niewolników. Jeśli miałam w sobie krew niewolników i zarządców, chyba znaczyło to, że powinnam się nienawidzić. Do tego nie mogłam dopuścić.

I to było częścią, jeśli nie całością przyczyny, dla której nie byłam z ojcem blisko. Nie mógł zrozumieć, dlaczego me poszłam na pogrzeb jego matki. Dlaczego nie mogłam pójść. Rodzina mojej matki zawsze dobrze mnie traktowała, nie tak jakbym była jakimś dziwolągiem. Witali mnie z otwartymi ramionami, ale w oczach zawsze mieli to dziwne spojrzenie— Zaakceptowali mojego ojca w rodzinie, nigdy go jednak nie pokochali. Byli jedynie uprzejmi w jego obecności. I ta hipokryzja bolała mnie. Kiedy Tata dostawał kolejne rozkazy i przenosiliśmy się z bazy do bazy, zostawiliśmy ich wszystkich. Byłam po prostu Kimberly. Nie żadną białą dziewczynką. Nie żadną Zebra.

Peter nadal deptał mi po piętach. Myślałam o tym wszystkim, przeżyłam to jeszcze raz, zanim przebiegłam połowę długości ulicy. Wszystko, głosy i ludzie Nowego Jorku, zostało odsunięte przez nieprzyjemne, niechciane wspomnienia. Peter dyszał i stękał, próbując dotrzymać mi kroku. Co dowodziło, że Kalifornijczycy to mięczaki, uzależnieni od swoich samochodów, nie są w stanie stawić czoła ulicom Nowego Jorku.

— W porządku. — Peterowi brakło tchu. Odzyskał oddech, poluzował kołnierzyk, przeczesał brodę. — Kim.

— Kimberly. Nazywam się Kimberly.

— Dobrze, Kimberly. Powiem coś jeszcze, a potem zarzucę temat. Biali nie chorują na tę chorobę.

— Ja też na to nie choruję.

— Ale jesteś w grupie wysokiego ryzyka.

Machnęłam na niego ręką.

— Z drogi.

Zatrzymałam się kilka przecznic dalej, bo Peter nie miał zamiaru przestać mnie śledzić. Byłam zmęczona. Zmęczona za szybkim biegiem donikąd. Zmęczona uciekaniem przed przeszłością, która wykrzykiwała moje imię na ulicach Nowego Jorku.

Zatrzymałam się i odgarnęłam włosy z twarzy.

— Miejmy to już za sobą.

— Dobrze. — Peter miał łagodny głos. — Kimberly, przepraszam.

— No pewnie.

— Chodzi o to, że nie widziałem cię tak długo. To Wszystko. Przez lata zastanawiałem się, jak ci się powodzi. To była dla mnie otwarta rana. Nie wiedziałem, czy Wszystko z tobą w porządku, czy może potrzebujesz pomocy. albo czegoś. Wiem, że nie byłaś w najlepszej formie, śdy ode mnie odchodziłaś. A poza tym, mam dziewczynę.

Jesteśmy razem od dwóch lat. Może jak już to załatwimy, to znów się ożenię.

— Więc po jaką cholere chcesz iść ze mną na obiad?

— A idziemy?

— Gdzie twoja dziewczyna?

— W hotelu.

— Zostawiłeś ją w New Jersey?

— Nie. W Kalifornii — zachichotał i otarł pot. — W San Luis Obispo. Pracujemy razem.

Ani trochę się nie zmienił. Ale przynajmniej pozwalał jej pracować.

Zmusiłam go, żeby zapłacił za taksówkę do 300 Greenwich Street. W restauracji „Toon's” zamówiłam małą sałatkę z owoców morza i rybę, Peter wieprzowinę i kurczaka z makaronem. Zanim przynieśli nasze zamówienia, wymówiłam się, że muszę iść do łazienki, i pobiegłam do telefonu w pobliżu wejścia. Schowałam się za barem i zadzwoniłam do Jordana, żeby mu powiedzieć, że będę u niego za parę godzin.

Jordan zapytał:

— Gdzie jesteś?

Powiedziałam mu.

— Przynieść ci coś?

— Nie, zjadłem parę kanapek.

— Co robisz?

— Rozmawiam na drugiej linii.

— Z?

— Zoe.

— Czemu rozmawiasz z Zoe?

— Coś się psuje między Solomonem i Zoe i chciała ze mną pogadać. Do zobaczenia później.

— Kocham cię.

— Ditto.

— O, nie. Nie baw się w ducha.

Roześmiał się.

— Kocham cię.

Nagle zapragnęłam Jordana. Bardzo mocno. Tęskniłam za nim. Była już prawie dziesiąta, a ja jadłam obiad z kretynem. W tym tempie nie będę u Jordana przed północą. Musiałam to przyspieszyć. Pragnęłam miłej, przyzwoitej randki z Jordanem. Czułam, jak miłość zatacza swoje kółka w moim żołądku. Powiedział mi, że mnie kocha, przez telefon, a ja chciałam to usłyszeć osobiście. Chciałam widzieć jego oczy, obserwować, jak poruszają się jego usta, i przysunąć się na tyle blisko, by je polizać, gdy będzie to mówił. Pragnęłam całować i smakować to, gdy tylko spłynie z koniuszka jego języka. I chciałam je usłyszeć, kiedy, no wiesz, kiedy staniemy się dzicy i niepohamowani. Ale robiło się późno, a on musiał iść wcześniej do pracy, więc musiałam się ruszyć, jeśli chciałam coś dostać.

Przy stole, ze spuszczoną głową, prowadząc nudną rozmowę podczas tej ostatniej kolacji, spojrzałam nagle do góry i zaskoczyła mnie wpatrzona we mnie twarz Petera.

Peter uśmiechnął się szelmowsko i raptem zapytał:

— Chcesz się pokochać za stare czasy?

— Przepraszam, co powiedziałaś? — Położyłam widelec na talerzu i dałam mu szansę odwołania niestosownych słów.

— Pamiętasz, jak się do tego zabieraliśmy?

— Do czego?

— Jak się kochaliśmy?

— Nie za bardzo.

— Ja pamiętam.

— Tobie to dobrze.

— Więc — sączył wino — co powiesz na to, byśmy skrócili obiad?

— I?

— Po pierwsze, możesz przestać udawać trudną do zdobycia.

— I?

— Skoro to będzie ostatni raz, kiedy się spotykamy, pokochajmy się i zakończmy to tak, jak się zaczęło.

— Ja cię nie kocham.

Lekko się uśmiechnął.

— Tak ładnie wyglądasz. Twoje włosy. Zeszczuplałaś.

Zachichotałam z litości.

— Tak, to prawda.

— Widać, że dużo ćwiczysz. I jeśli pozwolisz, powiem, że Wyglądasz łacinie. Bardzo ładnie. Jestem zaskoczony i pod Wrażeniem.

— Rozumiem.

— I jeśli pozwolisz mi kontynuować otwarcie i szczerze bardzo chciałbym znaleźć się w tobie dzisiejszej nocy. W końcu — uśmiechnął się szeroko — wciąż jesteśmy małżeństwem, nie?

— To się zgadza.

— I pozwól, że ci powiem, kocham się teraz dużo lepiej niż wtedy.

Nawet nie drgnęła mi powieka, nie chciałam dać po sobie poznać, jak bardzo wkurzyły mnie jego komentarze. Jak grzechotnik, nie spuszczałam ofiary z oka. Położył swoją rękę na mojej. Może pomyślał, że skoro nie wrzasnęłam zaprzeczenia, skoro moja pokerowa mina nie ujawniała warstw obrzydzenia, to znaczy, że zgadzam się, dałam się uwieść jego żądzy do czegoś, co od początku powinien był właściwie traktować.

Przysunął się bliżej, a ja nadal nie powiedziałam ani słowa. Nie miał zielonego pojęcia, że bawi się ze mną i szybką Matką Naturą. Spokojnie zjadłam kolejną porcję sałatki. Jego noga uderzyła o moją. Nie drgnęłam. Jego ręka

dotknęła mojej nogi. Nie skuliłam się. Jadłam sobie spokojnie dalej i patrzyłam na niego. Gdy pieścił moje udo, uśmiechnęłam się i udałam, że jestem zbyt nonszalancka, by odmówić. Uśmiechnął się i przechylił bliżej, by mnie pocałować. Teraz był tak blisko, jak chciałam. Bliżej, niż potrzebowałam. Odchyliłam się i trzasnęłam go po twarzy z całej siły i rzuciłam swój talerz z sałatką prosto w twarz tak mocno, jak tylko mogłam. Talerz z delikatnego przezroczystego szkła z pięknym wzorem uderzył go w czoło, spadł na podłogę i rozbił się na jakieś dziesięć dużych kawałków, i tysiąc mniejszych. Peter wrzasnął, złapał się za głowę, strzepnął klejące liście sałaty, małe kawałki tostu i małe krewetki z twarzy, i odchylił się do tyłu. Tłusty sos poplamiał mu garnitur. Cała sala dobrze ubranych ludzi zamilkła i spojrzała na nas. Zrobiłam to, co moja przyjaciółka Sharon zawsze robiła — lekko podniosłam serwetkę i dotknęłam nią kącików ust. Z żadnej strony sali nie słyszałam brzęku widelca o talerz. Ale czułam spojrzenia. I guzik mnie one obchodziły. Wszyscy przestali jeść, by obejrzeć przedstawienie.

Popiłam wina, skrzyżowałam ręce, usiadłam wygodnie. Chciałam mieć pewność, że to spojrzenie mówiące „to nie są żarty” będzie ostatnim, jakie zobaczy na mojej twarzy. Chwilę później odsunęłam krzesło, chwyciłam torebkę, przeszłam obok baru przez drzwi i skręciłam w prawo przy TriBeCa Studio Deli. Poszłam tą wąską jednokierunkową ulicą w stronę Varick, żeby złapać taksówkę i szybko się stąd wynieść. Parę kroków dalej, kiedy przeszłam przez ulicę i weszłam przez drewniane drzwi do piekarni Zeppole, Peter mnie dogonił, skacząc z ulicy na chodnik, wrzeszcząc:

— Dlaczego zrobiłaś coś tak głupiego?

— Drań. — Machnęłam, żeby sobie poszedł. — Z drogi.

— Co z tobą nie tak?

— Przepraszam. Chyba moja czarna strona ze mnie wyłazi.

Znowu głupi facet śledził mnie, gdy szłam ciemną ulicą.

To zaczynało być historią mojego życia. Ja szłam, oni mnie ścigali. Peter kontynuował swoje przekleństwa, jednocześnie wycierając zaplamiony garnitur. Wykonałam ordynarny gest. Mój sztywny palec mówił więcej niż jego głupie seksi— stowskie odzywki razem wzięte. Poza tym to, co mówił, nie miało znaczenia, bo mi nie zależało. Nie zależało mi na jego opinii, a już na pewno nie zależało mi na nim. Tym razem łatwiej było iść, bo byliśmy w bocznej uliczce, która nie była zatłoczona. Peter szedł za mną. Zmienił ton i zaczął innie przeproszać za to, że mnie wkurzył.

Przecznicę dalej dogonił nas Azjata w czerwonej marynarce i czarnych spodniach. Oboje nas wystraszył, aż podskoczyliśmy. Zatrzymał się dokładnie między nami, objął nas ramionami i zmusił, byśmy zwolnili. Był to nasz kelner z restauracji. Peter wybiegł za mną i nie zapłacił głupiego rachunku. Chwilę potem kolejny człowiek z restauracji podbiegł, dysząc i stękając, na wypadek gdyby pierwszy potrzebował pomocy. Peter nie miał przy sobie gotówki, przynajmniej nie tyle, by starczyło na rachunek, bo zamierzał zapłacić kartą. Drań. Więc skończyło się na tym, że to ja zapłaciłam rachunek, który wynosił prawie osiemdziesiąt przeklętych dolarów, z napiwkami, bo próbował mnie zjednać butelką drogiego wina, i zostało mi za mało, by dojechać do mieszkania Jordana. Peter powiedział, że odda, jak tylko znajdziemy jakiś bankomat. Więc szliśmy do najbliższego bankomatu, żeby wreszcie pójść każde w swoją stronę. Czekał na mnie prawdziwy mężczyzna i byłam gotowa skończyć tę głupotę i znaleźć prawdziwą satysfakcję i pocieszenie.

„Teddy's", restauracja, która na dachu miała wybudowaną replikę korony Statuy Wolności, była prosto przed nami. Następnym budynkiem był bank. Bankomat znajdował się po drugiej stronie, z dala od ulicy. Obeszliśmy budynek z drugiej strony, gdzie zepsuło się światło, i Peter marudził, wybierając pieniądze. Kiedy na siebie wykrzykiwaliśmy, w trakcie naszej ostatniej przedrozwodowej kłótni, biały i czarny nastolatek wyskoczyli z cienia. Czekali na kogoś, kto podejdzie tu skorzystać z bankomatu. Przypomniały mi się te wszystkie ostrzeżenia w telewizji i w gazetach o ludziach napadanych przy bankomatach. Zrozumiałam, jakie głupstwo popełniłam, zatrzymując się tu nawet na krócej niż minutę, ale Peter tak mnie zirytował, że nie byłam w stanie trzeźwo myśleć. Nie działałam. Reagowałam. Reagowałam i spieszyłam się, by jak najszybciej uwolnić się od niego na zawsze.

Wysoki, barczysty czarny nastolatek miał mnóstwo kolczyków w obu uszach. Odchylił swoją kurtkę Tommy'ego Hilfigera i pokazał broń. Podniósł rękę. Zanim zdążyłam upuścić torebkę i się wycofać, Peter rzucił się na niego.

Krzyknęłam.

Próbowałam uciekać, ale obcas utknął w krzywym chodniku i poślizgnęłam się. Niski, muskularny biały nastolatek z tłustymi włosami popchnął mnie i chwycił za klapy zakietu, jakby chciał tego samego, o co błagał Peter. Złapał mnie za pierś, a ja uderzyłam go w twarz tak mocno, aż głowa mu się wykręciła. Szarpaliśmy się i wbiłam mu paznokcie głęboko w szyję. Wrzasnął i uderzył mnie w twarz. Opierałam się i drapałam. Zderzyliśmy się, próbowałam go nabrać, żeby móc uciec, przynajmniej dobiec do Varick Street i wezwać pomoc. Ale drań chwycił mnie za ramię, obrócił szybko i mocno i rzucił na ścianę banku. Uderzyłam o ziemię w pobliżu zaparkowanych samochodów,

chwyciłam się za głowę, poczułam jak grube, szorstkie ręce wodzą po moim ciele i zrywają biżuterię.

Nie miałam dość siły w prawej ręce, żeby udaremnić kradzież mojej ulubionej bransoletki. Szarpał moje bransoletki na lewej ręce, ale przestał, gdy znowu go podrapałam. Wyrwał mi z rąk torebkę. Zabrał żakiet. Buty spadły mi z nóg. Usłyszałam krzyki Petera. Przeklinał i gonił za rabusiami. Zrobiło mi się niedobrze. Starłam się nie stracić przytomności, ale zatrzęsły mną dreszcze i straszny chłód ogarnął całe ciało. Usłyszałam dwa czy trzy wystrzały. Potem twardy łomot. Uciekające stopy. Ktoś jęczał moje imię. Ogłuszona, wykrzyczałam swoje nieme krzyki i zemdlałam.

TLR

28. Jordan Greene

Zoe nie kupiła mojej pokrętej odpowiedzi, dlatego zostawiłem taką dziwną wiadomość na sekretarce Solomona. Gładko i delikatnie, jak tylko ona potrafi, powiedziała, że brzmi to niezręcznie i kłamliwie, przypominając mi, że Solomon powinien być ze mną, a skoro go nie było, to znaczy, że urwał się z łańcucha. Nie chciała mi pozwolić zakończyć rozmowy, bo myślała, że wiem, gdzie on jest i zadzwonię do niego, by go ostrzec. Nie mogłem mu powiedzieć, co się święci, bo sam nie wiedziałem, co się święci.

— Zoe — powiedziałem — muszę iść do łazienki.

— Masz bezprzewodowy telefon, weź go ze sobą.

Taki mniej więcej ton miała ta rozmowa, odkąd Zoe odebrała telefon. Przerzucałem kanały i zatrzymałem na NY1, kanale samych złych wiadomości, który przekazywał sprawozdania z wszystkich pięciu dzielnic. Właściciel domu na Brooklynie wynajął dwunastu oprychów, żeby napadli lokatorów z powodu kłótni o pieniądze. Potem został aresztowany przestępca, który pobił kogoś prawie na śmierć telefonem z samochodu. Zamknięto piętnaście plaż z powodu wycieków nieczystości. Na Manhattanie było tyle śmieci, że można by zapełnić Empire State Building w tydzień. Żadnych nowych wiadomości.

— Nie kłam, Jay — lamentowała Zoe i po raz dziesiąty pytała: — Czy Solomon się z kimś spotyka?

— Solomon nie jest taki. Przyłączył się do twojego kościoła, nie?

— To co?

— Przeszedł z baptystów do metodystów tylko dla ciebie, a to bardzo wiele znaczy, gdy mężczyzna zmienia religię? dla kobiety.

Telefon zadzwonił i przełączyłem ją na oczekiwanie. To była Kimberly. Gdziekolwiek była, słyszałem w tle cicho granego Muzaka. Powiedziała, że będzie za parę godzin.

Kiedy znów przełączyłem, pierwsze, o co spytała Zoe, to czy to był Solomon. Powiedziałem jej, że Kimberly. Mruknęła niezadowolona. Zoe narzekała na Solomona, czego nigdy wcześniej nie robiła. Zwierzała się ze swoich skarg. Twierdziła, że to Solomon opóźnia wyznaczenie terminu ślubu, że ona jest gotowa wziąć ślub, gdy tylko ją poprosi, pragnęła jedynie czegoś małego,

nieformalnego i niedrogiego. Wystarczyłby jej tort od Make My Cakes ze 110. Ulicy i Lenox. Przejście na 111. Ulicę i ślub na schodach kościoła baptyistów, potem zdjęcia w Central Parku na trawniku z drzewami, zapchanym przez nowożeńców od wiosny do jesieni. Coś zwykłego, prostego i lokalnego. Pierwszy ślub wzięła na Wyspach Bahama, zapłaciła za przelot całej swojej rodziny i wydała o wiele za dużo pieniędzy na coś, co nie przetrwało dłużej niż rachunki. Zoe miała nadzieję, że wezmą ślub, zanim skończy się lato, żeby zdążyć się urządzić; chciała znaleźć opiekunkę do dziecka przed rozpoczęciem nowego semestru.

Jak dla mnie, brzmiało to w porządku, ale podobno Solomon uważał, że powinni się jeszcze powstrzymać. Nigdy mi tego nie powiedział.

— Może jego była żona sprawia mu kłopoty. Wiesz, jakie są czarne kobiety, zwłaszcza jeśli wplątane w to wszystko są jeszcze dzieci — tłumaczyłem.

— Nie miała nic przeciwko, kiedy z nią rozmawiałam przez telefon.

— Rozmawiałas z nią?

— Tak, przez krótką chwilę. Zadzwoiła tu kiedyś, a ja odebrałam telefon. Solomon gdzieś wyszedł.

Zoe twierdziła, że była żona Solomona chciała, żeby wzięli ślub i zabrali na jakiś czas DaReusa, żeby mogła znów być wolna, niezależna i nieskrepowana biegać po ulicach.

Chwilę później zaczęliśmy rozmawiać o pracy i powiedziałem, że mnie zwalniają. W pół zdania spytała:

— Rozmawiałeś z J'nette?

— Nie — odparłem. Zoe umilkła. Myślałem, że czeka, aż wspomnę jej imię, ale tego nie zrobiłem. Zapytałem: — Dlaczego?

— Więc nadal chodzisz z tą białą? — spytała Zoe. Kiedy mówiła *biała*, brzmiało to bardziej opisowo niż rasistowsko. Bardziej jak przymiotnik niż zniewaga. Nie sędzę, żeby robiło jej jakąś różnicę. Żadna kobieta, z którą bym się umówił po J'nette, nie miała szans zostać jej przyjaciółką.

— Ma na imię Kimberly.

— Pisarka?

— Malarka. Tak, wciąż się z nią spotykam. Dlaczego?

— Cóż, ujmę to tak. Musisz z nią porozmawiać — powiedziała Zoe.

— O czy muszę z Kimberly porozmawiać?

— Nie z Kimberly, tylko z J'nette. — Miała zmartwiony głos. — Musisz z nią porozmawiać. I to szybko.

— Dlaczego?

— Urodziła twoje dziecko.

Szczęka mi opadła. Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że serce przestało mi bić. Zamilkłem. Zdrętwiałem.

Prawie krzyknąłem:

— Co zrobiła i kogo ma?

— Dziecko. J'nette urodziła dziecko. Małą dziewczynkę.

— Kiedy?

— Chyba nie rozmawialiście ze sobą, co?

— Wcale.

— Jesteś pewien?

— Nikt mi nic nie powiedział o dziecku.

— Nikt nie wiedział. Nikomu nie mówiła. Nawet Toni. Więc każdy teraz wariuje.

Zoe powiedziała, że w grudniu J'nette wzięła wszystkie swoje oszczędności i wyjechała z dawnym chłopakiem do Waszygtonu. Z tym, którego rzuciła, gdy wróciła do Nowego Jorku. Tuż przedtem, zanim ją poznałem. To nie było jego dziecko, bo nie byli razem od ponad roku, ale on obiecał, że się nią zajmie. Nie chciała, żeby dziecko urodziło się bez ojca, nawet zastępczego. Powiedział, że nadal ją kocha i pragnie, by do niego wróciła, w ciąży czy nie. Pomyślała, że tak będzie najlepiej. Parę tygodni temu dowiedziała się że on spotyka się z kimś innym, właściwie zastała ich razem w łóżku w ich domu. Załamała się i zadzwoniła do Toni.

I oczywiście, skarżypita Toni szybko wystukała numer Zoe, a Zoe przyłączyła grubą Elaine do rozmowy konferencyjnej. Zanim sygnał telefonu przycichł, siedziały już w wynajętym samochodzie i jechały na południe. Namówiły ją na powrót. Była bez pieniędzy, więc nie miała wyboru. O niczym nie wiedziały, do chwili kiedy nacisnęły dzwonek i J'nette otworzyła z dzieckiem na rękę. Karmiąc piersią i płacząc.

Więc J'nette znów była w mieście, zatrzymała się w mieszkaniu Zoe na jakiś czas, bo do klaustrofobicznego budynku, w którym mieszkała Toni, nie przyjmowano ludzi z dziećmi.

— Ty jesteś ojcem, tak? — spytała Zoe.

— Chwileczkę. — Usiadłem na kuchennym stole, pochyliłem się i schowałem głowę między nogi i głęboko oddychałem, żeby nie zwymiotować. Wstałem i spytałem: — Żartujesz, tak?

— Czy kiedykolwiek słyszałeś, żebym opowiadała jakiś żart?

— Teraz jest dobry moment, żeby zacząć.

— To żaden żart, Jay. Mówię poważnie, to nie żart.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu.

— Dziecko jest bardzo do niej podobne — powiedziała.

— Świetnie.

Opowiedziałem Zoe, że J'nette nie wiedziała, z kim jest w ciąży. Zoe twierdziła, że J'nette była mi wierna; gdyby J'nette spała z kimś innym, ona by o tym wiedziała; robiły razem prawie wszystko. Wiedziała wszystko o kochankach J'nette. A faceci, z którymi były na przyjęciu u Solomona, byli gejami.

Próbowałem jakoś to wytłumaczyć.

— Więc dlaczego tak mi powiedziała?

— Prawdopodobnie powiedziała ci to, co sam chciałeś

usłyszeć. Jest o wiele bardziej wrażliwa, niż kiedykolwiek chciałaby pokazać. Jest kobietą, która usiłuje poukładać sobie życie, ale cały czas coś się pieprzy. Była zbyt dumna, żeby poprosić kogokolwiek o pomoc, kiedy było jej ciężko.

— Mówiła, że nie wie.

— Gdyby nie była z tobą w ciąży, to w ogóle by do ciebie z tym nie przyszła.

Kimberly nie pojawiła się do północy. Przeniosłem pościel i rozłożyłem się w salonie, licząc na to, że wpadnie tu

w środku nocy. Obudziłem się trzy razy zanim zadzwonił budzik. Kimberly nie było. Sprawdziłem, czy na drzwiach frontowych nie ma żadnej kart-

ki, na wypadek, gdyby jednak tędy przechodziła. Nie było kartki. Zadzwo-
niłem do niej do domu. Nikt nie odbierał. Poszedłem do niej po drodze do pra-
cy. Nie było jej w domu. Wygląda na to, że nie wróciła na noc do domu.

CompSci było ponure przez cały ranek. Właśnie wróciłem do swojego
biurka po lunchu, zacząłem przeglądać rzeczy, żeby sprawdzić, co z papierów
na biurku chciałbym zatrzymać, kiedy podniosłem głowę i zobaczyłem, że
Antoi— nette „Toni” Barrett weszła do mojego biura. Siostra J'nette. Zasko-
czyła mnie. Obserwowała w milczeniu. Nie wiedziałem, kiedy weszła. Toni
była tak bardzo do J'nette podobna, że przez chwilę, pomyślałem, że to ona.

Kruczoczarne włosy Toni spływały jej na ramiona, uczesane na Kleopatę
— zupełnie jak włosy J'nette, zanim je ścięła. Beżowy kostium i biała bluzka.
Te mahoniowe bliźniaczki były przerażająco do siebie podobne, ale myślę, że
Toni była starsza, bo miała węższą twarz. Ktoś mi powiedział, że starszy bliź-
niak zawsze ma węższą twarz, bo toruje drogę w kanale porodowym. I J'nette
miała ociupinę mniejszą pupę.

Toni odchrząknęła, zupełnie jak J'nette, kiedy miała zamiar kogoś
ochrzanić.

— Dzień dobry, panie Greene.

— Pani Barrett. — Wstałem od biurka. — Co panią sprowadza do mo-
jego biura?

— Czy możemy porozmawiać?

Uśmiechnąłem się.

— Mam trzy minuty.

— Cóż, to może trochę potrwać. I jest bardzo, bardzo osobiste. Czy mo-
żemy się spotkać po pracy?

— Czy mogę zapytać o co chodzi?

— Panie Greene — powiedziała i zmieniła wyraz twarzy na zimny i wy-
rachowany, sugerujący, że nie ma żartów, zupełnie jak jej siostra. Powiedziała
z naciskiem na każdą sylabę:

— Bio— rąc pod u— wa— gę o— ko— licz— noś— ci, jestem niezwy-
kle uprzejma. Już mówiłam z Zoe i powiedziała mi, że rozmawiała z tobą
wczoraj wieczorem. Więc niczego nie kombinuj.

Prychnąłem:

— Nie lubisz mnie, co?

— Nie muszę cię lubić. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Nie. Tak tylko spytałem dla podtrzymania rozmowy.

— O której kończysz?

— O piątej.

— Spotkamy się w holu.

— Po co?

— Wszystkie jedziemy do TriBeCa. — TriBeCa znaczy Trójkąt Ponizej Canal.

— Wszystkie? — spytałem.

Toni skinęła głową.

— Zoe jedzie z nami.

— Dlaczego musimy jechać do TriBeCa?

— Bo tam jest moja siostra — powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

— Postaram się dojechać. Ale nie czekajcie.

— Nie zmuszaj nas, żebyśmy cię szukały.

— Nas?

— Mnie, mojej siostry, jej dziecka i przekłętej nowojorskiej policji. — Toni podeszła bliżej i spojrzała mi prosto w oczy. — Nie pozwolę ci tak jej zostawić. Obejdę tu wszystkie korytarze i rozpowiem, jak ją wykorzystałeś i porzuciłeś dla jakiejś marnej białej.

— Trochę ciszej, proszę, pani Barrett — powiedziałem stanowczo. — Piąta po południu. W holu. W porządku? A teraz jazda z mojego biura. Żegnaj. Adiós.

Wyszła.

W zwolnionym tempie. Moje życie zaczęło się poruszać w zwolnionym tempie.

Nie pojechaliśmy do TriBeCa, ale wylądowaliśmy na Greenwich Avenue i Zachodniej 12. Ulicy tuż za rogiem od kina Art Greenwich, tuż nad kwiatarnią zwaną „The Gay Rose”. Z biura do metra, czułem się jakbym miał na nogach żelazne kajdany i żył chwilą żalu i oczekiwania. I strachu. Przez całą drogę czułem się jak w koszmarze. Mój świat był nieostry, pokryty warstwą wyrzutów sumienia, którym byłem gotowy stawić czoło i zedrzeć je.

Niebo było jasne, ale wewnątrz mnie zachodziło słońce. Pociłem się od ciepłego, śmierdzącego powietrza. Worki na śmieci stały w jednej linii na chodniku przed budynkami mieszkalnymi, firmami i magazynami, czekając na jutrzejsze wywiezienie. Ludzie wielu ras szli w tę i z powrotem, do kawiarni, zatrzymywali taksówki, wchodzili do kin, restauracji.

Klucz ptaków zrobił sobie przerwę i wylądował na krawędzi budynku, by odpocząć. Ten otepiający upał im też dawał się we znaki. Wąskimi uliczkami przejeżdżały samochody i taksówki, z których słychać było głośną muzykę.

Pod przewodnictwem Toni zatrzymaliśmy się przed ceglany budynek, który wyglądał bardziej jak magazyn niż budynek mieszkalny. Poręcze z kutego żelaza prowadziły do jasnoniebieskich szklanych drzwi, wyszczerbionych i zardzewiałych. Toni podeszła po schodkach do dzwonka i spytała:

— Pod którym są numerem?

— Mieszkanie Elaine to numer sześć — powiedziała Zoe.

Nie spojrzały na mnie. Nie patrzyliśmy na siebie, odkąd wyszliśmy z chłodnego biurowca CompSci.

Siedzieliśmy w ciasnym ciepłym mieszkaniu z lekko brudnymi białymi ścianami, które pachniały śniadaniową kiełbaską, mimo że była już prawie szósta wieczorem. Naprzeciwko drzwi wejściowych wisiało ogromne oprawione zdjęcie Joie Lee, siostry Spike'a Lee. Na ścianach po obu stronach wisiały ogromne zdjęcia Denzela jako Malcolma X i Wesleya Snipesa w filmie *Sugar Hill*. Plakaty Nii Long i Larenza Tate w *Love Jones* i kolejny z filmu *Soul Food* przypięte były pinezkami do ściany w korytarzu.

Usiadłem na dużym fioletowym pufie, obok stosu „Village Voice”, naprzeciwko jamajskiej restauracji po drugiej stronie ulicy, zająłem się przeglądaniem jakichś branżowych pism dla początkujących aktorów i aktorek. Parę ogłoszeń o przesłuchaniach do sztuk teatralnych, do telewizji, do oper mydlnych było obrysowanych czerwonym atramentem. Zoe siedziała obok dużej doniczkowej rośliny na miękkiej bładoniebieskiej sofie, trzymała wysoko czerwony plastikowy kubek z wodą. W kuchni Toni szeptała coś Elaine, ich wysokiej przysadzistej przyjaciółce, która pracowała kiedyś w CompSci w

kadrach. Została zwolniona w lutym i żyła teraz z zasiłku i prywatnego ubezpieczenia, i czekała aż coś się pojawi.

Co jakiś czas rzucały mi spojrzenia.

Elaine powiedziała, że J'nette wyszła z dzieckiem tuż przed naszym przyjściem i była zaskoczona, że nie spotkaliśmy się w windzie.

Podniosłem słuchawkę telefonu Elaine, żeby sprawdzić swoje wiadomości. Była lepka i wysmarowana brązowym podkładem i czerwoną szminką. Pachniała różnymi rodzajami perfum.

Nadal nie było żadnych telefonów od Kimberly.

Niespokojny, potrzebowałem odrobiny rozmowy, a ponieważ Zoe była najbardziej przyjaźnie nastawiona w tym towarzystwie, jeśli można nazwać jej stosunek do mnie przyjaznym, postanowiłem spróbować z nią pogadać.

— O której ma wrócić J'nette? — spytałem.

— Wkrótce. Uspokój się. Nie masz nic do roboty.

— Dlaczego tu jesteśmy? Czy ona tu mieszka?

Zoe wzruszyła ramionami i zaczęła przeglądać pilotem sto stacji kablowych.

— Nie wiem, gdzie teraz mieszka. Dziś z nią nie rozmawiałam.

— Myślałem, że mieszka z tobą.

Zoe nie odpowiedziała.

Bosa Elaine wtoczyła swoją szeroką, wysoką na metr osiemdziesiąt figurę wąskim korytarzem ze zniszczonymi podłogami i podała mi kubek wody, o który prosiłem prawie dziesięć minut temu. Miała na sobie fioletowe spodnie i fioletową bluzkę, więc wyglądała jak wielki czarny Bar— ney.

Zdjęła z twarzy sztuczny uśmiech na tyle, by powiedzieć:

— Proszę bardzo, Jay.

— Dzięki, 'Laine.

Ruszyła z powrotem do kuchni.

Wypiłem połowę kubka chłodnej wody jednym haustem i postawiłem go na podłodze obok aktówki, marynarki i krawata. Cisza, wrogość i oczekiwanie strasznie działały mi na nerwy. Chciałem wyjść.

Chwilę później zadzwonił dzwonek. Wiedzeni dźwiękiem, Zoe i ja spojrzeliśmy na ścianę, skąd dobiegało nucenie. Elaine wbiegła do salonu, przez co woda w moim kubku zadrżała jak w *Parku Jurajskim*, i wcisnęła przycisk na domofonie obok drzwi wejściowych.

Zaśpiewała:

— Kto tam?

— Solomon.

— Cześć, stary. — Elaine szczerze się uśmiechnęła. — Nie wiedziałam, że jesteś w okolicy.

— Zoe jest tu jeszcze przypadkiem?

— Tak. Wchodź na górę.

— Czy tu można zaparkować przed domem?

— Masz alarm w samochodzie?

— Nie.

— Więc parkujesz na własną odpowiedzialność.

Przycisnęła czarny przycisk na pełnej odcisków palców

beżowej skrzynce i usłyszeliśmy kolejny brzęczący dźwięk. Świetnie. Potrzebowałem męskiego wsparcia. Zaczynałem czuć się, jakbym był w środku jakiejś masakry mężczyzn, a ja byłem następny do zmasakrowania. Custer miał większe szanse w swojej ostatniej bitwie.

Zoe uśmiechnęła się rozpromieniona jak przyszła panna młoda, podskoczyła i poszła wpuścić Solomona. Jej warkoczyki do ramion bujały się we wszystkie strony, gdy tak szła. Spotkała go w korytarzu i usłyszałem śmiechy i rozmowę. Parę pocałunków. Weszli, Solomon ubrany był w proste szorty i koszulkę Polo i miał szminkę Zoe rozmazaną na policzku. Nowy nastrój Zoe, jej uśmiechy szarpnęły mną. Zmieniła się w mgnieniu oka. Toni weszła do pokoju, stanęła w drzwiach z założonymi rękami.

Słodko spytała:

— Jak leci, Solomon?

— W porządku. — Zachichotał i ukłonił się Toni. — Cześć, Jordan. Nie wiedziałem, że odpoczywasz tu sobie w babskim towarzystwie.

Wszyscy oprócz mnie roześmieli się.

Próbowałem dorównać mu entuzjazmem.

— Jak leci, Sol?

Elaine krzyknęła:

— Spytaj Solomona, czy chce pić.

Toni spytała:

— Spragniony? Chcesz coś do picia?

— Co macie?

Toni zrobiła minę.

— Wodę i sok ananasowy.

— Nie.

Toni minęła mnie, podniosła słuchawkę i zadzwoniła do kogoś. Kiedy Toni odwróciła się do mnie plecami, zaczęła gadać, chichotać i flirtować po hiszpańsku, spojrzałem wymownie na Solomona dając mu do zrozumienia, że muszę się stąd wydostać i porozmawiać po męsku, jak brat z bratem, ale on mnie nie widział, bo zadowolona z siebie Zoe już go zaciągnęła na sofę i posadziła obok siebie. Został zwerbowany na drugą stronę, zanim jeszcze zdążyłem poprosić go o pomoc.

Solomon zapytał Zoe:

— Jesteś gotowa do wyjścia?

Zoe delikatnie położyła mu głowę na ramieniu. Uśmiechnął się do mnie szeroko. Powiedział:

— Przyjechałem zabrać Zoe do siebie. Podrzucić cię do domu?

— Dam ci znać. Już wychodzisz?

Solomon zaczął się podnosić.

— Tak.

Zoe przytrzymała go za ramię.

— Jeszcze nie.

Spojrzała na mnie i usiłowała zatrzymać swój znikający uśmiech.

Wstałem.

— Sol, wyjdźmy na zewnątrz. Zaczepnąć świeżego powietrza.

Zoe mnie ścieła:

— Uspokój się. Za chwilę wychodzimy.

Usiadłem z powrotem. Gdy tylko Toni położyła słuchawkę, ktoś z zewnątrz przekręcił gałkę u drzwi. I kilka razy zapukał. Moje serce waliło z każdym puknięciem. Zoe poderwała się i otworzyła drzwi nie patrząc przez wizjer.

J'nette weszła z torbą na pieluchy przewieszoną przez jedno ramię i ze śpiącym dzieckiem na rękach. Zoe pocałowała J'nette w policzek i uśmiechnęła się do dziecka.

Dziecka.

To zdumiewające, co potrafi zdziałać jeden zdradziecki plemnik.

Włosy J'nette urosły i czesała je teraz tak jak Toni, tyle że były trochę krótsze. Toni uśmiechnęła się i wzięła dziecko. J'nette rozprostowała szerokie dzinsowe szorty i niebieską koszulkę Uniwersytetu Howarda. Poza tym, że była bardziej pełna a jej piersi okrągłejsze, nie było widać żadnych śladów urodzenia dziecka.

J'nette zerknęła w moją stronę, zobaczyła, że siedzę na pufie, poruszyła się nerwowo i rzuciła spojrzenie Zoe, potem Toni, a w końcu mnie. Wyraz jej twarzy przeszedł od szoku do zmarszczenia brwi.

Gapiliśmy się na siebie przez chwilę. Powiedziała:

— Cześć, Jay.

— Cześć, J'nette. Dawno się nie widzieliśmy.

— Tak — powiedziała z żalem w oczach i niepokojem, który rzucał ogromny cień na całą jej twarz. — Już słyszałeś, co?

Spojrzałem na dziecko.

— Tak, powiedziały mi, że urodziłaś dziecko.

— Co takiego zrobiła? — powiedział Solomon i wybałuszył oczy. — Chwileczkę. To twoje dziecko?

Nastąpiła scena, która wyglądała, jakby została przećwiczona wiele razy. Zoe wyłączyła telewizor, Elaine wzięła śpiące dziecko od Toni i poszła do sypialni; Toni zbliżyła się i czekała obok J'nette, trzymając ją za rękę; Zoe usiadła na sofie obok swojego zaskoczonego narzeczonego, machała nogą i

trzymała go za rękę; Elaine wróciła bez dziecka i zastawiła grubym tyłkiem drzwi wejściowe, blokując je jak bramkarz.

J'nette spojrzała na swoją bliźniaczkę i cicho powiedziała:

— Toni, nie rób tego, dobrze? To nie tak. Poradzę sobie.

— Musimy to wyjaśnić, żeby dalej móc spokojnie żyć.

Poruszyłem się na pufie, poczułem jak napięcie przepelnia pokój. Wszyscy utkwili wzrok we mnie. Kiedy spojrzałem na Solomona, szukając moralnego wsparcia, Zoe zmarszczyła na mnie brwi. Solomon miał nadal otwarte usta.

— Dobra — odezwała się Elaine. Spojrzała na mnie, oa Zoe, potem na bliźniaczki. — J'nette, czas powiedzieć prawdę. Powtórzyłam im, co mi powiedziałaś.

W jednej chwili oczy J'nette napełniły się łzami, ale zamiast się rozpłakać, odrzuciła włosy do tyłu. Siostra mocniej ją objęła. J'nette spojrzała na Toni, siostra pocałowała ją w policzek. J'nette odwzajemniła pocałunek; potem jej wzrok powędrował do Zoe. Zoe skinęła głową z lekkim uśmiechem, posłała pocałunek w myślach, tak podejrzewam.

— J'nette — odchrząknęła Elaine. — Czy Jordan jest ojcem twojego dziecka?

Serce biło mi za mocno, za szybko w gardle. Byłem jedynie w stanie spojrzeć na J'nette. Nie rozumiałem celu tego przesłuchania. Wiedzieliśmy. Polowanie na czarownice dobiegło końca. J'nette podniosła głowę, spojrzała na mnie. Nie uśmiechnęła się. Miała duże poczucie winy. Chyba przypomniała sobie nasze ostatnie spotkanie. W klinice. Poranną kłótnię. Prośbę o to, bym wpisał jej dziecko do mojego ubezpieczenia i moją odmowę. Zwiędłą różę, którą zostawiła. Puszczanie farby do Kimberly.

— J'nette — powtórzyła Elaine dużo głośniejszym i bardziej władczym głosem i znów odchrząknęła i wskazała na mnie, jakby była Marshą Clark machającą zakrwawioną rękawiczką przed O.J.— em. — Czy Jordan jest ojcem Demetri-ce? Tak czy nie?

J'nette spojrzała na mnie, potem na Elaine. | Toni podeszła do J'nette, stanęła przed nią i powiedziała: H — Odpowiedz na pytanie, nim ja to zrobię, dobrze? P Zanim się zorientowałem, wyrwało mi się:

— Myślałem, że zdecydowałaś się nie urodzić dziecka?

J'nette odparła:

— Nie miałam wyboru. Powiedziałam ci o mojej sytuacji.

Elaine wtrącała i przejęła kontrolę, zachowywała się jak kolejna sędzia Judy.

— Czy to, co mi powiedziałaś, jest prawdą?

— Nie kłamałam. — J'nette mówiła głośniej, łamiącym się głosem, cała drżąca. Oblizwała wargi. — Powiedziałam ci prawdę. Przysięgam na grób mojej babci. Nie kłamię.

— W porządku — stwierdziłem. — Nie kłam.

J'nette wyprostowała się.

— Dobrze. Nie będę kłamać.

Byłem w stanie myśleć jedynie o tym, że J'nette była w Waszyngtonie, w ciąży z moim dzieckiem i nie zadzwoniła choćby raz, by mnie poinformować o porodzie. I cały czas zastanawiałem się, czy jest do mnie podobne, jak dalece jest podobne do mojej mamy, a jak do mojego ojca. Człowieka, który zmarł, zanim mieliśmy szansę się poznać.

— Ile miesięcy ma dziecko? — spytałem.

Nikt nie odpowiedział, bo nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zoe podeszła do J'nette i mocno ją objęła.

— Już dobrze, już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Nie denerwuj się.

J'nette powiedziała:

— Trochę ciszej. Możecie wystraszyć Demetricę.

— Ile miesięcy ma dziecko? — spytałem.

J'nette odparła:

— Nie przejmuj się, Jay. To nie twoje dziecko.

Wybałuszylem oczy, szczeka mi opadła.

— Co?

— To nie twoje dziecko, Jay. Przykro mi, to nie twoje dziecko.

Solomon usiadł na brzegu sofy i przeczesał brodę palcami, nie odrywając ode mnie wzroku. Po ostatnim gorzkim stwierdzeniu J'nette, miał oczy

tak szeroko otwarte jak ja. Ten scenariusz stawał się nie do zniesienia i wiedziałem, że był tak samo gotowy się stąd wyrwać jak ja.

Trio kobiet stało obok siebie, ręka w rękę. Wyglądały, jakby miały zaraz zacząć śpiewać albo swingować.

Elaine rzuciła:

— Czy Solomon jest ojcem dziecka?

Moje oczy się rozszerzyły. Rozum podpowiadał mi, że nie słyszałem tego, co właśnie usłyszałem. Spojrzałem na Solomona, ale ten nawet nie drgnął. Zamknął oczy jakby w oczekiwaniu na odpowiedź.

J'nette odpowiedziała bez wahania.

— Tak. Ten drań jest ojcem Demetrice.

Solomon otworzył oczy i zmierzył się ze spojrzeniem Zoe. Stała teraz przed nim ze łzami w oczach, kręcąc głową.

Zoe bawiła się pierścionkiem zaręczynowym na palcu, gdy wydusiła wreszcie:

— No już, kochanie. Powiedz, że ona kłamie, Solomon. Chcę to od ciebie usłyszeć. Powiedz jej to prosto w twarz.

Solomon upuścił głowę w rękę.

— Kurczę.

— Spałeś z J'nette? — krzyknąłem.

— To nie to, co myślisz — powiedział Solomon. Mój wzrok przeszedł na J'nette, gdy prawie krzyknąłem:

— Zadawałaś się z Solomonem?

Żadne z nich nie potwierdziło ani nie zaprzeczyło. Co dla mnie wyglądało na bardzo głośne tak. Nie wiem kiedy, ale wstałem, i musiałem się chyba rzucić na Solomona, bo Elaine schwyciła mnie za ramiona i poprowadziła do swojej strony pokoju, bliżej do drzwi wejściowych. Przeklinałem, szarpałem się, byłem skołowany, bo wyglądało na to, że mój najlepszy przyjaciel jest ojcem nieślubnego dziecka mojej byłej dziewczyny. I J'nette zaniepokojona powiedziała:

— Nie obudźcie dziecka.

Uspokoili mnie. Trochę. Rozprostowałem pięści, ale czułem, że są jak włócznie, tak twarde jak kij do baseballu.

Zoe spojrzała na Solomona i spytała:

— Spałeś z nią?

Solomon znowu jedynie otwierał i zamykał usta. Bez odpowiedzi.

— Czarnuchu, odpowiedz na pytanie! Tak czy nie! — krzyknęła Toni i ruszyła w stronę Solomona, ale Elaine schwyciła ją za marynarkę i przyciągnęła do mnie. Zderzyliśmy się i pomagałem przytrzymać Toni.

Elaine powiedziała:

— Nie, Toni. Zrobimy to tak, jak się umawialiśmy, dobra? Nikt nie będzie rozrabiał w moim domu.

Toni, Elaine i Zoe wyglądały jak dzikie wilki. A ja byłem gotowy zostać ich przywódcą.

Solomon krzyknął:

— J'nette, nie kłam. To dziecko Jordana, a wy wszystkie to wiecie. Zoe, ona tylko próbuje rozbić nasze zaręczyny. Nie jest szczęśliwa, nie ma już czym płakać, nigdy nie była szczęśliwa, nigdy szczęśliwa nie będzie i nie chce ciebie widzieć szczęśliwej.

Zoe spojrzała J'nette prosto w oczy. Głos jej się łamał jak sucha gałązka.

— Czy Solomon cię pieprzył?

Twarz J'nette napuchła, jakby wspomnienie rozkwitło z powrotem do życia i nawet ciemny kolor jej skóry nie był w stanie ukryć zaczerwienionego wstydu, gdy zaczęła płakać.

— Tak. Zrobił to. Miał ze mną stosunek.

— Podpuszczałaś go?

— W życiu.

— Nigdy?

— Przenigdy.

— Zgwałcił cię? — spytała Zoe.

J'nette otworzyła oczy i pokiwała głową.

— Tak. On — szukała właściwego słowa, potem posłała Solomonowi spojrzenie pełne nienawiści i wysyczała: — On mnie napadł. Ten drań mnie zgwałcił.

— Napaść? Co? Daj spokój, J'nette. Nie kłam — błagał Solomon, potem łamiącym się głosem zwrócił się do pozostałych: — Ona tego chciała. Podpuszczała mnie!

— Zgwałciłeś mnie, draniu! Dobrze o tym wiesz!

Solomon wrzasnął i podskoczył, ale do nikogo się nie zbliżył.

— Czemu kłamiesz?

— Drań — krzyknęła J'nette. — Nigdy, przenigdy nie zadałabym się z przyjacielem mojego chłopaka. Nawet na tyle cię kurdupłu nie lubię.

W trakcie tych przekleństw i łez J'nette rzuciła się na Solomona, ale Zoe i Toni ją przytrzymały. Zrobiło się głośno. Aż ściany drżały od wrzasków oskarżeń i zaprzeczeń. Było brutalnie i wyglądało, jakby wybuchły minizami. Okno było otwarte i zgiełk niósł się i rozprzestrzeniał od Wall Street do Lenox Avenue.

Solomon wrzasnął:

— Ta dziwka kłamie.

Zadrzałem. Wydało mi się, jakby cały świat się zatrzęsł, gdy to powiedział. Kobiety zdętywały, zacisnęły pięści, otworzyły buzie. Zanim Toni zdążyła zdjąć całą swoją biżuterię, chwyciłem ją, ale Elaine wrzasnęła jak dzikie zwierzę, wywróciła żółtą lampę i rzuciła się na Solomona; tańczył po meblach, uciekł w najdalszy kąt pokoju, nie mógł się dostać do drzwi wyjściowych, skulił się w kącie blisko kuchni. Tym razem schwyciłem Elaine i spróbowałem ją utrzymać ale pociągnęła mnie za sobą jak silny muł mały pług przez przeoraną ziemię. Każde szarpnięcie budziło mój ból w boku; ból z czasów wyprawy do Memphis.

Dziecko zaczęło płakać; J'nette minęła nas i pobiegła do sypialni.

Trzeba było prawie trzech minut, żeby udało się Toni, Zoe i mnie uwolnić chudą szyję Solomona z uścisku grubych dłoni Elaine. Przez cały czas wygrażała, że go zabije, wykręcając mu szyję, pluła, biła go po twarzy i szczekała:

— Kogo nazywasz dziwką?

Przez chwilę zastanawiałem się, czy Elaine nie jest spokrewniona z Wandą.

Szarpaliśmy się w różne strony, pozzrucaliśmy na podłogę wszystko, co było na swoim miejscu, i już nie wiedziałem, czy próbowaliśmy ocalić Solomona przed Elaine, czy Elaine przed kolonią karną. Wszyscy tak bardzo przeklinaliśmy, że nie sposób było porządnie schwycić Elaine.

Solomon zakrztusił się, odzyskał oddech, przestał kopać i rozejrzał się. Szeroko otwartymi oczyma. Leżał na podłodze pod przewróconym stolikiem. W pokoju zagrzmiało, gdy Elaine pobiegła otworzyć frontowe drzwi.

— Wynoś się z mojego mieszkania — krzyknęła.

Solomon wydał usta, patrząc na Zoe. Jego twarz wyrażała po kolei cały kalejdoskop wzruszeń, od zastanowienia po płacz i grymasy, potem się wydłużyła i przybrała wyraz mówiący „nie jestem w stanie się rozplakać, czy możemy sami o tym porozmawiać, proszę”. Zoe spuściła głowę i potrząsała ją na tyle mocno, że jej warkoczyki zaczęły tańczyć. Odwróciła się do niego plecami i pokazała mu palcem drzwi w taki sposób, żeby nie miał wątpliwości, że jej decyzja jest nieodwołalna.

Mój najlepszy przyjaciel, człowiek, który był mi bliższy niż brat, nawet nie spojrzał w moją stronę.

Zanim zdążył przejść przez próg, zanim był bezpieczny, Elaine chwyciła drzwi i mocno je zatrzaskała. Uderzyły o pięty Solomona. Chrząknął i pokuśtykał na korytarz, i wpadł twarzą prosto na ścianę. To musiało zaboląć. Bez słowa, Elaine i Zoe ruszyły w stronę płaczącego dziecka.

Po chwili podszedłem do okna i zobaczyłem, jak samochód Solomona odjeżdża od krawężnika.

Chwyciłem marynarką i aktówkę.

Zanim doszedłem do drzwi, do pokoju wbiegła J'nette. Popatrzyła na mnie oczami pełnymi smutku. Było zbyt cicho. Dziecko musiało zasnąć.

Przerwałem tę wymianę spojrzeń, ukloniłem się na pożegnanie i ruszyłem do wyjścia. J'nette poszła za mną. Dotknęła mojego ramienia i zapytała:

— Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać?

Zaczerpnąłem trochę ciepłego powietrza i poczułem, że rzeczywistość znowu wraca. To surrealistyczne uczucie, jakie miałem idąc w tę stronę, błąko. Zastąpiły je złość i inne urazy.

J'nette wyglądała, jakby też wychodziła z transu. Stanęliśmy przed domem Elaine blisko stopni, z dala od kilku stojących na dworze ludzi, potem przeszliśmy przez ulicę i zatrzymaliśmy się przed wejściem do jamajskiej restauracji obok budki telefonicznej Bell Atlantic. J'nette w kółko przepraszała. Twierdziła, że pewnej nocy po jednym z karcianych przyjęć Solomona była zbyt wstawiona, by wracać do domu, więc zaproponował, by przenocowała w wolnej sypialni. Tej, w której nocował DaReus, gdy przyjeżdżał. Brzmiało to świetnie, bo była już późna noc, a właściwie wcześniej rano i nie chciała sama iść ani jechać metrem. Poza tym Solomon zawsze proponował nocleg każdemu, kto tego potrzebował.

I była tam Zoe.

Chciałem wiedzieć, jakiej to miało być nocy, bo zawsze odprowadzałem ją do metra i jeśli nie wracała do mnie, jechałem z nią do Jersey, zostawałem na noc i wracałem do domu następnego ranka. Powiedziała, że nie poszedłem na to przyjęcie. Pokłóciliśmy się i się nie pojawiłem.

Siedzieli, gadali i zasnęła. Gdy się obudziła, nie miała na sobie spodni i majtek. Solomon leżał na niej i wpychał się do środka, pompował, mówiąc jej, że wie, czego chciała. Twarz J'nette krzywiła się z bólu i strachu. A jego kobieta, jej najlepsza przyjaciółka, mocno spała w pokoju obok. Zoe też za mocno zabalowała. J'nette powiedziała, że nie wiedziała, co zrobić. Była przerażona. Więc nie zrobiła nic, pozwoliła mu skończyć i miała nadzieję, że nie robi jej krzywdy. Dwie minuty później wyszedł z pokoju zamykając za sobą drzwi.

Chwyciła swoje rzeczy i wyszła.

Dwa tygodnie później nie dostała okresu.

Powiedziała mi, że Solomon wziął jej koleżeński nastrój, bezpośrednio podejście za coś więcej. Albo wykorzystał to jako marną wymówkę, żeby ją znieważać. I mnie. Nie wiedziała, jak powiedzieć swojej przyjaciółce, tak bardzo zakochanej, że jej chłopak zgwałcił ją tuż pod jej nosem. Nie chciała popsuć ich związku ani mojej z nim przyjaźni. Poza tym sądziła, że nikt nie uwierzy jej wersji wydarzeń, zwłaszcza że została tam na noc. I była dla niego bardzo miła.

To wtedy nasz związek zaczął się sypać. Myślała, że uda jej się żyć, jakby nic się nie stało, ale była oszołomiona i zmieszana. Zamęt rósł razem z dzieckiem w jej brzuchu. Miała mi powiedzieć, powiedzieć wszystkim, że jest w ciąży. Ale się rozmyśliła. Potem zastanawiała się nad swoim stanem. Jeszcze jedna aborcja i nie będzie mogła mieć dzieci. A chciała móc mieć dziecko bardziej niż cokolwiek innego.

Wzruszyła ramionami.

— Tak właśnie zostały rozdane moje karty.

— Paragraf 22. I tak źle i tak niedobrze — powiedziałem.

— Tak.

— Co się stało w klinice?

Trochę się pokręciła, zanim mi opowiedziała. Stojąc w klinice, zaczęła żałować wszystkich złych życiowych decyzji podjętych dlatego, że ktoś uważał, że tak będzie najlepiej. Stała i gapiła się na stół operacyjny i nie mogła tam usiąść, rozstawić nóg i oddać tego, co mogło być jej ostatnią nadzieją.

— Po prostu nie mogłam. Wolałam je stracić próbując robić to, co właściwe.

J'nette powiedziała, że siedziała z ciężkim sercem w łazience w klinice i pielęgniarka pocieszała ją ponad godzinę.

— Ile ma dziecko? — spytałem.

— Dwa miesiące.

Skupiłem się i zacząłem liczyć wstecz. Podczas naszego związku nie spotykaliśmy się przez większą część tamtego miesiąca. Ale było to tak dawno, że trudno było sobie przypomnieć, gdzie byłem i co robiłem. Kurczę, nie mogłem sobie przypomnieć, co jadłem dzisiaj na lunch. Nawet nie wiem, czy poszedłem na lunch.

— Powinienem sobie zrobić badanie krwi — zaproponowałem — tak na wszelki wypadek.

Potrząsnęła głową.

— Możesz, jeśli chcesz. Ale ja wiem. Jestem matką. Nie kochałam się z tobą na parę tygodni przed tym i potem jeszcze jakiś czas odczekałam. Chciałam mieć pewność, wiesz, że się niczym nie zaraziłam czy coś. To jego dziecko.

— Co zamierzasz zrobić?

— Cóż, jeśli go oskarżę, jak chce tego Zoe, i pójdzie do więzienia, nie dostanę alimentów. Moje dziecko potrzebuje ubezpieczenia. Nie wiem, co robić. Moje życie zawsze wydaje się w tym nastroju „nie wiem, co robić”. To, co robię zawsze.

— Czyli co?

— Modlę się.

— Och.

— Kiedy stamtąd wyszłam, co noc prosiłam Boga, żeby pozwolił mi donosić Demetrice do końca. I jest zdrowa. Nie sądzę, żeby mnie teraz kopnął.
— Staliśmy parę minut. Nic nie mówiąc. I wtedy powiedziała: — I wiesz, co jeszcze?

— Co?

— Byłam w tobie tak bardzo zakochana.

— Nigdy tego nie powiedziałaś.

— Nie wiedziałam jak.

Nastąpiło długie milczenie.

J'nette spytała:

— Nadal jesteś z Kimberly?

Skinąłem głową. Westchnęła i tak jakby się lekko uśmiechnęła, miała minę jak ludzie, którzy chcieliby cofnąć czas i zrobić wszystko od nowa. Może nie wszystko, jedną rzecz. Jeden dzień. Albo jedną noc.

Dzieliliśmy chwilę wspomnień i myśli, może nawet wizji chwili, które mogły być, ale nam nigdy się nie przydarzyły— Potem ta chwila umknęła, poleciała tam, gdzie lecą wszystkie zużyte chwile.

— Szkoda, że nam nie wyszło — powiedziała.

Nie żegnając się, spuściła głowę i weszła po popękanych betonowych schodach do drzwi i nacisnęła numer sześć na domofonie. Patrzyliśmy na siebie, gdy czekała. Bez słowa, bez sądów. Tylko patrzyliśmy. Drzwi się otworzyły i zniknęła nie odwracając się.

Wlokłem się powoli, pozwoliłem minąć się dwudziestu pustym taksówkom. Nie miałem dość siły, żeby podnieść rękę i którąś przywołać. I nie wiedziałem, dokąd zmierzam. Potrzebowałem porozmawiać i pomyśleć przez chwilę ze sobą samym.

Solomon był moim najlepszym przyjacielem. Zgwałcił J'nette. Tylko o tym byłem w stanie myśleć. Byłem mu bliższy, więcej dla niego zrobiłem niż dla własnej rodziny. Bardzo trudno było mi w to wszystko uwierzyć, nawet

jeśli gapiło mi się to prosto w oczy. Nawet jeśli miałem na rękach zadrapania Elaine z naszej samotaniny.

Część mnie pragnęła, żeby J'nette była w ciąży ze mną, ale tylko po to, by zaleczyć ból po zdradzie. Wtedy nie musiałbym opłakiwać śmierci przyjaciela. Nie musiałbym się zastanawiać, dlaczego dostałem nożem w plecy.

Solomon jadł moje jedzenie, pił moje wino, tańczył do mojej muzyki. Drań nocował nawet w moim domu, mył sobie tyłek moim mydłem i srał do mojego kibla. Miałem wrażenie, jakby cała ta rzeczywistość nie była prawdziwa.

Z każdym krokiem starałem się unieść wyżej głowę i serce. Widziałem jedynie Solomona wewnątrz J'nette. Zmieniającego moją rzeczywistość i burzącego mój spokój.

Ból w środku trochę się zmniejszył. Mamrotałem w kółko: „niski, karłowaty, żulowaty sukinsyn”.

Jakaś część mnie chciała go zabić. Inna część chciała z nim usiąść i wysłuchać jego wersji wydarzeń bez krzyków i wrzasków. Ale jego słowa niczego by nie zmieniły. Niczego.

Mijając kolejną budkę telefoniczną Bell Atlantic zwolniłem, poluzowałem kołnierz i zadzwoniłem do Kimberly. Nadal nie było żadnej odpowiedzi. W jedną noc stała się wyniosła. Z tego, co wiedziałem, nie wróciła jeszcze do domu. A miałem jeszcze usłyszeć o późnym obiedzie, który przeciągnął się o dwadzieścia cztery godziny.

Wygląda na to, że dałem się omamić fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa; to, co myślałem, że jest słodkie, znów zaczynało śmierdzieć gównem.

Wiem, jak czuła się Zoe stale wydzwanając do Solomona, próbując go odnaleźć i dowiedzieć się, gdzie do cholery spędzał swój czas. Zacząłem dzwonić na pager Kimberly, ale zrezygnowałem.

Usiłowałem skierować swoje myśli na cokolwiek, byleby nie myśleć o Solomonie jako gwałcicielu. Pracowałem nad swoim własnym wyparciem się go.

Otarłem oczy i ruszyłem w parnym powietrzu, zostałem po stronie ulicy oferującej największy cień. Ale kiedy zachodziło słońce, nie miało już znaczenia, po której stronie ulicy próbowałeś znaleźć schronienie. Obydwie stanały się ciemne.

29. Kimberly Chavers

Niska pielęgniarka z akcentem ze Środkowego Zachodu właśnie weszła do mojej izolatki, obejrzała moją głowę n— ty raz w ciągu ostatnich n— godzin, zmierzyła mi puls i zabrała nietkniętą tacę ze szpitalnym jedzeniem.

Jęknęłam z bólu, siadając na pogniecionej pościeli na twardym łóżku w swojej krótkiej pidżamie w paski NY Giants, z nogami skrzyżowanymi w kostkach. To był niesamowity dzień. Ale dzięki Bogu za przyjaciół. Sharon z mężem pojechali do mojego mieszkania, żeby upewnić się, czy ten, kto ukradł moją torebkę, nie sprawdził mojego adresu w dowodzie i nie otworzył mieszkania moim kluczem. Najbardziej bałam się kradzieży moich obrazów. Albo ich zniszczenia. Sharon załatwiła, żeby ślusarz zmienił zamki i sprawdziła, czy wszystkie okna są szczelnie zamknięte. Zapakowała parę osobistych drobiazgów i zostawiła włączone radio, żeby z mieszkania było słychać ciągle głosy.

Przewracałam się z boku na bok, oglądałam telewizję, przełączałam z NY1 na CBS, na NBC, na FOX, słuchałam wiadomości, próbowałam wyciszyć zęby nicią mimo bólu w ustach i miałam nadzieję, że nie usłyszę sztywnych reporterów wykrzykujących moje nazwisko, albo że nie zobaczę, jak wszystkie stacje relacjonują z miejsca przestępstwa, żeby cały Nowy Jork mógł sobie mnie obejrzeć jedząc kanapkę pastrami. Jednak przestępczość była tak duża, że nie wszystko trafiało do mediów. Przemoc była trywializowana i kończyła zagrzebana w gazetach, drukowana za częścią gospodarczą, wciśnięta między rosnące ceny pomarańczy a spadające ceny winogron. Ale próbowałam leżeć spokojnie i oglądałam tak na wszelki wypadek.

Jak mówiłam, nie zjadłam nic z tego mdłego szpitalnego jedzenia, bo godzinę temu Sharon wybiegła do restauracji i kupiła krewetki i smażone kalmary i przemyciła to wszystko w swojej połyskującej torbie. Kinikki wyszła pół godziny temu, zaraz jak zjadłyśmy. Nie chciała wyjść, póki nie będzie pewna, że mam pełny brzuch, spokojną głowę i kilka rąk do potrzymania przed snem. Ale upłynęło trochę czasu, zanim znowu zasnęłam. Nie wiedziałam, czy będę mogła znów zamknąć oczy i znaleźć spokój.

Teraz Sharon była w rogu, przy oknie na ósmym piętrze, spoglądała na zegarek co minutę, patrząc na swój pager, wyglądała przez okna z kolorowego szkła na sznury samochodów jadących przez ciemne miasto.

— Jak tam jest? — spytałam.

— Na chodnikach jest tyle ludzi, ile samochodów na ulicach. Nic nadzwyczajnego.

Dotknęłam guza z tyłu głowy. Na parę godzin moje obrażenia pozbawiły mnie ostrości widzenia i myślenia, zdolności koordynacji. Nie byłam w stanie napisać własnego nazwiska. Kiedy powiedzieli mi, że Peter umarł, wymiotowałam przez dwadzieścia minut. Chyba najśmieszniejszą chwilą w tej tragedii było to, kiedy zabronili mi zasnąć ze względu na obrażenia głowy i Sharon zaczęła machać rękami i wykrzykiwać: — Czy ona wygląda, jakby miała ochotę na cholerną sjęstę? Ta kobieta przeżyła szok i potrzebuje natychmiastowej opieki. Kto tutaj dowodzi?

Próbowałam ją uspokoić, ale nie byłam w stanie wymamrotać ani wyjęczeć nawet słowa pomiędzy przekleństwami, krzykami i wspaniałym pstrykaniem palcami Sharon. Ale udało mi się dosięgnąć i dotknąć ramienia Kinikki i wyrazić miną, żeby uspokoiła Sharon; Kinikki odciągnęła Sharon na bok i powiedziała jej, żeby „przestała zachowywać się jak idiotka”, ale to nie pomogło. Sharon zrobiła się jeszcze głośniejsza. Trzech lekarzy i dwie pielęgniarki przybiegło w tej samej chwili.

Mimo sprzeciwu, ostatecznie zgodziłam się zostać pod obserwacją, bo chcieli się upewnić, czy nie będzie żadnych symptomów krwotoku wewnętrznego. Ostatnie, czego potrzebowałam, to żeby wylew zepsuł mi resztę dnia. Sharon nalegała, żebym pozwoliła jej kontrolować wszystkie posunięcia szpitala, na wszelki wypadek, gdyby trzeba było wnieść pozew.

Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, Sharon wyjęła notes z torebki i ogłosiła:

— Będę notować wszystkie niedociągnięcia tych imbecyli. Mój cudowny mąż ma świetnego adwokata na północy stanu, który chętnie doprowadzi do tego, że ten szpital pożałuje wszystkich swoich wykroczeń i będą nas błagać o polubowne załatwienie sprawy poza sądem, zanim atrament zdąży wyschnąć.

— Sharon, uspokój się zanim wylądujesz w Bellevue — powiedziała Kinikki.

— Kinikki? Idź do diabła — odparowała Sharon.

— Poślij po limuzynę.

Dogryzały sobie, a ja usiłowałam sobie przypomnieć, co znaczy wykroczenie.

Policja mnie przesłuchiwała. Pamiętam jedynie, że kłóciłam się z Peterem w drodze do bankomatu, bo chciałam mieć pewność, że odda mi pieniądze, a potem obudziłam się obolała na asfalcie. Wszystko pomiędzy było niewyraźne. Część z tego, co stało się potem, też nie była jasna. Kształty i krzyki, ale nic pewnego, krążyły mi po głowie. Żadnych twarzy ani głosów. Tylko cienie. Cienie, które zdawały się wszechobecne, gdy wyłączone były światła.

Przed czwartą po południu nowojorska policja aresztowała czarnego nastolatka z kolczykami. Tak mi powiedzieli przez telefon. Przypomniałam sobie jego twarz, gdy policjant mi to oznajmił. Jego twarz i to, że Peter szarpał się z nim o drobne. Policja zadzwoniła na mój pager i zrobiła bezpośrednie przekierowanie na posterunek. Oddzwonił, chcąc sprawdzić, kto wysłał mu wiadomość, prawdopodobnie dlatego, że chciał się dowiedzieć, jaki numer ma pager, i go używać. Może sprzedać. Podczas gdy policjantka z nim flirtowała, policjanci wysiedzili, że dzwoni z domu swej matki z Woodhaven i posiłki przybyły tam w dziesięć minut. Kiedy zapukali do drzwi, wyskoczył nagi z uniesionymi do góry rękami. Moje karty kredytowe i portfel Petera znaleziono w jego sypialni. Przed świtem policja ujęła drugiego chłopaka. Tak. To właśnie mi powiedzieli, gdy zadzwonili jak, się obudziłam. I nie poczułam się od tego ani odrobinę lepiej. Nic a nic.

Mój umysł zarejestrował i zaakceptował powagę sytuacji i żar w gardle, wilgoć, która nie chciała opuścić moich oczu, cóż, chyba przywaliło mnie poczucie winy i wstydu. Usiadłam i rozmawiałam z Kinikki, płakałam, rozmawiałam, szlochałam, że całe to fiasko to moja wina. Kinikki pocieszała mnie, że nie ma w tym mojej winy: zostałam napadnięta.

Podczas tego pocieszania Sharon odsunęła się na bok i robiła to, co robi najlepiej — koordynowała i zarządzała. Dzwoniła, blokowała moje karty kredytowe, zamykała konta czekingowe, skontaktowała się z moimi rodzicami w sprawie informacji o ubezpieczeniu. Musiałam przekonać Mamusię i Tate, że jeszcze nie umieram i przez pół godziny uspokajałam Mamusię. Kiedy się wreszcie rozłączyli, Sharon zadzwoniła do swojego agenta z biura turystycznego i załatwiła przylot moich rodziców z Seattle pierwszym porannym samolotem. Potem zadzwoniła do hotelu Petera i dowiedziała się, z kim w jego pracy mają się skontaktować w sprawie tej tragedii.

Sharon zadzwoniła do pracy Petera w San Luis Obispo i została połączona z dziewczyną Petera. Peter nie miał wcale służbowego wyjazdu do New

Jersey. Jego dziewczyna myślała, że jest w Los Angeles z parodniową wizytą u przyjaciół.

Sharon swoim opanowanym tonem próbowała uspokoić rozhisteryzowaną dziewczynę Petera. Wyciągnęła od niej numer siostry Petera w San Francisco. Siostra Petera nie miała zielonego pojęcia, co zrobić, nie utrzymywała z nim kontaktu od dziesięciu lat i zapytała, czy ja nie mogłabym zająć się pogrzebem.

Sharon bez zastanowienia odpowiedziała:

— Nie. Ze względu na brak informacji o jego znajomych czy rodzinie, wszystko z naszej strony będzie powolne i źle zarządzane. Ale podpiszemy i przefaksujemy wszystko, co niezbędne.

Gdy Sharon piłowała paznokcie, co zawsze robiła, gdy była bardzo zdenerwowana, pomogła siostrze Petera dojść do siebie i dowiedzieć się, kto z rodziny Petera mógłby zająć się przetransportowaniem jego ciała na zachód. .

Przez cały czas słuchałam zdumiona, a potem powtarzałam słowo, które mroziło mnie najbardziej: „Ciało”.

Peter nie żył. W jednej chwili obrażał mnie i rzucał mi w twarz miską sałatki, a w drugiej już nie żył.

— Kurczę — powiedziałam przecierając oczy. — Co ja powiem Jordanowi? To jest pochrzanione. Jestem przeklętą wdową, a on nawet nie wiedział, że byłam mężatką.

Sharon pogłaskała mnie po rękę.

— Uspokój się, zanim będziesz miała atak. Mój wujek miał taki atak. Ohyda. W jednej chwili siedzieliśmy przy obiedzie rozmawiając, w drugiej leżał twarzą w zupie coś mamrocząc.

— Sharon — przerwała Kinikki — daj spokój ze swoimi koszmarnymi opowieściami. Nie potrzebuje teraz słyszeć tego wszystkiego. — Kinikki odwróciła się w moją stronę i spytała: — Gdzie jest Jordan?

Powiedziałam zmartwiona:

— Jeszcze do niego nie dzwoniłam.

Sharon spytała:

— Dlaczego nie zadzwoniłaś? Powinien siedzieć na tym krześle i trzymać cię za rękę.

— Nie wiem, co powiedzieć.

— Najpierw powiedz swojemu facetowi, że go kochasz — doradziła Kinikki. — Potem wyznaj prawdę o całej tej sytuacji. Lepiej żeby się dowiedział od ciebie, niż żeby miał to przeczytać w „Timesie”.

Wyrecytowałam numer Jordana, wyjęczałam go z pamięci i Sharon zadzwoniła. Ręka mi drżała, gdy Sharon oddawała mi słuchawkę. Sekretarka odtworzyła powitalne nagranie. Czekałam na sygnał. Odchrząknęłam nerwowo i spróbowałam usiąść:

— Chłopaku, tu twoja dziewczyna. EXtra, miałam wypadek. Zostałam napadnięta, ale nic mi nie jest, więc się nie martw.

Kilka godzin później poprosiłam Sharon, żeby przенiosła duży bukiet kwiatów, który przysłali Clair i Eric, od umywalki pod okna wyglądające na 168. Ulicę. Właśnie wtedy drzwi się otworzyły i weszli moi rodzice. Trzymając się za ręce. Mamusia i Tata. George i Denise. Szczerze mówiąc, trochę posmutniałam, gdy moja pulchna mama w letniej pomarańczowej sukience uśmiechnęła się zmartwiona. Czułam się opuchnięta w środku, bo nie chciałam, żeby się martwiła, czułam się okropnie, gdy z jej twarzy zniknęła ta iskra i błysk, bo to też mnie denerwowało. Ponieważ byłam jedynym żyjącym dzieckiem, mama traktowała mnie jak niemowlę. Wiedziałam dlaczego i dlatego jej nie zabraniałam. Nawet mimo swej niezależności pozwalałam swojej matce być matką. Zasłużyła sobie na to prawo. Wiem, że Mamusia nigdy nie przeboleła śmierci mojego starszego brata. Nie miała jej przeboleć; to było jej dziecko. Mój brat. Brat, którego nigdy nie znałam. Ale zawsze czułam więź między nami, czułam jego ducha. Więc dorastałam jako chude rudowłose dziecko, którego matka robiła wszystko co tylko w jej mocy, by je ochronić. Ale bez względu na to, jak bardzo się stara, nawet mama nie jest w stanie wszystkiemu zaradzić. Nie może być wszędzie jednocześnie.

— Cześć, Ruda — powiedziałam i przycisnęłam przycisk, żeby podnieść łóżko.

Lekko się uśmiechnęła:

— Nie wstawaj, Kim— Kim.

Uwielbiałam jak mówiła Kim— Kim. Kiedy byłam dzieckiem, spytałam, dlaczego zawsze wymawia moje imię dwa razy. Powiedziała, że dlatego, że kocha mnie dwa razy mocniej niż ktokolwiek inny na świecie będzie mógł.

Kiedyś głupio to dla mnie brzmiało, ale gdy myślę o tym teraz, chce mi się płakać ze szczęścia.

Wydęłam usta.

— Mam już dość leżenia.

— Kim— Kim, odpocznij i wydobrzej.

— Mogłabym to robić w domu.

Sharon stała przy lustrze w łazience i szczotkowała włosy. Wtrąciła:

— Państwa córka jest uparta. Pokłóciła się z wszystkimi pielęgniarzkami, które tu przyszły, żeby pomóc.

Mamusia powiedziała:

— Zupełnie jak jej ojciec.

— Cześć, Tato. — Uśmiechnęłam się i uniosłam, by go uścisnąć. — Chwilę was nie było. Zaczynałam się martwić. Dokąd poszliście?

— Do sklepu z upominkami — powiedział Tata.

Podał mi małego puszystego brązowego misia i karteczkę z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia. Pocałował mnie w czoło, położył rękę na poręczy łóżka, nachylił się, żeby dobrze zajrzeć mi w oczy. Patrzył niczym prawdziwy lekarz starający się ocenić, czy zdrowieję, czy jest mi coraz gorzej. Było to dość zabawne, bo nie widziałam, żeby się kiedykolwiek tak zachowywał. Tak wrażliwie i nie— wojsko— wo. Prawie tak, jak powinien zachowywać się ojciec.

Miał zmartwioną minę, studiując zadrapania i opuchliznę na mojej twarzy.

— Czy jeszcze mocno boli? — spytał.

— Wygląda gorzej, niż się czuję. Moja głowa, nie wiem sama, raz boli, raz przestaje. Zależy jak się ułożę.

— Więc posłuchaj matki, znajdź wygodną pozycję i przestań się wiercić, młoda damo.

Sarkastycznie mu zasalutowałam, Mamusi też. Po zabawieniu się w grzeczną dziewczynkę, pogładziłam go ręką po poproszonych siwizną włosach.

— Bardzo się cieszę, że cię widzę, Tato.

— Cieszę się, że dobrze się czujesz. — Zniżył głos do teatralnego szeptu:
— Twoja matka płakała właściwie całą drogę z Seattle do Nowego Jorku.

— Nie płakałam tak bardzo jak twój ojciec.

Zamilkłam na chwilę, czekając na szybkie zaprzeczenie

albo śmiech ze strony ojca, a gdy nic takiego się nie stało, gdy powaga wypełniła pokój, cichym głosem spytałam:

— Płakałeś, Tato?

Mrugnął do mnie i cicho powiedział:

— Coś mi wpadło do oka.

Mamusia podkreśliła:

— Miał to w oku od Seattle po Nowy Jork. Pokazywał każdemu, kto tylko chciał obejrzeć zdjęcia twoich prac — był bardziej irytujący niż sprzedawca Amwaya — zanim wylądowaliśmy, wszyscy myśleli, że cię znają. I wszystkim opowiadał w kółko, co się stało, prawie doprowadził do łez stewardesę. Prawda, George?

Tata uciszał Mamusię, potem wziął mnie za rękę i patrzył na mnie. Patrzył jakby głęboko w lustro. Albo cofnął się w czasie. Wtedy zobaczyłam, że Mamusia ma dziwną minę. Popukała Sharon w ramię, szepnęła jej coś do ucha i obie ruszyły do drzwi. Zanim zdążyłam zapytać, o co chodzi w tych tajemniczych uściskach rąk, szepcach i wymianie spojrzeń, Mamusia powiedziała:

— Zaraz wracamy.

— Dokąd wy dwie się wybieracie? — spytałam.

Uśmiechnęła się zmartwiona.

— Będziemy na korytarzu, przy dyżurce pielęgniarek.

Drzwi się zamknęły.

A ja zostałam sama z moim ojcem.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam z nim sama.

Wiercił się u mego boku, jakby czuł się tak samo nieswojo. Przez kilka sekund nikt się nie odezwał. Czekałam na jakieś złe nowiny, więc trochę żartobliwie spytałam z drżącym uśmiechem:

— Nie zamierzasz mi chyba powiedzieć, że jesteś chory, czy coś takiego?

— Wcale nie. Ja i twoja mama jesteśmy zdrowi.

— Co się stało?

— Chciałem, żebyś wiedziała — zaczął, i przez chwilę potrzymał mnie za rękę. Miętko i delikatnie. Wreszcie powiedział: — Wiesz, że cię kocham, prawda, Kim?

Uśmiechnęłam się. I gdy skinęłam głową, ścisnęło mnie w gardle, a usta jeszcze bardziej zdrząły. Byłam u progu stania się niedorajdą.

Mówił dalej:

— Chciałem, żebyś to wiedziała. Nie układało nam się za dobrze przez te wszystkie lata.

— Wiem.

— I nie wybaczyłbym sobie, gdyby któremuś z nas coś się stało, a ja nie miałbym okazji powiedzieć swojej córeczce, jaki jestem z niej dumny, i z tego, co osiągnęła. To wszystko.

Moje oczy wypełniły się łzami. Serce mnie zakłuło, bo właśnie sobie przypominałam, że Jordan poleciał do Memphis, gdyż zmarł jego ojczym. Ojciec jego brata. Cieszyłam się, że to nie mój ojciec udał się na wieczny spoczynek. Moje oczy były jak nieszczelne krany, ale Tata płakał dużo mocniej niż ja kiedykolwiek. Jakby latami łez. Latami strachu. Uniosłam się i uścisnęłam go.

— Też cię kocham, Tato. Bez względu na wszystko.

Chwilę tak zostaliśmy. Obejmując się.

Jego słowa dławily go:

— Dawno się nie obejmowaliśmy.

— Wiem — powiedziałam, próbując mówić jak dorosła kobieta, ale płacząc jak mała dziewczynka. Uparte dziecko.

— Przepraszam. Przyjadę was odwiedzić. Może pojedziemy na ryby do Kanady.

Kołysał mnie.

— Po prostu zadzwoń i porozmawiaj ze mną od czasu do czasu.

— Zrobię obydwie rzeczy.

— Kim, ta sytuacja między nami bardzo mi ciążyła.

— Wiem. Mnie też. Przepraszam.

— Nie musisz przeproszać. Powinienem być dla ciebie lepszym ojcem. Chyba byłem bardziej dostarczycielem niż ojcem.

— Dobrze ci poszło. Poza podbitymi oczami i poranionymi rękami wyrosłam całkiem niezłe jak na Chaversa.

— Powinienem być cię wspierać — powiedział i urwał, jakby coś mu ciążyło. Widziałam żywe wspomnienia przeszłości w jego twarzy. Czułam duchy przeszłości. Mówił dalej z prostotą: — Powinienem być słuchać twojego bólu. Przeszedłem przez wiele tego samego, wiesz.

— Nigdy nie wiedziałam.

— Nigdy o tym nie rozmawiam. — Skinął głową do swoich wspomnień, powoli odetchnął, potem wzruszył ramionami i dotknął ust. — Kim— Kim...

— Tato. Cicho. Już dobrze. Uściśnij swoją córeczkę.

Uśmiechnęłam się do niego przez uparte moje łzy i zapchany nos, wiedziałam dokładnie, co on chce mi powiedzieć przez swoje. Pod pokrywką dziewczęcego uśmiechu zastanawiałam się, kto go wspierał, gdy sam był dzieckiem.

Siedzieliśmy tak przez chwilę i pozwoliliśmy, żeby cisza uczyniła z nas ojca i córkę. To zdumiewające, jak ta sama cisza, która kiedyś wepchnęła klin między nas, teraz czyniła z nas przyjaciół.

Przejechałam ręką po jego włosach. Tata ma jeszcze jaśniejszą karnację niż ja, ale bardziej kręcone włosy, zwłaszcza gdy są wilgotne, i bardziej uwydatnione rysy. Na tyle widoczne, by nie pozostawiać wątpliwości.

— Napłakaliśmy się już dość? — zachichotałam.

Uśmiechnął się.

— Na razie. A ty?

— Dość już — powiedziałam. — Od tego płakania pulsuje mi w głowie.

Roześmieliśmy się.

Tata umył twarz, uśmiechnął się do mnie, potem wytknął głowę za drzwi i przywołał Mamusię i Sharon z powrotem do pokoju. Kiedy weszły, Mamusia załamywała ręce i szczypała się. Miała niepewną minę. Najpierw spojrzała na mój promienny uśmiech i zaczerwienione oczy, potem na uśmiech Taty i jego zaczerwienione oczy.

Mamusia uśmiechnęła się i powiedziała tylko jedno słowo:

— Dobrze.

— Mamusiu, jesteście pewni, że nie chcecie się u mnie zatrzymać?

— Przyjdziemy, kiedy wyjdiesz ze szpitala.

— Już ich ulokowałam. Wszystko jest opłacone — wyjaśniła Sharon.

— Gdzie?

— W hotelu „Mayflower”. — Sharon mrugnęła. — Najwyższe piętro.

— Gdyby zatrzymali się u mnie, byłoby taniej.

— Och, cicho bądź i zdrowiej — powiedziała Sharon. — Mój kierowca jest do państwa dyspozycji, więc wszystko będzie dobrze. A twoje mieszkanie jest okropne. Kiedy ostatni raz zmiatałaś podłogi?

— Byłam zajęta. Wiesz jaka jestem, gdy pracuję.

— Nie przejmujesz się błahostkami.

— Mogę do ciebie podejść i posprzątać — powiedziała Mamusia.

— Nie, nie, nie. — Nie mogłam przestać uśmiechać się do taty. — Nie chcę, żebyście byli za daleko.

— Jest tu hotel tylko przecznicę dalej — stwierdziła Mamusia.

Sharon skrzywiła się.

— Ma wygórowane ceny, pokoje wielkości chlebaka, brak obsługi do pokoju, a karaluchy wyglądają jak Ed Koch.

— Doprawdy? — zapytałam z sarkazmem. — A skąd ty możesz to wiedzieć?

Sharon zaczerwieniła się, ale mi nie odpowiedziała. Spojrzała na zegarek, westchnęła i złożyła ręce.

Mamusia mówiła dalej:

— Zwłaszcza po tym, co zrobili tobie i Peterowi, nie chcę tu nigdzie chodzić sama. Widziałam w wiadomościach, że prawie wszyscy uczniowie mają broń.

— Nie wszyscy mają broń — powiedziałam.

— To prawda. Niektóre z tych brzdąców noszą uzi — wtrąciła Sharon.

Mamusia potrząsnęła głową.

— Dzieci strzelają do siebie w klasie. Strzelają nauczycielom w głowę. Nie wiem, w co zmienia się ten świat, ale w nic dobrego. Nie rozumiem, dlaczego tutaj mieszkasz. To powinno wystarczyć, byś chciała się przeprowadzić.

— Mamusiu, nie jest tak źle. To tylko garstka dzieciaków, która reszcie psuje reputację. Są tu też dobrzy ludzie.

— Tak, sześciolatki z taką ilością żelastwa w pudełkach na lunch, że mogą obalić Iran, Irak i Harlem — powiedziała Sharon.

Każdy zachichotał. Ja jęknęłam.

— Pozwólcie, że powiem, co dolega amerykańskim dzieciom — Tata miał już zacząć swoją poważną diatribę.

— Kochanie — przerwała mu Mamusia — pozwól odpocząć córce.

— Jesteś zmęczona, Sharon? — spytałam.

Sharon znów zerknęła na zegarek, wyciągnęła się i pociągnęła w dół swój zielony sweter w prążki.

— Przydałaby mi się drzemka, żeby rozładować napięcie całego ciała, na które mnie naraziłaś.

Włączył się jej pager, i spojrzała na mnie z ukosa, co znaczyło, że miała randkę z kimś innym niż ze swoim mężem. To podniosło jej nastrój. Tak, w mgnieniu oka Sharon wróciła do życia, powiedziała moim rodzicom:

— Państwa kierowca jest na dole. Jest uroczą wysoką Afro— Amerykanką w czarnym kostiumie i świetnym nastroju. Proszę się nie spieszyć, a kiedy będą państwo gotowi, będzie na was czekać. Dziś wieczorem zabierze was do hotelu „Mayflower”, a rano was przywiezie.

— A jak ty się dostaniesz do domu? — spytałam.

Sharon mrugnęła do mnie.

— Wpadnę do „Astorii” odwiedzić chorego przyjaciela. Zorganizuję transport stamtąd.

— Porozmawiamy jutro — odmrugnęłam.

Sharon chwyciła torebkę.

— Z samego rana.

— Dzięki za wszystko.

— Od tego są przyjaciele. — Sharon schyliła się, pocałowała mnie w szcękę, szorstkim głosem wyszeptała: — Gdyby ktoś dzwonił, powiedz, że jestem na zakupach u Tiffa— ny'ego, promocja o północy.

Zniżyłam głos i powiedziałam z uśmiechem:

— Sharon?

— Co?

— Prezerwatywa.

— Nie inaczej — powiedziała Sharon. I zmieniła ton z radosnego i pełnego oczekiwania na opiekuńczy i troskliwy:

— Poradzisz sobie do rana? Mogę wpaść tu na chwilę, jak już się zregeneruję.

— Tak. Nie jestem już taka roztrzęsiona jak rano. Jestem zdenerwowana, ale jest mi lepiej. Jest tu moja rodzina. Idź, rób swoje.

— Przy pierwszej sposobności — powiedziała cicho Sharon — sama zajmij się tym stresem. Zalecenie lekarza.

— Zabieraj stąd swój jednotorowy umysł.

— Wrócę, żeby zabrać cię z tego zdradliwego miejsca. Zostałabym, ale nie lubię sypiać w budynkach, które mają trupy w piwnicach.

— Dzięki za przypomnienie.

— Odpoczywaj. Ale jak wstaniesz, zadzwoń do mnie na pager za parę godzin, żebym miała wymówkę do wyjścia i mogła wrócić do mężusia.

Sharon słodko się ze wszystkimi pożegnała, otworzyła drewniane drzwi tak szeroko, że zobaczyłam korytarz wyłożony zielonymi kafelkami. Na korytarzu było dość spokojnie. Nikt by się nie domyślił, że nie tak dawno byłam na dole w gwałnym holu pełnym narzekających pacjentów i przepracowanych lekarzy i pielęgniarek.

Serce mi podskoczyło. Gdy tylko Sharon wyszła, Jordan wszedł do pokoju. Zobaczyłam jego zmartwioną twarz.

30. Jordan Greene

Miotany sprzecznymi uczuciami wszedłem do szpitala i poczułem ulgę na widok uśmiechniętej Sharon. Uścisnęła mnie i szła dalej, jakby już była gdzieś spóźniona. Wbiegłem ze śmierdzącego lizolem korytarza do pachnącego smażoną rybą pokoju.

Głowa Kimberly owinięta była bandażem i wyglądała jak wielkie białe afro. Oczy wyskoczyły mi z orbit. Miała podrapane i posiniaczone ramiona, skórę posmarowaną czerwonym lekarstwem zwalczającym infekcje. Część jej twarzy, zwłaszcza koło ust, była opuchnięta, sina z nikłymi śladami zaschniętej krwi. Kimberly wyglądała jakby stoczyła dwunastorundową walkę z George'em Foremanem.

W pokoju były jeszcze dwie inne osoby, ale byłem spanikowany i nie mogłem skupić się na nikim innym. Upuściłem teczkę i podbiegłem do Kimberly; starała się poprawić na łóżku. Na jej pokaleczonej twarzy widać było zdenerwowanie, gdy patrzyła na tych innych ludzi. Też zwróciłem na nich uwagę.

Kimberly odezwała się:

— Jordan, to są moi rodzice. Mamusiu, Tato, to jest Jordan.

Piwnie oczy jej matki patrzyły na mój garnitur i teczkę.

Spytała:

— Jest pan adwokatem, czy przyjacielem Petera?

Twarz Kimberly zatraciła wszelkie ślady zmartwienia i zastygła w szoku. Powiedziała:

— Mamusiu, to jest facet, z którym chodzę.

Jej matka wykrzyknęła:

— Och, jesteś jej chłopakiem. Opowiadała mi o tobie. Miło cię poznać, Jordan.

Mój mózg robił sobie ze mnie żarty. Kimberly właśnie powiedziała, że jej tata jest w pokoju, a ja nie widziałem nikogo innego prócz brata w średnim wieku stojącego przy oknie. Brat o skórze koloru masła przeszedł pokój

dwoma długimi krokami, wyciągnął rękę, spojrzał na mnie prosto i przyjaźnie.

— Jestem George Chavers. Nie usłyszałem twojego nazwiska.

— Jordan Greene. — Moja twarz drgnęła, wróciła do życia w spazmach. On nosił nazwisko Kimberly. Mój umysł siedział sobie jeszcze w metrze i nie nadażał za mną. To byli jej rodzice. Oboje. — Miło mi, panie Chavers — powiedziałem.

— Mnie również. Szkoda tylko, że nie spotykamy się w lepszych okolicznościach.

— Zgadza się. — Skinąłem głową. Dwie sekundy później mrugnąłem.

W środku byłem w poważnym szoku. Pomyślałbym, że to jakiś żart, ale nikt się nie uśmiechał, drwił ani zaprzeczał. A on miał jej twarz. Ten sam kształt głowy, te same pełne usta, te same brwi. Był przystojnym facetem i na pewno po nim Kimberly musiała odziedziczyć swoją urodę, przynajmniej jej część. Jego twarz wyrażała dużą surowość. Wojskową twardość, jak sędzę.

Pani miała włosy Kimberly, z wiekiem trochę przyprószone siwizną, krótkie i cieniowane, wyglądały na miłe w dotyku. Kimberly miała te same piwne oczy co pani. Wstała i podeszła do mnie.

— Jestem matką Kimberly. Denise Chavers.

Kimberly wciąż się poprawiała, wyglądała żałośnie.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

— Jak się czujesz? — spytałem.

Pokazała, że bym obok niej usiadł.

— W porządku.

Jej matka powiedziała:

— Wcale nie. Stara się jedynie nas nie martwić.

Jej matka zaczęła opowiadać, że Kimberly była z Peterem, że zostali napadnięci, ale nie dodała żadnych szczegółów, bo Kimberly jej przerwała:

— Nie teraz, Mamusiu.

Peter. To samo imię, które Kimberly powiedziała przez telefon.

Kimberly ciągnęła:

— Mamusiu, jeszcze mu nie mówiłam.

— Czego mi nie mówiłaś? — spytałem.

— Może — odezwał się jej ojciec, dotykając ramienia matki — może powinniśmy zostawić Kimberly samą z jej przyjacielem.

— Kim?

Nie zauważałem większości tego, co się działo, bo byłem zbyt zajęty porównywaniem ich rysów. Gdyby mieszać i połączyć George'a z Denise, na pewno wyszłaby Kimberly. Była nimi.

Rodzice oświadczyli, że wracają do hotelu. Kimberly powiedziała matce, że nocą nic jej nie będzie, ale żeby zadzwonili z hotelu i podali jej swój numer pokoju.

Drzwi się zaniknęły.

Spojrzałem na Kimberly i powiedziałem:

— Twój ojciec?

— Tak. — Uśmiechnęła się i jęknęła. — Matka też.

— Twój biologiczny ojciec?

— Biologiczny — odchrząknęła i zmarszczyła brwi na moje słowa.

Kimberly wzięła moje palce w swoje ręce. Moje życie przepełnione było zdradą. Wszyscy szczali na mnie z każdej strony. Tajemnica za tajemnicą.

Bolało mnie, że Kimberly jest w takim stanie, ale gdyby nie to, co się stało, nadal tańczyłbym w ciemności. Gdyby J'nette nie zaszła tamtej nocy w ciążę, sekret należałby tylko do niej i Solomona. Mógłbym nadal być z J'nette i nie wiedzieć. Zoe zostałaby szczęśliwą żoną Solomona i macochą jego synka. A on byłby uśmiechniętym ojczymem jej dziecka. O tym właśnie myślałem jadąc tutaj.

To wszystko kumulowało się teraz w jeden gniew. Głęboko to w sobie ukrywałem. Ale czołgało się, sączyło przez pory. Cofnąłem rękę, poszedłem za zapachem świeżych kwiatów i przeczytałem bilecik z wczorajszą datą. „Szybkiego powrotu do zdrowia. Pozdrawiamy. Eric”.

— I Clair. Gdyby były tylko od Erica, wyrzuciłabym je do śmietnika. Nic nie znaczą — wtrąciła.

Powiedziałem powoli i cicho:

— Eric już wiedział, że jesteś w szpitalu...

— Clair go zawiadomiła. Wiedziała tylko dlatego, że miałam odebrać pieniądze za moje prace na zamówienie, więc Kinikki zadzwoniła do niej, a Eric był akurat w galerii, odebrał telefon i...

— A do mnie nikt nie zadzwonił? — Mój ton był ostry jak brzytwa. Spojrzała bardzo zdziwiona, gdy to powiedziałem. — Łączy cię jeszcze coś z Erikiem?

— Nie. Nie jestem taka i dobrze o tym wiesz.

— Twoi rodzice zdążyli przyjechać z drugiego końca kraju, zanim do mnie ktokolwiek zadzwonił. Siedziałem i czekałem na ciebie i...

— Sharon wszędzie dzwoniła.

— A jak ona się dowiedziała?

— Zadzwoniłam do niej.

— Najpierw zadzwoniłaś do przyjaciółki na Long Island?

— Nie, zadzwoniłam do Kinikki, a Kinikki zadzwoniła do Sharon.

— Ale nie mogłaś ich prosić, żeby do mnie zadzwoniły?

Z początku nie odpowiedziała. Potem dodała:

— Byłam w szoku i nie myślałam rozsądnie.

— Skoro nie myślałaś rozsądnie, to jak udało ci się zadzwonić do Kinikki? Dlaczego musiałaś do niej zadzwonić? Powiedziałaś mi, że to właśnie z nią idziesz na kolację, nie?

— Jordan — rzuciła szorstko. Spojrzała na mnie, jakby nie mogła uwierzyć, że prowadzimy tę rozmowę. Zdenerwowany oficjalny ton wkradł się w jej głos. — Nie denerwuj się i nie denerwuj mnie.

Odparłem tym samym tonem:

— Chcę jedynie wiedzieć, dlaczego nie zadzwoniłaś?

— Nie mogłam.

— Dlaczego?

— Nie chciałam cię martwić. — Podrapała się w rękę i łza spłynęła jej po policzku. — Nic mi nie jest.

Minęła chwila, zapytałem:

— To był twój biologiczny ojciec?

Wierciła się, tarła tył głowy.

— Już mnie o to pytałeś.

— Mówiłem do siebie.

Zobaczyłem ją w innym świetle. O wiele ciemniejszym świetle. To było popieprzone. Zamiast doświadczenia w stylu Zgadnij, kto przyjdzie na obiad, *spędzałem* czas z Imitacją życia.

— Jordan, czy mógłbyś przestać tak mi się przyglądać? Denerwujesz mnie. Czy to stanowi problem? Ma jakieś znaczenie?

Patrząc przez okno, patrzyłem na odbicie miasta nocą na szybie. Kimberly nadal się wierciła. Skrzywiła się, jakby miała się rozpłakać, ale tego nie zrobiła. Uspokoilem się, wróciłem do niej, pocałowałem ją sztucznie w czoło, próbowałem, czy z nowej perspektywy jej skóra będzie smakowała inaczej. Nie byłem w stanie zdecydować, czy to sól, czy pieprz. Byłem zbyt zgorzkniały, żeby czegokolwiek posmakować.

Podryfowałem myślami z powrotem do Solomona i J'nette.

Mój oddech zwolnił, zrobił się cięższy. Piers rozszerzała się i unosiła. Ramiona wznosiły się parę centymetrów z każdym wdechem, opadały z wydechem. Przez chwilę to, co działo się w tym szpitalnym pokoju, nie miało znaczenia. Czulem się ciężki, ten ciężar mnie męczył. Miałem w oczach odbicie Kimberly, ale bez względu na to, jak bardzo się starałem, cały czas widziałem, jak Solomon atakuje J'nette.

— Co się stało? — spytałem Kimberly.

— Zostałam napadnięta. — Powiedziała to, jakby ta odpowiedź była oczywista, a pytanie retoryczne. — Ukradli mi torebkę i biżuterię.

O mały włos nie spytałem, kto jej to ukradł, ale tego nie zrobiłem. Mru-gnąłem kilka razy, patrzyłem na jej turban z bandaża, usiłowałem skupić się na tym, nad czym powinienem się skupić. Opowiadała o całej tej sytuacji, a kiedy spytałem, gdzie była w chwili napadu, gdy spytałem z kim była, powiedziała bardzo wymijająco:

— Na uliczce bocznej od Yarick.

Zdażyłem się już domyślić, że nie była z Kinikki, wiedziałem, bo jej matka nadawała coś o jakimś Peterze, ale żeby mieć pewność, że ta wyprawa zmierza do prawdy, udałem głupiego i spytałem, czy Kinikki została ranna.

Uspokoila się na tyle, że usta przestały jej drżeć, odchrząknęła, i wyznała bardzo lekko i kobieco:

— Byłam z kimś innym.

Zrozumiałem. Nie było żadnego spotkania w interesach. Był ktoś inny.

— To był ten Peter?

Usta jej zadrżały; potarła twarz.

— Tak.

— Został ranny?

Potrząsnęła głową. I głos jej się załamał:

— Zmarł.

— Zmarł? — powtórzyłem.

Chciałem wiedzieć, jak spotkanie w interesach przerodziło się w coś takiego. Wysmarkała nos dwa razy, potem oględnie opowiedziała mi o ich spotkaniu na wspólną kolację, wyprawie po pieniądze i wpadnięciu w pułapkę. Kimberly mówiła przez prawie godzinę bez przerwy. Mężatka. Ślub z bratem. Powiedziała, że nie mówiła mi o Peterze, bo nie chciała, żebym pomyślał sobie, że podoba jej się kolor mojej skóry, a nie ja. Próbowwała doprowadzić do rozwodu. Skończyła jako wdowa. Częściowo czarna. Głównie biała. Bardzo we mnie zakochana.

Zastanawiałem się, czy jakakolwiek kobieta naprawdę wie, czym jest miłość.

W połowie tego zamieszania spytała mnie, co o tym wszystkim sądzę, co myślę o nas, o tym, kim jest, o naszej przyszłości. Gdy nie odpowiadałem, powiedziała, żebym przestał się na nią gapić, jakbym dopatrywał się w niej murzyńskich cech. Jakby moje oczy były skalpelem obrażającym jej genetyczne dziedzictwo. Skierowałem wzrok w inną stronę. Poprosiła, żebym przestał patrzeć na kwiaty Erica.

Poprosiła, żebym nie był zazdrosny, bo nie ma o co, że jeśli kwiaty nie są od właściwej osoby, to nic nie znaczą. Nie miałem czasu na zazdrość, bo byłem zbyt pochłonięty rzeczywistością.

Nie wiedziałem, co czuję. I tak miałem już za dużo na głowie, tak dużo, że nie byłem w stanie ocenić jednego przyzwoitego uczucia.

Nie byłem tym, kim wczoraj. Czuję, że nie mam nic, nawet prawdy, a jutro będę miał jeszcze mniej. Mimo że na zewnątrz byłem taki sam, w środku byłem innym Jordanem Greene'em. Co znaczyło, że nie byliśmy tymi samymi Jordanem i Kimberly.

— Spałaś z Peterem?

Wyglądała na zranioną.

— Nie. Nie spałam.

Moje chłodne spojrzenie mówiło jej, że w to nie wierzę; powiedziała, że nie muszę zostawać. Wstałem, żeby pocałować jej posiniaczony policzek, ale podniosła swoją zbitą rękę między nas, zatrzymała mnie swoimi bliznami.

Kimberly wskazała na moją teczkę.

Mój wzrok powiedział jej, że spotkamy się w następnym wcieleniu.

Jej wzrok mówił to samo.

Zebrałem swoje rzeczy i zostawiłem kolejną czarną kobietę w jej łożu kłamstw.

31. Jordan Greene

Czułem potrzebę znalezienia czegoś, nie wiedziałem tylko, czego szukam. Mój umysł cofnął się do moich wartości ze szkoły średniej, do czasów gdy ja, Darrell i Reggie siadaliśmy na tylnym ganku Mamy i czekaliśmy na chłodny lekki wietrzyk. Kupiłem paczkę gatunkowych papierosów od ulicznego sprzedawcy na Times Square, prawie zadusiłem się na śmierć od pierwszego, wyrzuciłem paczkę. Potem wstąpiłem na parę piw do jednego z tych klubów dla dorosłych, gdzie nagie kobiety tańczą ze złotymi frędzelkami na piersiach. Patrzyłem, jak uśmiechają się od ucha do ucha, wyginając się przy srebrnej rurze przy barze. Po wyrzuceniu prawie trzydziestu dolarów na kiepski taniec na stole do głośnej muzyki, która nie była w stanie zagłuszyć moich myśli, wyszedłem na ulicę, spacerowałem pod tak jasnymi lampami, że wszyscy tracili poczucie czasu. Przez chwilę wmieszałem się w tłum zagubionych dusz. Obserwowałem, jak naciągacze wciskają zegarki turystom, którzy nie byli w stanie odróżnić roleksa od timeksa od Malcolma X. Inny sprzedawał koszulki projektantów pięć dolarów za sztukę. Jedna z koszulek miała napis: NIE, BIAŁA DAMULKO, NIE CHCĘ TWOJEJ TOREBKI.

Była prawie druga w nocy w mieście, które nigdy nie śpi. Martwa druga w nocy. A ja byłem na Central Park North, przed drzwiami Solomona, pukając, dzwoniąc i wykrzykując jego imię. Zadzwoiłem domofonem, ale mnie nie wpuścił. Ale wcale się nie spodziewałem, że to zrobi. Młody facet, którego raz czy dwa widziałem w windzie, wpuścił mnie do budynku wychodząc.

— Otwieraj te przeklęte drzwi, Sol — powiedziałem trzeci czy dziesiąty raz. Stałem w dobrze oświetlonym, wyłożonym zielonym chodnikiem korytarzu trochę zalatującym pleśnią. Plamki wody zostawiły brązowe kółka na białym suficie. Przeciek. Zniszczenie, którego nigdy nie zauważyłem. Znów zapukałem: — Wiem, że jesteś w domu.

Mały okrągły judasz ściemniał, co znaczyło, że od wewnątrz ktoś patrzył. Rozjaśnił się. Kilka zamków zachrobo— tało. Zasuwa antywłamaniowa została odsunięta. Drzwi wreszcie się otworzyły, ale nie usunął grubego łańcucha bezpieczeństwa, żebyśmy mogli stanąć twarzą w twarz.

Byłem bardzo dziki, mówiłem swoim najsilniejszym południowym akcentem.

— Nie wpuścisz kumpla do środka?

— Słuchaj, stary — powiedział Solomon. — Jest późno.

— Pogadaj ze mną po męsku.

— Nie zaczynaj rozróby, to nie będzie rozróby, dobra?

— Co jest, Sol?

— Co jest? — powiedział to tak, jakbym powinien sam już wiedzieć. Spuścił głowę, udając, że zawiązuje szlafrok. Kiedy wreszcie na mnie spojrział, jego gruby głos się załamał, a mowa wahała się między złością, wstydem a strachem. Na tle ciemnego mieszkania nie widziałem dobrze jego twarzy, bo cofnął się parę kroków i ukrył w cieniu. Ale gapiliśmy się na siebie.

— Dlaczego? — spytałem. Miałem zapuchnięte oczy. Czuję się wypompowany. Pociłem się, musiałem śmierdzieć gorzej niż rzeka Harlem. — Dlaczego to zrobiłeś?

— Ona skłamała, stary. Skłamała.

— Czyżby?

Minęła chwila. Chwila, która wydawała się miesiącem koszmarów. Powiedział:

— Wierz w co chcesz. Wiesz, że nie jestem żadnym cholernym gwałci-
cielem. Wiesz, że gdybym ją zgwałcił, zgłosiłaby to na policję.

— Ale z nią spałeś, tak?

— Jordan, zastanów się. Stary, słuchaj. Dawałem ci do zrozumienia, co się dzieje i ciągle powtarzałem, że ona nie jest wiele warta. Powiedziałbym ci, że nadal mi się podstawia, ale zerwaliście, więc nie było sensu. J'nette zależy na J'nette. Lata tylko za szmalem. Wyłącznie za szmalem.

Spuściłem głowę, próbując strząsnąć to szaleństwo i obudzić się z koszmaru, w którym żyłem.

Solomon powiedział:

— Słuchaj, stary, ona poprosiła mnie o trzysta dolarów dokładnie tej samej nocy, gdy poprosiła ciebie. Myślisz, że dlaczego była u mnie w domu i zachowywała się jak wariatka?

— Spałeś z nią?

— Tak. Więcej niż raz. To nie był żaden cholerny gwałt. I wcale nie było dobrze.

Zamilkłem.

— Dlaczego?

— Daj spokój, stary. A co to za różnica? Masz swoją białą kobietę, więc czemu wściekasz się o J'nette? To ty sam powiedziałeś, że wcale aż tak to jej nie lubisz, prawda? Przestań chodzić po obu stronach płotu, czarny bracie.

— Białą kobietę — powtórzyłem.

Zaśmiałem się jak szaleniec. W myślach usłyszałem teraz wszystkich ludzi, którzy tak mówili. Darrella i Wandę, Solomona i Toni, nawet obcych na ulicy. Mrugnąłem i przypomniałem sobie, jak niektórzy nie chcieli nawet ze mną rozmawiać z powodu Kimberly.

Potem skupiłem się na Solomonie. Zobaczyłem jak pieprzy J'nette, gdy ja siedzę u siebie w domu i czekam na jej telefon. Gdy była moją kobietą. Pieprzył ją w mieszkaniu, przed którym teraz stałem. Gdy głębiej odetchnąłem, zapachy przyprawiły mnie o zawrót głowy. Przysięgam, że poczułem seks dochodzący z jego jaskini. Ten zapach perfumował jego ciało.

Przez ułamek sekundy pomyślałem o wyłamaniu kopniakiem drzwi i zerwaniu łańcucha, ale nie widziałem sensu. Zwłaszcza że nie umiałem wykopać drzwi. Ale chciałem usłyszeć, jak przyznaje się, że ją pieprzył. Nie mogłem pójść do domu, dopóki tego nie usłyszę. Chciałem, żeby spojrzał mi prosto w oczy i powiedział, że był wewnątrz J'nette. I zrobił to. Więc powinienem pójść do domu. Chwilę później usłyszałem, jak ktoś idzie za nim na paluszkach w cieniu. Zaspany głos słodko zapytał, z kim rozmawia. Bardzo kobiecy głos, który bez wątpienia rozpoznałem po jego gładkości.

Przymknął drzwi na tyle, by zasłonić mnie i moje słowa, powiedział jej, żeby się uspokoiła i że zaraz wraca do łóżka. Gdy jej chichot zniknął w ciemności, Solomon uchylił trochę drzwi, ale nie tak bardzo jak na początku.

Popatrzył na mnie przez chwilę i zapytał:

— To wszystko.

— Kto?

— Co kto?

— Kto to?

— Tylko przyjaciółka — zniżył głos. — Bez znaczenia.

Pokręciłem głową.

— Skrzywdziłeś mnie. Nie zrobiłbym ci czegoś takiego. Nigdy. Za bardzo cię szanowałem.

Nic nie powiedział. Nie zniżył głowy. Nie miał wstydu. Wkurzało mnie to, że ukrywa się w cieniu i że go nie widzę. Coś we mnie pękło. Może przez to, jak na mnie patrzył z tego cienia. Może przez to, że nie drżał przede mną. Wycofałem się pod ścianę, a potem warknąłem, rzuciłem się całym sobą na drzwi. Solomon chrząknął i cofnął się. Cofnąłem się jeszcze raz i kopnąłem drzwi. Udało się; łańcuch się rozerwał, drzwi się otworzyły. Teraz dzieliło nas tylko parę kroków spokojnego powietrza. Przestrzeń i sposobność. Solomon potknął się i odskoczył do tyłu, z szeroko otwartymi oczami, z otwartą gębą, robiąc miny, jakby właśnie zobaczył Śmierć z kosą. W korytarzu stała Yasmear w czerwonej koszulce z napisem Arkansas, z szeroko otwartą buzią. Prawie naga. Kiedy wdarłem się do mieszkania, Solomon krzyknął głośniejszym głosem, a Yasmear wrzasnęła. Zobaczyłem jej w pół naga żółtą skórę. Zawyla, machała rękami, potykała się, pobiegła w głąb mieszkania krzycząc do Solomona, żeby dzwonił po policję. Próbował dostać się do telefonu, ale się potknął, zanurkował z otwartymi ramionami i runął na podłogę. Jęknął, złapał się za twarz, zmarszczył na mnie brwi. Spojrzałem na niego ze złośliwym uśmiechem. Potem splunąłem na lewo. Odwróciłem się i odszedłem od jego błagalnych oczu. Mogłem skopać jego niedołączną dupę, ale nie widziałem celu. Po prostu nie widziałem, po co. Poza tym załapał już, o co chodzi.

Kiedy drzwi windy otwierały się z chrzęstem, usłyszałem trzaśnięcie zamykanych drzwi Solomona, usłyszałem zamykanie wszystkich zamków.

Winda zjeżdżała w dół, a ja myślałem, słyszałem jak zamyka zamki. Jeden po drugim. Może też powinienem mieć takie zabezpieczenie, niezły zestaw zamków emocjonalnych chroniących mnie przed uczuciową kradzieżą.

32. Jordan Greene

Włożyłem do pracy białą koszulę ze stójką i szerokie dżinsy. Kilka minut po tym, jak wszedłem, zadzwoniła Zoe dowiedzieć się, jak się czuję. Twierdziła, że sama czuje się dobrze, ale ton jej głosu mówił mi, że jednak nie za dobrze. Przygnębienie jechało na każdej sylabie, którą wymawiała. Powiedziała, że poszła do biura Solomona omówić z nim pewne rozstaniowe sprawy, lecz nie było go w biurze. Zadzwonił, że jest chory. Nie mówiła tego głośno, ale na pewno zadzwonił, że śmiertelnie się boi. Powiedziała, że o mały włos też by dzisiaj nie przyszła, bo już nigdy więcej nie chciała oglądać jego twarzy. To właśnie było ryzyko zawierania bliskich znajomości w miejscu pracy.

Poczułem, że się uśmiecha.

— Wpadnę do ciebie, zanim wyjdiesz.

Przez cały rano ludzie wpadali, by życzyć mi powodzenia. Zauważyłem u nich jedną wspólną cechę. Wszyscy mieli strach w oczach, który mówił, że ich głowy mogą polecieć w następnej kolejności. I żal. Ale wiedziałem, że w głębi duszy myśleli też: „Lepiej ty niż ja”.

Większość ranka spędziłem na rozmowie rozwiązującej pracę i procedurze odejścia: upewniałem, że nie mam w posiadaniu żadnych ważnych dokumentów ani kluczy do frontowych drzwi plantacji.

Potem siedziałem na spotkaniu z dwunastoma innymi ludźmi, seminarium o bezrobociu, wyjaśniające naiwnym, jak przekształcić nasz prywatny plan emerytalny w schron podatkowy, jak utrzymać ubezpieczenie, o korzyściach szukania pracy przez biuro osób zwalnianych znajdujące się na partezie.

Rodger chciał zabrać mnie na lunch i kiedy przyszedł w południe, powiedziałem, że dołączą do niego w holu. Poszedłem do innego działu zająć się swoimi sprawami.

Wyskoczyłem z windy na piętrze Solomona. Wszyscy z jego otoczenia albo poszli na wcześniejszy lunch, albo pracowali w laboratorium komputerowym. Wszedłem do gabinetu Solomona. Poruszałem się na jego terenie, w kręgu jego spokoju. Zamknąłem drzwi. Zamknąłem je na klucz. Usunąłem zdjęcie jego syna z biurka. Wyjąłem zdjęcie Zoe z ramki na jego komputerze i włożyłem je do kieszeni.

Potem zdjąłem buty i zostawiłem je przy drzwiach. Otworzyłem wszystkie szuflady, stanąłem na krześle i nasikałem mu na biurko, z lewej na prawą i z powrotem. Ładny długi sik, który oszczędzałem od dzisiejszego ranka, kiedy się obudziłem. A sześć kubków wody, które w siebie wlałem pół godziny temu, pomagały rzece płynąć.

Nawet znając granice między dobrem a złem, czasami po prostu miałeś je gdzieś.

Włączyłem jego komputer, wpisałem hasło DAREUS, które mi powierzył, i wpisałem: *Wyczyść *.**

Pojawiła się wiadomość:

To skasuje wszystkie pliki.

Czy jesteś pewien? (Tak, Nie)

Chciałem wpisać JAK CHOLERA, ale proste Tak wystarczyło, by uszczęśliwić system komputerowy. Kiedy już wszystko skasowałem, przejechałem magnesem po jego dyskietkach — kopiach bezpieczeństwa.

Przy drzwiach włożyłem buty i uśmiechnąłem się do jego moknącego biurka. Wyszedłem, zamykając za sobą na klucz tak, żeby nikt nie mógł dostać się do środka.

Przy lunchu Rodger podsunął mi nazwiska trzech kontrahentów.

Spytałem:

— Jak szybko spodziewają się mojego telefonu?

— Wczoraj. Rozmawiałem z nimi, gdy byłeś w Memphis.

Siedzieliśmy we włoskiej restauracji na powietrzu, jedliśmy bardzo grubą nowojorską pizzę, sącząc napoje.

— Wszystkie firmy są w Kalifornii — powiedział.

— W Kalifornii? — powtórzyłem.

— I bardzo się niecierpliwili, żeby położyć na tobie swoje ręce.

Wyobraziłem sobie trzęsienia ziemi, wolno jadące bronco i rasistowskie kasety. Ale w końcu Wschód stał się bestią i nie był moim przyjacielem, więc może powinienem skorzystać z okazji i ruszyć na Zachód. Zdobyć nowe wspomnienia.

Oddalić się od Solomona.

Zostawić kilka stanów pomiędzy sobą a siostrą Kimberly.

— Co masz w planach? — spytałem.

Uśmiechnął się.

— Nikt przy zdrowych zmysłach nie zechce zatrudnić kogoś tak starego jak ja. Moja stawka spycha mnie z rynku. Ale przy swoich inwestycjach przeżyję.

Koło trzeciej po południu, chwilę po tym, jak wróciłem z lunchu, pozwoliłem CompSci zapłacić za parę międzymiastowych rozmów. Zostawiłem wiadomości wszystkim trzem firmom z Zachodniego Wybrzeża i zadzwoniłem do Darrella. Nie było go w domu. Wtedy zadzwoniłem do Wandy.

— Cześć, Glino! — krzyknęła.

Odsunąłem telefon od ucha i roześmiałem się. Miło było słyszeć swojski akcent, nawet jeśli od wariatki. Powiedziałem Wandzie, że mnie zwalniają. Próbowала mnie pocieszyć mówiąc, że każdego spotyka w życiu przynajmniej jedna ciężka chwila, że zażartowała, że wie, co mówi, bo ją spotkały dwie. Ale Mama zwykła była mawiać, że wszystko co dobre lub złe zdarza się w trzy.

— Glino, nawet Melba Moore musiała pójść na zasiłek.

— Naprawdę?

Wpatrywałem się w moje zdjęcie Martina. Biało— czarne zdjęcie zrobione, gdy siedział w więzieniu białego człowieka. W izolatce. Nie uśmiechał się. Czekał, aż zatriumfuje wolność.

Wanda była podekscytowana.

— Nie słyszałeś o tym? Słyszałam, że jest na zasiłku i odbiera czek pierwszego i piętnastego jak wszyscy, a była kiedyś milionerką.

— Co jej się stało?

— Rozwód. Wyszła za niewłaściwego faceta, czy coś takiego.

Wanda powiedziała, że Reggie czuje się świetnie i że był bardzo szczęśliwy, że przyjechałem go odwiedzić, tak że nie przestawał się chwalić bratem z Nowego Jorku w ośrodku. Był wzruszony, że ja i Darrell rzuciliśmy wszystko, wstrzymaliśmy własne życie, kiedy myśleliśmy, że nas potrzebuje.

— Jesteśmy braćmi. Bracia to właśnie powinni robić — powiedziałem.

Zamierzała z Reggie'em wyjechać z Memphis. Zacząć wszystko od początku. To musiał być sezon na odejścia. Wstrzymywało ich jedynie to, że Wanda chciała najpierw odzyskać swoje dziecko. A przynajmniej móc porozmawiać ze swoją córeczką i dostać częściowe prawa rodzicielskie. Była w kontakcie z pracownikami opieki społecznej, pisała listy dające do zrozumienia, że buduje dla siebie bezpieczne środowisko. Szuka uczciwego drugiego startu.

W międzyczasie załapała się do pracy w Memphis South— land Mail, za minimalną stawkę. Wanda mówiła o tym, jakby to była najlepsza rzecz na świecie.

Zoe weszła do mojego gabinetu na swoich pałakowatych nogach, uczesana w warkoczyki, kiedy pakowałem rzeczy, zdejmowałem ze ścian zdjęcia Malcolma, Martina, Coltrane'a i Toni Braxton. Ubrana była w białą koszulkę, dzinsy z 40 Acres i ciemnoczerwony blezer.

Bez pytania zdjęła go i zaczęła mi pomagać przy pakowaniu. Rozmawialiśmy. Ona mówiła o wszystkim — o pracy, dziecku — wszystkim oprócz Solomona i J'nette. Z nerwów mówiła tak dużo, że pozostawało mi jedynie jej słuchać.

Nie miała już na palcu pierścionka zaręczynowego. Gdy podniosła pudło, oboje w tym samym czasie zauważyliśmy pustkę na palcu, ale żadne z nas nic nie powiedziało.

Zoe pomogła mi znieść wszystko na dół do taksówki. Kiedy pomachała mi, życząc wszystkiego najlepszego, i odwróciła się, by wyjść, zobaczyła, że się męczę i prawie wszystko, co niosę, wypada mi z rąk. Wróciła, pozbierała to, co pospadało, i wskoczyła ze mną do taksówki. Gdy samochód ruszał, spojrzeliśmy na siebie.

— Wygląda na to, że potrzebujesz przyjaciela — powiedziała.

— Ty też.

Odpreżyliśmy się u mnie i rozmawialiśmy, a ja przygotowałem kurczaka na ostro z brązowym ryżem i warzywami. Zamieszała picie i w końcu puściła to, co wstrzymywała od dziewiątej do piątej. Poczucie zranienia.

Narzeką i warknęła okropnie:

— Czarnuchy i pchły. Jedno roznosi kłamstwa, jedno i drugie choroby.

Tak jak ja byłem w środku nocy u Solomona, próbując zrozumieć, ona była u J'nette, próbując usiąść i porozmawiać, i zrozumieć, dlaczego J'nette nie powiedziała nikomu aż do teraz. Chociaż słowa J'nette brzmiały szczerze i były przekonujące, Zoe nadal nie rozumiała. Nie rozumiała sprzeczności Solomona, jak mógł zadawać się z J'nette w jednej chwili, a w drugiej twierdzić, że ją kocha. Nie rozumiała powodów J'nette do tajemniczości.

Siedzieliśmy na podłodze i gadaliśmy, a w tle grał cicho stary Mikki Howard. Zoe nie odrywała wzroku od obrazu Afrykańczyków w wiosce, który Kimberly podarowała mi na Gwiazdkę. Podeszła i przesunęła palcami po fakturze oleju.

— To piękne — powiedziała. — Masz ładne mieszkanie. I masz gust.

— Dzięki.

Przeczytała podpis.

— *Kimberly Denise Chavers*. Ona to namalowała?

— Tak.

— A niech cię. Wspaniałe. Wygląda tak realistycznie.

Powiedziałem cicho, z sarkazmem:

— Robi wiele rzeczy, które wyglądają realistycznie.

— Ta biała dziewczyna umie pacykować.

Biała dziewczyna.

W pewnym momencie, po jedzeniu, przestaliśmy gadać i pozwoliliśmy zajść słońcu. W nowym półmroku Zoe przysunęła się bliżej i pocałowała mnie. Tak zniecka. A ja się jej poddałem, pozwoliłem jeszcze bardziej się przybliżyć. Dzieliłem się z nią językiem. Nie sprawiało mi to wielkiej przyjemności, ale też nie obrażało tak, jak mogłoby parę dni wcześniej. Częśćka mnie potrzebowała potwierdzenia, pragnęła być dotykana przez coś więcej niż kłamstwo. A Zoe była inna. Widziałem to. Czułem to w jej pocałunkach.

Zoe rozpięła mi koszulę, całowała moją pierś, rozpięła mi spodnie, znowu mnie pocałowała, wzięła mnie za rękę i poprowadziła do sypialni.

Osunąłem nakrycie, usiadłem na łóżku. Kiedy wydostała się z dzinsów, sięgnęła do torebki i wyjęła prezerwatywę. W momencie gdy usiłowała ją otworzyć, otrzeźwiło mnie. Zatrzymałem ją. Musiałem zatrzymać nas przed stanieniem się tym, czym okazał się Solomon. Powstrzymać Zoe od stania się osobą, którą nie chciała być J'nette.

Zacząła bardzo płakać. Usta jej drżały, w oczach widać było wstyd. Drżała i mówiła bezradnym szeptem, głosem zniszczonej duszy, językiem złamanego serca:

— Muszę to zrobić.

— Dlaczego?

— Po prostu muszę. Muszę przykryć czymś to, co on po sobie zostawił. Chcę to wyrównać.

— Nie możemy.

— Pozwól mi. Będę miała pewność, że nie wrócę.

Nie pozwoliłem jej się wykorzystać. Nie pozwoliłem, żeby wykorzystała w ten sposób samą siebie. Poprosiła, żebym ją objął, a ja zламаłem się i tyle jej ofiarowałem.

Bóg jeden wie, że też potrzebowałem zagłuszyć czymś ból, położyć nową warstwę lukru na moim nieszczęściu.

Siedzieliśmy w łóżku odprężeni, obok siebie, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Takim samymi przyjaciółmi, jakimi byliśmy przez ostatnich kilka miesięcy. Dałem jej do zrozumienia, że nie musi czuć się źle.

Byłem wściekły.

— Gwałt czy nie...

Zoe przerwała.

— Nie kupuję tej bajeczki o gwałcie.

— Jak Solomon mógł zrobić coś tak ohydneho?

Podciągnęła prześcieradła, okryła się i stwierdziła:

— Sam tego nie zrobił.

Chwilę później powiedziałem zboląły:

— Byłem jego najlepszym przyjacielem.

Zoe szepnęła miękko i delikatnie, lekko:

— To, że byłeś jego najlepszym przyjacielem, nie znaczy, że on był twoim. To, że byłem jego kobietą, nie znaczy, że był moim mężczyzną.

To był nasz ostatni wniosek. Nie ukoił bólu. Ale pozwolił nam się skupić na problemie.

Powiedziałem jej o przesyłce, która kapiała z biurka Solomona.

Roześmiała się.

— To chore. Zupełnie do ciebie nie pasuje.

— Coś we mnie pękło.

Powiedziałem jej o Solomonie i Yasmear.

Przestała się śmiać.

Zakrztusiła się, potrząsnęła głową.

— Podejrzewałam ją. Zawsze przychodziła w odwiedziny, pierwsza przychodziła, ostatnia wychodziła, stale kłuła mnie w oczy, chichotała i uśmiechała się.

Zoe ubrała się i spytała mnie o Kimberly. W naszej atmosferze intymności zwierzyłem jej się ze wszystkiego. Zoe rozumiała punkt widzenia Kimberly, bo była mężatką i też się rozwodziła. Powiedziała, że w okresie przejściowym od małżeństwa do wolnego życia, jeśli powiedziała facetowi, że nadal jest mężatką jeszcze nie rozwiedzioną nie traktował jej poważnie. Chciał się z nią zabawić, a potem wykorzystał jej małżeństwo jako wymówkę do odejścia w pogoń za wolnymi kobietami.

Powtórzyłem jej, co mówiła Kimberly, jak w okresie dorastania płakała z powodu niepokoju o własną tożsamość.

Zoe rozumiała ból Kimberly z dzieciństwa, ale z innego punktu widzenia. Z innej strony torów. Ona była wyśmiewana i krzywdzona z powodu ciemnej karnacji. Zawsze powtarzano jej, że jest za ciemna. Nazywano ją Ju— Ju, Kocmołuch, Sambo, Pigmej i stu innymi wyzwiskami, które aż za dobrze pamiętała. Przynajmniej na tyle, że bardzo zdenerwowała ją ta rozmowa.

Powiedziała:

— Nikt nie potrafi tak bardzo skrzywdzić czarnych, jak sami czarni.

Prawie czułem oddech Kimberly na swojej twarzy, gdy odparłem: — Wiem.

— Czarni doprowadzili do tego, że chciałam być biała. Byłam za ciemna, za niska, za gruba, moje włosy były zbyt mocno kręcone. — Złapała się za

serce. — A to bolało jak cholera. Sprawiało, że chciałam się ukryć w jakiejś norze. Nie każdy wytrzyma takie dręczenie.

Ucichliśmy na chwilę.

Potem zakryła usta i roześmiała się, głośno.

— Gdy wyszłam za mąż, pojechałam do Chicago, by poznać babcię mojego męża, i pierwsze co powiedziała, kiedy otworzyła drzwi, to — Zoe naśladowała głos starej kobiety: — „Nie mogłeś znaleźć nikogo jaśniejszego? Nie chcę żadnych czarnych dzieci biegających po domu”.

Roześmiałem się.

— Kurczę. Naprawdę?

— Nie chciała, żeby kładł się z nikim ciemniejszym niż papierowa brązowa torba na zakupy.

— Test papierowej torby — powiedziałem.

— Też o tym słyszałeś? Suka naprawdę wyciągnęła z kuchni brązową torbę i przyłożyła mi ją do twarzy. Skoro byłam ciemniejsza niż torba, nie nadawałam się.

— Naprawdę ci to zrobiła?

— Tak jest. A ta dziwka była ciemniejsza ode mnie! — Chichotała, ale nie był to śmiech. Tak samo chichotałem, stojąc przed mieszkaniem Solomona parę godzin temu.

— A po tym wszystkim mięczak, za którego wyszłam, nie powiedział ani słowa w mojej obronie. Więc od tamtego dnia wiedziałam, że to małżeństwo się nie utrzyma.

— To niewiarygodne.

— Ale miało miejsce — powiedziała i przestała się śmiać. — Tak naprawdę było. Parę lat temu nikt na mnie nawet nie spojrzał. Teraz bracia pchają się drzwiami i oknami.

Poza białymi, którzy nienawidzili wszystkich, nie byłem wyśmiewany ani dręczony, ani zameęczany. Mój kolor skóry był bezpiecznym średnim brązem. Skłamałbym, gdybym nie przyznał, że sam dręczyłem innych przy każdej sposobności, robiłem to swoim własnym ludzom. Ja i Darrell zawsze męczyliśmy Reggiego, nazywaliśmy go Patelnia i Węglarz, gdy Mamy nie było dość blisko, żeby nas za to uderzyć.

Kiedy opowiedziałem Zoe o tym, że Kimberly jest mężatką i potajemnie załatwia rozwód, potem o napaści, o całym dramacie tego dnia, powiedziała tylko:

— Wiem, że to nie w porządku, ale musiałbyś być kobietą, żeby zrozumieć, dlaczego zrobiła to, co zrobiła, w ten sposób. Jak byś zareagował, gdyby ci wyznała, że poślubiła czarnego?

Z początku nie odpowiedziałem.

— Nie trzeba się nad tym aż tak zastanawiać, Jay.

— Co masz na myśli? — spytałem.

— Pomyślałbyś, że jest białą świrką uganiającą się za czarnymi jak cała reszta, nie?

— Nie wiem.

— Wiesz — naciskała. — I wiesz, że wiesz.

Nadal nic nie mówiłem.

Zoe powiedziała:

— Szkoda, że tak się to wszystko pokręciło. Znalazła się pod ostrym ostrzałem, a bardziej martwi się o ciebie niż o siebie.

Część mojej złości wynikała z tego, że skoro Kimberly była częściowo czarna, wychodziło na to, że nie jestem tak liberalnie nastawiony, nie tak wolny, jak myślałem. To, że byłem z nią, nie oznaczało, że podoba mi się, że inni czarni bracia czy siostry chodzą z białymi. Ale przestałem to negatywnie komentować. Może część mnie sądziła, że coś udowadnia. Nabrała mnie i i pozwoliła na to, że bym wyszedł na głupka. Z powodu całego tego zamieszania, obraźliwych uwag, gwizdów, uśmieszków i syknięć, które tolerowałem będąc z nią.

Jęknąłem z żalu.

— Żeby skończyć to szaleństwo, wystarczyłoby, gdyby uniosła pięści i powiedziała „no dawaj” raz czy dwa.

— Tak jakby to robiło jakąś różnicę.

— Powinno.

— Cóż, nie obchodzi mnie to, co mówisz, ona nie wygląda i dla mnie nigdy nie będzie wyglądała jak czarna. Możesz jej zrobić afro na głowie, zmusić do tańczenia Cabbage Patch i śpiewania „Superfly” od świtu do nocy,

a ona i tak nie będzie wyglądać jak czarna. Nikt na moim przyjęciu zaręczynowym nie pomyślał, że może być siostrą.

— Jej ojciec jest czarny.

— Mówiłeś, że pół czarny.

— Tak.

— Jeśli jej tata jest koloru dyni, to jest kwadrunkiem czy kwarteronem, jakkolwiek się to nazywa.

— Jest siostrą.

— Kimkolwiek jest — wzruszyła ramionami Zoe, zrobiła wolny wydech, jakby była zmęczona całym tym tematem — to jej sprawa. Wszyscy mamy jakieś problemy. Wszyscy. Każdy z nas czegoś szuka.

Skinąłem głową. Powiedziałem coś niepewnie.

— Albo próbuje się czegoś trzymać. — Zoe sprawiała wrażenie jakby zaraz miała się rozplakać. Wcisnęła pięść głęboko w udo. — A niektórzy z nas zostają z pustymi rękami. Zaczynają od zera.

— Dobrze się czujesz?

— Nie. — Głos jej się załamywał. — Mam już dość zaczynania od początku.

Objąłem ją. Wytarła buzię, poklepała mnie po ramieniu i pocałowała w rękę. Znowu spytałem:

— Dobrze się czujesz?

— Prawie. — Pociągnęła nosem. — Muszę się uspokoić, zanim odbiorę dziecko od opiekunki. Mała rozpoznaje, kiedy jestem zdenerwowana. Wtedy sama się denerwuje. I w końcu obie jesteśmy zdenerwowane. Będę musiała się zdecydować, co jej powiedzieć o tym, że Sol nie będzie już więcej przychodził.

Siedzieliśmy przez chwilę, kołysząc się.

Spytałem Zoe:

— O czym myślisz?

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

— Naprawdę lubisz tę niemiecko- irlandzką, biało- czarną rudą dziewczynę, co?

Obrazy Kimberly wisiały u mnie na ścianie. Dwa studyjne 8x10 zdobiły moje ściany.

— Tak — powiedziałem.

— Nie jestem za braćmi z białymi kobietami. Hej, nie jestem nawet za braćmi uganiającymi się za jasnymi siostrami tylko dlatego, że są jasne, ale to tylko ja. Mój bagaż. Jeśli zależy ci na niej i to wypływa z serca, trzymaj ją za rękę, gdy ktoś powie jej coś obraźliwego. Jeśli ktoś ją wkurzy, trzymaj ją trochę mocniej. Wszyscy potrzebujemy kogoś, kto potrzyima nas za rękę co jakiś czas.

— To do ciebie niepodobne.

— Wiem. I nikomu tego nie powtórzysz.

— Mógłbym.

— Gdybyś to zrobił, nikt by ci nie uwierzył.

Zaśmialiśmy się.

Może Kimberly próbowała się odnaleźć. A może już się odnalazła, ale wszyscy zajęci krytykowaniem nie zauważyli tego. Zignorować przeszłość i ruszyć do przodu. Reggie próbował się odnaleźć i zdefiniować. Wanda robiła to samo. J'nette i Zoe jechały na tym samym wózku. W taki czy inny sposób, wszyscy próbowaliśmy się odnaleźć. Niektórzy musieli kopać dalej i głębiej niż pozostali.

Zoe powiedziała, że jest gotowa wyjechać z Wielkiego Jabłka. Gotowa zabrać swoją córeczkę i zniknąć. Miała już dość Nowego Jorku, i żeby przez to przejść, musiała się od wszystkich odseparować. Zwłaszcza od J'nette. Za ciężko było jej patrzeć na to dziecko i nie winić go za to, co się stało.

— Zwracam Solowi jego pierścionek.

— Nie rób tego — omal nie krzyknąłem. — Zastaw go. Pojedź na wakacje, czy coś. To on nawalił, nie ty.

Chwilę się nad tym zastanowiła i powiedziała:

— Skoro nalegasz.

— Nalegam. Popłyn na wycieczkę statkiem.

— Europa brzmi lepiej.

— Więc zrób to.

— Chcesz część tych pieniędzy?

Oboje się roześmieliśmy.

— Nie — powiedziałem.

— Właśnie cię zwolnili.

— Mam nadzieję, że nie myślisz, że pracowałem te wszystkie lata i nie oszczędzałem. Nawet jeśli nie będę pracował przez następny rok, może dwa, nic mi nie będzie.

Uśmiechnęła się wesoło, a ja sobie przypomniałem, że ukradłem jej zdjęcie z biurka Solomona. Wyjąłem je z teczki i podałem jej. Chwilę na nie popatrzyła i oddała mi. Chciała, żebym je zatrzymał na pamiątkę.

Zoe wzięła prysznic. Gdy smarowała się moim balsamem i ubierała, ja się kąpałem. Czekala w salonie, aż się ubiorę. Potem odprowadziłem ją do metra. zaproponowałem, że odprowadzę ją na przystanek autobusowy i wskoczmy razem do Q3, ale odmówiła, powiedziała, że jest w nastroju na wolny spacer w ciepły wieczór. Wydawało się, że żadne z nas nie ma dokąd pójść. Nigdzie się nie spieszy. Więc dwudziestominutowy spacer był jak zalecenie lekarza. Po tym wszystkim świat wydawał się czymś nowym.

Na schodach do metra Zoe powiedziała:

— Jeśli się jeszcze spotkamy, a ja będę ze swoją obstawą i się nie odezwę, nie bierz tego do siebie. Przemycę ci mrugnięcie.

— Będę go wypatrywał.

— Jesteś fajnym facetem. Brałam cię za kogoś płytkiego. Masz zasady. Prawdziwe wartości.

— Nie jestem z Nowego Jorku.

Roześmiała się.

— Prawie żałuję, że nie poznałam ciebie pierwszego.

— Prawie?

— Tak. — Podeszła na paluszkach i pocałowała mnie w policzek. — Prawie.

Pocałowałem ją w policzek.

— Dzięki, Jay — powiedziała.

— Za co?

— Za to, czego nie zrobiłeś. — Wydała dźwięk ulgi, zarumieniła się i mrugnęła. — Czasami najlepszą zemstą jest, kiedy nikt nie wie, że mogłeś ją osiągnąć.

— Tak. — Skinałem. — Trzymaj się.

— Ty też.

Wskoczyła do pociągu linii G i pojechała, dokądkolwiek jechała. Nie powiedziała, dokąd ucieka. Nie pytałem. I byłem szczęśliwy, jeśli tę odrobinę ulgi można nazwać szczęściem.

Gdy pomachałem na pożegnanie znikającej powierniczce, silnej siostrze, której zbolące słowa bardzo złagodziły moje cierpienie, ruszyłem w półmrok, z powrotem na ulicę.

Do mojego nowego życia.

TLR

33. Kimberly Chavers

Sopłątane włosy wchodziły mi do oczu, a w dodatku nieprzyjemnie pachniały, więc musiałam jak najszybciej umyć i wysuszyć tę dżunglę. Stałam w kuchni oko w oko z czarnym zegarem nad zlewem, próbując odczytać czas, ale nie widziałam cyfr. Wściekało mnie, że im bardziej wyteżam wzrok, tym bardziej niewyraźne wydawały mi się cyfry.

Zdenerwowałam się, że wszystko wydaje się takie zamazane i zdecydowałam, że pora się pospieszyć, bo nie zdążę, więc przestałam zmywać, pobiegłam wziąć prysznic, zaczęłam myć włosy i śpiewać razem z radiem. Muzyka grała głośno, ale nie słyszałam za dobrze. Bez względu na to, jak bardzo wyteżałam słuch, wszystko było przytłumione.

Właśnie spłukiwałam mydło z pleców, gdy usłyszałam jakieś grzechotanie przed drzwiami frontowymi. Wyłączyłam radio, żeby lepiej słyszeć. Mimo że byłam pewna, że drzwi są zamknięte, bo zawsze je zamykałam, wiem, że usłyszałam, jak ktoś je otwiera i zamyka. Pomyślałabym, że to coś w radio włączonym na HOT 97a ale radio było przecież wyłączone. I z powodu przeciągu, bo drzwi do łazienki były lekko uchylone, zasłonka prysznicowa się poruszyła, zafalowała. Zakręciłam wodę. Stałam cicho w ciemności. Nasłuchiwałam. Wstrzymałam oddech. Mój puls szalał.

Z początku nic się nie działo. Potem szepty. Bardzo nie— kobiece szepty, więc wiedziałam, że to nie Sharon i Kinikki wpadły bez zapowiedzi. Usłyszałam wokół siebie ciężkie kroki. Coś rysowało po powierzchni, gdy się poruszali. Moje mieszkanie wydawało się mniejsze. Coś ścisnęło mnie w gardle, zakryłam rękami nagie piersi. Potem dwa głosy zbliżyły się i oddaliły. Żaden nie był znajomy.

Wyszłam spod prysznica i otworzyłam trochę szerzej drzwi do łazienki, na tyle, by usłyszeć, że zdejmują moje stereo. Podnoszą mój telewizor, moje obrazy, może nawet coś drą. Żeby dostać się do telefonu, musiałabym przebiec przez salon i minąć tego, kto tam był. Naga, moją jedną bronią byłby mokry ręcznik i krzyki. Naga. Jak mnie pan Bóg stworzył. Gdy sięgnęłam po ręcznik, by się owinać, nie mogłam go znaleźć. Ktoś go zabrał.

Zgasilałam światło, weszłam do wanny i zasłoniłam zasłonką na tyle, by się ukryć, ale też by sprawiało wrażenie, że nikogo tu nie ma. Przynajmniej taką miałam nadzieję. Skuliłam się przy kranie, przycisnęłam nagie ciało

mocno do ściany. Usłyszałem głosy z sypialni, tylko parę metrów ode mnie. Nie mogłam opanować drżenia nóg. Pociłam się jak mysz.

Rzeczy z sypialni były rozrzucone i ciągnięte do salonu. Ze ściany obok łóżka zerwano mój obraz. Kroki zbliżyły się do mojej kryjówki. Zatrzymały się przed drzwiami. Parę sekund milczenia. Potem drzwi się otarły i uderzyły o ścianę. Ktokolwiek to był, był na tyle duży, że jego cień zasłonił całą łazienkę.

Przez dłuższy czas cisza.

Wstrzymałam oddech, prawie udusiłam się ze strachu. Światło się włączyło i oślepiło mnie. Rozpiął spodnie i omal nie krzyknęłam „pomocy”, ale nie wiedziałam, kogo miałabym zawołać. Podniósł klapę toalety. Usłyszałam, jak drobne brzęczą mu w kieszeniach spodni. Usiadł, rozmawiał z przyjacielem, mówił mu, co zabrać, co się zmieści do ciężarówki, których obrazów szybko można się pozbyć. Jego przyjaciel krzyknął, że w szufladzie znalazł pistolet. Byłam ciekawa jak się tam znalazł, boja przecież nie miałam broni. Nienawidziłam broni. Może Jordan mi go zostawił na wypadek, gdyby coś takiego jak teraz się stało.

Ale Jordana nie było już w moim życiu. Koniec EXtra czasów.

Próbowałam siedzieć bez ruchu, próbowałam nie oddychać.

Jęknął, napiął się i robił swoje.

Wrócili po mnie.

Siedziałam nieruchomo.

Nie oddychałam.

Czułam, że on się nie rusza.

Tak samo nie oddycha.

Wtedy pociągnął zasłonkę, szarpnął ją tak mocno, że wszystkie plastikowe kółka odpadły i uderzyły w okafelkowaną ścianę.

To był biały dzieciak z zaułka, ten sam, który rzucił mnie na ścianę przy bankomacie. Ten, który zranił mnie w głowę. Tyle zrozumiałam na początku. Potem przypominałam sobie wszystko o napadzie. Zastrzelili Petera. Kundle nie byli w więzieniu. Ale wiedziałam, że byli; policja mnie przecież zapewniała. Więc uciekli. Albo to, albo aresztowali niewłaściwych ludzi. Albo zostali zwolnieni z powodu uchybień proceduralnych.

Oboje podskoczyliśmy i krzyknęliśmy. Mój krzyk ze strachu, jego zwycięski. Próbowałam go ominąć i upadłam na ubikację. Jego zbójowaty kolega od kolczyków krzyknął i biegł do łazienki. Usłyszałam kilka strzałów.

W oddali krzyknął Peter. Mój krzyk był zduszony.

Obudziłam się nie wiedząc, gdzie jestem. Z bocznego okna dochodziło światło, ale i tak było jeszcze za ciemno.

— Obudź się, Kimberly.

Skuliłam się, gdy poczułam na ramionach męską rękę, trzęsącą mną. Skupiłam wzrok. To był Jordan. Siedział na brzegu mojego szpitalnego łóżka, wołał mnie po imieniu, delikatnie przywracał do rzeczywistości. Przyciągnął mnie do siebie.

— Śnił ci się jakiś koszmar — szepnął.

Wymamrotałam coś i próbowałam się uwolnić.

— Co ty tutaj robisz?

— Chcesz, żebym sobie poszedł?

— Tak.

— To źle.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Potem przeprosiłam za swoje zachowanie poprzedniego dnia.

Położyłam mu głowę na piersi, ale bolała z powodu guza z tyłu. Wylał mi pot z twarzy, mówił do mnie i uspokajał. Była prawie trzecia w nocy. Nie wiedziałam, kiedy wrócił ani jak długo tak tu siedział i obserwował, jak cierpię. Ostatnie, co pamiętam, to że dzwoniłam do Sharon na pager, potem że Mamusia i Tata zadzwonili z hotelu, a potem, że próbowałam ułożyć się wygodnie.

Spytał, czy mnie boli.

— Jak długo tu zostaniesz? — spytałam.

— Aż wrócisz do domu.

Zaczęliśmy rozmawiać. O koszmarze, który przeszłam. O tym, jak doroślałam.

— Więc czym jesteś? — spytał.

— Co to znaczy czym jestem? — szturchnęłam go. — Nie jestem czymś. Jestem ludzką istotą.

— Nie, mam na myśli pochodzenie. Jesteś Afro-Amerykanką?

— Widziałeś moich rodziców. Jak sądzisz?

— Odpowiedz na pytanie.

— Nie zagłębiajmy się w to teraz. Czy możemy porozmawiać o czymś innym przez chwilę?

— Nie można być jednego dnia czerwonym, a następnego różowym.

— Więc w porządku było chodzenie ze mną, jeśli jestem biała, ale fakt, że nie jestem, wszystko zmienia?

— Tego nie mówię.

— Tak czy inaczej, nadal jestem tą samą Kimberly Denise Chavers.

Rozmawialiśmy tak przez godzinę. Miałam swój punkt widzenia oparty na własnych doświadczeniach. Miałam swoje uczucia, oparte na tym, kim byłam, oparte na ludziach, którzy dali mi życie. Oparte na moich zasadach.

Temat został nareszcie wyczerpany. Na jakiś czas.

Jordan miał dużo na głowie, nie tylko mnie. Miał inne problemy, które moja sytuacja jedynie wyolbrzymiła. Moje problemy sprawiły, że jego własne wydały się większe. Powiedział, że dostał wymówienie i może opuścić Nowy Jork. Że może wyjedzie nad Pacyfik do pracy w Kalifornii. To nie było jeszcze potwierdzone. Gdyby nie dostał tej pracy, życie tutaj byłoby za drogie, a musiałby płacić rachunki i przestawić swoje finanse jak najszybciej, tak na wszelki wypadek. Myśl o tym, że może zniknąć z mojego życia tak nagle, zabolą mnie bardziej, niż ujawniał ten ciemny pokój.

Nie był pewien, co zrobi, ale nie czuł się wygodnie, będąc bez pracy po raz pierwszy w życiu.

— Prosto po szkole średniej poszedłeś na studia, pracowałeś na dwa etaty, cały rok w szkole, zacząłeś pracę w CompSci dwa dni po skończeniu studiów, może powinieneś zrobić sobie trochę wolnego — powiedziałam. — Zaslługujesz na to. Zawsze chciałeś podróżować, to twoja szansa na parę dni wolnego.

— Wyjazd na wakacje nie włoży mi pieniędzy do kieszeni.

— Nie — odparłam — ale wzbogaci twoje życie. Da lepszą perspektywę na świat.

Powiedziałam, że jeśli chce, skoro moje mieszkanie jest większe, może się wprowadzić, żeby obniżyć koszty. Przestraszyło mnie, że oferuję swoje mieszkanie, bo nigdy nie chciałam mieszkać z kimś, kto nie był moim mężem. A nie chciałam więcej wychodzić za mąż, już nigdy więcej.

Powiedziałam niepewnie:

— Lepiej skorzystaj z mojej propozycji, zanim te leki przestaną działać.

Dotknął mojej posiniaczonej twarzy.

— Poradzisz sobie z tym wszystkim, co jest pod tymi siniakami?

— Sharon umówiła mnie z psychoterapeutą.

— Dlaczego potrzebujesz psychoterapeuty?

— Więc nie wierzysz w psychoterapię?

Wzruszył ramionami.

— Na to wygląda. Po prostu nie znam wielu ludzi, którzy chodzą na psychoterapię.

— Wierzę w chodzenie do specjalisty, kiedy coś nie gra. — Pogładziłam go po ręce. — Chcę mieć pewność, że nic mi nie jest. Więc przez jakiś czas tam pochodzę. Nie chodzi o to, że jestem wariatką, czuję się świetnie. Jestem smutna i czuję się podle z powodu tego, co się stało, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Dobrze.

— A wracając do pytania: chcesz się do mnie na jakiś czas wprowadzić?

— Co to znaczy: na jakiś czas?

— Aż cię wykopię.

Chociaż mu tego nie mówiłam, miałam swoje egoistyczne powody, dla których chciałam go mieć przy sobie. Nie mówiłam mu, bo chyba tak jak on byłam dumna, ale nadal chciałam pracować nad tym, żebyśmy byli razem. Chciałam, żeby ta ciemna plama zmieniła się w światło.

— O czym myślisz? — spytałam.

— Myślałem o tym, jak miałem ten atak astmy, jak byłem w szpitalu i obudziłem się, a ty tam byłaś, taka smutna. Próbowłaś się odwrócić, żebym nie widział, że płaczesz. A teraz znów jesteśmy w szpitalu.

— To prawda.

— Powinienem tu być przez cały ten czas.

— Jesteś tu teraz. Tylko to się liczy.

Przejmował się moim mężem — mówiłam mu, żeby przestał tak nazywać Petera — jego zabójstwem i tym, że siedzi teraz na szpitalnym łóżku z młodą wdową. Nie nazwał mnie wdową, ale to miał na myśli. Zapytał, czy to wypada, zwłaszcza w tych okolicznościach. Powiedziałam, że to zależy od nas, nie od widzimy innych ludzi. Gdy znowu zapytałam, czy potrzebuje mojej pomocy, ziewnął i powiedział, że o tym pomyśli. Czasem duma potrzebowała popchnięcia.

— Jak długo będziesz nad tym myślał? — spytałam.

— Jak długo mam nad tym myśleć?

— Nie odpowiadaj mi pytaniem na pytanie.

Potem jego oddech stał się cięższy i zasnął. Leżałam obudzona, z dala od koszmarów. Żyłam niespokojnym życiem, siedząc w cieniu, czekając, aż wszędzie słońce i rozproszy cienie.

Pielęgniarka zapukała do drzwi. Wetknęła głowę i zobaczyła, że leżę przytulona do Jordana. Uśmiechnęła się. Powiedziałam, że wszystko w porządku i że zadzwonię, jeśli będę czegoś potrzebowała. Puściła do mnie oczko i wyszła.

Mój wzrok błądził po ścianach, szukając czegoś do rysowania. Papier i ołówek były na stole. Wyśliznęłam się z łóżka, doczołgałam się obolała, wzięłam je i wróciłam do łóżka. Zaczęłam rysować twarz śpiącego Jordana.

Nie spałam wiele nocy i zawsze malowałam swoje myśli, swoje kłopoty. Czasami nie malowałam, tylko przyglądałam się, jak dzień przemienia się w noc bez pytania, jak przepływa i zmienia się bez pytania mnie o zgodę, czy się nie obrażę, czy potrzebuję różnicy, którą przynosi. Czasami cierpliwie oczekiwałam przejścia z ciemności do jasności. Czasami siedziałam w nocy i czekałam w ciemności. Czasem robiło się tak ciemno, że wszystko, każdy znajomy kształt zanikał i nie sądziłam, że jeszcze pojawi się światło. Ale nigdy nie czułam strachu, z którym nie mogłabym sobie poradzić. Nie uciekałam od nocy, bo wiedziałam, że ciemność jest tylko tymczasowa. Po zmierzchu zaw-

sze był świt, po świcie zmierzch, po zmierzchu świt. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Nadal myślałam o Peterze i czułam, że to moja wina. Nie wiedziałam, dlaczego tak czuję, ale tak było.

Musiałam jakoś to rozgryźć. Przynajmniej jakąś część. Dobrze, więc wzięłam Petera do bankomatu, a powinnam być rozsądniejsza i bardziej uważać, bo przecież znam to miasto. Znam jego piękno i jego niebezpieczeństwa. To on przyszedł na obiad bez pieniędzy. Ale miał zamiar zapłacić za obiad kartą. Mógł zostać i nią zapłacić, gdyby nie był odrażający i nie ścigał mnie ulicami SoHo. Nikt nie kazał mu mnie gonić. Ale uderzyłam go w głowę miską sałaty i wkurzyłam go. Może przesadziłam. Nie. Zasłużył na to, bo obraził mnie swoją głupią propozycją „ostatni raz na drogę”. Więc powinnam mu jeszcze przyłożyć sztucami. Ale poszłam z nim na obiad. Równie dobrze mogłam go wystawić. Ale stale do mnie wydzwaniał i zmusił do pójścia szantażem. Kurczę, to ja do niego zadzwoniłam i uruchomiłam tę lawinę. Czekał, to on oddzwonił, skłamał o podróży służbowej do Jersey, potem przyleciał tu, by mnie męczyć. Nie miał po co przyjeżdżać nad Atlantycką, nad Pacyfiku mógł przygotować, przesłać, przefaksować wszystkie dokumenty potrzebne do rozwodu bez orzekania o winie stron. To mogło być takie proste, ale on zdecydował, że trzeba to skomplikować. Poślubiłam go. Ale to on mi się oświadczył.

— Gdyby mi się nie oświadczył — mamrotałam — nie siedziałabym w tym pokoju z poharataną głową. A on by żył.

Ale mimo wszystko płakałam. Płakałam nad Peterem. Płakałam nad sobą. Uroniłam kilka łez nad jego rodziną. Nad jego narzeczoną która czekała, aż jego nic niewarte ciało zostanie przesłane w skrzynce lodu. Poproszę, żeby Sharon zadzwoniła do firmy wysyłkowej i prześle kwiaty jego rodzinie.

Jordan obudził się kilka minut później. Nie narysowałam za wiele, bo płakałam z przerwami. Poza tym za bardzo się wierciłam. Staralam się nie zasnąć i stale się ruszałam. Czesalam palcami jego włosy i bawiłam się jego uszami, żeby wzbudzić jego uwagę. Czułam się samotna i potrzebowałam z kimś porozmawiać. I byłam zazdrosna, bo wydawał się taki spokojny.

Przyciągnęłam go do siebie, pocałowałam jego poranny oddech, ułożyłam się wygodnie i wciągnęłam go między nogi, żeby mógł oprzeć głowę na mojej piersi. Nie lubił się całować, zanim umył zęby, ale ja lubię kraść wszystkie smaki, dobre i złe. Zmusiłam go, żeby otworzył usta, żebym mogła wśliznąć swój język.

— Przestań — wymamrotał.

— Daj mi.

Otworzył usta i wśliznął mi język. Sięgnął ręką do moich włosów, ale ja szarpnęłam się i złapałam jego rękę. Zapomniał o mojej rannej głowie.

— Przepraszam — powiedział.

— Kocham cię — niepoważnie szepnęłam.

— Też cię kocham. Dobrze się czujesz?

— Lepiej, odkąd wróciłeś.

Pocałował mnie i robił to już lepiej, kiedy się budził.

— Jestem w nastroju — powiedziałam.

— Co? — zachichotał.

Też się roześmiałam.

— No EXtra, pokochaj mnie.

— Tutaj?

— Tak.

— Majaczysz.

— Tak. — Jęknęłam i przyciągnęłam bliżej. — Tylko delikatnie. Położę się na brzuchu, żeby nie uciskać tak mocno tyłu głowy. Mogłoby mnie zabić, gdybyśmy zaczęli się kołysać.

— A co, jak ktoś wejdzie?

— Powiem im, że jestem na terapii wstępnej.

— A co z twoimi rodzicami?

— Mamusia i tata nie przyjdą tu przed dziewiątą. A leki dostaję dopiero o ósmej. Masz czas.

— Nie dość czasu.

— Pragnę tylko kilku wolnych minut. I mam na myśli naprawdę wolnych. To ty będziesz musiał najwięcej się ruszać. Nie hałasuj. Czasami robisz się za głośny. I żeby łóżko nie trzeszczało. Bądź delikatny.

Zaczęłam zdejmować spodnie od pidżamy.

— Mówisz poważnie? — zapytał.

— A jak ci się zdaje?

— Nie odpowiadaj...

— Pytaniem na pytanie. Przystaniesz wreszcie? Popatrzył na mnie przez chwilę, żeby wyczuć, czy mówię poważnie, popatrzył na spodnie od pidżamy, które trzymałam w ręce, potem wyciągnął się i powiedział ziewając.

— Pozwól mi najpierw pójść siku. Westchnęłam z rosnącą frustracją i pocałowałam go.

— I nie zapomnij położyć na miejsce deski, kiedy skończysz.

Poszedł do łazienki.

Kiedy wrócił, smacznie spałam.

Bez koszmarów.

34. Jordan Greene

Kimberly nadał miewała koszmary. Pomimo terapii raz w tygodniu budziła się roztrzęsiona, z szeroko otwartymi oczami. Zdarzało się to na tyle często, że zapragnąłem obserwować jak śpi i budzić ją ze wszystkiego, co wyglądało na koszmar. Większość razy, gdy się budziłem, siedziała przed sztalugą i malowała. Świeży zapach farby i cicho grany jazz były czymś, do czego zaczynałem się powoli przyzwyczajać. Czasami zostawałem na materacu i przyglądałem się, jak małym pędzelkiem tak pewnie trzymanym w dłoni przelewa na płótno swoje myśli. Wiele razy zasypiałem i budziłem się dopiero, gdy kładła się do łóżka i oboje nas przykrywała.

Jakiś czas po przeprowadzce do Kimberly byliśmy na późnym sobotnim śniadaniu w Village w zatłoczonej kafejce na świeżym powietrzu razem z Kinikki, Sharon i ich mężami. Ja, nie wiem już który raz, zwalczałem te pełne obrzydzenia spojrzenia elegancko ubranych braci, które rzucali mijając mnie i Kimberly idących za rękę. To spojrzenie mówiące „zadzwoń do NAACP”²⁵,

²⁵* NAACP — National Association for the Advancement of Colored People — Krajowy Związek Rozwoju Czarnej Społeczności. Organizacja zajmująca się ochroną interesów czarnej społeczności w Stanach Zjednoczonych.

żeby odebrali ci członkostwo" potwornie mnie wkurzało i chciałem coś powiedzieć, ale takie zachowanie nie zasługiwało na odpowiedź. Nie znali mnie; nie znali Kimberly; nie znali nas; więc to nie powinno mieć znaczenia.

Ale miało. Chyba zawsze tak będzie.

Przy posiłku na świeżym powietrzu Kinikki oznajmiła, że jest w drugim miesiącu ciąży. Wszyscy zaczęliśmy bić brawo, a potem wznieśliśmy toast.

Kimberly spytała sarkastycznie:

— Ale jakże to mogło się wydarzyć?

Kinikki puściła oko.

Kobiety zachichotały i roześmiały się.

My mężczyźni wzruszyliśmy ramionami i zrobiliśmy miny znaczące „nie rozumiem, o co im chodzi”.

Właśnie gdy podnosiłem do ust kawałek omleta ze szpinakiem, Toni, Elaine i Zoe wyszły z za rogu i zbliżały się ku nam, gadając i śmiejąc się wśród tłumu. Elaine zauważyła mnie, prychnęła, zwolniła kroku, wymamrotała coś pod nosem i wszystkie zwolniły tempo i w tej samej chwili rzuciły mi złowrogie spojrzenia. Śmiech umilkł, przybrały twarde, surowe miny modnie ubranych fanek rapu z Nowego Jorku i minęły nas bez słowa. Toni najbardziej ze wszystkich unikała spojrzenia w naszym kierunku. Maszerowały po stronie, z której Kimberly nie mogła ich zobaczyć. Kimberly i Sharon zatopione były w rozmowie, planując przyjęcie na cześć dziecka.

Kiedy nas minęły, Zoe odrobinę zwolniła, zgubiła się w tłumie na tyle, by się odwrócić. Uśmiechnęła się ciepło i mrugnęła do mnie. Pomachała na powitanie. A może na pożegnanie.

Parę weekendów później poszliśmy z Kimberly do „Shadows” koło pierwszej, właśnie gdy zabawa zaczynała się rozkręcać. Kiedy weszliśmy, Solomon stał przy jednym z barów. Nie widziałem go od nocy, gdy byłem w jego mieszkaniu, gotowy zdeptać go jak karalucha. To było prawie trzy miesiące temu, ale wydawało się jakby wczoraj. Zanim zdążyłem złapać Kimberly za rękę albo ją odwrócić, uśmiechnęła się i pomachała ręką, żeby do nas podszedł, i zawołała go po imieniu. Zauważył ją, zobaczył mnie, odwrócił się, postawił drinka i odsunął się od kobiety, z którą rozmawiał.

— O co chodzi? — spytała Kimberly.

— O nic. — Uśmiechnąłem się. — Później ci powiem.

— Nie — nalegała. — Teraz.

Sztuczny uśmiezek zniknął mi z twarzy. Powiedziałem:

— Wisi mi trzysta dolarów. To wszystko.

Może coś w moich oczach dało jej lepszą odpowiedź, ale Kimberly nigdy o nic więcej już nie pytała.

Darrell mnie zaskoczył. Przesłał mi przekaz na osiemset dolarów. I karteczkę: „Pokey, chcę Ci po prostu pomóc, najlepiej jak mogę. Zaoszczędziłem to i dołożyłem trochę z podziału zysku. Wiem, jakie drogie jest tam życie. Daj mi znać, czego jeszcze potrzebujesz. Przedwczoraj zabrałem Wandę w odwiedziny do Reggiego. Lekarz załatwił mu robotę i wygląda na to, że będzie jeździł ciężarówką w Phoenix, w Arizonie. Cieszył się, że to dostał. Powiedział, żebyś na pewno przysłał mu nowy adres, jeśli znowu się przeprowadzisz, aby mieć pewność, że będziemy w kontakcie. Skrobnij coś, żebym wiedział, że dostałeś pieniądze. Traci cię pozdrawia. Nie zdziw się, jak zadzwonisz, a ona odbierze. Pokój z tobą. Darrell”.

Kolejna rzecz, która sprawiła, że uśmiechnąłem się jeszcze szerzej, to pocztówka od Zoe. Bez adresu. Było na niej zdjęcie pomnika Martina Luthera Kinga i kolorowy znaczek z Marcusem Garveyem. Kartka miała stempel sprzed dwóch dni. Wysłana z Atlanty. Zoe narysowała uśmiechniętą buźkę i podpisała: *Dzięki*.

Kimberly chciała polecieć ze mną do Los Angeles. Przeprowadziłem już telefoniczną rozmowę z Dan L. Steel Computers Division, z siedzibą tuż obok Los Angeles w Culver City, zamieszkanym przez elitę klasy średniej. Bezpośrednie spotkanie było jedynie formalnością.

Całą drogę na lotnisko Kennedy'ego, jadąc Woodhaven Boulevard przez Elmhurst, Rego Park, Jackie Robinson Parkway, Rockaway Boulevard, wiedziałem, że Kimberly ma dużo na głowie. Przez całą noc siedziała przed sztalugami malując, gdy w mieście padał deszcz.

W taksówce, im bardziej zbliżaliśmy się do rejonu Howard Beach i Jamaica Bay, tym mocniej trzymała się swego zboląłego nerwowego uśmiechu i ścisła moją rękę.

Nadmieniła już, że nienawidzi Zachodniego Wybrzeża, bo nie ma rozgraniczonych pór roku. Uwielbiała specyfikę i kolory Wschodniego Wybrzeża. Rozmawialiśmy o związkach na odległość i powiedziała o nich tylko jed-

no — że ich nie lubi. Żadnych „jeśli”, „i” czy „ale”. Zbyt niewygodnie i na-
zbyt kosztowne. Jej słowa były ostateczne. Powiedziałem jej, że muszę pra-
cować. Musiałem jechać tam, gdzie ja będę dyktował warunki.

Tak więc przez kilka dni w naszym związku było dużo napięcia. Oboje
dość sobie docinaliśmy, potem bardzo przepraszaliśmy. Ledwie się dotykali-
śmy przez ostatnie dwa tygodnie. Kochanie się stawało się wspomnieniem.
Przez ostatnie trzy dni miałem nieprzerwaną migrenę. Czulem się, jakbym
wrzucił luz i deptał sprzęgło po tych wszystkich latach jazdy na piątce.

Deszcz lał tak mocno, bębnił o szyby taksówki, że nie było nic widać.
Śniłem na jawie o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Myślałem o tym,
jak wyglądało moje życie o tej porze rok temu; zastanawiałem się, jak będzie
wyglądało o tej samej porze za rok.

Kimberly szturchnęła mnie łokciem i prosto z mostu spytała:

— Kochasz mnie?

— Wiesz, że tak — odparłem.

— Jak bardzo?

— Kto potrafi zważyć miłość? — spytałem. Nie uśmiechnęła się.

Chwilę później spytałem:

— A ty mnie kochasz?

— Tak.

— Jak bardzo?

Uśmiechnęła się, pocałowała mnie w policzek i odrzekła:

— Za dużo, by zważyć.

Kimberly przysunęła się do mnie i położyła rękę na mojej nodze. Ja poło-
żyłem swoją na jej. To było nasze pierwsze dotknięcie tego dnia.

Nasz nocny lot był praktycznie pusty. Kimberly była cicho, włożyła swo-
ją torbę z rzeczami do przebrania do schowka, chwyciła parę poduszek i ko-
ców i usiadła na miejscu przy oknie, odgarnęła wilgotne włosy z twarzy, po-
prawiła spódnicę, i westchnęła jak osoba głęboko zraniona. Patrzyła przez
okno, jak deszcz leje na ziemię. Miała nieszczęśliwe spojrzenie. Wyglądała,
jakby była gotowa wysiąść i pozwolić mi lecieć samemu.

Wepchnąłem swoją torbę do schowka.

— Wszystko w porządku, Kimberly?

Ocknęła się z transu, potarła nos.

— Myślę.

— O?

— Po prostu myślę.

Steward skończył właśnie tłumaczyć wszystko o zapinaniu pasów i o wyjściach awaryjnych. I o odpowiedzialności za innych pasażerów, jeśli siedziało się w rzędzie dwudzie— stym którymś. Wszyscy i tak na pewno by spanikowali, nie j będąc przeszkoleni w pomocy pasażerom w opuszczaniu / płonącego samolotu, gdyby pilot nawalił, napił się za dużo Jacka Danielsa i posadził swojego pieska w miejscu, które raczej nie przypominało lotniska.

Steward przeszedł obok nas, sprawdzając, czy wszyscy siedzą prosto i są zapięci, i poszedł na swoje miejsce. ,

Kimberly rozpięła pas, podniosła dzielące nas oparcie, pochyliła się i lekko mnie pocałowała. Gdy skończyliśmy, sięgnęła do torebki i wyjęła małe pudełeczko. Sięgnąłem po nie, a ona je odsunęła.

— O co chodzi? — spytałem.

— Wiesz, jeśli dostaniesz tę pracę, a dostaniesz, będziemy musieli podjąć życiową decyzję.

— A jeśli jej nie dostanę?

— Będziemy musieli podjąć życiową decyzję.

Skierowałem wzrok na pudełeczko.

— EXtra, ożenisz się ze mną? — spytała.

Patrzyłem na nią doszukując się podstępu, ale nic takiego nie było. Była bardzo poważna. Sięgnąłem po pudełko, lecz odsunęła je, przyciągnęła do siebie.

Spytała sztywno:

— Więc?

— Kupiłaś mi pierścionek zaręczynowy? — spytałem.

— Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie — westchnęła i cicho spytała:
— Więc?

Uśmiechnąłem się.

— Tak.

Wzięła głęboki wdech i powoli, długo odetchnęła.

Dotknąłem jej ręki.

— Dobrze się czujesz?

Zanim zdążyłem wymówić ostatnią sylabę, przysunęła się do mnie i przechyliła głowę. Samolot kołysał się w rytm naszego pocałunku. Ruszaliśmy na pas startowy.

Powoli i rozważnie podsunęła mi pudełko. Jej twarz złagodniała. Nie wierzyłem, że tak bardzo pocał mi się dłonie, gdy otwierałem pudełko. W środku była karteczka z napisem: JESTEŚ MI WINIEN PIERŚCIONEK.

Zachichotała:

— Kiedy go kupisz, pojedziemy do Mamusi i będziesz mógł się oświadczyć moim rodzicom.

— Poddasz mi się na resztę swojego życia?

— Prawdopodobnie nie. Podoba mi się życie, jakie teraz prowadzę. Ale odkąd dowiedziałam się o ciąży Kinikki, mój zegar biologiczny zaczął bardzo głośno tykać.

— Wyłącz budzik. Jestem bez pracy.

Zaśmiała się i przyciągnęła mnie do siebie, żeby pocałować. Samolot wyjechał na pas startowy i pilot oznajmił, że jesteśmy gotowi do startu. Powiedziała obsłudze pokładowej, żeby się przygotowała.

— Słyszałeś to? — mrugnęła Kimberly.

— Co?

— Gotowi do startu — szepnęła.

Kimberly pochyliła się przeze mnie i spojrzała na prawie puste rzędy samolotu. Tylko w paru miejscach włączone były lampki do czytania, ale bliżej dzioba DC-10. Pochyliła się do przodu, zerknęła na tyły głów pary sześć rzędów przed nami, potem na starszą parę cztery rzędy za nami.

— Czego szukasz? — spytałem.

Rozpięła mój pas, odkryła koce, uśmiechnęła się i owinęła nas oboje. Wzięła obie poduszki, pokręciła się, położyła jedną pod głowę, drugą pod tyłek. Kimberly ziewnęła, ułożyła się wygodnie, przycisnęła do mnie i wciągnęła moją rękę pod sukienkę. Potarłem i ścisnąłem, dotknąłem z przodu, spodziewając się majtek. Nic tylko naga skóra.

Szepnęła zmysłowo:

— Pocałuj mnie w szyję.

Kimberly odchyliła się i poszukała mojego rozporoka, wsunęła rękę pod koc i znalazła go. Przysunąłem się do niej blisko, pocałowałem to miejsce na szyi, od którego robi jej się słabo.

TLR

Podziękowania

Raz jeszcze wnuk Virginii, Jerry, pragnie wszystkim podziękować. Więc weź coś do picia, zjedz trochę beztłuszczowych chipsów i uzbrój się w cierpliwość.

Dziękuję Stwórcy za spełnienie tego marzenia. Pokorny chłopiec wychowany na ulicy Kansas.

Jak zawsze, pragnę podziękować mojej redaktorce Audrey LaFehr za tak wspaniałą pracę. Pokój i światło na wieki.

Dziękuję mojej agentce, Sarze Camilli, za ciężką pracę i przypominanie mi, bym brał witaminy. (Uśmiech). Mój samochód wreszcie wyjechał z warsztatu. Wieczne błogosławieństwo dla ciebie i wszystkiego, czego dotkniesz.

Tracey Guest, dzięki za trudy jeżdżenia ze mną z wybrzeża na wybrzeże ((((((((((Tracey)))))))).

Okrzyki dla mojej biegającej załogi z L.A. — Moich 10 Przyjaciół z Inglewood: Richard „Żołądek” Scott, Dwayne „Papa” and Evelyn „Dama” Orange, Raymond „Trener” Bell, Karla „Przez K” Green, Glenda „Trenerka” Greene, Vince Owens, John „Król Karo” Marshall, Jodie „Dobrze już Dobrze” Little— Williams, Karl „Pan W Porządku już w porządku” Williams, Juanda Honere, Victor „Skrót” Miller, Stella, „Biegnący” Ron Streeter, Mellie Mel Melanie, Stephanie (mecenas, którego nie da się pokonać) Myers, Stephanie (żona Roba, alias Królowa Maratonu), Malaika (Gdzie Jesteś?) Brown, Samuel Jones, Lawrence i Brenda Doss, Rafael Morales, David (Organizacja Walki z Narkomanią) Brown, Trący, Neiko i Stephanie „Laska Thang”.

Dziękuję Licii „Potrójnej Groźbie” Shearer za podrzucenie tego pomysłu. Prawdopodobnie nawet już nie pamiętasz, kiedy powiedziałaś: „Napisz historię o bracie umawiającym się z białą dziewczyną...” Mam nadzieję, że się nie zagalopowałem. Ale przecież mnie znasz...

Dzięki za lata wsparcia i rosółów — Brenda Denise Stinson (czyta ze mną w Los Angeles i jest BOMBOWA!), April (na Południu w Mississippi) Wiggins, Tiffany i Danielle (w Vegas) Royster. Cześć, Danielle! I moje „córki” z L.A. — Chiąquita Martin, Gina. Rodzinie Frances (Tyrone, Taylor, Delia Devin).

W moim domu poza domem dwudziestoczworgodzinnej siłowni; Maria i Tanya — dzięki za utrzymywanie mnie w formie!

Szczególne SZCZEGÓLNE podziękowania dla Yvette Hayward w Nowym Jorku — dzięki za metę na Wschodnim Wybrzeżu i oprowadzanie po mieście.

I Lolita Files, autorka „Sceny Siostry”, wiesz, że jesteś moją siostrą bliźniaczką! Przybij piątkę 1000 razy, dzięki za wsparcie i rozmowy. Jesteś genialna. I inspirujesz mnie przez cały rok na okrągło.

Dziękuję kolegom pisarzom i przyjaciółom: E. Lynn Harris, Shonda Checkes, Suzette Webb, Victoria Christopher Murray, Lolita Files, Yvette Hayward, Kimberla Lawson — — Roby, LaJoyce Brookshire, Sharon Mitchell, Franklin Whi — te, Omar Tyree, Sabrina Lamb, Jacqueline Powell, Van Whit — field, Jerry Craft, Malaika Browne — i wielu innym, których w ten czy w inny sposób poznałem w podróży do branży wydawniczej, dzięki za przyjaźń i radę. Działajmy dalej!

Frmie Przewozowej TNT w Dallas (Theresa, Diana, Tima) — WY WSZYSTKIE SIOSTRY JESTEŚCIE NIESAMOWITE! Dlaczego nie możecie wybrać się ze mną w trasę promocyjną?

Mojej Babci, Virginii „Mojej Drogiej”, Jerry, KOCHAM CIĘ!

Audrey Cooper, mój przyjacielu, mój bracie, dzięki za wszystko. ^

Emil „Jake” Johnson. Przybij piątkę. I () dzięki bracie.

Bobby Laird. Dobra, Muzyku, dzięki za — hej, sam wiesz, co zrobiłeś przez te lata, żeby do tego doprowadzić.

Shirley „Poetka” Harris — dzięki za przeczytanie książki w pierwszej wersji i za to, że nadal ze mną rozmawiasz. © Pisz od serca i kieruj się w stronę światła.

Uściski dla mojej rodzinki z Południa: Verna Pigues, Keith i Monica Pigues, Kevin Pigues, Darrell V. Jerry, Regina Qui — nones.

Tywła, Pat i Taylor. Kocham was wszystkich.

Kumple z AOL — wiecie, o kim mówię — ściskam was, ((((((o tak)))))).

Chciałbym móc podziękować wszystkim klubom książki (Siostró, Siostró — tak przy okazji, fajne imię — spotkanie w Teksasie!), ale to historia na oddzielną książkę. Dziękuję wam wszystkim.

A na wypadek, gdybym o tobie zapomniał, chwytaj za pióro. Szczególne podziękowania dla () za wszystko, co zrobiłeś, by pomóc powstaniu mojej książki. (Na serio, on/a pomógł/a. Bez niej/niego nie udałoby mi się.)

Jeśli masz adres internetowy, możesz się ze mną skontaktować pod Edickeyl42@aol.com. Przyślij swoje uwagi. Wejdź do amazon.com i zrób to samo dla mnie i innych pisarzy. Musimy wiedzieć, co sądzisz/czujesz i chcemy, by ludzie, którzy nas obserwują (Wielki Bracie, czy to twój oddech czuję na swojej szyi? Weź tic- taca i się zrelaksuj), wiedzieli, że ten Nowy Renesans to więcej niż tylko trend.

Przyślijcie pieniądze, jeśli je macie. Małe banknoty. Nie znaczone. Nie numerowane kolejno w serii. Na moje konto w Szwajcarii. Tylko żartuję. Przyślijcie duże banknoty. Uściski.

Dzięki za miłość i wsparcie.

Pokój i błogosławieństwo dla was i wszystkich, których dotkniecie.

A teraz, dobrzy ludzie, do sklepu po książki.